

**CLIVE
CUSSLER**
GRANT BLACKWOOD

KRÓLESTWO

Przekład: MACIEJ PINTARA

Tytuł oryginału: The Kingdom

Prolog

Zapomniany kraj

Czy mogę być ostatnim ze stu czterdziestu Strażników? Ta ponura myśl nie dawała Dhakalowi spokoju.

Główne siły najeźdźców wtargnęły do jego ojczyzny od wschodu osiem tygodni wcześniej. Pokonawszy wzgórza, zalały doliny, gdzie równały z ziemią wioski i wycinały w pień wszystkich na swej drodze.

Konnicy i piechocie wroga towarzyszyły elitarne oddziały, które miały tylko jedno zadanie: zlokalizować świętego Theuranga i dostarczyć go królowi. W przewidywaniu tego Strażnicy relikwii niepostrzeżenie zabrali ją z miejsca jej kultu i wywieźli.

Dhakal zwolnił do kłusa, zjechał ze szlaku między drzewa i zatrzymał konia na ocienionej polanie. Zeskoczył z siodła, a gdy jego wierzchowiec skierował się do pobliskiego strumienia, by ugasić pragnienie, ruszył za nim i sprawdził skórzane pasy mocujące sześcienny kufer do zadu zwierzęcia.

Skrzynia zawierająca bezcenny ładunek była istnym cudem techniki. Zbudowano ją tak solidnie, że mogła wytrzymać upadek z wysoka na skałę lub wielokrotne uderzenie maczugą bez najmniejszego śladu pęknięcia. Miała wiele zamków, ukrytych i skonstruowanych tak przemyślnie, że prawie nie do otwarcia.

Żaden z dziesięciu Strażników w drużynie Dhakala nie zdołałby otworzyć tego niezwykłego kufra; żaden też nie wiedział, czy w jego skrzyni znajduje się oryginalna relikwia. Zaszczyt, albo może przekleństwo, poznania prawdy spotkał tylko Dhakala. Nie wiedział, dlaczego właśnie jemu powierzono świętego Theuranga, lecz doskonale zdawał sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka na nim spoczęła. Miał strzec bezcennej relikwii i wkrótce, jeżeli dopisze mu szczęście, znajdzie bezpieczne miejsce do jej ukrycia.

Wymknął się ze swoją drużyną ze stolicy prawie dziewięć tygodni temu, zaledwie godziny przed pojawieniem się najeźdźców. Przez dwa dni pędzili konno na południe, oddalając się od płonących wiosek i pól. Trzeciego dnia rozdzielili się i każdy Strażnik podążył w ustalonym zawczasu kierunku. Większość nadal oddalała się od linii natarcia najeźdźców, ale niektórzy zawrócili w jej stronę. Wszyscy oni – wraz ze swymi skrzyniami służącymi za przynętę – trafili w ręce wrogów i albo już nie żyli, albo cierpieli straszliwe męki, gdyż żądano od nich ujawnienia, jak otwiera się kufer, a przecież żaden nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Dhakal miał rozkaz jechać na wschód, ku wstającemu słońcu, i utrzymywał ten kierunek od sześćdziesięciu jeden dni. Okolice, które teraz przemierzał, bardzo różniły się od suchego górzystego kraju, gdzie dorastał. Tutaj też wznosiły się góry, lecz porastały je gęste lasy, a w dolinach między szczytami lśniły liczne jeziora. O

wiele łatwiej było się tu ukryć, ale że Dhakal nie znał terenu, znacznie wolniej posuwał się naprzód. No i groziło mu wpadnięcie w zasadzkę, nim zdążyłby umknąć.

Już pięć razy obserwował z ukrycia, jak pościg przejeżdża tuż obok niego, a dwukrotnie starł się z jeźdźcami wroga. Chociaż wyczerpany i sam przeciwko kilkunastu, pokonał przeciwników. Ciała i oręż wrogów zakopał, a ich konie rozpędził.

Od trzech dni nie widział ani nie słyszał pościgu. Nieliczni miejscowi, których spotkał na swojej drodze, nie zwracali na niego uwagi, zapewne dlatego, że nie różnił się od nich zbyt wiele ani rysami twarzy, ani posturą. Intuicja podpowiadała mu, żeby jechał dalej, że nie oddalił się wystarczająco od...

Po drugiej stronie strumienia, w odległości może pięćdziesięciu metrów, rozległ się trzask złamanej gałązki. Ktoś inny zlekceważyłby ten odgłos, ale Dhakal wiedział, że to jakiś jeździec przedziera się przez gęste zarośla. Spojrzał na swego konia, który, zaalarmowany niespodziewanym dźwiękiem, przestał pić, uniósł łeb i zastrzygł uszami.

Od strony szlaku dobiegł chrzęst żwiru pod kopytami. Dhakal wyciągnął łuk z pochwy na plecach i strzałę z kołczana i przykucnąwszy w wysokiej trawie, częściowo ukryty za nogami swego wierzchowca, spojrzał pod brzuchem zwierzęcia w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu. Nic. Popatrzył w prawo. Wąski szlak, ledwo widoczny między drzewami, był pusty. On jednak nie rezygnował, pewny tego, co usłyszał. Obserwował i czekał. Nie musiał czekać długo.

Po niespełna minucie znów rozległ się cichy chrzęst.

Dhakal nasadził strzałę na cięciwę łuku.

Chwilę później na szlaku ukazał się koń. Przeszedł stępą kilka metrów, po czym się zatrzymał. Dhakal widział tylko nogi jeźdźcy i jego dłonie w czarnych rękawicach oparte na łęku siodła. Gdy jeździec szarpnął wodze, które wcześniej trzymał luźno, koń zarżał i tupnął kopytem.

Dhakal nie miał wątpliwości, że to zamierzony manewr, mający na celu odwrócenie uwagi. Atak nastąpi od strony lasu.

Napiął łuk, wycelował i wypuścił strzałę. Grot utkwiał w górnej części uda jeźdźcy, tuż pod biodrem. Mężczyzna chwycił się za nogę i z głośnym krzykiem spadł z siodła. Dhakal wiedział, że trafił. Strzała przebiła tętnicę udową; mężczyzna został wyłączony z walki i skonał za kilka minut.

Nadal w przysiadzie, Dhakal obrócił się na pięcie, jednocześnie wyciągając z kołczana trzy następne strzały. Dwie położył na ziemi przed sobą, trzecią nasadził na cięciwę. W odległości dziesięciu metrów dostrzegł trzech wojowników, którzy skradali się przez zarośla z mieczami w dłoniach. Wycelował w jednego z nich i strzelił. Mężczyzna upadł. Dhakal szybko wypuścił dwie następne strzały. Drugiego mężczyznę trafił prosto w pierś, a trzeciego w szyję. Wtedy zza kępy drzew wypadł

czwarty wojownik i z okrzykiem bojowym natarł na Dhakala. Był już prawie przy brzegu strumienia, gdy kolejna celnie wymierzona strzała położyła go trupem. W lesie zaległa cisza.

Tylko czterech? – zastanawiał się Dhakal. Nigdy przedtem nie wysyłali mniej niż dziesięciu.

Jakby w odpowiedzi na jego zdziwienie, na szlaku za nim rozbrzmiał tętent kopyt. Dhakal odwrócił się i zobaczył, jak rząd jeźdźców mija galopem martwego towarzysza. Trzech... czterech... siedmiu... Naliczył dziesięciu i wciąż ich przybywało. Przewaga wrogów była miażdżąca. Dhakal wskoczył na siodło, napiął łuk i odwrócił się w momencie, gdy pierwszy jeździec wypadł pomiędzy drzew na polanę.

Dhakal błyskawicznie wycelował i strzelił. Grot strzały utkwiał w prawym oku mężczyzny. Siła trafienia wyrzuciła go z siodła, tak że upadł prosto pod nogi konia następnego jeźdźca. Wierzchowiec stanął dęba i cofnął się, blokując pozostałe, które zaczęły na siebie wpadać. Atak się załamał.

Dhakal wbił pięty w boki swojego konia. Wierzchowiec posłusznie skoczył z brzegu do wody i pomknął w dół strumienia.

Dhakal szybko zdał sobie sprawę, że tym razem nie wydostanie się z zasadzki. Wrogowie śledzili go od jakiegoś czasu i zdołali otoczyć.

Przez plusk płytkiej wody pod kopytami konia słyszał odgłosy świadczące, że część jeźdźców przedziera się przez las na prawym brzegu strumienia, a część podąża szlakiem biegnącym wzdłuż lewego brzegu.

Dhakal zbliżał się do miejsca, gdzie strumień skręcał w prawo. Drzewa porastające brzeg były tu gęściejsze i zasłaniały słońce, tak że znajdował się w półmroku. Usłyszał za plecami głośny okrzyk. Obejrzał się przez ramię i zobaczył czterech jeźdźców prowadzących pościg. Zerknął w prawo i dostrzegł ruchome cienie koni między drzewami. Wrogowie najwyraźniej chcieli, żeby nadal jechał wzdłuż strumienia. Ale dlaczego?

Odpowiedź nadeszła chwilę później, gdy dotarł do zakrętu. Strumień stał się czterokrotnie szerszy, a kolor wody wskazywał, że jest również znacznie głębszy. Dhakal skierował konia w lewo, ku piaszczystemu brzegowi, ale wtedy z lasu wypadło pięciu jeźdźców i ruszyło prosto na niego. Dwaj pochylali się w siodłach z ustawionymi poziomo kopiami, a trzech pozostali siedzieli prosto z napiętymi łukami gotowymi do strzału. Dhakal przywarł do szyi konia i szarpnął wodze w prawo, by zawrócić. Pokonał zaledwie kilka metrów, gdy pomiędzy drzew na przeciwległym brzegu wyłonił się drugi rząd jeźdźców, również uzbrojonych w kopie i łuki, a rozciągnięta w tyralierę trzecia drużyna konnicy galopowała wzdłuż strumienia.

Jakby na sygnał, wszystkie trzy grupy najpierw zwolniły do klusa, a potem się zatrzymały. Z kopiami i łukami w gotowości przeciwnicy obserwowali Dhakala.

A on zastanawiał się, dlaczego stanęli.

I wtedy usłyszał ogłuszający huk wody.

Wodospad.

Jestem w pułapce, uświadomił sobie.

Zawrócił konia, a gdy dotarł do zakrętu strumienia, ściągnął wodze i wierzchowiec posłusznie stanął. Dhakał podążył wzrokiem za bystrym nurtem. Pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczył mgiełkę kłębiącą się nad powierzchnią i kipieli wśród skał na krawędzi wodospadu.

Odwrócił się w siodle. Ścigający go ludzie nie ruszyli się, z wyjątkiem jednego jeźdźca w ozdobnej zbroi. Dhakał domyślił się, że to dowódca.

Mężczyzna zatrzymał się w odległości kilku metrów od niego i uniosł rękę, by pokazać, że nie jest uzbrojony. Zaczął coś mówić, a właściwie wołać, próbując przekrzyczeć huk wodospadu.

Dhakał nie rozumiał jego języka, ale ton był niewątpliwie pojednawczy. Mężczyzna zapewne mówił, że dalsza ucieczka nie ma sensu. Walczyłeś dzielnie, spełniłeś swój obowiązek. Poddaj się, a będziesz traktowany sprawiedliwie.

Kłamstwo, uznał Dhakał. Będą go torturować, a potem zabiją. Prędzej polegnie w walce, niż pozwoli, by Theurang wpadł w ręce wrogów.

Dhakał obrócił konia tak, by znaleźć się twarzą do przeciwników, po czym bardzo wolno zdjął z pleców łuk i cisnął go do strumienia. To samo zrobił z kołczanem, z długim i krótkim mieczem i wreszcie ze sztyletem przy pasie.

Dowódca nieprzyjacielskiego oddziału skinął głową, odwrócił się w siodle i krzyknął coś do swoich ludzi. Gdy jeźdźcy, jeden po drugim, unieśli kopie i wsunęli łuki do pochew, znów spojrzał na Dhakala i przywołał go gestem.

Dhakał uśmiechnął się, ale zamiast spełnić polecenie, pokręcił przecząco głową, szarpnął wodze w prawo, by obrócić swego wierzchowca, i wbił mu pięty w boki.

Koń stanął dęba, zarżał i pocwałował w kierunku spienionej kipieli nad głębokim wodospadem.

Pustkowie przy granicy chińskiej prowincji Xizang za panowania dynastii Qing, rok 1677

Giuseppe zobaczył tuman kurzu na wschodnim horyzoncie wcześniej niż jego starszy brat. Szeroka na półtora kilometra i ograniczona zboczami wąskiej doliny ściana brunatnego pyłu kierowała się prosto na nich. Nie odrywając od niej wzroku, klepnął brata w ramię.

Francesco Lana de Terzi z Brescii w Lombardii we Włoszech odwrócił się od planów, które właśnie studiował, i spojrzał we wskazanym kierunku.

- Czy to burza? - spytał Giuseppe, wyraźnie zaniepokojony.

- W pewnym sensie - odparł Francesco. - Ale nie tego rodzaju, co myślisz.

Tuman kurzu nie zwiastował kolejnej burzy paskowej, do jakich przywykli przez ostatnie pół roku, lecz raczej wizytę oddziału niebezpiecznych jeźdźców.

Francesco ścisnął uspokajająco ramię młodszego brata.

- Nie lękaj się - rzekł. - Spodziewałem się ich, choć przyznaję, że nie tak wcześnie.

- To on? - wychrypiął Giuseppe. - To on nadjeżdża? Nie powiedziałeś mi.

- Nie chciałem cię martwić - wyjaśnił Francesco. - Ale bez obaw. Mamy jeszcze czas.

Oślonił dłonią oczy przed słońcem i przez dłuższą chwilę obserwował zbliżający się tuman kurzu. Wiedział, że w tej krainie odległości bardzo trudno oszacować. Terytorium pozostające pod rządami dynastii Qing rozciągało się daleko poza horyzont. Podczas dwóch lat spędzonych w tym kraju Francesco i jego brat widzieli dżungle, lasy i pustynie, ale kraina pokryta górami, której nazwę wymawiano i pisano na kilkanaście różnych sposobów, wydawała się całkiem zapomniana przez Boga i ludzi.

Krajobraz przypominał ogromne pofałdowane płótno w tylko dwóch kolorach: brązowym i szarym. Nawet w płynących dolinami rzekach woda była szara. A w rzadkie bezchmurne dni zadziwiająco błękitne niebo zdawało się jedynie podkreślać ponurą barwę suchej, spopielalej ziemi.

I jeszcze ten wiatr, pomyślał Francesco i aż się wzdrygnął. Nieustannie gwizdał wśród skał, tworząc wiry kurzu mające tak niesamowite kształty, że miejscowi uważali je za duchy, które przybyły na ziemię, by porwać ich dusze. Jeszcze pół roku temu Francesco, naukowiec z natury i wykształcenia, drwił z tych zabobonów. Teraz już nie był taki pewien, że to zabobony. Słyszał zbyt wiele dziwnych odgłosów w nocy.

Jeszcze kilka dni, pocieszał się, i będziemy mieć potrzebne środki. Wiedział jednak, że to nie jest tylko kwestia czasu. Zawarł pakt z diabłem. Ale uczynił to ze szlachetnych pobudek i miał nadzieję, że Bóg będzie o tym pamiętał, kiedy nadejdzie Dzień Sądu.

Przyglądał się ścianie kurzu jeszcze przez kilka sekund. Wreszcie opuścił rękę i powiedział do brata:

- Są jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Mamy jeszcze co najmniej godzinę. Dokończmy naszą pracę.

Odwrócił się i przywołał gestem przysadzistego krzepkiego mężczyznę w grubo tkanej czarnej tunice i szerokich spodniach. Hao, główny majster i tłumacz Francesca, podbiegł do niego.

- Jestem, panie! - powiedział mocno akcentowanym, ale znośnym włoskim.

Francesco westchnął. Już dawno zrezygnował z prób nakłonienia Hao, aby mówił mu po imieniu, ale wciąż miał nadzieję, że przynajmniej przestanie on być taki oficjalny.

- Każ ludziom się pospieszyć - polecił. - Nasz gość wkrótce przybędzie.

Hao spojrział na horyzont i zobaczywszy to, co Giuseppe wskazał kilka minut

wcześniej, energicznie skinął głową.

- Tak jest, panie!

Odwrócił się i biegnąc w stronę kilkudziesięciu mężczyzn, którzy kręcili się po polanie na szczycie wzgórza, zaczął wydawać im rozkazy.

Była to właściwie nie polana, lecz dach wewnętrzznego dziedzińca gromady. Miał kształt kwadratu o długości około stu kroków, a otaczały go ze wszystkich stron mury z wieżami strażniczymi, ciągnące się po zboczach wzgórza aż do dna doliny niczym kolce na grzbiecie jaszczurki.

Francesco wiedział, że większość gromad to ufortyfikowane ośrodki nauczania, ale mieszkańcy tej twierdzy nie uprawiali nauki, tylko żołnierkę. Domyślał się, że nieprzypadkowo on i Giuseppe właśnie tutaj mieli ukończyć prace nad machiną, którą ich dobroczyńca nazwał „Wielkim Smokiem”.

Na polanie rozbrzmiewało stukanie drewnianych młotków, którymi robotnicy Hao wbijali ostatnie paliki w twardą ziemię. Po dziesięciu minutach odgłosy umilkły i Hao wspiął się na szczyt wzgórza, gdzie stali Francesco i Giuseppe.

- Skończyliśmy, panie - oznajmił.

Francesco, wiedząc, że projekt na papierze to jedno, a gotowe dzieło to zupełnie co innego, cofnął się o kilka kroków i dokładnie przyjrzał konstrukcji.

Dwunastometrowy namiot ze śnieżnobiałego jedwabiu wsparty na zewnątrz palikami z pomalowanego na czerwono bambusa zajmował trzy czwarte polany i wyglądał jak zamek zbudowany z obłoków. Francesco był zadowolony.

- Dobra robota - pochwalił Hao i zwrócił się do brata: - Jak sądzisz, Giuseppe?

- Wspaniała - odparł młodszy Lana de Terzi. Francesco skinął głową.

- Miejmy nadzieję, że to, co znajduje się w środku, jest jeszcze bardziej imponujące - powiedział.

Chociaż sokolowcy strażnicy gromady z pewnością dostrzegli zbliżających się gości wcześniej niż Giuseppe, zadęli w rogi, dopiero gdy orszak był zaledwie kilkaset metrów od twierdzy. Francesco przypuszczał, że zarówno kierunek, z którego nadciągnęli jeźdźcy, jak i ich wcześniejsze przybycie były podyktowane taktyką. Ponieważ większość posterunków wroga znajdowała się na zachodzie, nadjechali od wschodu, aby tuman kurzu wzbijanego przez galopujące konie zasłonił wzgórze z gromadą na szczycie. Dzięki temu przeciwnik nie zdążył zorganizować zasadzki. Znając swego dobroczyńcę, Francesco był pewien, że jego ludzie potajemnie obserwowali gromadę, czekając, aż zmieni się kierunek wiatru i nieprzyjacielskie patrole nieco się oddalą.

Nasz patron to przebiegły człowiek, pomyślał. Przebiegły i niebezpieczny.

Kilka minut później Francesco usłyszał chrzęst żwiru pod butami na krętej ścieżce poniżej polany. Nad skałami wokół niej unosił się kurz. Nagle odgłosy kroków umilkły i zapadła głucha cisza. Nie zdziwiło to Francesca, ale to, co nastąpiło później, było dla niego kompletnym zaskoczeniem.

Rozległ się krótki rozkaz z niewidocznych ust i na polanę wbiegły dwa tuziny żołnierzy, akcentując każdy krok rytmicznym stęknięciem. Z ponurymi minami, uzbrojeni w trzymane poziomo kopie, zaczęli zapędzać oniemiałych robotników za namiot. Gdy skończyli, unieśli kopie pionowo i ustawili się w regularnych odstępach wokół polany, zwróceniem twarzami na zewnątrz.

Na ścieżce poniżej rozległ się kolejny gardłowy rozkaz i chrzęst żwiru pod opancerzonymi sandałami. Formacja w kształcie rombu, złożona z członków cesarskiej gwardii przybocznej w czerwono-czarnych bambusowych zbrojach, wmaszerowała na polanę i ruszyła w stronę Francesca i Giuseppe. W odległości kilku metrów od Włochów oddział stanął i żołnierze rozstąpili się, tworząc szpaler, w który wkroczył jeden mężczyzna.

Wyższy o trzy szerokości dłoni od swoich najrośniejszych gwardzistów cesarz Kangxi z dynastii Qing, pełnomocnik Niebios, miał wyraz twarzy, przy którym ponure miny jego żołnierzy wydawały się pogodne.

Kangxi stanął trzy kroki od Francesca, przez kilka sekund przyglądał mu się uważnie, po czym przemówił.

Francesco chciał przywołać Hao, żeby tłumaczył, ale mężczyzna już stał u jego boku i szeptał mu do ucha:

- Cesarz pyta, czy jest pan zaskoczony jego wizytą.

- Bardzo zaskoczony - odparł Francesco - ale jeszcze bardziej uradowany, Wasza Wysokość.

Wiedział, że pytanie nie zostało rzucone ot tak. Kangxi z obsesyjną starannością obmyślał rozmaite wybiegi mające mu zapewnić bezpieczeństwo. Gdyby Francesco nie okazał zaskoczenia wcześniejszym przybyciem cesarza, ten natychmiast posądziłby go o szpiegostwo.

- Co to za konstrukcja, którą widzę przed sobą? - zapytał Kangxi.

- To namiot, Wasza Wysokość, mojego projektu. Nie tylko chroni Wielkiego Smoka, lecz również zasłania go przez wścibskimi spojrzeniami.

Cesarz skinął głową.

- Przekażesz plany mojemu osobistemu sekretarzowi. - Uniósł palec na znak, że sekretarz ma wystąpić naprzód.

- Wedle rozkazu, Wasza Wysokość - odrzekł Francesco.

- Czy niewolnicy, których ci dostarczyłem, spisują się należycie?

Francesco skrzywił się w duchu, bo po sześciu miesiącach, które on i Giuseppe spędzili z tymi ludźmi w wyjątkowo trudnych warunkach, uważał ich nie za niewolników, lecz raczej za przyjaciół. Nie powiedział tego głośno, świadomy, że taka więź byłaby środkiem nacisku, którego cesarz nie zawahałby się użyć.

- Spisują się doskonale, Wasza Wysokość - zapewnił. - Niestety czterech z nich straciło życie, gdy w ubiegłym tygodniu...

- Tak jest urządzony świat, że człowiek musi umrzeć - przerwał mu cesarz. -

Oni zginęli w służbie swojego władcy, więc przodkowie powitają ich z dumą.

- Mój majster i tłumacz, Hao, jest wręcz nieoceniony. Kangxi spojrzał na Hao, potem znów na Francesca i oznajmił:

- Rodzina tego człowieka zostanie wypuszczona z więzienia. - Uniósł palec i na ten znak jego osobisty sekretarz zrobił odpowiedni zapis na pergaminie, który trzymał w rękach.

Francesco wziął głęboki oddech i się uśmiechnął.

- Dziękuję Waszej Wysokości za dobroć.

- Kiedy „Wielki Smok” będzie gotowy?

- Za dwa dni.

- Masz czas do jutrzejszego świtu. Powiedziawszy to, cesarz Kangxi odwrócił się i ruszył z powrotem wzdłuż szpaleru gwardzistów, którzy, jeden po drugim, zamykali za nim szyk. Gdy ostatni żołnierze wykonali w tył zwrot, oddział wymaszerował z polany.

Ledwo ich kroki i rytmiczne stępienia umilkły, Giuseppe wykrzyknął:

- Czy on oszalał? Do jutrzejszego świtu?

- Zdążymy - uspokoił go Francesco.

- Jak?

- Zostało nam jeszcze kilka godzin i to w zupełności wystarczy. Powiedziałem cesarzowi „dwa dni”, bo wiedziałem, że zażąda pozornie niemożliwego. Dzięki temu my będziemy gotowi na czas, a on dostanie to, czego chce.

Giuseppe uśmiechnął się szeroko.

- Spryciarz z ciebie, bracie. Dobra robota.

- Chodźmy, trzeba nadać ostateczny szlif „Wielkiemu Smokowi”.

W blasku pochodni przymocowanych do bambusowych słupów i pod czujnym okiem osobistego sekretarza cesarza, który stał w wejściu do namiotu z rękami skrzyżowanymi na piersi, pracowali przez całą noc. Hao, solidny majster, popędzał i instruował ludzi. Francesco i Giuseppe krążyli po namiocie, schylając się raz po raz, by sprawdzić to czy owo...

Linki z wolicz ścięgien odwiązywano, zawiązywano na nowo i sprawdzano ich naprężenie; bambusowe elementy konstrukcji ostukiwano drewnianymi młotkami w poszukiwaniu pęknięć; jedwab oglądano uważnie, by wykryć ewentualne wady; spleciony z rattanu kadłub dźgano zaostrozonymi kijami, by ocenić jego odporność na atak nieprzyjaciela (uznawszy ją za niewystarczającą, Francesco kazał nanieść dodatkową warstwę czarnego lakieru na boki i przegrody). Wreszcie zatrudniony przez Giuseppe artysta malarz ozdobił dziób wizerunkiem smoczego pyska z wylupiastymi ślepiami i wysuniętym rozdwojonym jęzorem.

Kiedy słońce zaczęło się wylaniać zza wzgórz na wschodzie, Francesco kazał szybko dokończyć wszystkie prace, a potem dokładnie obejrzał maszynę, od dziobu do ogona. Z rękami na biodrach, przechylając głowę to w lewo, to w prawo,

przyglądał się każdemu centymetrowi powierzchni, szukając niedociągnięć. Nie znalazł żadnego. Wrócił do dziobu i energicznie skinął głową osobistemu sekretarzowi cesarza.

Mężczyzna dał nura pod połę namiotu i zniknął.

Godzinę później rozległy się znajome kroki cesarskiego orszaku. Gdy gwardziści utworzyli szpaler na polanie, Kangxi, odziany w szarą jedwabną tunikę, ruszył prosto do namiotu, a jego osobisty sekretarz i dowódca gwardii podążyli za nim.

Cesarz wszedł do środka i stanął jak wryty, wyraźnie oszołomiony.

Francesco, który znał władcę od dwóch lat, pierwszy raz widział go zaskoczonego. Ale właśnie takiej reakcji się spodziewał.

Przenikające przez białe ściany namiotu różowawe światło wschodzącego słońca sprawiało, że wewnątrz było skąpane w niezwykłym blasku. Klepisko pokryte czarnymi dywanami, przez co obecni mieli wrażenie, że stoją na krawędzi otchłani.

Francesco Lana de Terzi był wprowadzicie uczonego, ale miał też talent do urządzania widowisk.

Cesarz dał krok naprzód i – zawahawszy się na ułamek sekundy, gdy dotknął stopą krawędzi dywanu – podszedł do dziobu. Przyjrzał się wizerunkowi smoka i się uśmiechnął.

Uśmiech cesarza Francesco też zobaczył po raz pierwszy. Do tej pory widział tylko mniej lub bardziej ponure miny na jego twarzy.

Kangxi odwrócił się do Włocha i powiedział coś głosem pełnym emocji.

- Jest wspaniały! – przetłumaczył Hao. – Odsłoń go!

- Wedle rozkazu, Wasza Wysokość – rzekł Francesco.

Ludzie Francesca wyszli na zewnątrz i ustawili się wokół namiotu. Gdy na jego komendę przecięli linki, obciążone wzdłuż górnych krawędzi jedwabne ściany opadły w dół, a dach uniósł się i wydał niczym żagiel, zanim został ściągnięty na ziemię i zabrany z widoku.

Na środku polany stała latająca machina cesarza Kangxi – „Wielki Smok”. Francesco nie dbał o nazwę; wybrał taką, by zrobić przyjemność swemu dobroczyńcy, ale dla niego machina była po prostu prototypem z jego marzeń, prawdziwym lżejszym od powietrza aerostatem próżniowym.

Miała piętnaście metrów długości, trzy i pół szerokości i dziewięć wysokości. Górną część konstrukcji stanowiły cztery sfery z grubego jedwabiu naciągniętego na szkielety o trzyipółmetrowej średnicy, wykonane z cienkiego jak palec bambusa i zwierzęcych ścięgien. Każda sfera miała w dnie zawór połączony z metrową miedzianą rurą, biegnącą w dół do cienkiej bambusowej deski, do której spodu przymocowano osłonięty od wiatru koksownik na węgiel drzewny. Niżej, przywiązana zwierzęcymi ścięgami do sfer, spoczywała pomalowana na czarno rattanowa gondola, wystarczająco długa, by pomieścić dziesięciu żołnierzy z zaopatrzeniem, ekwipunkiem i bronią oraz pilota i nawigatora.

Cesarz Kangxi stanął pod przednią sferą twarzą do paszczy smoka i uniósł ręce nad głowę, jakby podziwiał własne dzieło.

W tym momencie Francesco zrozumiał, że zawarł pakt z diabłem, i poczuł smutek i wstyd. Ten okrutny monarcha zamierzał wykorzystać „Wielkiego Smoka” do zabijania ludzi, żołnierzy i cywilów.

Uzbrojony w *huóyao*, proch strzelniczy – który w Europie stosowano dopiero od niedawna z umiarkowanym powodzeniem, a którego używanie w Chinach opanowano do perfekcji wieki temu – Kangxi będzie w stanie atakować z powietrza swoich wrogów kulami z muszkietów lontowych, bombami i pociskami plującymi ogniem. Będzie mógł to robić, pozostając poza zasięgiem przeciwników i poruszając się szybciej niż najbardziej rączy koń.

Prawda przyszła za późno, pomyślał Francesco. Machina śmierci jest w rękach cesarza i nie można już tego zmienić. Może gdyby zdołał zbudować prawdziwy aerostat próżniowy, udałoby mu się zrównoważyć nadchodzące zło. Ale tego dowie się dopiero w dniu Sądu Ostatecznego.

Otrząsnął się z zamyślenia, gdy zdał sobie sprawę, że cesarz stoi przed nim.

- Jestem zadowolony – oznajmił Kangxi. - Kiedy tylko pokażesz moim generałom, jak zbudować więcej takich machin, dostaniesz wszystko, co jest ci potrzebne do osiągnięcia własnego celu.

- Wasza Wysokość. - Francesco dwornie skłonił głowę.

- Czy „Wielki Smok” jest gotowy do lotu?

- Proszę wydać rozkaz, a będzie.

- Wydaję. Ale najpierw zmiana. Postanowiłem, mistrzu Lana de Terzi, że ty będziesz kierował „Wielkim Smokiem” podczas lotu próbnego. Twój brat zostanie tutaj z nami.

- Wasza Wysokość wybaczy, ale dlaczego?

- Abyśmy mieli pewność, że wrócisz. I aby uchronić cię przed pokusą przekazania „Wielkiego Smoka” moim wrogom.

- Wasza Wysokość, nigdy bym się ośmielił...

- Być może, ale teraz będziemy mieć pewność, że tego nie zrobisz.

- Wasza Wysokość, Giuseppe jest moim drugim pilotem i nawigatorem. Potrzebuję go.

- Mam oczy i uszy wszędzie, mistrzu Lana de Terzi. Twój zaufany majster, Hao, jest wyszkolony nie gorzej niż twój brat. Będzie ci towarzyszył – wraz z sześcioma moimi żołnierzami – na wypadek, gdybyś potrzebował... pomocy.

- Wasza Wysokość wybaczy, ale muszę się sprzeciwić...

- Nie wolno ci, mistrzu Lana de Terzi – odparł cesarz lodowatym tonem. Ostrzeżenie było wyraźne.

Francesco wziął uspokajający oddech.

- Dokąd mam polecieć? – spytał.

- Widzisz te szczyty na południu, te wysokie, sięgające niebios?
- Tak.
- Właśnie tam polecisz.
- Ależ Wasza Wysokość, to terytorium wroga!
- A gdzie można lepiej wypróbować maszynę wojenną? Francesco otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz cesarz ciągnął dalej:
 - U podnóża gór, nad strumieniem, znajdziesz złocisty kwiat - Hao wie, o jaki kwiat chodzi. Dostarcz mi go, zanim zwiędnie, a zostaniesz hojnie wynagrodzony.
 - Wasza Wysokość, te góry są... - sześćdziesiąt kilometrów stąd, pomyślał Francesco, może nawet osiemdziesiąt - ... są za daleko na dziewiczą podróż. Może...
 - Albo dostarczysz mi złocisty kwiat, zanim zwiędnie - przerwał mu Kangxi - albo nasadzę głowę twego brata na pał. Rozumiesz?
 - Rozumiem.
- Francesco odwrócił się do młodszego brata. Giuseppe, który słyszał całą rozmowę, był błydy jak ściana. Podbródek mu drżał.
 - Bracie - wykrztusił przez ściśnięte gardło - ja... ja się boję.
 - Niepotrzebnie. Wróć, zanim się obejrzyysz. Giuseppe wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i wyprostował ramiona.
 - Tak. Wiem, że ci się uda - rzekł, próbując panować nad drżącym głosem. - Nasze dzieło to cud i nikt nie jest lepszy od ciebie w pilotowaniu go. Jeśli dopisze nam szczęście, dzisiejszego wieczoru spożyjemy razem kolację.
 - Bądź dobrej myśli - powiedział Francesco, obejmując brata.
- Trwali w uścisku przez kilka sekund, po czym Francesco odsunął się i zwrócił do Hao.
 - Każ rozpalić w koksownikach - polecił. - Startujemy za dziesięć minut!

Rozdział 1

Cieśnina Sundajska, Sumatra, czasy współczesne

Sam Fargo cofnął przepustnicę do pozycji biegu jałowego. Gdy motorówka zatrzymała się, wyłączył silnik i łódź zaczęła się łagodnie kołysać z boku na bok.

Ćwierć mili morskiej od dziobu z wody wyrastał cel ich podróży, gęsto zalesiona wyspa z wysokimi górskimi szczytami, szerokimi dolinami w głębi lądu i nieregularną linią brzegową pełną wąskich zatoczek.

Siedząca na tyle łodzi Remi Fargo podniosła wzrok znad nieco eskapistycznej lektury – książki pod tytułem *Azteckie kodeksy: przekazywana ustnie historia podboju i ludobójstwa* – i spojrzała na męża.

– Jakiś problem?

Sam odwrócił się do żony i popatrzył na nią z podziwem.

– Po prostu rozkoszuję się malowniczym widokiem – od parł, poruszając znacząco brwiami.

Remi się uśmiechnęła.

– Bajerant. – Zamknęła książkę i położyła obok siebie na siedzeniu. – Ale daleko ci do serialowych amantów.

Sam wskazał głową książkę.

– Ciekawa?

– Ciężko się czyta, ale Aztekowie byli fascynującymi ludźmi.

Hardziej, niż ktokolwiek sobie wyobraża. Kiedy skończysz? To następna pozycja na mojej liście lektur. – Jutro albo pojutrze.

Ostatnio oboje mieli mało czasu na lektury, a głównym powodem była wyspa, na którą właśnie płynęli. Ten niewielki skrawek lądu między Sumatrą a Jawą pod każdym względem przypominał typowy tropikalny raj, ale od kilku miesięcy stał się terenem wykopalisk, więc wszędzie roilo się od archeologów, historyków, antropologów i, oczywiście, indonezyjskich urzędników. Podczas każdej wizyty na wyspie Sam i Remi musieli chodzić po platformach, które inżynierowie zawiesili na linach nad stanowiskiem archeologicznym, żeby ziemia nie osuwała się pod stopami ludzi próbujących zabezpieczyć znalezisko.

Odkrycie, którego Fargowie dokonali na Pulau Legundi, pomagało pisać na nowo historię Azteków i amerykańskiej wojny secesyjnej, oni zaś, jako szefowie nie tylko tego, lecz jeszcze dwóch innych projektów, musieli być na bieżąco z mnóstwem nadchodzących danych.

Uwielbiali to. Wprawdzie ich pasją było poszukiwanie skarbów – bezpośrednie działanie w terenie – ale oboje mieli solidne przygotowanie teoretyczne. On uzyskał dyplom inżyniera w Caltech, ona była absolwentką antropologii i historii w Boston College.

Sam poszedł w ślady nieżyjącego już ojca, jednego z czołowych inżynierów NASA, uczestniczących w realizacji programów kosmicznych. Jego matka Eunice, obecnie siedemdziesięcioletnia, mieszkała na Key West, gdzie była właścicielką i zarazem kapitanem łodzi czarterowej dla miłośników nurkowania z rurką i wędrowania na pełnym morzu. Rodzice Remi, przedsiębiorca budowlany i lekarka, autorka książek z dziedziny pediatrii, wiedli wygodne i spokojne życie emerytów w Maine, gdzie hodowali lamy.

Fargowie poznali się w Hermosa Beach w klubie jazzowym Lighthouse. Sam wpadł tam pewnego wieczoru na piwo i od razu zwrócił uwagę na Remi, która wybrała się do klubu z kolegami po kilkutygodniowych poszukiwaniach galeonu zatopionego w pobliżu zatoki Abalone.

Nie zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, ale już tamtego wieczoru zaiskrzyło między nimi; rozmawiając i śmiejąc się przy drinkach, nie zauważali, jak mijają godziny, i siedzieli w Lighthouse do zamknięcia lokalu. Gdy pół roku później wzięli ślub, właśnie tam zorganizowali skromne przyjęcie weselne.

Zachęcony przez Remi, Sam zrealizował swój projekt argonowego skanera laserowego do wykrywania i rozpoznawania na odległość stopów metali pod ziemią i wodą. Okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Poszukiwacze skarbów, uniwersytety, rozmaite korporacje i firmy górnicze, a nawet Departament Obrony wręcz dobijały się o licencję i wkrótce Fargo Group Ltd osiągała siedmiocyfrowe zyski. Cztery lata później sprzedali firmę i dzięki tej transakcji byli ustawieni do końca życia. Nie chcieli jednak siedzieć beczynnie. Zrobili sobie miesięczne wakacje, po czym założyli Fundację Fargo i wyruszyli na pierwszą wyprawę w poszukiwaniu zaginionego skarbu. Zakończyła się sukcesem, podobnie jak większość kolejnych. Zdobyte podczas tych wypraw bogactwa zawsze przeznaczali na rozmaite cele charytatywne.

Teraz patrzyli w milczeniu na wyspę przed nimi.

- Wciąż trudno to pojąć, prawda? - powiedziała Remi.

- Tak - zgodził się Sam.

Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z wagi odkrycia, którego dokonali na Pulau Legundi, a które było efektem przypadkowego znalezienia dzwonu okrętowego u wybrzeża Zanzibaru. Archeolodzy, historycy i antropolodzy będą mieli zajęcie przez kilka, może nawet kilkanaście lat, a wnioski, do jakich dojdą, mogą zrewolucjonizować wiedzę o Aztekach.

Sama wyrwał z zamyślenia podwójny sygnał syreny okrętowej. Spojrzał w lewo i zobaczył jedenastometrowy kuter patrolowy z Sumatry. Był w odległości około pół mili morskiej i kierował się prosto na nich.

- Zapomniałeś zapłacić za paliwo w wypożyczalni łodzi? - spytała Remi.

- Nie, ale płaciłem fałszywymi rupiami.

- No i masz skutek.

Kuter zmniejszył dystans do ćwierć mili, skręcił w prawo, a potem zatoczył łuk i ustawił się równolegle trzydzieści metrów od ich burty. Ktoś zawołał przez głośnik po angielsku z indonezyjskim akcentem:

- Ahoj. Sam i Remi Fargowie?

Sam uniósł rękę w geście potwierdzenia.

- Proszę się przygotować. Mamy dla was pasażerkę. Fargowie wymienili zdziwione spojrzenia; nikogo nie oczekiwali.

Kuter okrążył ich motorówkę i podszedł do jej lewej burty na odległość metra. Silnik zwolnił do biegu jałowego, a potem umilkł.

- Przynajmniej wyglądają przyjaźnie - mruknął Sam do żony.

- Na razie - mruknęła Remi.

Indonezyjski kuter patrolowy różnił się od tego, który podszedł do nich na wodach Zanzibaru. Tamten miał działka kaliber 12,7 milimetrów i groźnie wyglądających marynarzy uzbrojonych w kałasznikowy.

Na pokładzie rufowym kutra, między dwoma policjantami w niebieskich mundurach, stała drobna czterdziestokilkuletnia Azjatka o krótko ostrzyżonych włosach i pociągłej twarzy.

- Mogę wejść na pokład? - zapytała. Mówiła po angielsku niemal bezbłędnie, z ledwo słyszalnym akcentem.

Sam skinął głową.

- Proszę.

Dwaj policjanci wystąpili naprzód, jakby chcieli jej pomóc, ale zignorowała ich i jednym płynnym susem przeskoczyła z krawędzi nadburcia na pokład rufowy Fargów. Wylądowała miękko jak kotka, odwróciła się twarzą do Sama i Remi, która stała teraz u boku męża. Patrzyła na nich przez chwilę czarnymi jak węgle oczami, po czym wręczyła im wizytówkę. Widniały na niej tylko dwa słowa: Zhilan Hsu.

- Czym możemy służyć? - zapytała Remi.

- Mój pracodawca, Charles King, chciałby się z państwem zobaczyć.

- Obawiam się, że nie znamy pana Kinga.

- Czekaj na państwa na pokładzie swojego samolotu w wydzielonej dla prywatnych czarterów części lotniska pod Palembang. Życzy sobie porozmawiać z państwem.

Choć angielszczyzna Zhilan Hsu była prawie idealna, brzmiała denerwująco sztywno, jakby mówił automat.

- Tę część rozumiemy - odparła Remi. - Ale kim jest Charles King i dlaczego chce się z nami spotkać?

- Pan King upoważnił mnie do poinformowania państwa, że chodzi o państwa znajomego, pana Franka Altona.

To przykuło uwagę Sama i Remi. Alton nie był tylko ich znajomym, lecz

długoletnim bliskim przyjacielem. Służył kiedyś w policji w San Diego, potem został prywatnym detektywem. Sam poznał go na kursie dzudo. Fargowie, Frank i jego żona Judy raz w miesiącu jadali razem kolację.

- A z jakiego powodu interesuje go Frank Alton? - zapytał Sam.

- Pan King życzy sobie porozmawiać o tym z państwem osobiście.

- Jest pani bardzo tajemnicza - powiedziała Remi. - Może nam pani zdradzić dlaczego?

- Pan King życzy sobie...

- Porozmawiać z nami osobiście - dokończyła Remi.

- Tak, zgadza się.

Sam spojrział na zegarek.

- Proszę przekazać panu Kingowi, że spotkamy się z nim o siódmej.

- To za cztery godziny - zachnęła się Zhilan. - Pan King...

- Będzie musiał poczekać - dokończył Sam. - Mamy coś do załatwienia.

Na twarzy Zhilan Hsu, która dotąd zachowywała stoicki spokój, pojawił się wyraz gniewu, ale niemal natychmiast zniknął. Skinęła głową.

- O siódmej - powtórzyła. - Proszę być punktualnie.

Odwróciła się i zręcznie jak gazela przeskoczyła z pokładu motorówki na krawędź nadburcia kutra. Minęła policjantów i zniknęła w kabinie. Jeden z policjantów zsalutował Fargom. Dziesięć sekund później silnik łodzi patrolowej ożył i kuter odpłynął.

- Interesujące - stwierdził Sam.

- Ona jest naprawdę czarująca - powiedziała Remi. - Zwróciłeś uwagę na jej dobór słów?

Sam skinął głową.

- "Pan King upoważnił mnie... Pan King życzy sobie..." - zacytował. - Jeśli Zhilan Hsu dokładnie przytacza sformułowania swego mocodawcy, to możemy przypuszczać, że pan King jest równie sympatyczny.

- Wierzysz jej, że chodzi o Franka? Judy zadzwoniłaby do nas, gdyby coś mu się stało.

Chociaż podczas wypraw często znajdowali się w niebezpiecznych sytuacjach, codzienne życie Fargów upływało na ogół spokojnie. Ale niespodziewana wizyta Zhilan Hsu i tajemnicze zaproszenie uruchomiły ich wewnętrzne alarmy. Pułapka wydawała się mało prawdopodobna, nie mogli jednak wykluczyć takiej ewentualności.

- Sprawdźmy - zaproponował Sam.

Przykłęknął obok siedzenia sternika, sięgnął pod deskę rozdzielczą po swój plecak i wyjął telefon satelitarny z jednej z bocznych kieszeni. Wybrał numer i po kilku sekundach usłyszał kobiecy głos:

- Tak, panie Fargo?

- Myślałem, że tym razem mi się poszczęści – powiedział Sam. Mieli stały zakład z Remi, że pewnego dnia zdołają zaskoczyć Selmę Wondrash i ona zwróci się do któregoś z nich po imieniu.

- Nie dziś, panie Fargo.

Selma, szefowa ich zespołu badawczego, mistrzyni logistyki i strażniczka ich kryjówki, pochodziła z Węgier i mimo że mieszkała w Stanach od wielu lat, mówiła z lekkim akcentem, podobnie jak Zsa Zsa Gabor.

Kierowała Działem Zbiorów Specjalnych Biblioteki Kongresu, dopóki Fargowie nie zwerbowali jej obietnicą, że dostanie *carte blanche* i najnowocześniejsze środki. Jedyną pasją Selmy – poza akwarium i zajmującą całą szafkę w pracowni kolekcją herbat – były badania. Najszczęśliwsza była wtedy, gdy Fargowie dawali jej do rozwikłania jakąś zagadkę z zamierzchłej przeszłości.

- Kiedyś odezwiesz się do mnie po imieniu – rzekł Sam.

- Ale nie dziś – odparła.

- Która jest u was godzina?

- Około jedenastej. – Selma rzadko kładła się do łóżka przed północą i rzadko wstawała później niż o czwartej nad ranem. Mimo to nigdy nie sprawiała wrażenie śpiącej. – Co państwo dla mnie mają?

- Zagadkę, jak zwykle – odrzekł Sam i zrelacjonował wizytę Zhilan Hsu. – Wychodzi na to, że Charles King to ktoś namaszczony.

- Słyszałam o nim. Jest bogaty przez duże „B”.

- Poszukaj jakichś brudów w jego życiu osobistym.

- Coś jeszcze?

- Altonowie się nie odzywali?

- Nie – odparła Selma.

- Zadzwoń do Judy i dowiedz się, czy Frank jest za granicą – polecił Sam. – Ale zrób to dyskretnie. Jeśli jest jakiś problem, nie chcemy straszyć Judy.

- Kiedy spotykacie się państwo z Kingiem? – spytała Selma.

- Za cztery godziny. Selma się roześmiała.

- Do tego czasu będę wiedziała, jaki rozmiar koszuli nosi i jakie lody lubi najbardziej.



Rozdział 2

Palembang, Sumatra

Za dwadzieścia siódma Sam i Remi zatrzymali swoje skutery przy zwieńczonym drutem kolczastym ogrodzeniu prywatnej części portu lotniczego w Palembang. Wszystkie samoloty, które stały na płycie lotniska przed hangarami, były to jedno- lub dwusilnikowce z napędem śmigłowym. Wszystkie z wyjątkiem jednego: odrzutowego gulfstreama G650. Kosztujący sześćdziesiąt pięć milionów dolarów G6 był nie tylko najdroższą, ale również najszybszą na świecie maszyną dla VIP-ów. Rozwijał prędkość prawie jednego macha, miał zasięg niemal trzynastu tysięcy kilometrów i osiągał pułap ponad piętnastu i pół tysiąca metrów – o trzy tysiące metrów wyższy niż rejsowe samoloty pasażerskie.

Biorąc pod uwagę to, czego Selma dowiedziała się o tajemniczym panu Kingu, obecność G6 nie zaskoczyła Sama i Remi. „Król Charlie”, jak go nazywali przyjaciele i wrogowie, zajmował jedenaste miejsce na liście najbogatszych magazynu „Forbes”, a wartość netto jego majątku wynosiła ponad dwadzieścia trzy miliardy dolarów.

W roku 1964, jako szesnastolatek, zaczął robić próbne odwierty na polach naftowych w Teksasie i pięć lat później założył własną firmę wydobywczą King Oil. W wieku dwudziestu czterech lat został milionerem, a w wieku trzydziestu – miliarderm. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych rozszerzył działalność na górnictwo i bankowość. Według „Forbesa”, nawet gdyby przez resztę życia tylko grał w warcaby w swoim gabinecie na ostatnim piętrze biurowca w Houston, zarabiałby na samych odsetkach sto tysięcy dolarów na godzinę.

Mimo bajecznego bogactwa w życiu codziennym był skromny aż do przesady. Często jeździł po Houston swoim pikapem Chevy rocznik 1968 i jadał w swojej ulubionej gar-kuchni. I podobnie jak Howard Hughes, miał opinię samotnika znikowanego na punkcie swojej prywatności. Rzadko fotografowano go publicznie, a jeśli już uczestniczył w jakimś spotkaniu, czy to biznesowym, czy towarzyskim, to zwykle wirtualnie przez Internet.

Remi spojrzała na męża.

- Numer na ogonie jest taki, jaki podała nam Selma. Wygląda na to, że King tu jest. Chyba że ktoś ukradł jego odrzutowiec.

- Pytanie, po co tu przyleciał.

Poza przekazaniem im krótkiego życiorysu Kinga Selma zrobiła, co mogła, żeby wytropić Franka Altona. Sekretarka Franka powiedziała jej, że wyjechał służbowo za granicę. Wprawdzie nie odzywał się od trzech dni, ale nie była zaniepokojona, bo Alton często milczał przez tydzień czy nawet dwa, jeśli miał szczególnie skomplikowane zadanie.

Fargowie usłyszeli za sobą trzask gałęzi. Odwrócili się i zobaczyli Zhilan Hsu,

która stała po drugiej stronie ogrodzenia w odległości zaledwie półtora metra od nich. Jej nogi i dolną część tułowia zasłaniały gęste zarośla. Przyglądała się Fargom przez kilka sekund, a potem powiedziała:

- Przyjechali państwo za wcześnie. - Jej ton był tylko trochę mniej oskarżycielski niż ton prokuratora.

- A pani ma lekki chód - odparła Remi.

- Wypatrywałam państwa. Sam uśmiechnął się półgębkiem.

- Czy mama nigdy pani nie mówiła, że nieładnie jest się podkradać do ludzi?

Zhilan zachowała stoicki spokój.

- Nie znałam mojej matki.

- Przykro mi...

- Pan King oczekuje państwa; musi odlecieć punktualnie o siódmej pięćdziesiąt. Spotkam się z państwem przy bramie od wschodniej strony. Proszę przygotować paszporty.

Powiedziawszy to, Zhilan odwróciła się i odeszła. Remi popatrzyła za nią spod przymrużonych powiek.

- Jest antypatyczna - orzekła.

- Zgadzam się z tobą - odparł Sam. - Chodźmy. Król Charlie czeka.

Zostawili skutery przy bramie i podeszli do małego budynku przy ogrodzeniu. Zhilan, która stała obok umundurowanego strażnika, wystąpiła naprzód, wzięła paszporty Fargów i podała mu. Ledwo na nie zerknął i oddał.

- Tędy, proszę - powiedziała Zhilan, wskazując drogę. Okrążyli budynek, przeszli przez furtkę i skierowali się do opuszczonych schodków gulfstreama. Zhilan odsunęła się, puszczając Fargów przodem. Pokonali trap i znaleźli się w małej, ale ładnie urządzonej kuchni, za którą była główna kabina. Przegrody pokrywała lśniąca orzechowa intarsja ze srebrnymi emblematami samotnej teksaskiej gwiazdy wielkości filizanek, a na podłodze leżał gruby bordowy dywan. Przednią część pomieszczenia zajmowały cztery rozkładane skórzane fotele, między którymi umieszczono stolik do kawy, w tylnej stały trzy kanapy. Powietrze było rześkie dzięki klimatyzacji. Z niewidocznych głośników dochodziły dźwięki piosenki Williego Nelsona *Mammas Don't Let Your Babies Grow Up to Be Cowboys*.

- O rany - mruknęła Remi.

Z tyłu rozległ się męski głos mówiący z teksaskim akcentem:

- Lepszym określeniem tego wszystkiego jest słowo „banał”, pani Fargo, ale do cholery, lubię to, co lubię.

Z jednego ze stojących tyłem skórzanych foteli podniósł się mężczyzna i odwrócił twarzą do nich. Mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt, ważył jakieś sto kilogramów - prawie połowę masy jego ciała stanowiły mięśnie - był opalony i miał gęste, starannie ostrzyżone blond włosy przyprószone siwizną. Sam i Remi wiedzieli, że Charles King skończył sześćdziesiąt dwa lata, ale wyglądał najwyżej na

pięćdziesiąt. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając równe, olśniewająco białe zęby, i powiedział:

- Kiedy Teksas wejdzie ci w krew, nie sposób tego wykorzenić. Wierzcie mi, miałem cztery żony, które próbowały. Bez powodzenia.

Wyciągnął rękę i podszedł do nich. Nosił niebieskie dżinsy, spłowiałą niebieską dżinsową koszulę i, ku zaskoczeniu Sama i Remi, buty do biegania Nike zamiast kowbojek.

Zauważył ich zdziwione miny.

- Nigdy nie lubiłem kowbojskich butów - wyjaśnił. - Niewygodne jak diabli i cholernie niepraktyczne. Poza tym wszystkie moje konie są wyścigowe, a ja nie mam wymiarów dżokeja. - Ucisnął dłoń Remi, potem Sama. - Bardzo dziękuję za przybycie. Mam nadzieję, że zachowanie Zee was nie zraziło. Nie jest zbyt rozmowna.

- Byłaby dobrą pokerzystką - zgodził się Sam.

- Jest. Wygrała ode mnie sześć tysięcy baksów w ciągu dziesięciu minut, kiedy zagraliśmy pierwszy - i ostatni - raz. Siadajcie. Czego się napijecie?

- Poproszę wodę mineralną - odrzekła Remi, a Sam jej zawtórował.

- Zee, będziesz tak dobra? Dla mnie to, co zwykle.

- Tak jest, panie King - odpowiedziała.

Ledwie usadowili się w fotelach, wróciła Zhilan z tacą w dłoniach. Postawiła butelki z wodą przed Samem i Remi i szklaneczkę whisky z lodem przed Kingiem. Nie sięgnął po szklanekę, tylko przez chwilę patrzył na drinka, po czym skrzywił się, pokręcił głową i zerknąwszy na Zhilan, spytał:

- Ile kostek lodu wrzuciłaś, skarbie?

- Trzy, panie King - odparła szybko. - Przepraszam...

- Nie ma sprawy, Zee, po prostu dodaj jeszcze jedną i będzie okej. - Zhilan wybiegła, a King wyjaśnił: - Żeby nie wiem ile razy jej mówił, czasami zapomina. Jack daniel's to kapryśny trunek; musi być w nim tyle lodu, ile trzeba, bo inaczej jest do niczego.

- Wierzę panu na słowo - odrzekł Sam.

- Mądry z pana człowiek, panie Fargo.

- Sam.

- Jak sobie życzysz. Mów mi Charlie.

Wróciła Zhilan z przyrządzonym właściwie drinkiem. Stała z boku i czekała, kiedy King próbował whisky.

- To rozumiem - powiedział, przełknąwszy. - Zmykaj. - Gdy odeszła, zwrócił się do Fargo: - Jak idą wykopaliska na tej małej wyspie? Jak ona się nazywa?

- Pulau Legundi - odparła Remi.

- A tak, zgadza się. To coś w rodzaju...

- Panie King... - przerwał mu Sam.

- Charlie.

- Zhilan Hsu wspomniała o naszym przyjacielu Franku Altonie. Darujmy sobie pogawędkę. O co chodzi?

- Jesteś też bezpośredni. Domyślam się, że ty także, Remi?

Żadne z nich nie odpowiedziało, ale Remi uśmiechnęła się słodko do gospodarza. King wzruszył ramionami.

- Okej, w porządku. Wynająłem Altona kilka tygodni temu, żeby coś mi załatwił. Wygląda na to, że przepadł. Ponieważ wydajecie się dobrzy w znajdowaniu tego, co niełatwo znaleźć, pomyślałem, że skontaktuję się z wami.

- Kiedy ostatnio się odezwał? - spytała Remi.

- Dziesięć dni temu.

- Frank lubi niezależność, kiedy pracuje - wyjaśnił Sam. - Dlaczego...

- Bo miał się meldować codziennie. Taka była umowa i trzymał się jej do ostatniego razu.

- Masz jakiś powód przypuszczać, że coś jest nie tak?

- Poza tym, że Alton nie dotrzymuje umowy? - spytał King z lekkim rozdrażnieniem. - Poza tym, że wziął ode mnie pieniądze i się rozplątał?

- Na użytek dyskusji.

- No cóż, w tej części świata, w której jest, czasami bywa niebezpiecznie.

- To znaczy gdzie? - zapytała Remi.

- W Nepalu.

- Słucham? Powiedziałaś...

- Ostatnią wiadomość przesłał z Katmandu. To zadupie, ale można wpaść w tarapaty, jeśli się nie uważa.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytał Sam.

- Kilka osób.

- A żona Franka?

King pokręcił przecząco głową. Wypił łyk whisky i się skrzywił.

- Zee!

Zhilan wyrosła u jego boku po pięciu sekundach.

- Tak, panie King? Wręczył jej szklanekę.

- Lód za szybko się rozpuszcza. Wylej to.

- Tak jest, panie King. Odwróciła się i odeszła.

King popatrzył za nią z dezaprobatą i zwrócił się z powrotem do Fargów.

- Przepraszam. Mówiliście?...

- Zawiadomiłeś żonę Franka?

- Nie wiedziałem, że jest żonaty. Nie powiedział mi, kogo zawiadomić, gdyby coś się stało. Zresztą po co ją martwić? Alton pewnie poderwał jakąś miejscową kobitkę i baluje z nią za moją forszę.

- Frank by tego nie zrobił - odparła Remi.

- Może nie, a może tak.

- Kontaktowałeś się z nepalskimi władzami? - zapytał Sam. - Albo z amerykańską ambasadą w Katmandu?

King machnął lekceważąco ręką.

- Wszyscy miejscowi to prymitywy. W dodatku skorumpowane. A co do ambasady, rozważałem to, ale minęłyby miesiące, zanim ruszyliby tyłki, a ja nie mogę tyle czekać. Są tam wprawdzie moi ludzie, którzy realizują pewien projekt, ale nie mają czasu, żeby się tym zająć. A wy macie opinię takich, co znajdują to, czego inni nie potrafią znaleźć.

- Po pierwsze, Charlie - odrzekł Sam - ludzie to nie rzeczy. Po drugie, szukanie zaginionych osób nie jest naszą specjalnością. - King otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Sam uniósł rękę i ciągnął dalej: - Ale Frank to nasz przyjaciel, więc oczywiście wejdziemy w to.

- Fantastycznie! - King klepnął się w kolano. - Omówmy zatem szczegóły. Ile będzie mnie to kosztować?

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Chyba żartujesz?

- Na temat pieniędzy? Nigdy.

- Ponieważ chodzi o naszego bliskiego przyjaciela, my poniesiemy wszelkie koszty - powiedziała Remi z lekką irytacją. - Będą nam potrzebne wszystkie informacje, jakie masz.

- Zee już przygotowała akta. Da je wam, jak będziecie wychodzić.

- Streść nam sprawę - poprosił Sam.

- Sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje - zaczął King. - Wynająłem Altona do odszukania kogoś, kto zaginął w tym regionie.

- Kogo?

- Mojego ojca. Gdy zaginął, wysłałem na poszukiwania kilkudziesięciu ludzi, ale niczego nie działali. Jakby zapadł się pod ziemię. Kiedy więc przyszło ostatnie zgłoszenie, zatrudniłem najlepszego prywatnego detektywa, jakiego udało mi się znaleźć. Alton miał świetne rekomendacje.

- Co to znaczy „ostatnie zgłoszenie”? - spytała Remi.

- Od chwili zniknięcia mojego ojca co rusz pojawiają się pogłoski, że był gdzieś widziany. W latach siedemdziesiątych zdarzyło się to ponad dziesięć razy, w latach osiemdziesiątych cztery...

- Kiedy dokładnie zaginął twój ojciec? - przerwał Ringowi Sam.

- Trzydzieści osiem lat temu. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim.

Charles wyjaśnił, że jego ojciec, Lewis „Łobuz” King, był kimś w rodzaju Indiany Jonesa: archeologiem, naukowcem obieżyświatem, który spędzał jedenaście miesięcy w roku w terenie i odwiedził więcej krajów, niż większość ludzi potrafi wymienić. Co dokładnie robił, kiedy zaginął, Charles nie wiedział.

- Pod czyimi auspicjami działał? - zapytała Remi.
 - Nie bardzo rozumiem.
 - Pracował dla jakiegoś uniwersytetu, muzeum? Może fundacji?
 - Nic z tych rzeczy. To było nie w jego stylu. Mój staruszek chodził własnymi drogami.
 - Jak finansował swoje wyprawy? King uśmiechnął się półgębkiem.
 - Miał hojnego i łatwowiernego sponsora. Choć trzeba przyznać, że nigdy nie prosił o wiele: wystarczało mu pięć tysięcy od czasu do czasu. Pracował sam, więc miał niskie koszty i potrafił się tanio utrzymać. W większości miejsc, do których podróżował, można przeżyć za parę baksów dziennie.
 - Miał dom?
 - Małą chałupę w Monterey. Nie sprzedałem jej. Właściwie nic z nią nie zrobiłem. Jest w takim samym stanie, jak wtedy, kiedy zaginął. Wiem, o co wam chodzi. W siedemdziesiątym trzecim kazałem pewnym ludziom przeszukać jego dom w nadziei, że znajdą jakieś wskazówki, ale niczego nie znaleźli. Możecie sami poszukać, jeśli chcecie. Zee powie wam co i jak.
 - Czy Frank tam był?
 - Nie, uznał, że nie warto.
 - Opowiedz nam o tym ostatnim zgłoszeniu - poprosił Sam.
 - Jakies sześć tygodni temu ekipa „National Geographic” robiła w Nepalu reportaż o jakimś starym mieście, Lo Manta czy coś takiego...
 - Lo Manthang - podsunęła Remi.
 - Tak, zgadza się. To dawna stolica Mustangu.
- Jak większość ludzi, King wymówił tę nazwę tak, jakby chodziło o konia.
- To państwo nazywało się Mustong - poprawiła go Remi - i było nazywane także królestwem Lo, zanim zostało wchłonięte przez Nepal w osiemnastym wieku.
 - Skoro tak twierdzisz... Nigdy mnie nie interesowały takie rzeczy. Najwyraźniej w moim wypadku jabłko padło daleko od jabłoni. W każdym razie na jednym ze zdjęć, które zrobili, jest ten facet w tle. Sobowtór mojego staruszka - a przynajmniej myślę, że właśnie tak ojciec by wyglądał po prawie czterdziestu latach.
 - Jedno zdjęcie to niewiele - zauważył Sam.
 - To wszystko, co mam. Nadal chcecie spróbować?
 - Oczywiście.
- Sam i Remi wstali. Gdy pożegnali się z Kingiem uściskiem dłoni, powiedział:
- Zee wie, jak się ze mną skontaktować. Informujcie ją na bieżąco i dawajcie mi znać, kiedy tylko czegoś się dowiecie. Będę wdzięczny za regularne raporty. Powodzenia.

Charles King stał w drzwiach swojego gulfstreama i patrzył, jak Fargowie wychodzą za bramę, wsiadają na skutery i odjeżdżają. Zhilan Hsu, która odprowadzała gości, wróciła do samolotu, wbiegła po schodkach na pokład i

zatrzymała się przed Kingiem.

- Nie podobają mi się - oświadczyła.

- A to czemu?

- Nie okazują panu należnego szacunku.

- Obejdę się bez tego, skarbie. Niech tylko okażą się godni swojej reputacji.

Słyszałem, że są naprawdę dobrzy w tym, co robią.

- A jeśli pójdą dalej, niż oczekujemy?

- Od tego mam ciebie, do cholery, prawda?

- Tak, panie King. Mam się tam wybrać?

- Nie, zostawmy sprawę własnemu biegowi. Złap Russa, dobrze?

King przeszedł do kabiny i opadł ze stęknieniem na jeden z rozkładanych foteli.

Chwilę później w interkomie rozległ się głos Zhilan:

- Mam go, panie King. Proszę być gotowym.

King zaczekał, aż melodyjka zasygnalizuje, że ma połączenie satelitarne.

- Russ?

- Tak.

- Jak idą wykopki?

- Zgodnie z planem. Mieliśmy problemy z jednym miejscowym, bo robił zamieszanie, ale zajęliśmy się nim. Marjorie jest teraz w dole i strzela z bicia.

- Domyślam się. Ta dziewczyna to dynamit. Tylko uważaj na inspektorów. Nie powinni się zjawić znieścacka. Już i tak płacę aż nadto. Wszystko ekstra biorę z twojej pensji.

- Nie będzie takiej potrzeby.

- Okej. Masz dla mnie jakąś dobrą wiadomość? Znaleźliście coś ciekawego?

- Jeszcze nie. Ale natrafiliśmy na ślady skamieniałości, które nasz ekspert uznał za obiecujące.

- Znam tę śpiewkę. Zapomniałeś o tamtym oszuście w Perth?

- Nie.

- Powiedział ci, że ma skamieniałości karłowatego hipopotama z Madagaskaru.

On też podobno był ekspertem.

- Rozprawilem się z nim, prawda?

Grymas niezadowolenia zniknął z twarzy Kinga i miliarder zachichotał.

- Załatwiłeś go na perłowo ze szlaczkiem, to fakt. Ale posłuchaj, synu. Chcę mieć jedno z tych chaliko... chaloki... czy jak im tam.

- Chalikoteriów - podpowiedział Russ.

- Do diabła z nazwą! Łacina! Boże, miej mnie w opiece. Po prostu dostarcz mi to cholerstwo. Powiedziałem już Donowi Mayfieldowi, że jedno jest w drodze do mnie i mam przygotowane na nie miejsce. Rozumiemy się?

- Tak, oczywiście.

- To dobrze. A teraz następna sprawa. Właśnie miałem spotkanie z naszymi

nowymi rekrutami. Cwaniaki. Podejrzewam, że nie będą tracić czasu. Rozejrzą się po domu w Monterey i ruszą w twoim kierunku. Dam ci znać, jak będą w powietrzu.

- Okej.

- Nie spuszczaaj ich z oka, słyszysz? Jak ich zgubisz, obedrę cię ze skóry.

Rozdział 3

Cypel Goldfish Point, La Jolla, San Diego, Kalifornia

Po spotkaniu z Kingiem Sam i Remi wrócili na Pulau Legundi, gdzie, tak jak się spodziewali, zastali profesora Stana Dydella na stanowisku archeologicznym. Dawny wykładowca Remi w Boston College wziął urlop naukowy, żeby uczestniczyć w wykopaliskach. Kiedy dowiedział się od Fargów o zniknięciu Altona, zgodził się nadzorować prace do ich powrotu lub znaleźć stałego zastępcę.

Trzydzieści sześć godzin i trzy połączenia lotnicze później wylądowali w San Diego. Najpierw pojechali do domu Franka, żeby porozmawiać z jego żoną, a teraz, znalazłszy się we własnej rezydencji, zostawili bagaże w holu i zeszli na dół do pracowni – królestwa Selmy.

Środek wysokiego pomieszczenia o powierzchni prawie dwustu metrów kwadratowych zajmował długi klonowy stół oświetlony wiszącymi pod sufitem lampami halogenowymi i otoczony krzesłami z wysokimi oparciami. Wzdłuż jednej ściany znajdowały się trzy stanowiska robocze (każde wyposażone w dwunastordzeniową stację roboczą Mac Pro i trzydziestocalowy monitor Cinema HD Display), dwa oszklone biura (jedno Sama, drugie Remi), klimatyzowane archiwum, mała sala projekcyjna i biblioteka. Pod przeciwległą ścianą stało czterometrowe akwarium o pojemności ponad dwóch tysięcy litrów; pływały w nim ryby najrozmaitszych kształtów i we wszystkich kolorach tęczy. Cichy bulgot wody sprawiał, że w pomieszczeniu panował przyjemny nastrój.

Nad pracownią wznosił się trypoziomowy dom Fargów w hiszpańskim stylu. Miał powierzchnię ponad tysiąca metrów kwadratowych, otwarty plan pięter, sklepione sufity i tyle okien i świetlików, że rzadko palili światło dłużej niż kilka godzin na dobę. Energii elektrycznej dostarczały nowo zainstalowane baterie słoneczne na dachu.

Na najwyższym piętrze znajdowały się pokoje Sama i Remi. Niżej były cztery apartamenty dla gości, salon, jadalnia i wysunięta nad urwisko kuchnia z widokiem na ocean. Parter zajmowała sala gimnastyczna ze sprzętem do aerobiku i treningu obwodowego, sauną, basenem HydroWorx, ścianą wspinaczkową i stoma metrami kwadratowymi podłogi z twardego drewna, gdzie Remi ćwiczyła szermierkę, a Sam dżudo.

Fargowie usiedli na krzesłach przy stole w pracowni. Po chwili dołączyła do nich Selma, ubrana w swój tradycyjny strój roboczy: spodnie khaki, adidas, nierównomiernie zafarbowany T-shirt i okulary w rogowej oprawce na łańcuszku. Podeszli też Pete Jeffcoat i Wendy Corden, jej asystenci. Opaleni, wysportowani, blondwłosi, wyglądali na typowych Kalifornijczyków, ale tak naprawdę w niczym nie przypominali plażowych włóczęgów. Jeff miał dyplom archeologa, Wendy

uzyskała magisterium na wydziale nauk społecznych.

- Jest bardzo zaniepokojona - powiedziała Remi, relacjonując wizytę u żony Franka - ale ukrywa to przed dziećmi. Obiecaliśmy informować ją na bieżąco. Selmo, gdybyś mogła być z nią co dzień w kontakcie, kiedy my wyjedziemy...

- Oczywiście. Jak poszła audiencja u Jego Wysokości? Sam streścił ich rozmowę z Charlesem Kingiem.

- Facet mówi z sensem, ma na wszystko odpowiedź i odgrywa równego gościa, ale coś tu jest nie tak - podsumował.

- Przede wszystkim jego Piętaszek - podsunęła Remi.

Opisała zachowanie Zhilan Hsu, która początkowo sprawiała wrażenie dumnej i wyniosłej, ale na pokładzie gulf-streama, w obecności Kinga, była potulna jak owieczka. Niewątpliwie bała się swojego pracodawcy, co z kolei wskazywało, że King wcale nie jest równym gościem, tylko despotą uwielbiającym rządzić ludźmi.

- Remi ma interesujące przeczucie co do pani Hsu - dodał Sam.

- Zhilan jest kochanką Kinga - wyjaśniła Remi. - Sam uważa, że to tylko spekulacje, ale ja jestem prawie pewna, że sypiają ze sobą.

- Wciąż gromadzę informacje o krewnych i pracownikach Kinga - powiedziała Selma - ale jak dotąd nie znalazłam niczego na temat Zhilan. Będę dalej szukać. Jeśli państwo pozwolą, zadzwonię do Rube'a.

Rube Haywood, serdeczny przyjaciel Sama, pracował w kwaterze głównej CIA w Langley w Wirginii. Poznali się w niesławnym ośrodku szkoleniowym Agencji Camp Perry, gdzie przygotowywano ludzi do prowadzenia tajnych operacji. Sam pracował wtedy w DARPA (Agencji Zaawansowanych Badawczych Projektów Obronnych), a Rube był dobrze zapowiadającym się oficerem zadaniowym. Sam uczestniczył w zajęciach, bo obie agencje w ramach eksperymentalnej współpracy uznały, że im lepiej inżynierowie z DARPA poznają działania oficerów zadaniowych CIA, tym lepiej będą mogli wyposażyć amerykańskich szpiegów.

- Skoro to konieczne, dzwoń - odrzekł Sam. - A teraz następna sprawa. King twierdzi, że nie wie, co konkretnie interesowało jego ojca. Szuka go od prawie czterdziestu lat, a nie ma pojęcia, dlaczego pojechał do Nepalu. Nie wierzę w to.

- Zapewnia też - dodała Remi - że nie zwracał sobie głowy zawiadaniem nepalskich władz ani naszej ambasady, bo musiałby długo czekać na wszczęcie oficjalnych poszukiwań. To ewidentna bzdura. Jeden telefon kogoś tak potężnego jak King spowodowałby natychmiastową reakcję nepalskich urzędników i naszych dyplomatów.

- King utrzymuje - podjął Sam - że Frank nie chciał obejrzeć domu jego ojca w Monterey. Uznał ponoć, że nie ma sensu przeszukiwać go po tylu latach. To kompletnie niepodobne do Franka. Gdyby King powiedział mu o tym domu, Frank na pewno by się tam wybrał.

- Po co King miałby kłamać? - zapytał Pete.

- Nie mam pojęcia – odparła Remi.
- Do czego wszystko się sprowadza? – spytała Wendy.
- Do tego, że ktoś ma coś do ukrycia – podsumowała Selma.

Sam skinął głową.

- Też tak uważamy. Pytanie tylko co. King ma lekką paranoję, ale trudno się dziwić. Takiego bogacza jak on nachodzą tłumy oszustów.

- Problemy Kinga nie mają znaczenia – powiedziała Remi. – Ważne jest, że Frank Alton zaginął, a my musimy go odnaleźć.

- Od czego zaczniemy? – spytała Selma.
- Od wizyty w Monterey.

Monterey, Kalifornia

Sam jechał bardzo wolno krętą zwirową drogą, bo widoczność ograniczała gęsta mgła. W mroku pod nimi błyszczały światła w domach po stronie klifów, dalej na wodzie unosiły się pławy nawigacyjne kutrów rybackich. Przez otwarte okno po stronie Remi słyszeli rozlegające się raz po raz żalosne gongi boi.

Chociaż zmęczeni, Fargowie chcieli jak najszybciej rozpocząć poszukiwania Franka, więc złapali wieczorny samolot do Monterey, gdzie na lotnisku Peninsula o dwóch pasach startowych wypożyczyli samochód.

Nie potrzeba było oglądać domu Lewisa „Łobuza” Kinga, by wiedzieć, że jest wart miliony. A raczej, że działka, na której stoi, jest tyle warta. Widok na zatokę Monterey kosztował. Charlie King powiedział, że jego ojciec kupił nieruchomość na początku lat pięćdziesiątych. Od tamtej pory ceny tak wzrosły, że nawet szopa obita papą była żyłą złota.

Nawigacja na desce rozdzielczej zasygnalizowała kolejny zakręt. Kiedy go pokonali, reflektory omiotły samotną skrzynkę na listy na przechylonym słupku.

Remi odczytała numer.

- To tu – powiedziała.

Sam wjechał na podjazd biegnący wzdłuż karłowatych sosen i niegdyś białego płotu ze sztachet, który utrzymywały w pionie tylko zaplątane w niego pnącza. W świetle reflektorów widać było nieduży dom kryty dwuspadowym dachem, z przodu piętrowy, z tyłu parterowy. Do frontowych drzwi prowadziły niskie betonowe schodki, a pojedyncze okna znajdujące się po obu stronach wejścia były zabite deskami. Fasada, kiedyś prawdopodobnie ciemnozielona, w miejscach, w których farba jeszcze się nie złuszczyła, miała mdłą oliwkową barwę.

Na końcu podjazdu, częściowo schowany za domem, stał garaż na jeden samochód.

- Typowy dom z lat pięćdziesiątych – stwierdziła Remi. – Bez żadnych bajerów.
- Działka musi mieć co najmniej dwa akry – zauważył Sam. – To cud, że jeszcze się nie dostała w ręce deweloperów.

- Zapominasz, kto jest jej właścicielem.
- Masz rację. Muszę przyznać, że trochę tu upiornie.
- Powiedziałabym, że wcale nie trochę. Idziemy?

Sam zgasił reflektory i wyłączył silnik. Teraz dom oświetlała tylko blada księżycowa poświata przenikająca przez mgłę. Sam sięgnął na tylne siedzenie po skórzany sakwojaż, oboje wysiedli i zamknęli drzwiczki. W nocnej ciszy dwa trzaśnięcia wydały się nienormalnie głośne.

Sam wyjął z kieszeni spodni mikrolatarkę diodową i zapalił ją. Gdy podeszli do drzwi, sprawdził stopą wytrzymałość schodków. Skinął Remi głową, wspiały się po stopniach, wsunął do zamka klucz, który dostali od Zhilan, i przekręcił. Zamek ustąpił ze szczękiem. Sam pchnął lekko drzwi, które zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach, i przestąpił próg. Remi weszła za nim.

- Poświeć tutaj – poprosiła.

Sam odwrócił się i skierował latarkę na ścianę obok futryny, gdzie Remi szukała włącznika. Znalazła go, wcisnęła i pokój zalało żółtawe światło trzech lamp stojących w rogach. Zhilan mówiła prawdę, zapewniając ich, że w domu będzie prąd.

- Nie taki ten dom opuszczony, jak mówił King – stwierdził Sam, rozejrzawszy się; nigdzie nie było widać śladu kurzu. – Ktoś musi tu regularnie sprzątać.

- Nie uważasz, że to dziwne? – zapytała Remi. – Trzyma ten dom od prawie czterdziestu lat, niczego w nim nie zmienia i dba, żeby było tu czysto, podczas gdy podwórze zarasta chwastami.

- Charlie sprawia na mnie wrażenie dziwnego, więc tym nie jestem zaskoczony. Wywołaj u faceta mizofobię i schowaj mu obcinacz do paznokci, a będzie na najlepszej drodze do takiej hipochondrii, jaką miał Howard Hughes.

Remi się roześmiała.

- Na szczęście metraż nie jest duży.

Miała rację. Pokój, w którym stali, miał powierzchnię niespełna czterdziestu metrów kwadratowych. Wzdłuż wschodniej i zachodniej ściany ciągnęły się regały od podłogi do sufitu, pełne książek, bibelotów, oprawionych zdjęć i gablotek ze skamieniałościami i artefaktami.

Środek zajmował stół kuchenny, który prawdopodobnie zastępował Lewisowi biurko, bo na blacie stała stara walizkowa maszyna do pisania i leżały długopisy, ołówki, bloczki do notatek oraz stosy książek. W południowej ścianie było troje drzwi: jedno prowadziły do małej kuchni, drugie do łazienki, trzecie do sypialni. Przez woń środka czyszczącego Pine-Sol i kulek naftalinowych przebijał zapach stęchlizny i starego kleju do tapet.

- Piłka jest na twojej połowie boiska, Remi. Ty i Łobuz byliście, albo jesteście, bratnimi duszami. Sprawdź inne pomieszczenia. Krzycz, jeśli zobaczysz nietoperza.

- Bardzo śmieszne, Fargo.

Remi była odważna i nie unikała niebezpieczeństw, ale nie cierpiała nietoperzy.

Widok ich skórzastych skrzydeł, pazurków i ściągniętych świńskich ryjków budził w niej jakiś pierwotny lęk. W Halloween w domu Fargów panowała napięta atmosfera, a filmowe klasyki o wampirach były zakazane.

Sam podszedł do żony, uniósł jej podbródek palcem wskazującym i delikatnie pocałował w usta.

- Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte - odparła z uśmiechem.

Sam skierował się do ciasnej kuchenki, a Remi przyjrzała się książkom na półkach. Jak można się było spodziewać, wszystkie pochodziły sprzed lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Lewis czytał różne rzeczy. Wprawdzie przeważały wydawnictwa dotyczące archeologii i pokrewnych dziedzin - antropologii, paleontologii, geologii i tak dalej - ale były też książki o tematyce filozoficznej, kosmologicznej, socjologicznej i historycznej oraz sporo literatury pięknej.

Sam wrócił do gabinetu.

- W innych pomieszczeniach nie ma nic ciekawego. A tu?

- Lewis był... - Remi urwała i odwróciła się do męża. - Powinniśmy się zdecydować, czy uznajemy go za martwego czy za żywego.

- Przyjmijmy to drugie. Tak jak Frank. Remi skinęła głową.

- Lewis jest fascynującym człowiekiem. Założę się, że przeczytał większość tych książek, o ile nie wszystkie.

- Jeżeli przebywał w terenie tyle, ile mówił King, kiedy miałby na to czas?

- Może szybko czytał - odparła Remi.

- Możliwe. Co jest w gablotkach?

- Jeszcze nie sprawdzałam.

Sam oświetlił latarką tę najbliższą ramienia żony. Zajrzała do niej.

- Groty włóczy i strzał - oznajmiła. - Kamienne, kościane i z kości słoniowej. Ładna kolekcja.

Zaczęli przeglądać zawartość pozostałych gablotek. Były w nich najrozmaitsze przedmioty: wyroby ceramiczne, rzeźbione poroża, kamienne narzędzia i spetryfikowane drewniane drzazgi, ale także skamieliny, skały, ilustracje wymarłych roślin i owadów oraz fragmenty starych manuskryptów.

Remi wskazała na pergamin pokryty znakami, które wyglądały na nepalskie pismo alfabetyczno-sylabiczne dewanagari.

- Myślę, że to reprodukcja - powiedziała. - Z informacją o autorze przekładu: „A. Kaalrami, Uniwersytet Princeton”. Ale przekładu nie ma.

- Sprawdź - odrzekł Sam i wyjął z kieszeni iPhone. Wywołał przeglądarkę internetową Safari, czekał, aż na pasku menu pojawi się ikona sieci 4G. Zamiast niej na ekranie wyświetliła się wiadomość: „Wybierz sieć Wi-Fi 651FPR”.

Sam zmarszczył brwi, przez chwilę patrzył na tekst, po czym zamknął

przeglądarkę i wybrał aplikację do szybkich notatek.

- Nie mam połączenia. Zobacz.

Remi podeszła i spojrzała na ekran jego iPhone'a. Sam napisał na nim: „Za mną”.

- Nic dziwnego, że nie łapiesz sygnału - powiedziała swobodnym tonem. - Jesteśmy na głuchej prowincji.

- Jak myślisz? Obejrzelismy już wszystko?

- Chyba tak. Jedźmy poszukać jakiegoś hotelu. Zgasili światło, wyszli i zamknęli drzwi na klucz.

- Co się dzieje, Sam? - spytała Remi.

- Natrafiłem na jakąś sieć bezprzewodową. Jej nazwa jest taka jak ten adres: 1651 False Pass Road. - Wyświetlił wiadomość i pokazał ją Remi.

- Czy to mógł być sąsiad?

- Nie, przeciętny sygnał domowy ma zasięg najwyżej pięćdziesięciu metrów.

- Robi się coraz ciekawiej - stwierdziła Remi. - Nie widziałam żadnych modemów ani routerów. Po co w rzekomo opuszczonym domu sieć bezprzewodowa?

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno i zważywszy, dla kogo pracujemy, nie jest to takie szalone, jak brzmi: monitoring.

- Kamery?

- Albo podsłuch. Albo jedno i drugie.

- King nas szpieguje? Po co?

- Kto wie? Ale moja ciekawość wzrosła. Musimy tam wrócić. Chodź, rozejrzymy się po posesji.

- A jeśli ma kamery na zewnątrz?

- Takie trudno ukryć. Zresztą będziemy mieć oczy otwarte. Oświetlając latarką fasadę domu, Sam ruszył podjazdem w kierunku garażu. Kiedy dotarł do rogu budynku, przystanął, wyjrzał zza niego i się cofnął.

- Czysto - powiedział.

Podszedł do bocznych drzwi garażu i spróbował je otworzyć. Były zaryglowane. Zdjął kurtkę, owinął nią prawą rękę i napałł pięścią na okienko nad klamką. Zwiększał nacisk, dopóki szyba nie pękła z cichym trzaskiem. Usunął kawałki szkła, sięgnął do środka i odryglował drzwi.

Wewnątrz szybko znalazł panel elektryczny. Otworzył osłonę i przyjrzał się instalacji. Wśród starych bezpieczników topikowych było kilka stosunkowo nowych.

- Co teraz? - zapytała Remi.

- Nie będę tu grzebał - odparł Sam.

Poświecił latarką od panelu w dół do drewnianej podstawy, a potem w lewo do następnego słupka, gdzie zobaczył licznik prądu. Zerwał scyzorykiem ołowianą plombę, otworzył osłonę i przestawił główny włącznik.

- Jeśli King nie ma gdzieś ukrytego generatora lub akumulatorów, to powinno

być okej – powiedział.

Wrócili do frontowych drzwi. Remi wyjęła swój iPhone i sprawdziła ekran. Sieć bezprzewodowa zniknęła.

- Czysto – oznajmiła.

- Chodźmy zobaczyć, co ukrywa Charlie King.

Remi ruszyła prosto do gablotki z pergaminem pokrytym pismem dewanagari.

- Sam, możesz mi podać aparat fotograficzny? – poprosiła.

Sam otworzył sakwojaż, który wcześniej położył na fotelu, wyjął canona G10 i podał go żonie. Zaczęła fotografować zawartość gablotki. Kiedy skończyła, przeszła do następnej.

- Równie dobrze mogę udokumentować wszystko – stwierdziła.

Sam skinął głową i przyjrzał się książkom na półkach. Szybko obliczył, że jest ich ponad pięćset.

- Sporo – mruknął – ale spróbuję je przekartkować. Okazało się, że osoba wynajęta przez Kinga do sprzątania domu zwracała niewielką uwagę na regały: grzbiety książek były czyste, ale ich wierzchy pokrywała gruba warstwa kurzu. Przed wyjęciem każdego tomu Sam szukał na nim w świetle latarki odcisków palców. Wyglądało na to, że żadnej z książek nie dotykano od bardzo dawna.

Dwie godziny i sto kichnięć później Sam odstawił ostatnią książkę na półkę.

- Nic – powiedział, cofnął się od regału i wytarł ręce o spodnie. – A u ciebie?

- Też nic – odparła Remi, która skończyła fotografować po mniej więcej godzinie i pomogła mężowi w przeglądaniu księgozbioru. – Ale znalazłam coś interesującego w jednej z gablotek.

Włączyła aparat, odszukała odpowiednie zdjęcie i pokazała je Samowi. Przyglądał się przez chwilę fotografii, po czym spytał:

- Co to jest?

- Nie jestem pewna, ale chyba skorupy strusich jaj.

- A te symbole? To jakieś pismo?

- Nie wiem. Wyjęłam je z gablotki i sfotografowałam każdą oddzielnie.

- Co to oznacza?

- Dla nas pewnie nic. W szerszym kontekście... – Remi wzruszyła ramionami. – Być może mnóstwo.

Wyjaśniła, że w 1999 roku zespół francuskich archeologów odkrył dwieście siedemdziesiąt pokrytych symbolami fragmentów skorup strusich jaj w schronisku skalnym Diepkloof w Afryce Południowej. Na skorupach były wyryte wzory geometryczne charakterystyczne dla kultury Howiesons Poort sprzed sześćdziesięciu pięciu do pięćdziesięciu pięciu tysięcy lat.

- Eksperci mają różne hipotezy co do znaczenia tych symboli – ciągnęła. – Niektórzy twierdzą, że to grafika; inni, że mapa; jeszcze inni, że pismo.

- Te wyglądają podobnie ?

- W tej chwili nie pamiętam dokładnie tamtych. Ale jeśli te są takiego samego rodzaju jak skorupy z Afryki Południowej, to zostały znalezione co najmniej trzydzieści lat wcześniej.

- Może Lewis nie wiedział, co ma.

- Wątpię. Każdy archeolog z prawdziwego zdarzenia zorientowałby się, że są cenne.

Sam westchnął.

- Więc na razie wszystko, co jest choćby luźno związane z Nepalem, to ten pergamin z pismem dewanagari.

Rozdział 4

Katmandu, Nepal

Sama i Remi obudził komunikat pilota, że podchodzą do lądowania w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Tribhuvan w Katmandu. Fargowie większą część ostatnich trzech dni spędzili w powietrzu, a ich trzyetapowy lot do Nepalu trwał prawie trzydzieści dwie godziny. Oboje byli więc półprzytomni ze zmęczenia.

Sam usiadł prosto i przeciągnął się, po czym przestawił zegarek na czas wyświetlany na ekranie w oparciu fotela przed nim. Siedząca obok niego Remi zatrzepotała powiekami i uniosła je.

- Królestwo za filiżankę dobrej kawy - mruknęła.
- Będziemy na ziemi za dwadzieścia minut. Remi otworzyła oczy.
- A, prawie zapomniałam.

W ostatnich latach Nepal dołączył do czołowych producentów kawy. Zdaniem Fargów ziarna pochodzące z tamtejszego dystryktu Arghakhanchi były najlepszym „czarnym złotem” na świecie.

Sam uśmiechnął się do żony.

- Postawię ci tyle, ile zdołasz wypić - obiecał.
- Mój ty bohaterze.

Większości ludzi nazwa Katmandu kojarzy się z buddyjskimi świątyniami i mnichami w pomarańczowych szatach, z kadzidłem, przyprawami korzennymi, walącymi się chatami, himalaistami i ocienionymi dolinami wśród ośnieżonych szczytów. Ten, kto przybywa tam po raz pierwszy, nie spodziewa się, że trafi do tętniącej życiem siedmuset pięćdziesięcioletniej metropolii z zaledwie dwoma procentami analfabetów.

Oglądane z powietrza Katmandu wygląda, jakby spadło w podobną do krateru dolinę otoczoną czterema łańcuchami górskimi: Shivapuri, Phulchowki, Nagarjun i Chandragiri.

Sam i Remi, którzy dwukrotnie spędzali tu wakacje, wiedzieli, że stolica Nepalu stanowi specyficzne połączenie tradycji i nowoczesności. W jednym kwartale ulic można zobaczyć tysiącletnią świątynię poświęconą hinduistycznemu bogowi Sziwie i sklep z telefonami komórkowymi; na głównych arteriach smukłe hybrydowe taksówki rywalizują z barwnie ozdobionymi rikszami; na placach eleganckie restauracje sąsiadują ze stoiskami ulicznych sprzedawców oferujących przechodniom miski *chaat*. A na zboczach gór wokół miasta znajdują się setki buddyjskich świątyni i klasztorów, niektóre starsze niż Katmandu.

Fargowie, doświadczeni podróżnicy, byli dobrze przygotowani do kontroli celnej i paszportowej, więc przeszli ją bardzo szybko. Wkrótce stanęli na chodniku przed nowoczesnym terminalem. Fasadę budynku zdobiła nieskazitelnie czysta

terakota, a na spadzistym dachu widniały setki prostokątnych dekoracyjnych wstawek.

- Gdzie Selma zrobiła nam rezerwację? - spytała Remi.

- W Hyatt Regency - odparł Sam.

Remi skinęła głową z uznaniem. Podczas ostatniego pobytu w Katmandu, chcąc poczuć nepalską kulturę, zamieszkali w hostelu, który sąsiedował z hodowlą jaków. Przekonali się, że te skądinąd sympatyczne zwierzęta nie dbają o skromność, prywatność ani sen.

Sam podszedł do krawężnika, żeby złapać taksówkę. W tym momencie za nimi rozległ się męski głos:

- Państwo Fargo?

Sam i Remi odwrócili się i zobaczyli dwójkę dwudziestoparolatków. Mężczyzna i kobieta byli podobni jak dwie krople wody - nie tylko do siebie, ale również do Charlesa Kinga. Oboje odziedziczyli po ojcu jasne włosy, niebieskie oczy i szeroki uśmiech, ale mieli też wyraźne azjatyckie rysy twarzy.

Remi zerknęła ukradkiem na męża. Natychmiast zrozumiał: jej przypuszczenie co do Zhilan Hsu okazało się słuszne. Chociaż tylko częściowo, bo była kimś więcej niż zwykłą kochanką.

- Tak, to my - potwierdził Sam.

Mężczyzna, wysoki jak ojciec, ale dużo szczuplejszy, wyciągnął rękę w powitalnym geście i się przedstawił:

- Mam na imię Russell. A to moja siostra Marjorie.

- Sam... Remi. Nie spodziewaliśmy się komitetu powitalnego.

- Postanowiliśmy przejąć inicjatywę - odrzekła Marjorie. - Prowadzimy tu interesy ojca, więc to żaden kłopot.

- Jeśli nie znacie Katmandu, moglibyście czuć się trochę zagubieni - dodał Russell. - Mamy samochód. Chętnie odwieziemy was do hotelu.

Do hotelu Hyatt Regency, który znajduje się trzy kilometry na północny zachód od lotniska, dotarli w ciągu kilkunastu minut. Podróż w dobrze wyciszonym mercedesie sedanie z przyciemnionymi szybami wydawała się Samowi i Remi nieco surrealistyczna. Russell, który siedział za kierownicą, sprawnie prowadził wóz po wąskich ulicach, a zajmująca przedni fotel pasażera Marjorie opowiadała im o mieście z wdziękiem nagranego na taśmie przewodnika turystycznego.

Gdy zatrzymali się na krytym podjeździe do hotelu, Russell i Marjorie wysiedli i otworzyli tylne drzwi, zanim Fargowie zdążyli dotknąć klamek.

Sześciopiętrowy Hyatt Regency był architektonicznym połączeniem starego z nowym: miał terakotową fasadę i pagodowy dach. Hotel otaczały starannie wypielęgnowane trawniki o powierzchni co najmniej dwudziestu akrów.

Russell powiedział coś po nepalsku do portiera, który podszedł do samochodu. Mężczyzna energicznie skinął głową, uśmiechnął się, po czym wyjął rzeczy Fargów z

bagażnika i po chwili zniknął w hotelowym holu.

- Zostawimy was, żebyście się rozlokowali - powiedział Russell i wręczył obojgu swoje wizytówki. - Zadzwońcie do mnie później, to omówimy wasze dalsze plany.

- Nasze plany? - zdziwił się Sam.

- Ojciec pewnie zapomniał państwa uprzedzić, że poprosił nas, żebyśmy byli waszymi przewodnikami, kiedy będziecie szukać pana Altona - wyjaśniła Marjorie.

- Do zobaczenia jutro!

Dzieci Kinga uśmiechnęły się jak na komendę, a potem wsiadły do mercedesa i odjechały.

Fargowie odprowadzili wzrokiem oddalający się samochód.

- Czy ktoś w rodzinie Kinga jest normalny? - mruknęła Remi.

- Miejmy nadzieję - odparł Sam, biorąc żonę pod rękę.

Weszli do hotelu, a pół godziny później siedzieli na miękkiej kanapie w swoim apartamencie i rozkoszowali się wyśmienitą kawą.

Spędziwszy popołudnie na hotelowym basenie, wrócili do apartamentu i zamówili drinki. Sam wybrał sapphire bombay gin gibson, a Remi poprosiła o ketel one cosmopolitan. Sącząc koktajle, czytali akta, które Zhilan dała im na lotnisku w Palembang. Chociaż wydawały się szczegółowe, znaleźli mało informacji, na podstawie których mogliby opracować plan poszukiwań.

- Muszę przyznać - powiedziała Remi - że połączenie genów Zhilan Hsu i Charlesa Kinga dało nader... interesujące rezultaty.

- Ujęłaś to delikatnie - odparł Sam - ale bądźmy szczerzy: Russell i Marjorie są przerażający. Pojawili się ni stąd, ni zowąd, nie przestawali szczerzyć tych swoich śnieżnobiałych zębów w szerokich uśmiechach i byli uprzejmi aż do przesady. Połącz to wszystko, a będziesz mieć parę hollywoodzkich seryjnych zabójców. Dostrzegłaś w nich jakieś cechy Zhilan?

- Nie, i mam nadzieję, że ich nie mają. Jeśli ona jest ich matką, to urodziła ich w wieku osiemnastu, najwyżej dziewiętnastu lat.

- King miał wtedy jakieś czterdzieści pięć.

- Zauważyłeś u nich brak teksaskiego akcentu? Moim zdaniem niektóre samogłoski wymawiają jak absolwenci któregoś z uniwersytetów Ivy League.

- Więc tatuś wyprawił ich z Teksasu i umieścił w renomowanym college'u. Ciekawe, skąd wiedzieli, którym samolotem przylecimy.

- Charlie King napina mięśnie? Pokazuje nam, jaki jest ustosunkowany?

- Prawdopodobnie. To może również tłumaczyć, dlaczego nam nie powiedział, żebyśmy się spodziewali Cudownych Bliźniąt. Jest tak potężny, że pewnie uważa się za mistrza w zaskakiwaniu ludzi.

- Nie mam ochoty cały czas czuć ich oddechów za plecami.

- Ja też nie, ale spotkajmy się z nimi jutro i zorientujmy się, co wiedzą o działaniach Franka. Podejrzewam, że i sam King, i jego Cudowne Bliźnięta wiedzą

znacznie więcej, niż chcą nam zdradzić.

- Zgadzasz się z tobą - odrzekła Remi. - King próbuje grać władcę marionetek. Ale dlaczego? Czy po prostu lubi rządzić innymi, czy też coś ukrywa?

Zadźwięczał gong przy wejściu. Sam podszedł do drzwi i podniósł kopertę, którą właśnie pod nie wsunęto.

- Potwierdzenie rezerwacji stolika - oznajmił, przeczytawszy wiadomość.

- Naprawdę?

- Pod warunkiem, że będziesz gotowa za pół godziny.

- Jasne. A dokąd idziemy?

- Do restauracji Bhancka i Ghan.

- Pamiętałeś?

- Jak można nie zapamiętać takiego wspaniałego jedzenia i cudownego nastroju!

Dwadzieścia pięć minut później oboje byli gotowi. Remi włożyła luźne spodnie i top Akris, a żakiet tej samej firmy przewiesiła przez ramię. Sam, świeżo ogolony, miał na sobie niebieską koszulę i ciemnoszare spodnie. Ujął żonę pod ramię i razem wyszli z pokoju.

Remi obudziła się o czwartej nad ranem. Nie była zaskoczona, gdy zobaczyła, że jej mąż, zamiast leżeć obok niej w łóżku, siedzi w fotelu. Sam rzadko mógł spać, jeśli coś nie dawało mu spokoju. Teraz, w łagodnym blasku lampy, czytał akta, które dała im Zhilan.

Remi podeszła do męża i odsunawszy biodrem teczkę z aktami, usiadła mu na kolanach.

- Chyba znalazłem winowajcę - powiedział Sam.

- Pokaż.

Przerzucił spięte spinaczem kartki.

- To raporty mejlowe, które Frank wysyłał Kingowi - wy jaśnił. - Pierwszy napisał tuż po przyjeździe do Katmandu, a ostatni rankiem tego dnia, w którym zaginął. Widzisz, czym się różnią trzy ostatnie od wcześniejszych?

Remi przyjrzała się raportom i pokręciła przecząco głową.

- Nie.

- Trzy ostatnie mają podpis „Frank”. Spójrz na wcześniejsze.

Remi sprawdziła podpisy na pozostałych raportach.

- Są podpisane inicjałami: „FA”.

- No właśnie. Tak jak wszystkie maile Franka do mnie.

- Co to oznacza?

- Nie wiem, ale podejrzewam, że albo to nie Frank wysłał trzy ostatnie mejle, albo on je wysłał, ale próbował nadać sygnał SOS.

- To mało prawdopodobne. Frank wymyśliłby sprytniejszy szyfr.

- Więc prawdopodobnie zaginął wcześniej, niż uważa King.

- I ktoś się pod niego podszył - podsumowała Remi.

Pięćdziesiąt kilometrów na północ od Katmandu, Nepal

W mroku przedświt range-rover skręcił z głównej szosy. Jego reflektory omiały zielone tarasowe pola, gdy zjeżdżał krętą drogą na dno doliny. Przez kilkaset metrów podskakiwał na wybojach, by w końcu dotrzeć do mostu na rzece, której wartki nurt omywał solidne przęsła, a której nazwa – wypisana na tablicy ustawionej przed przeprawą – brzmiała Trisuli.

Pół kilometra za mostem znajdował się niski ceglany budynek z blaszonym dachem. Z okna obok drewnianych frontowych drzwi sączyło się żółtawe światło.

Kierowca zatrzymał range rovera przed budynkiem i wyłączył silnik. Russell i Marjorie wysiedli z auta. Gdy ruszyli do drzwi, zza rogów budynku wyłonili się dwaj mężczyźni uzbrojeni w automaty. Podeszli do młodych Kingów, oświetlili latarkami ich twarze i jeden ze strażników energicznym ruchem głowy wskazał drzwi. Rodzeństwo weszło do budynku.

W niewielkim pomieszczeniu oświetlonym migoczącą lampą naftową znajdowały się dwie ławy i drewniany stół na kobyłkach, przy którym siedział samotny mężczyzna.

- Pułkownik Zhou – mruknął Russell.

- Witajcie, moi anonimowi amerykańscy przyjaciele. Siadajcie, proszę.

Usiedli na ławie naprzeciwko Zhou.

- Nie jest pan w mundurze – zauważyła Marjorie. – Chyba nie boi się pan nepalskich patroli wojskowych?

Zhou zachichotał.

- Bynajmniej. Moi ludzie chętnie poćwiczyliby strzelanie do celu, ale moi przełożeni nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że przekroczyłem granicę bez wymaganych formalności.

- To pan nas tu zaprosił – powiedział Russell. – Dlaczego chciał się pan z nami spotkać?

- Musimy porozmawiać o zezwoleniach, o które prosiliście.

- O zezwoleniach, za które już zapłaciliśmy – uściśliła Marjorie.

- Semantyka. Teren, na który chcecie wjechać, jest systematycznie patrolowany...

- Cale Chiny są systematycznie patrolowane – wtrącił Russell.

- Tylko część terenu, po którym chcecie podróżować, jest pod moim dowództwem.

- Do tej pory to nigdy nie stanowiło problemu.

- Sytuacja się zmieniła.

- Naciąga nas pan – odparła Marjorie. Zachowała kamienny wyraz twarzy, ale spojrzenie miała twarde, gniewne.

- Nie znam tego słowa.

- Chce pan łapówkę. Pułkownik Zhou zmarszczył brwi.

- To poważne oskarżenie. Prawda jest taka, że macie rację: już mi zapłaciliście.

Niestety, restrukturyzacja w moim okręgu spowodowała, że mam więcej gąb do wykarmienia, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Jeśli nie będę ich karmił, zaczną rozmawiać z niewłaściwymi ludźmi.

- Może powinniśmy porozmawiać z nimi zamiast z panem – odrzekł Russell.

- Proszę bardzo. Ale czy macie czas? O ile sobie przypominam, dotarcie do mnie zajęło wam osiem miesięcy. Chcecie znów zacząć od początku? Mielście szczęście, że trafiliście na mnie. Następnym razem możecie trafić do więzienia jako szpieczy. Teraz zresztą również jest to możliwe.

- Prowadzi pan niebezpieczną grę, pułkowniku – stwierdziła Marjorie.

- Nie bardziej niebezpieczną niż nielegalne przenikanie na terytorium Chin.

- I pewnie nie bardziej niebezpieczną niż to, że nie kazał pan swoim ludziom zrewidować nas w poszukiwaniu broni.

Zhou zmrzył oczy, spojrział w stronę drzwi, a potem znów na bliźnięta.

- Nie ośmielilibyście się.

- Ona tak – powiedział Russell. – Ja zresztą też. Może pan być pewien. Ale nie teraz. Nie dzisiejszej nocy. Gdyby pan wiedział, kim jesteśmy, pułkowniku, zastanowiłby się pan dwa razy, zanim spróbowałby pan wymusić od nas więcej pieniędzy.

- Nie znam waszych nazwisk, ale dobrze znam takich jak wy i domyślam się, czego szukacie.

- Ile potrzeba na wykarmienie tych dodatkowych gąb? – zapytał Russell.

- Dwadzieścia tysięcy – euro, nie dolarów. Młodzi Kingowie wstali.

- Pieniądze trafią na pańskie konto jeszcze przed końcem dnia – obiecał Russell.

- Skontaktujemy się z panem, jak będziemy gotowi do drogi.

Zorientował się po chłodzie w nocnym powietrzu, braku odgłosów ruchu kołowego i dźwiękach dzwoneków jaków w pobliżu, że jest wysoko w górach. Zawiazali mu oczy, gdy tylko wpełnęli go do furgonetki, nie wiedział więc, jak daleko od Katmandu go wywieźli. Ale tak naprawdę nie miało znaczenia, czy znajdują się dziesięć kilometrów od stolicy, czy sto. Tuż za doliną, w której leżało miasto, rozciągały się tereny dzikie i niedostępne. Wąwozy, jaskinie, leje krasowe, rozpadliny... tysiące miejsc, w których można się ukryć lub stracić życie.

Podłoga i ściany były z surowych desek, łóżko też. Wypchany słomą materac lekko cuchnął obornikiem. Domyślał się, że piec to koza starego typu – świadczył o tym odgłos zamykanych drzwiczek, ilekroć porywacze wchodzili, żeby dołożyć do ognia. Czasami przez woń dymu z płonącego drewna przebijał się zapach płynnej podpałki, jakiej używają turyści i alpiniści.

Prawdopodobnie był przetrzymywany w opuszczonej trekkerskiej chacie, tak daleko od uczęszczanych szlaków, że nikt tu nie zaglądał.

Od momentu, kiedy został uprowadzony, porywacze prawie się nie odzywali. Wydawali mu tylko krótkie rozkazy łamaną angielszczyzną: siadaj, wstawaj, jedz,

załatw się... Ale drugiego dnia podsłuchał przez ścianę chaty fragment rozmowy i choć prawie nie znał nepalskiego, rozpoznał ten język. Uwięzili go miejscowi. Ale kto? Terrorysty czy partyzanci? Nie słyszał, żeby jacyś działali w Nepalu. Kidnaperzy? Wątpił w to. Nie zmuszali go do nagrania ani napisania żądania okupu. I nie traktowali go źle. Regularnie dostawał całkiem znośne posiłki i miał ciepły śpiwór. Obchodzili się z nim szorstko, ale nie brutalnie. Wciąż się zastanawiał, kim są. I dlaczego go uprowadzili?

Jak dotąd, popełnili tylko jeden błąd: kiedy związali mu nadgarstki liną, która w dotyku sprawiała wrażenie wspinaczkowej, nie sprawdzili, czy w chacie są jakieś ostre krawędzie. Szybko znalazł cztery: nogi łóżka, wszystkie wystające kawałek ponad materac. Niedbale ucięte drewno nie zostało oszlifowane. Nie były to ostrza pił, ale miał od czego zacząć.

Rozdział 5

Katmandu, Nepal

Zgodnie z zapowiedzią Russell i Marjorie zajechali przed hotel punktualnie o dziewiątej następnego ranka. Z jasnymi spojrzeniami i uśmiechami na twarzach uścisnęli Fargom dłonie i skierowali ich do mercedesa. Niebo było błękitne, powietrze rześkie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Russell, kiedy wrzucił bieg i ruszył.

- Może do miejsc, gdzie Frank Alton spędzał dużo czasu? - podsunęła Remi.

- Nie ma problemu - odparła Marjorie. - Według mejli, które przysyłał naszemu ojcu, sporo czasu spędził w rejonie wąwozu Chobar, około ośmiu kilometrów na południowy wschód stąd. Z tej doliny wypływa rzeka Bagmati.

Jechali w milczeniu przez kilka minut.

- Jeśli to waszego dziadka sfotografowano w Lo Manthang... - zaczął Sam.

- Ma pan wątpliwości? - spytał Russell, zerkając w lusterko wsteczne. - Ojciec uważa, że to był on.

- Po prostu bawię się w adwokata diabła. Jeśli to był wasz dziadek, to co mógł zrobić w tamtym rejonie? Orientujecie się?

- Nic mi nie przychodzi do głowy - odparła Marjorie.

- Wasz ojciec utrzymuje, że nie wie, czym się zajmował Lewis. A wy?

- Archeologią, jak przypuszczam - powiedział Russell. - Nie znaleźliśmy go. Słyszeliśmy tylko opowieści ojca.

- Nie zrozumcie tego źle, ale czy pomyśleliście, żeby się dowiedzieć, co interesowało Lewisa? To mogłoby pomóc w poszukiwaniach.

- Ojciec daje nam dużo do roboty - odpowiedziała Marjorie. - Poza tym do tych spraw wynajmuje ekspertów takich jak wy i pan Alton.

Fargowie wymienili spojrzenia. Dzieci Charliego Kinga, tak jak on sam, najwyraźniej nie były zainteresowane szczegółami z życia ich dziadka. Ta obojętność wydawała się nienaturalna.

- Gdzie chodziliście do szkoły? - zapytała Remi, żeby zmienić temat.

- Nigdzie - odparł Russell. - Mieliśmy prywatnych nauczycieli w domu.

- A co się stało z waszym akcentem?

Marjorie nie odpowiedziała od razu, jakby nie rozumiała pytania.

- A, wiem, o co pani chodzi - rzekła wreszcie. - Kiedy mieliśmy cztery lata, ojciec umieścił nas u ciotki w Connecticut. Mieszkaliśmy u niej do zakończenia nauki, a potem wróciliśmy do Houston, żeby pracować z ojcem.

- Więc nie poświęcał wam dużo czasu, kiedy dorastaliście? - spytał Sam.

- Jest bardzo zajęty.

Marjorie powiedziała to bez cienia pretensji, jakby wysyłanie dzieci na

czternaście lat do innego stanu, żeby wychowywali je prywatni nauczyciele i krewni, było czymś najzupełniej normalnym.

- Zadajecie mnóstwo pytań - stwierdził Russell.

- Z natury jesteśmy ciekawi - odparł Sam krótko.

Fargowie nie obiecywali sobie dużo po wyprawie do wąwozu Chobar i, jak się okazało, słusznie. Russell i Marjorie pokazali im kilka charakterystycznych punktów, znów wygłaszając przy tym teksty brzmiące jak nagrane na taśmie przewodnik turystyczny.

Po powrocie do samochodu Sam i Remi poprosili o zawiezenie ich do historycznego centrum miasta, na plac Durbar, gdzie wznosiło się około pięćdziesięciu świątyń.

Ta wycieczka też niczego nie wniosła. Fargowie przez godzinę krążyli po placu i jego okolicach, pstrykając zdjęcia, studiując mapkę i robiąc notatki. W końcu, krótko przed południem, poprosili o odwiezienie ich do hotelu.

- Skończyliście? - zapytał Russell. - Na pewno?

- Na pewno - potwierdził Sam.

- Chętnie zawieziemy was, gdzie tylko chcecie - powiedziała Marjorie.

- Najpierw musimy przeprowadzić pewne badania - odparła Remi.

- W tym też możemy pomóc.

- Chcemy wrócić do hotelu - powtórzył Sam stanowczym tonem.

Russell wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzyacie.

Obserwowali z holu, jak mercedes odjeżdża, po czym Sam wyjął z kieszeni swój iPhone i spojrział na ekran.

- Wiadomość od Selmy - poinformował żonę, po czym odsłuchał wiadomość i powiedział: - Dokopała się do czegoś o rodzinie Kinga.

Gdy znaleźli się w pokoju, Sam włączył głośnik w telefonie i wcisnął szybkie wybieranie numeru. Po trzydziestu sekundach trzasków uzyskał połączenie.

- Nareszcie - rozległ się głos Selmy.

- Byliśmy na wycieczce z bliźniętami King - wyjaśnił Sam.

- Udaniej?

- Tylko pod tym względem, że umocniła w nas chęć uwolnienia się od nich. Co dla nas masz?

- Po pierwsze, *znalazłam* kogoś, kto może przetłumaczyć tekst z tamtego pergaminu w domu Lewisa.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła Remi.

- To nie wszystko. Ta sama osoba kiedyś już zrobiła przekład. A. Kaalrami z Princeton. Ma na imię Adala, prawie siedemdziesiąt lat i jest wykładowczynią na... Chce pan zgadywać?

- Nie - odparł Sam.

- Na Uniwersytecie Katmandu.

- Selmo, jesteś cudotwórczynią - rzekła Remi.

- Normalnie zgodziłabym się z tym, pani Fargo, ale tym razem po prostu miałam szczęście. Wysłałam państwu mejl z namierzeniami na profesor Kaalrami. A teraz następna sprawa: po bezskutecznych poszukiwaniach czegośkolwiek o rodzinie Kinga w końcu zadzwoniłam do Rube'a Haywooda. Przysłała mi informacje na bieżąco, ale to, co już zdobył, jest bardzo interesujące. Przede wszystkim King to nie jest prawdziwe nazwisko tej rodziny, tylko zangielszczona wersja niemieckiego „Konig”. A Lewis nosił kiedyś imię Lewes.

- Po co ta zmiana? - zapytała Remi.

- Nie jesteśmy pewni, ale wiemy, że Lewis wyemigrował do Ameryki w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym i dostał pracę wykładowcy na Uniwersytecie Syracuse. Parę lat później, kiedy Charles miał cztery lata, Lewis zostawił jego i jego matkę i ruszył w świat.

- Co jeszcze?

- Dowiedziałam się, jaki interes prowadzą tam Russell i Marjorie. W zeszłym roku jeden z koncernów górniczych Kinga - GZS, czyli Grupa Zasobów Strategicznych - uzyskał od nepalskiego rządu zezwolenie na prowadzenie, cytuję, „wstępnych badań związanych z eksploatacją złóż metali przemysłowych i szlachetnych”.

- Co to właściwie znaczy? - spytała Remi. - Strasznie mgliste określenie.

- Celowo - wtrącił Sam.

- Firma nie jest spółką publiczną - wyjaśniła Selma - więc trudno uzyskać jakiegokolwiek informacje. Znalazłam dwa tereny dzierżawione przez GZS. Znajdują się na północny wschód od miasta.

- Okropnie to wszystko zagmatwane - stwierdziła Remi. - Dzieci Kinga nadzorują rodzinną firmę górniczą w miejscu zniknięcia Franka, który szukał ojca Kinga, a ten, jak wiadomo, również zniknął i może włóczy się po Himalajach od czterdziestu lat. Zapomniałam o czymś?

- Nie, mniej więcej tak to wygląda - ocenił Sam.

- Podać państwu szczegóły dotyczące lokalizacji terenów GZS? - zapytała Selma.

- Tak - odparł Sam. - Działalność GZS wydaje się wprawdzie niezwiązana ze sprawą, ale z Królem Charliem nigdy nic nie wiadomo, więc warto sprawdzić.

Poprosili recepcję o załatwienie im samochodu z wypożyczalni i niezwłocznie ruszyli w drogę. Sam prowadził, a Remi pilotowała go z planem Katmandu rozłożonym na desce rozdzielczej nissana x-trail.

Bardzo szybko przypomnieli sobie coś, czego nauczyli się - i już zdążyli zapomnieć - podczas ostatniej wizyty w Katmandu przed sześcioma laty.

Oprócz głównych arterii, takich jak Tri Devi czy Ring Road, niewiele ulic nepalskiej stolicy miało nazwy. Kierunki wskazywano w odniesieniu do punktów

orientacyjnych, zwykle jakiegoś skrzyżowania lub placu – po nepalsku odpowiednio *chowk* i *tole* – a czasami świątyni albo rynku. Kto nie znał tych punktów odniesienia, musiał polegać na mapie regionu i kompasie.

Sam i Remi mieli szczęście. Uniwersytet Katmandu był położony dwadzieścia dwa kilometry od ich hotelu, u stóp gór na wschodnich obrzeżach miasta. Po dwudziestominutowych poszukiwaniach drogi Arniko dotarli do celu w ciągu godziny.

Kierując się tabliczkami z napisami po nepalsku i angielsku, za bramą kampusu skręcili w lewo i obsadzoną drzewami aleją dojechali do ceglano-szklanego budynku, przed którym znajdował się owalny klomb pełen polnych kwiatów. Zostawili nissana na parkingu, weszli szklanymi drzwiami do budynku i skierowali się do stanowiska informacji.

Siedząca za ladą młoda Hinduska powiedziała oksfordzkim angielskim:

- Dzień dobry, witam na Uniwersytecie Katmandu. Czym mogę służyć?

- Szukamy profesor Adali Kaalrami – odparła Remi.

- Proszę chwilkę poczekać. – Kobieta postukała w klawiaturę pod ladą i popatrzyła na monitor. – Profesor Kaalrami ma teraz spotkanie ze słuchaczem studiów magisterskich w bibliotece. Powinna być wolna o trzeciej. – Wyjęła mapkę kampusu i zaznaczyła kółkiem, gdzie teraz są oraz bibliotekę.

- Dziękujemy – powiedział Sam.

Kampus był nieduży, składał się z zaledwie kilkunastu budynków stojących na szczycie wzgórza, u którego podnóża rozciągały się kilometry zielonych tarasowych pól i gęstych lasów. W oddali widzieli Międzynarodowy Port Lotniczy Tribhuvan. Na północ od lotniska majaczyły pagodowe dachy hotelu Hyatt Regency.

Przeszli sto metrów na wschód chodnikiem między żywopłotami, skręcili w lewo i po chwili znaleźli się przed budynkiem biblioteki. Weszli do środka i zapytali portiera o profesor Kaalrami. Skierował ich do sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. W drzwiach minęli się z wychodzącym studentem. Przy okrągłym stole konferencyjnym siedziała pulchna starsza Hinduska w jaskrawym czerwono-zielonym sari.

- Dzień dobry, czy pani profesor Adala Kaalrami? – zagadnęła Remi.

Kobieta podniosła wzrok i popatrzyła na nich przez okulary w ciemnej oprawce.

- Tak, to ja. – Mówiła po angielsku z silnym akcentem, jak wielu Hindusów.

Remi przedstawiła siebie i męża i spytała, czy mogą usiąść. Kaalrami wskazała głową dwa krzesła naprzeciwko niej.

- Czy mówi pani coś nazwisko Lewis King? – zaczął Sam.

- Chodzi o Łobuza? – spytała bez wahania.

- Tak.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha, odsłaniając szeroką przerwę między przednimi zębami.

- O tak, pamiętam Łobuza. Byliśmy... przyjaciółmi. - Błysk w jej oczach świadczył, że łączyło ich coś więcej niż przyjaźń. - Oddelegowano mnie z Princeton na Uniwersytet Tribhuvan. Na długo przed założeniem Uniwersytetu Katmandu. Łobuz i ja poznaliśmy się na przyjęciu. Dlaczego państwo pytają?

- Szukamy Lewisa Kinga.

- Aha... Łowcy duchów.

- Jak rozumiem, uważa pani, że on nie żyje - odparła Remi.

- Och, tego nie wiem. Oczywiście słyszałam opowieści, że pojawia się od czasu do czasu, ale od czterdziestu lat nigdy go nie widziałam, jego autentycznych zdjęć też nie. Przypuszczam, że gdyby żył, zobaczyłby się ze mną.

Sam sięgnął do sakwojażu po teczkę na akta i wyjąwszy z niej kopię pergaminu pokrytego pismem dewanagari, podsunął przez stół profesor Kaalrami.

- Poznaje pani to? Przyjrzała się dokumentowi.

- Tak. To mój podpis. Przetłumaczyłam ten tekst Łobuzowi w... - zastanawiała się chwilę - ...w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim.

- Co może nam pani powiedzieć o tym pergaminie? - spytał Sam. - Wie pani, gdzie Lewis go znalazł?

- Nie.

- Wygląda mi to na pismo dewanagari - powiedziała Remi.

- Bardzo dobrze, moja droga. Blisko, ale nieściśle. To zostało napisane w języku lowa. Nie jest jeszcze całkiem martwy, lecz bardzo rzadki. Według ostatnich szacunków mówią nim dziś zaledwie cztery tysiące ludzi. Mieszkają głównie na północy kraju, blisko granicy z Chinami, w dawnym...

- Mustangu - dokończył Sam.

- Zgadza się. I wymówił pan to prawidłowo. Brawo. Większość mówiących językiem lowa mieszka w i wokół Lo Manthang. Wiedział pan, że chodzi o Mustang, czy się domyślił?

- Domyśliłem się. Nasz jedyny trop prowadzący do miejsca pobytu Lewisa Kinga to zdjęcie, na którym przypuszczalnie jest. Zostało zrobione rok temu w Lo Manthang. A ten pergamin znaleźliśmy w domu Lewisa.

- Macie to zdjęcie ze sobą?

- Nie - odparła Remi i zerknęła na Sama. Ich miny mówiły: „Dlaczego nie poprosiliśmy o kopię zdjęcia? Błąd nowicjuszy”. - Ale możemy je zdobyć.

- Jeśli to nie kłopot. Myślę, że rozpoznałabym Łobuza, gdyby to rzeczywiście był on.

- Czy ostatnio ktoś pytał panią o Kinga? Kaalrami skinęła głową.

- Jakiś rok temu, może trochę więcej, było tu dwoje dzieciaków. Dziwna para...

- Bliźnięta? Blond włosy, niebieskie oczy, azjatyckie rysy?

- Tak, to oni. Nie spodobali mi się. Wiem, że nieładnie tak mówić, ale zawsze staram się być szczerą. Mieli w sobie coś... - Urwała i wzruszyła ramionami.

- Pamięta pani, o co pytali?
- Ogólnie o Łobuza. Czy mam jakieś stare listy od niego, czy opowiadał mi o swojej pracy w tym regionie... Niestety, nie mogłam im pomóc.
- Nie mieli kopii tego pergaminu?
- Nie.
- Nie znaleźliśmy oryginalnego przekładu - powiedział Sam. - Czy mogłaby pani...
- Mogę ogólnie przedstawić treść, ale pisemne tłumaczenie zajmie trochę czasu. Jeśli państwo chcą, zrobię je dziś wieczorem.
- Bardzo dziękujemy - odparła Remi. - Bylibyśmy zobowiązani.
- Profesor Kaalrami poprawiła okulary, położyła pergamin przed sobą i zaczęła wodzić palcem po linijkach tekstu, poruszając bezgłośnie wargami.
- Po pięciu minutach podniosła wzrok i odchrząknęła.
- To rodzaj edyktu królewskiego - powiedziała. - Ten zwrot w języku lowa trudno przetłumaczyć na angielski, ale to oficjalny rozkaz. Tego jestem pewna.
- Jest jakaś data?
- Nie, ale tutaj, w górnym lewym rogu, brakuje fragmentu tekstu. Był na oryginalnym pergaminie?
- Nie, sfotografowałam go dokładnie tak, jak wyglądał. Pamięta pani, czy data była na oryginale, który pani widziała?
- Niestety nie.
- Zaryzykuje pani podanie jego wieku?
- Nie wiem, czy moje przypuszczenia są trafne, ale prawdopodobnie ma jakieś sześćset, siedemset lat.
- Proszę mówić dalej - zachęcił Sam.
- Muszą państwo poczekać na pisemny przekład.
- Rozumiemy to, ale może chociaż w ogólnych zarysach.
- No dobrze - zgodziła się profesor Kaalrami. - To jest rozkaz dla grupy żołnierzy... specjalnej formacji nazywanej Strażnikami. Mają wykonać jakieś zadanie, którego szczegóły opisano w innym dokumencie, jak przypuszczam. Chodzi o zabranie czegoś o nazwie Theurang z miejsca, gdzie jest ukryte, i przetransportowanie w bezpieczne miejsce.
- Dlaczego?
- Ma to coś wspólnego z jakimś najazdem.
- Czy dokument wyjaśnia, co to jest Theurang?
- Nie sądzę. Przykro mi, ale naprawdę słabo pamiętam treść. Minęło czterdzieści lat. Zapamiętałam to słowo, bo jest niezwykle, ale wątpię, żebym szła dalej jego tropem. Wykładałam filologię klasyczną. Ale któryś z naszych naukowców na pewno będzie mógł pomóc. Mogę sprawdzić.
- Bylibyśmy wdzięczni - powiedział Sam i spytał: - Pamięta pani, jak

zareagował Lewis, kiedy dała mu pani przekład?

Kaalrami się uśmiechnęła.

- Był zachwycony - odparła. - Ale jemu nigdy nie brakowało entuzjazmu. Żył pełnią życia.

- Mówił, gdzie znalazł pergamin?

- Jeśli nawet tak, to nie pamiętam. Może dziś wieczorem, kiedy będę robiła przekład, przypomnę sobie więcej.

- Ostatnie pytanie - odezwała się Remi. - Co pani pamięta z dnia, w którym Lewis zniknął?

- Ranek spędziliśmy razem. Urządziliśmy sobie piknik nad rzeką Bagmati, z południowo-zachodniej strony miasta.

Fargowie jednocześnie pochyłili się do przodu.

- W wąwozie Chobar? - zapytał Sam. Kaalrami uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Tak - potwierdziła. - Skąd pan wiedział?

- Zgadłem. A po pikniku?

- Lewis miał ze sobą plecak. Często go nosił, bo stale się przemieszczał. Dzień był piękny, ciepły, bez jednej chmurki na niebie. Lewis robił zdjęcia. Miałam nowy aparat fotograficzny, jeden z pierwszych modeli polaroida, tych składanych. Wtedy to był cud techniki.

- Proszę nam powiedzieć, że ma pani jeszcze tamte zdjęcia.

- Możliwe. To będzie zależało od umiejętności technicznych mojego syna. Przepraszam na chwilę. - Profesor Kaalrami wstała, podeszła do bocznego stołu, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer. Przez kilka minut rozmawiała z kimś po nepalsku, potem spojrzała na Fargów i zasłoniła mikrofon. - Macie państwo komórki z dostępem do poczty elektronicznej?

Sam podał jej swój adres e-mailowy.

Chwilę później Kaalrami skończyła rozmowę i wróciła do stołu.

- Ach, ten mój syn. - Westchnęła. - Stale mi powtarza, że muszę wejść w wiek cyfryzacji. W zeszłym miesiącu zaczął skanować - dobrze mówię? - wszystkie moje stare zdjęcia w albumach. Te z pikniku skończył w ubiegłym tygodniu. Prześle je państwu.

- Dziękujemy pani - rzekł Sam. - I pani synowi.

- Wróćmy jeszcze do pikniku, dobrze? - poprosiła Remi.

- Jedliśmy, cieszyliśmy się sobą, rozmawialiśmy... Potem, chyba wczesnym popołudniem, się rozstaliśmy. Wsiadłam do mojego samochodu i odjechałam. Kiedy widziałam Lewisa ostatni raz, przechodził przez most nad wąwozem Chobar.

Rozdział 6

Katmandu, Nepal

Opuściwszy kampus, Fargowie ruszyli na zachód drogą Arniko. Na obrzeżach miasta skręcili na południe na Ring Road i dotarli nią wzdłuż południowej granicy Katmandu do rejonu Chobar. Stamtąd poprowadziły ich dalej dwa drogowskazy. O piątej po południu, godzinę po rozstaniu z profesorem Kaalrami, zatrzymali się w Parku Manjushree, skąd rozciągał się widok na urwisty północny brzeg wąwozu.

Wysiedli i rozprostowali nogi. Sam po raz chyba dwudziesty sprawdził swój iPhone, ale oczekiwany e-mail jeszcze nie przyszedł.

- Nadal nic - mruknął, kręcąc głową. Remi rozejrzała się po okolicy.

- Czego szukamy? - spytała.

- Wielki neon z napisem „Łobuz tu był” byłby fajny, ale nie spodziewam się go - odparł Sam.

Prawda wyglądała tak, że nie mieli pojęcia, czy cokolwiek znajdą. Sprowadziło ich tu coś, co mogło być zwykłym przypadkiem: Frank Alton i Lewis King spędzili w wąwozie Chobar ostatnie godziny przed zaginięciem. Chociaż znając Altona, wątpili, żeby wybrał się tam bez ważnego powodu.

Park - niskie, porośnięte krzewami i bambusem wzgórze - świecił pustkami. Poza dwoma mężczyznami, którzy jedli wczesną kolację na pobliskiej ławce, Fargowie nikogo nie dostrzegli. Ruszyli krętą ścieżką w dół zbocza.

Główny most nad wąwozem był betonowy i wystarczająco szeroki dla samochodów, ale w dolne partie i na drugi brzeg prowadziły trzy drewniane wiszące mosty. Na zboczach wzgórz po obu stronach wąwozu wznosiły się małe świątynie, częściowo zasłonięte przez drzewa. Piętnaście metrów niżej płynęła wartkim nurtem rzeka Bagmati.

Remi podeszła do tablicy informacyjnej przy moście i przeczytała głośno angielską wersję:

- "Guchchi Chobar to wąska dolina uformowana przez rzekę Bagmati, jedyny odpływ z całej Doliny Katmandu. Uważa się, że dolina ta była niegdyś olbrzymim jeziorem. Kiedy Manjushri przybył tu pierwszy raz, zobaczył lotos unoszący się na powierzchni wody. Przeciął zbocze wzgórza, by wypuścić wodę z jeziora i zrobić miejsce dla miasta Katmandu" .

- Kto to był Manjushri? - zapytał Sam.

- Nie jestem pewna, ale gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że był bodhisattwą - osobą oświeconą.

Sam kiwał głową, a równocześnie sprawdzał, czy przyszedł e-mail.

- Jest. Syn profesora Kaalrami przysłał zdjęcia. Fargowie podeszli do pobliskiego drzewa, żeby znaleźć się w cieniu, i Sam wywołał fotografie. Było ich pięć. Zostały

dobrze zdigitalizowane, ale nie straciły wyglądu starych zdjęć zrobionych polaroidem: lekko wyblakłe, kolory trochę nienaturalne. Pierwsze cztery pokazywały albo Lewisa Kinga, albo Adalę Kaalrami, siedzących na kocu pośród talerzy, kieliszków i piknikowego prowiantu.

- Na żadnym nie są razem - zauważyła Remi.

- Z braku samowyzwalacza - wyjaśnił Sam.

Piąta fotografia przedstawiała Lewisa Kinga, który stał zwrócony w trzech czwartych do obiektywu ze stelażowym plecakiem na ramionach.

Obejrzelili zdjęcia jeszcze raz, przypatrując się każdemu dłuższą chwilę. Sam westchnął ciężko.

- Nie powinniśmy byli robić sobie nadziei - mruknął, wyraźnie rozczarowany.

- Może jednak powinniśmy - odparła Remi i pochyliła się niżej nad ekranem iPhone'a. - Widzisz, co on trzyma w prawej ręce?

- Czekan.

- Przyjrzyj się dokładniej. Sam to zrobił.

- Młotek skalny - oznajmił po chwili.

- Zgadza się. A co ma przytroczone do pleców z lewej strony śpiwora? Widać tylko kawałek, ale można rozpoznać.

Sam wpatrzył się w ekran.

- A niech mnie - rzekł wreszcie z szerokim uśmiechem. - Nie wiem, jak mogłem to przeoczyć. To kask ochronny.

Remi skinęła głową.

- Z lampą. Lewis King wybierał się do jakiejś jaskini.

Nie byli pewni, czego szukają, ale znaleźli to po zaledwie dziesięciu minutach. W otwartym od frontu kiosku nieopodal drugiego końca mostu leżały w drewnianych przegródkach mapki turystyczne wąwozu. Rozłożyli jedną i popatrzyli na ponumerowane punkty i objaśnienia.

Półtora kilometra w górę rzeki, na jej północnym brzegu, było miejsce opatrzone następującym podpisem: „Jaskinie Chobar. Teren zamknięty. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

- To strzał w ciemno - orzekła Remi. - O ile wiemy, Lewis wyruszył w góry, a Frank po prostu zaginął.

- Strzały w ciemno to dla nas normalka - przypomniał jej Sam. - Poza tym mamy do wyboru albo to, albo następny dzień w towarzystwie Russella i Marjorie.

Ten argument ostatecznie przekonał Remi.

- Jakie są szanse na zakup w Katmandu sprzętu wysokiej klasy z przysługującą nam zniżką? - spytała.

Szanse okazały się zerowe, ale kilka przecnic na zachód od placu Durbar znaleźli sklep z nadwyżkami wojskowymi. Ekwipunek, który kupili, nie był wprawdzie nowoczesny, lecz przyzwoitej jakości. Chociaż nie spodziewali się, aby

eksploracja jaskiń Chobar popchnęła ich sprawę naprzód, dobrze się czuli, mogąc działać. To była jedna z ich zasad: w razie wątpliwości rób coś. Cokolwiek.

Gdy tuż przed siódmą wjechali na parking hotelowy i wysiedli z auta, Sam zauważył Russella i Marjorie, stojących przed głównym wejściem.

- Bandyci na trzeciej - mruknął.

- O kurczę - jęknęła Remi.

- Nie otwieraj bagażnika. Będą chcieli jechać z nami. Młodzi Kingowie podbiegli do nich.

- Cześć - zawołał Russell. - Już zaczynaliśmy się o was martwić. Wpadliśmy zobaczyć, jak sobie radzicie, i dowiedzieliśmy się w recepcji, że wypożyczyliście samochód i wyjechaliście.

- Wszystko w porządku? - spytała Marjorie z dobrze udawaną troską.

- Napadli na nas dwa razy - odparła Remi ze śmiertelną powagą.

- I chyba zostałem wmanewrowany w małżeństwo z kozą - dodał Sam.

Po dobrych kilku sekundach bliźnięta się uśmiechnęły.

- No tak, żartowaliście - powiedział Russell. - Rozumiemy. Ale teraz poważnie.

Nie powinniście...

- Posłuchajcie oboje - przerwał mu Sam. - Możecie mi poświęcić chwilę uwagi?

Skinęli głowami.

- Remi i ja zwiedziliśmy więcej krajów, niż wy potrafilibyście wymienić. Doceniamy waszą pomoc i... zapał, ale od tej chwili sami będziemy do was dzwonić, gdy będziecie nam potrzebni. Zostawcie nas w spokoju i pozwólcie nam robić to, po co przyjechaliśmy.

Russell i Marjorie patrzyli na niego z otwartymi ustami. Potem spojrzeli na Remi, która wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Kiedy mój mąż mówi takim tonem, to mówi poważnie.

- Rozumiemy się? - mruknął Sam.

- No tak, ale ojciec prosił nas...

- To już wasz problem. Gdyby wasz ojciec miał wątpliwości, wie, jak się z nami skontaktować. Jakies pytania?

- Nie podoba mi się to - odparł Russell.

- Staramy się tylko pomóc - dodała Marjorie.

- Dziękujemy, ale nie nadużywajcie naszej uprzejmości. Wezwiemy was, jeśli wpadniemy w takie tarapaty, że nie będziemy w stanie sami sobie poradzić.

Po chwili wahania bliźnięta odwróciły się i poszły do swojego mercedesa. Kiedy młodzi Kingowie, odjeżdżając, mijali Sama i Remi, rzucili Fargom twarde spojrzenia.

- Gdyby wzrok mógł zabijać, już bylibyśmy martwi - skomentowała Remi.

Sam skinął głową.

- Mam wrażenie, że właśnie zobaczyliśmy prawdziwe oblicza dzieci Kinga.

Rozdział 7

Wąwóz Chobar, Nepal

Nazajutrz wyruszyli krótko przed czwartą rano w nadziei, że dotrą do wąwozu przed wschodem słońca. Nie wiedzieli, jak ściśle przestrzegany jest zakaz wstępu do jaskiń Chobar – ani nawet tego, czy teren patroluje policja – nie chcieli więc ryzykować.

O piątej dotarli do Parku Manjushree i zatrzymali się pod drzewem w miejscu niewidocznym z głównej drogi. Sam zgasił światła i przez kilka minut siedzieli w milczeniu, słuchając tykania stygnącego silnika nissana. Potem wysiedli i przeszli do bagażnika po sprzęt.

– Naprawdę myślisz, że Kingowie nas śledzą? – spytała Remi, zakładając plecak na ramiona.

– Już sam nie wiem, co myśleć. Przeczucie mówi mi, że są źli do szpiku kości, i nie mam żadnych wątpliwości, że ojciec wcale ich nie prosił, żeby nam pomagali, tylko po prostu kazał im nie spuszczać nas z oka.

– Zgadzam się z tym. Ale mam nadzieję, że twoja przemowa poskutkowała.

– Nie liczyłbym na to – odrzekł Sam i zatrzasnął klapę bagażnika.

Prowadzeni przez blask wschodzącego słońca, doszli do mostu. Zgodnie z tym, co pokazywała mapa, dwadzieścia metrów na wschód od przeprawy, za kępą bambusa, znaleźli pieszy szlak. Ruszyli nim w górę rzeki.

Przez pierwsze pół kilometra szło im się łatwo żwirową ścieżką szerokości metra, ale potem nachylenie terenu wzrosło, a szlak zrobił się węższy i kręty. Gęsta roślinność tworzyła zielone sklepienie nad ich głowami. Z prawej strony słyszeli w dole cichy szmer rzeki.

Dotarli do rozwidlenia ścieżki. Lewa odnoga prowadziła na wschód i oddalała się od rzeki, prawa biegła w jej stronę. Przystanęli na chwilę, żeby spojrzeć na mapę i kompas w iPhone Sama, po czym skręcili w prawo. Po pięciu minutach marszu doszli do czterdziestopięciostopniowego zbocza z wyciętymi w nim stopniami. W dole nie zobaczyli ścieżki, lecz rozchwierutany most wiszący nad urwiskiem. Pnącza tak mocno oplatały konstrukcję, że sprawiała wrażenie stworzonej na wpół przez człowieka, na wpół przez naturę.

– Mam uczucie, jakbyśmy zagłębiali w głąb króliczej nory – mruknęła Remi.

– Chodźmy – powiedział Sam i ruszył przodem. – Jest fajnie.

– Przy tobie nauczyłam się, że fajnie znaczy niebezpiecznie. Widać stąd, jak daleko ciągnie się most?

– Nie. Trzymaj się przy ścianie urwiska. Jeśli nawet przęśło puści, pnącza powinny wytrzymać.

– Jeszcze jedno cudowne słowo: „powinny”.

Sam dał krok naprzód i ostrożnie przeniósł ciężar ciała na pierwszą deskę. Poza lekkim skrzypnięciem nic się nie stało. Zrobił następny krok, potem kolejny i dalsze, aż pokonał trzy metry.

- Na razie wszystko dobrze - zawołał przez ramię.

- Idę.

Okazało się, że most ma nie więcej niż trzydzieści metrów długości. Po drugiej stronie kręta ścieżka biegła dalej, najpierw w dół, potem w górę zbrocza. Na wprost drzewa zaczęły się przerzedzać.

- Druga runda - oznajmił Sam.

- Co? - spytała Remi i zatrzymała się tuż za nim. - O nie. Następny wiszący most.

- Czuję, że to nie koniec - powiedziała.

Miała rację. Za drugim mostem był następny odcinek ścieżki, a dalej trzeci most. Przez czterdzieści minut wzorzec się powtarzał: ścieżka, most, ścieżka, most. Wreszcie, na piątym odcinku ścieżki, Sam zarządził postój i spojrzał na mapę i kompas.

- Już niedaleko - mruknął. - Wejście do jaskiń jest gdzieś pod nami.

Rozdzielili się i zaczęli szukać wzdłuż ścieżki jakiegoś zejścia. Remi, która szła od strony rzeki, dostrzegła przymocowaną do pnia drzewa zardzewiałą drabinkę zwisającą w dół zbrocza. Sam położył się na brzuchu i kiedy Remi chwyciła go obiema rękami za pasek od spodni, wczuł się w zarośla. Po chwili wypelzł tyłem z powrotem.

- Tam jest półka skalna - powiedział. - Drabinka kończy się jakieś dwa metry nad nią. Będziemy musieli zeskoczyć.

- Jasne - odparła Remi z wymuszonym uśmiechem.

- Zejdę pierwszy - rzekł Sam.

Remi pochyliła się do przodu na kolanach i pocałowała go.

- Łobuz King w niczym nie jest lepszy od ciebie. Sam się uśmiechnął.

- Od nas obojga.

Zdjął plecak, podał go żonie i przeczołgał się przez zarośla. Opasał rękami pień drzewa i wolno opuścił się w dół, szukając dyndającymi nogami górnego szczebla drabinki.

- Stoję - powiedział wreszcie. - Zaczynam schodzić. Zniknął z widoku. Pół minuty później zawołał:

- Jestem na dole. Rzuć plecaki.

Remi podczołgała się do krawędzi i rzuciła pierwszy.

- Mam go. Rzuciła drugi plecak.

- Jest. Schodź. Będę cię asekurował.

- Idę.

Kiedy dotarła do przedostatniego szczebla i zawisła w powietrzu, Sam sięgnął w

górze i opasał rękami jej uda.

- Trzymam cię.

Puściła drabinkę i po chwili Sam postawił ją na półce. Poprawiła przekrzywioną lampę czołową i rozejrzała się dookoła. Półka, na której stali, miała dwa metry szerokości i wystawała kawałek nad rzekę. W ścianie urwiska widniało owalne wejście do jaskini, przegrodzone przyśrubowaną do skały siatką zwieńczoną drutem kolczastym. Dolny lewy róg ogrodzenia był oderwany od ściany. Na przymocowanej do skały tablicy widniał czerwony napis po nepalsku i angielsku: „Miejsce niebezpieczne. Nie ma przejścia. Wstęp wzbroniony”. Pod napisem była namalowana trupa czaszka i skrzyżowane piszczele.

Remi się uśmiechnęła.

- Patrz, Sam. Uniwersalny symbol słowa „fajnie”.

- Bardzo zabawne - odparł. - Gotowa do eksploracji jaskini?

- Czy kiedykolwiek odpowiedziałam „nie” na takie pytanie?

- Nigdy, niech cię Bóg błogosławi.

- Prowadź.

Ich przypuszczenie, że jaskinię zamknięto, żeby ciekawscy turyści nie zgubili się lub nie zrobili sobie krzywdy, potwierdziło się, gdy tylko wpełzli do środka przez dziurę w ogrodzeniu. Kiedy Sam wstawał, ręka ześlizgnęła mu się do szczeliny w podłożu. Gdyby się poruszał, choćby wolno, złamałby sobie przedramię; gdyby szedł, skręciłby kostkę.

- Zły omen czy uczciwe ostrzeżenie? - zapytał z półuśmiechem, kiedy Remi pomogła mu się podnieść.

- Wybieram to drugie.

- To sześćset czterdziesty powód mojej miłości do ciebie - odrzekł. - Zawsze optymistka.

Oświetlili latarkami tunel. Miał taką szerokość, że Sam mógł prawie całkowicie rozpostrzeć ramiona, ale że był wyższy tylko o kilka centymetrów od Remi, więc idąc, musiał się garbić. Szorstkie podłoże przypominało powiększony sto razy tynk.

Sam odwrócił głowę i pociągnął nosem.

- Sucho - stwierdził.

Remi przesunęła dłonią po ścianie i stropie.

- Zgadza się.

Była to sprzyjająca okoliczność. Eksploracja suchej jaskini jest wystarczająco ryzykowna; woda czyni ją jeszcze bardziej niebezpieczną, bo ściany i strop mogą się zawalić w każdej chwili. Wiedzieli jednak, że niewidoczne dopływy Bagmati mogą płynąć pod ich stopami i struktura jaskini wkrótce może się zmienić.

Ruszyli naprzód. Sam prowadził. Tunel skręcał ostro w lewo, potem w prawo i nagle zatrzymali się przed pierwszą przeszkodą, również stworzoną przez człowieka: szeregiem żelaznych prętów wpuszczonych pionowo w podłoże i strop.

- Nie żartują tutaj - powiedział Sam, oświetlając latarką zardzewiałą stal. Zastanawiał się, ilu ciekawskich przecisnęło się przez dziurę w ogrodzeniu przy wejściu tylko po to, by utknąć w tym miejscu.

Remi uklękła przy prętach i zaczęła je kolejno szarpać. Przy czwartej próbie metal zazgrzytał. Zerknęła przez ramię na męża.

- Urok utleniania - rzekła z uśmiechem. - Pomóż mi. Razem poruszali prętem tam i z powrotem, próbując go obłuzować. Kamienne odpryski i pył sypały się ze stropu. Po dwóch minutach uwolniony pręt upadł na podłogę z brzękiem, który odbił się echem w tunelu. Sam chwycił go i przeciągnął z powrotem przez lukę. Obejrzał jego końce.

- Zostały ucięte - mruknął i pokazał pręt Remi.

- Palnikiem acetylenowym?

- Nie ma śladów osmalenia. Raczej piłą do metalu.

Poświecił latarką w głąb dziury po pręcie w podłożu i zobaczył w niej żelazny kikut.

- Akcja się komplikuje - rzekł. - Ktoś już tu był.

- I nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział - dodała Remi.

Gdy Sam odczytał namiar z kompasu i narysował prowizoryczną mapę w swoim notatniku Moleskine, przecisnęli się przez lukę, ustawili pręt z powrotem i ruszyli dalej. Tunel zygzakował, obniżał się i zwężał; jego wysokość wkrótce zmalała do stu dwudziestu centymetrów i zrobił się tak wąski, że idąc, uderzali łokciami w ściany. Podłogę zaczęło opadać. Zgasili latarki i zapalili lampy czołowe. Zejście było coraz bardziej strome, aż w końcu musieli posuwać się bokiem w dół trzydziestostopniowej pochyłości, wykorzystując skalne występy jako punkty oparcia dla stóp i uchwyty dla dłoni.

- Stój - powiedziała nagle Remi. - Posłuchaj. Gdzieś w pobliżu bulgotała woda.

- Rzeka - odrzekł Sam.

Zeszli pięć metrów niżej. Tunel wypoziomował i przeszedł w krótki korytarz. Sam dotarł do miejsca, gdzie grunt znów zaczynał się wznosić.

- jest prawie pionowo - zawołał. - Myślę, że moglibyśmy się ostrożnie wspiąć...

- Sam, spójrz na to.

Wrócił do Remi, która stała z zadartą głową i patrzyła na ścianę. W świetle jej lampy czołowej zobaczył przedmiot wielkości mniej więcej półdolarówki wystający ze skały.

- Wygląda na metal - powiedział. - Wchodź. Przyklęknał, a gdy Remi wspięła się na jego barki, wstał wolno, żeby zdążyła przytrzymać się ściany.

- To gwóźdź do szyn kolejowych - oznajmiła.

- Co?

Remi powtórzyła.

- Jest wbity w skałę aż po główkę. Zaczekaj... chyba będę mogła... Tak! Siedzi

mocno, ale udało mi się wyciągnąć go kawałek. Jest też drugi, jakieś pół metra wyżej. I trzeci. Stanę na palcach. Gotowy?

- Tak.

Wyprostowała się.

- Jest ich cały rząd. Ciągnie się jakieś pięć metrów w górę do czegoś, co wygląda jak półka.

Sam się zastanowił.

- Uda ci się wysunąć drugi?

- Spróbuję. Zaczekaj chwilę... Gotowe.

- Okej, schodź - zawołał Sam, a kiedy zeszła, pochwalił ją: - Dobra robota.

- Dzięki - odrzekła. - Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, dlaczego są tak wysoko.

- Żeby nikt ich nie zauważył - domyślił się Sam. Skinęła głową.

- Wyglądają na dość stare.

- Na przykład tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku?

- Całkiem możliwe.

- Wygląda na to, że Łobuz, albo jakiś inny speleolog widmo, zrobił sobie drabinkę. Ale dokąd?

Skierowali snopy światła swoich lamp czołowych w górę ściany.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powie działa Remi.

Rozdział 8

Wąwóz Chobar, Nepal

Aby ułatwić wspinaczkę, Sam rozwinął linę, zrobił na jednym końcu ruchomy węzeł i przez dwie minuty próbował zarzucić lasso na drugi gwóźdź. Kiedy mu się udało, przywiązał do liny podobny do strzemienia węzeł Prusika z kawałka linki spadochronowej, żeby dostać się na górę.

Z jedną stopą na najniższym szczeblu i lewą dłonią zaciśniętą na drugim odwiązał ruchomy węzeł i przyczepił go do swojej uprząży. Potem sięgnął w górę, wysunął trzeci gwóźdź i zaczął się wspinać. Po pięciu minutach dotarł na szczyt.

- Nie żebym zamierzał tego spróbować - zawołał w dół - ale tu jest tyle uchwytów na dłonie, że można by się obejść bez gwoździ.

- Więc przygotowanie wejścia wymagało pewnych umiejętności.

- I siły.

- Co widzisz? - zapytała Remi.

Sam obracał głowę, dopóki snop światła nie padł na skalną półkę.

- Ciasną przestrzeń. Niewiele szerszą od moich ramion. Rzucę ci linę.

Wyciągnął przedostatni gwóźdź i zastąpił go friendem (mimośrodowym przyrządem wspinaczkowym do zakładania punktów asekuracyjnych w szczelinach), który sam zablokował się w dziurze. Do niego najpierw przyczepił karabińczyk, a potem przywiązał linę. Rzucił zwój Remi.

- Mam ją - zawołała.

- Czekaj tam. Wybiorę się na zwiady. Jeśli to ślepy zaułek, nie ma sensu, żebyśmy oboje tu utknęli.

- Za dwie minuty wchodzę.

- Albo jak usłyszysz krzyk i łomot, jeżeli rozlegną się wcześniej.

- Nie pozwalam na żaden krzyk ani łomot - ostrzegła Remi.

- Zaraz wracam.

Sam zmienił pozycję - postawił obie stopy na najwyższym gwoździu i oparł ręce na skalnej półce. Wziął głęboki oddech, ugiął nogi, wybił się do góry i podciągnął tułów na występ. Pełził naprzód, dopóki nie przestał dyndać nogami w powietrzu.

Światło jego lampy czołowej rozpraszało mrok zaledwie trzy metry przed nim. Dalej była ciemność. Poślinił palec wskazujący i uniósł do góry. Nie wyczuł żadnego ruchu powietrza. Zły znak. Wejście do jaskini jest zwykle łatwe, wydostanie się z niej często o wiele trudniejsze, dlatego każdy speleolog z prawdziwego zdarzenia zawsze rozgląda się za drugim wyjściem. Zwłaszcza w takich nienaniesionych na mapy systemach, jakim był ten.

Sam przysunął zegarek do twarzy i włączył chronometr. Remi dała mu dwie minuty, a znając ją, wiedział, że po upływie tego czasu natychmiast zacznie się

wspinać po linie.

Poczołgał się naprzód. Jego sprzęt obijał się i ocierał o skalne podłoże, a każdy dźwięk brzmiał niesamowicie głośno w ciasnej przestrzeni. Uświadomił sobie, że nad jego głową wiszą niezliczone tony skał. Pozbył się tej myśli i pełził dalej, ale wolniej. Pierwotna część jego umysłu mówiła mu: „Ostrożnie, żebyś nie został przywalony”.

Pokonał pięć metrów i zatrzymał się, żeby spojrzeć na zegarek. Minęła minuta. Ruszył dalej. Tunel skręcał w lewo, potem w prawo, wreszcie zaczął się wznosić, najpierw łagodnie, potem bardziej stromo i Sam musiał w końcu używać techniki wspinaczkowej nazywanej zapieraczką. Pokonawszy kolejne dziesięć metrów, znów sprawdził czas. Zostało pół minuty. Przeczłołgał się przez garb na podłożu i znalazł w szerszym, płaskim miejscu. Blask jego lampy czołowej oświetlił otwór na wprost, prawie dwukrotnie większy niż ciasna przestrzeń, którą zostawił za sobą.

Odwrócił głowę w tył i zawołał przez ramię:

- Remi, jesteś tam?
- Jestem! - dobiegła przytłumiona odpowiedź.
- Chyba coś mam!
- Idę.

Usłyszał, jak Remi dopelza do niego, i zobaczył światło jej lampy czołowej padające na ściany i strop. Chwyciła go za łydkę i ścisnęła czule.

- Jak tam?

Chociaż Sam nie miał klaustrofobii, w ciasnych przestrzeniach musiał czasem ściśle kontrolować swój umysł. Tak było teraz. Remi mówiła mu, że to zła strona posiadania bujnej wyobraźni. Ewentualności stają się prawdopodobieństwami i bezpieczna jaskinia zamienia się w śmiertelną pułapkę, która może się zapaść w głąb ziemi przy najlżejszym tupnięciu.

- Sam, jesteś tu?
- Tak. Ćwiczyłem w myślach piosenkę Wilsona Picketta *In the Midnight Hour*.

Sam dobrze grał na fortepianie, a Remi na skrzypcach. Sporadycznie, gdy czas na to pozwalał, grywali w duecie. Choć utwory Picketta niełatwo wykonywać na instrumentach klasycznych, oboje uwielbiali amerykański soul i chętnie podejmowali to wyzwanie.

- Co odkryłeś? - zapytała Remi.

- Ze to będzie wymagało jeszcze mnóstwa ćwiczeń. A mój bluesowy głos potrzebuje więcej...

- Chodzi mi o to miejsce.

- A tak. Otwór.

- Prowadź. Ta przestrzeń jest za ciasna jak na mój gust. Sam uśmiechnął się, czego Remi nie widziała. Jego żona była nieoceniona. Chociaż nie miał kruchego ego, doskonale wiedziała, że danie mężczyźnie szansy na zachowanie twarzy to kobiecy

przywilej.

- Ruszajmy - rzekł i zaczął się czołgać naprzód. Dotarcie do otworu zajęło im zaledwie pół minuty. Sam wsunął głowę do środka i się rozejrzył.

- Okrągły dół o średnicy około trzech metrów - oznajmił. - Nie widzę dna, ale słyszę bulgot wody. To pewnie podziemna odnoga Bagmati. Dokładnie na wprost nas jest drugi otwór, ale co najmniej trzy i pół metra wyżej.

- Co za radość. A jakie są ściany?

- Ukośne stalagmity, największe grubości mniej więcej kija bejsbolowego, reszta o połowę cieńsza.

- Nie ma wygodnie rozmieszczonych drabinek z gwoździ kolejowych?

Sam omiół ściany światłem swojej lampy czołowej.

- Nie - odpowiedział. - Ale dokładnie nad moją głową dynda jakaś włócznia.

- Włócznia? - powtórzyła zdumiona Remi.

- Tak. Jest przymocowana do ściany czymś o wyglądzie rzemyka. Pod włócznią wisi odcinek rzemyka z przytwierdzonym kawałkiem drewna.

- Pułapka - stwierdziła Remi.

- Też tak myślę.

Widywali podobne pułapki do odstraszenia nieproszonych gości w grobowcach, fortcach i prymitywnych bunkrach. Bez względu na to, jak stara była ta, włócznia prawdopodobnie miała za zadanie przebić szyję niczego niepodważającego intruza. Ale co chroniła?

- Opisz tę włócznię - poprosiła Remi.

- Zrobię coś lepszego. - Sam przetoczył się na plecy, zaparł stopami o strop i wysunął górną część tułowia z otworu.

- Ostrożnie... - ostrzegła Remi.

- ...to moje drugie imię - dokończył Sam. - Ciekawe. Jest tylko jedna włócznia, ale jeszcze dwa punkty mocowania. Albo dwie inne włócznie odpadły, albo znalazły ofiary.

Sięgnął w górę, chwycił drzewce włóczni powyżej grotu i pociągnął. Rzemyk wydawał się na wpół zgniły, tymczasem okazał się zadziwiająco mocny. Ustąpił dopiero wtedy, gdy Sam szarpnął włócznię tam i z powrotem. Obrócił ją i popchnął w kierunku Remi.

- Mam ją - powiedziała. Po kilku sekundach dodała: - Nie jestem znawczynią broni, ale takiej włóczni jeszcze nie widziałam. Jest bardzo stara, przypuszczam, że ma co najmniej sześćset lat. Sfotografuję ją, na wypadek gdybyśmy nie mogli po nią wrócić.

Wyjęła aparat z plecaka i pstryknęła kilkanaście zdjęć. Kiedy to robiła, Sam rozejrzył się dokładniej.

- Nie widzę więcej pułapek. Próbuję sobie wyobrazić, jak to wyglądało w blasku pochodni.

- Przerazająco - odparła Remi. - Pomyśl. Przynajmniej jeden z twoich przyjaciół właśnie dostał włócznią w kark i runął do głębokiego dołu, a ty masz tylko chybotały płomień pochodni, żeby cokolwiek zobaczyć.

- Wystarczy, żeby zniechęcić nawet najodważniejszych - zgodził się Sam.

- Ale nie nas - odrzekła. - Jaki jest plan?

- Wszystko zależy od tych stalagmitów. Zabrałaś linę, którą zostawiliśmy na dole?

- Tak, mam ją.

Sam sięgnął w tył, a kiedy natrafił dłonią na rękę Remi, chwycił karabińczyk i przyciągnął zwój do siebie. Najpierw zawiązał na luźnym końcu węzeł ruchomy, potem stoperowy i dla obciążenia przyczepił karabińczyk. Przyjął taką pozycję, że jego ramiona wystawały z otworu, i rzucił linę przez dół, celując w jeden z większych stalagmitów kawałek poniżej wylotu przeciwległego tunelu. Chybił, wybrał linę i spróbował ponownie. Tym razem lasso opasało szczyt nacieku. Sam szarpał linę, dopóki pętla nie zsunęła się aż do podstawy stalagmitu, po czym zacisnął węzeł.

- Pomożesz mi w teście obciążeniowym? - zwrócił się do Remi. - Na trzy, ciągnij z całej siły. Jeden... dwa... trzy!

Oboje naprężyli linę, starając się oderwać stalagmit od ściany. Ani drgnął.

- Chyba jest okej - powiedział Sam. - Mogłabyś poszukać jakiejś szczeliny w ścianie?

- Szukam... Znalazłam.

Remi wsunęła do szczeliny frienda i przewlekła linę przez niego, a potem przez karabińczyk z zapadką blokującą.

- Naciągaj.

Sam ciągnął, a ona dosuwała karabińczyk do frienda, aż lina się naprężyła. Sam szarpnął ją na próbę.

- Wygląda, że jest dobrze.

- Chyba nie muszę mówić... - zaczęła Remi.

- Czego? Żebym był ostrożny?

- Tak.

- Nie musisz. Ale przyjemnie to usłyszeć.

- Powodzenia.

Sam chwycił oburącz linę i ruszył naprzód, przenosząc na nią wolno ciężar ciała.

- Jak friend?

- W porządku.

Sam wziął uspokajający oddech i wydobyl nogi z ciasnej przestrzeni. Zawisł w powietrzu, nie mając odwagi się ruszyć, gdy oceniał ugięcie liny, i nasłuchiwał, czy nie pęka skała. Po dziesięciu sekundach podciągnął nogi do góry, zarzucił kostki na linę i zaczął się posuwać nad dołem.

- Tutaj wszystko gra - zawołała Remi, kiedy pokonał połowę drogi.

Sam dotarł do przeciwległej ściany. Przełożył na stalagmit jedną rękę, potem drugą, wyrzucił nogi do góry i oparł prawą piętę na innym nacieku. Wygiął się, usiadł na szczycie stalagmitu i uniósł się powoli do poziomemu otworu. Następnie odepchnął się stopami od stalagmitu, szybko podciągnął na rękach i znalazł się wewnątrz ciasnej przestrzeni.

- Zaraz wracam - zawołał do Remi i zagłębił się w tunel. Pojawił się z powrotem po trzydziestu sekundach. - Wygląda dobrze. Rozszerza się.

- Idę - odpowiedziała.

Po dwóch minutach była przy otworze i Sam wciągnął ją do środka. Przez chwilę leżeli bez ruchu i cieszyli się, że są na twardym gruncie.

- To mi przypomina naszą trzecią randkę - powiedziała Remi.

- Czwartą - poprawił ją Sam. - Na trzeciej jeździliśmy konno. Wspinaliśmy się na czwartej.

Remi uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- A mówią, że faceci nie pamiętają takich rzeczy.

- Kto tak mówi?

- Ci, którzy cię nie znają. - Poświeciła dookoła lampą czołową. - Nie ma żadnych pułapek?

- Na razie nie. Będziemy uważać, ale jeśli się nie mylisz co do wieku tej włóczni, wątpię, żeby jakikolwiek mechanizm zwalniający jeszcze działał.

- Słynne ostatnie słowa.

- Pozwalam ci umieścić je na moim nagrobku. Chodźmy. Sam zaczął się czołgać, Remi tuż za nim. Zgodnie z jego zapowiedzią po kilku sekundach ciasna przestrzeń przeszła we wnękę w kształcie nerki o szerokości około sześciu metrów i wysokości półtora. W przeciwległej ścianie widniały trzy pionowe pęknięcia, żadne nie szersze niż pół metra.

Wstali i zgarbieni podeszli do pierwszej szczeliny. Sam poświecił lampą czołową do środka.

- Ślepy zaułek - oznajmił.

Remi sprawdziła drugą szczelinę: to samo. Trzecia, choć głębsza niż obie sąsiednie, też kończyła się po kilku krokach.

- Rozczarowanie - stwierdził Sam.

- Może nie - mruknęła Remi i ruszyła w prawo z lampą czołową wycelowaną w coś o wyglądzie poziomej żyły ciemniejszej skały na styku bocznej ściany ze stropem.

W miarę jak się zbliżali, żyła zdawała się nabierać wysokości, aż uświadomili sobie, że patrzą na tunel. Stojąc obok siebie, zajrzeli do rozpadliny, która wznosiła się pod kątem czterdziestu pięciu stopni za jakiś poszarpany garb na podłożu.

- Sam, widzisz to, co...

- Chyba tak.

Zza grzbietu wystawała podeszwa buta.

Rozdział 9

Wąwóz Chobar, Nepal

Brak bieżnika na podeszwie wskazywał, że but nie jest współczesny, a sterczące z przegniłej w nim dziury kości dużego palca od nogi świadczyły, że jego właściciel dawno opuścił ziemski padół.

- Czy to dziwne, że takie rzeczy już mnie nie szokują? - zapytała Remi, patrząc na stopę.

- Byłoby dziwne, gdyby cię szokowały - odrzekł Sam. - Natknęliśmy się w życiu na sporo szkieletów. Widzisz jakieś pułapki?

- Nie.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował.

Wspiął się na zbocze, przeszedł przez garb na podłożu i oświetlił lampą czołową przestrzeń dokoła.

- Czysto - zawołał. - Musisz to zobaczyć, Remi. Natychmiast dołączyła do niego. Uklękli i przyjrżeli się szkieletowi.

Chronione przed żywiołami i drapieżnikami szczątki częściowo się zmumifikowały w suchej jaskini. Okrywające je w większości skórzane odzienie pozostało prawie nietknięte.

- Nie widzę żadnych śladów urazów - powiedziała Remi.

- Wiek?

- Prawdopodobnie co najmniej czterysta lat.

- Jak włócznia.

- Zgadza się.

Sam dotknął skózanego rękawa.

- To wygląda na mundur.

- Słuszne spostrzeżenie - odparła Remi i wskazała pozostałości pochwy przy pasie, z której wystawała rękojeść sztyletu. Rozejrzała się wokół i mruknęła: - Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

- W domu, być może - rzekł Sam - ale czy najlepiej? Wszystko jest względne.

Kilka kroków od miejsca, gdzie leżał szkielet, tunel rozszerzał się we wnękę o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych. W kilku zagłębieniach wyłobionych w skale znajdowały się niedopałki prymitywnych świec, w naturalnym zagłębieniu u podstawy jednej ze ścian pozostały resztki ogniska, a obok leżała sterta małych zwierzęcych kości. W głębi zobaczyli coś, co przypominało posłanie, a przy nim miecz w pochwie, pół tuzina prymitywnie zaostrzonych włóczni, łuk i kołczan z ośmioma strzałami. Na podłożu wały się różne przedmioty: cebrzyk, zwój na wpół zgniłej liny, skórzana sakwa, okrągła tarcza z drewna i skóry oraz drewniany kufer.

- Najwyraźniej spodziewał się nieprzyjaznego towarzystwa - zauważył Sam. - To pomieszczenie ma wszelkie cechy ostatniej linii obrony. Ale czego?

- Może czegoś, co było w tej skrzyni - powiedziała Remi i przyklękła obok drewnianego kufra.

Sam podszedł i przyklękł obok niej. Skrzynia, idealny sześcian z ciemnego, grubo polakierowanego twardego drewna, miała wielkość małego pufa, skórzane pasy do przenoszenia jej z trzech stron i podwójne pasy na ramiona z czwartej strony. Fargowie nie mogli znaleźć żadnych zawiasów ani mechanizmów ryglujących. Spojenia były prawie niewidoczne. Na wieku wyryto cztery skomplikowane ideogramy, jedną parę pod drugą.

- Rozpoznajesz to pismo? - zapytał Sam.

- Nie - odparła Remi.

- Ten kufer jest doprawdy niezwykle - zauważył. - Nawet przy użyciu współczesnych narzędzi stolarskich wykonanie czegoś takiego wymagałoby nieprzeciętnych umiejętności.

Postukał knykciami w bok kufra.

- Nie wydaje takiego odgłosu, jakby był wydrążony. - Zakołysał delikatnie skrzynią. W środku coś cicho zagrzechotało. - Ale jest. I niewiele waży. Widzisz jeszcze jakieś oznaczenia? Bo ja nie.

Remi przyjrzała się dokładniej i pokręciła przecząco głową.

- Pokaż spód - poprosiła, a gdy Sam przewrócił kufer, oznajmiła: - Tu też nic.

- Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby go zbudować - stwierdził Sam - i wygląda na to, że nasz zmumifikowany przyjaciel był gotów oddać życie, by go ochronić.

- Jeśli to nie jest zwykły zbieg okoliczności - powiedziała Remi - możliwe, że znaleźliśmy to, czego szukał Lewis King.

- Jeśli tak, to jak Lewis go przeoczył? Był już tak blisko.

- Jeżeli nie udało mu się przepawić przez jamę, to czy mógł przeżyć? - zastanawiała się Remi.

- Tylko jedna osoba zna odpowiedź na to pytanie.

Fargowie zajęli się dokumentowaniem zawartości jaskini. Nie wiedzieli, kiedy tu wrócą, a niczego nie mogli zabrać ze sobą, więc musiały im wystarczyć zdjęcia, rysunki i notatki. Na szczęście, dzięki gruntownemu wykształceniu i wieloletniemu doświadczeniu, Remi była dobrze przygotowana do takiego zadania. Po dwóch godzinach mrówczej pracy oznajmiła, że skończyła. Już mieli wyjść, gdy nagle przyklękła obok tarczy i powiedziała do męża:

- Zaczekaj, muszę się temu przyjrzeć. Sam dołączył do niej.

- Czemu? - spytał.

- Tym zadrapaniom. Popatrz, załamują światło. Chyba... - Pochyliła się i dmuchnęła na skórzaną powierzchnię tarczy, by usunąć kurz.

- To nie zadrapania - rzekł Sam i też zaczął zdmuchiwać kurz z tarczy.

Rzekome zadrapania okazały się rysunkiem wypalonym na skórze.

- To chyba smok - powiedział Sam.

- Albo dinozaur. Pewnie jego herb albo godło formacji, w której służył.

Remi zrobiła kilkadziesiąt zdjęć rysunku, po czym wstała.

- Tyle wystarczy - orzekła. - A co z kufrem?

- Musimy go zabrać. Przeczucie mówi mi, że właśnie z jego powodu nasz przyjaciel zabarykadował się tutaj. Cokolwiek jest w środku, uważał, że warto za to umrzeć.

- Zgadzam się z tobą.

Gdy Sam przytroczył kufer do swojego plecaka, rozejrzeli się ostatni raz po wnęce, skinęli szkieletowi głowami i poszli.

Sam pierwszy doczołgał się do brzegu jamy i wyjrzał za krawędź.

- Mamy problem - oznajmił.

- Zechciałbyś to uściślić?

- Lina puściła na drugim końcu. Zwisa w głąb.

- Możesz zrobić węzeł...

- To nie zadziała. Jesteśmy powyżej przeciwległego otworu pod takim kątem, że jeśli spróbuję zacisnąć węzeł ruchomy, to się zsunie. Nie będzie jak napiąć liny.

- Więc zostaje nam tylko jedno. Zejście. Sam skinął głową.

Tylko chwilę zajęło mu przywiązanie się do liny. Kiedy to zrobił, Remi przygotowała drugi punkt asekuracyjny, wbijając hak w szczelinę tuż poniżej otworu.

Sam zaczął wolno zjeżdżać na linie. Przechodził po sterczących stalagmitach i wokół nich, a Remi czuwała na górze i od czasu do czasu mówiła mu, żeby przystanął albo zmienił pozycję, by zmniejszyć tarcie liny o nacieki.

Po kilku minutach ostrożnego schodzenia zatrzymał się.

- Jestem przy friendzie i mam dobrą wiadomość - rzekł. - Wyrwał się.

Teraz miał pod sobą osiemnaście metrów liny, ale nie wiedział, czy to wystarczy, by dotrzeć na dno. Gdyby czekała ich kąpiel w lodowatej wodzie Bagmati, musieliby wydostać się z niej w ciągu piętnastu minut, żeby nie dostać hipotermii.

- Biorę to za dobry omen - odparła Remi.

Sam ostrożnie ruszył dalej. Krok za krokiem opuszczał się coraz niżej, a blask jego lampy czołowej był stale malejącym prostokątem światła.

- Już cię nie widzę - zawołała Remi.

- Bez obaw. Jeśli spadnę, postaram się wydać odpowiednio głośny okrzyk przerażenia.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś krzyczał, Fargo.

- Trzymaj kciuki, żeby tak zostało.

- Jakie są ściany?

- Ob... Niech to szlag!

- Co się stało? Cisza.

- Sam!

- Wszystko gra. Po prostu na moment straciłem oparcie dla stóp. Ściany są oblodzone. Musi zamarzać mgiełka wodna z rzeki w dole.

- Bardzo źle to wygląda?

- Na ścianach jest tylko cienka warstewka. Ale nie można ufać stalagmitom.

- Wracaj na górę. Znajdziemy inną drogę.

- Schodzę niżej – odparł Sam. – Mam jeszcze dziewięć metrów liny.

Minęły dwie minuty. Blask jego lampy czołowej był już tylko świetlnym punktem, który poruszał się w ciemności, gdy okrążał stalagmity.

Nagle rozległ się trzask pękającego lodu. Lampa czołowa Sama zaczęła się obracać, błyskając jak stroboskop. Zanim Remi zdążyła otworzyć usta, żeby go zawołać, krzyknął:

- Wszystko gra. Tyle że wiszę do góry nogami.

- Jak to?

- Przekręciłem się w uprzęży. Ale mam też dobrą wiadomość: patrzę na wodę. Jest jakieś trzy metry poniżej mojej głowy i płynie z prędkością co najmniej trzech węzłów. I wygląda na to, że jest dość głęboka. Pewnie do pasa.

Chociaż trzy węzły to mniej niż tempo szybkiego marszu, głębokość i niska temperatura wody zwiększały ryzyko. Wystarczyłby jeden nieostrożny krok, żeby zostali porwani przez rzekę, a wysiłek potrzebny do utrzymania się w pionie przyspieszyłby proces hipotermii.

- Wracaj na górę! – zawołała Remi. – Bez dyskusji!

- Dobrze. Daj mi tylko chwilę na... Zaczekaj.

Z ciemności znów dobiegł trzask lodu, a po nim jakieś pluski.

- Odezwij się, Fargo.

- Daj mi jeszcze chwilę.

Pół minuty trzasków i plusków, a potem głos Sama:

- Znalazłem boczny tunel!

Po dziesięciu minutach Sam zawołał:

- Jest całkiem spory. Taki wysoki, że prawie można stanąć.

- Schodzę – odkrzyknęła Remi.

- Zaczekaj chwilę – poprosił. – Przygotuję punkt asekuracyjny.

Gdyby Remi wpadła do podziemnej rzeki, miałby dzięki temu spore szanse na wyciągnięcie jej; pod warunkiem że nie roztrzaskałaby się o jakieś skały w wodzie.

Kiedy skończył i zapał się, gotowy do naprężenia liny, Remi zaczęła się opuszczać. Lżejsza i zwinniejsza od męża, poruszała się szybciej, robiąc postoje tylko po to, żeby Sam zdążył wybrać linę przepuszczoną przez hak w punkcie asekuracyjnym.

W końcu pojawiła się w polu widzenia i zatrzymała na poziomie wylotu

bocznego tunelu. Oświetlając sobie nawzajem twarze lampami czołowymi, uśmiechnęli się do siebie.

- Fajnie cię widzieć – powiedział Sam.

- Cholera!

- Co?

- Założyłam się sama ze sobą, że powitasz mnie słowami: „Co taka piękna dziewczyna jak ty robi w tym dole prawie bez dna?”

Sam się roześmiał.

- Przykro mi, że przegrałaś zakład. Za karę będziesz mu siała się zabawić w Supermana i odepchnąć od przeciwległej ściany. Ale bez obawy, złapię cię.

Remi wyregulowała swoją uprząż tak, że zawisła prostopadle do dołu, a następnie wygięła się i wolno rozhuściła, by dosięgnąć palcami nóg do ściany. Po trzech bujnięciach podkurczyła nogi i odepchnąwszy się energicznie, poszybowała w stronę wlotu do tunelu. Gdy znalazła się wystarczająco blisko, Sam chwycił ją za wyciągnięte ręce i zatrzymał.

- Mam cię! – powiedział. – Złap się mojego lewego nad garstka.

Zrobiła to, a wtedy Sam poluzował linę prawą ręką, żeby Remi mogła się wspiąć po jego ramieniu. Gdy jej tułów znalazł się w tunelu, cofnął się i wciągnął ją do środka. Opadł na plecy z westchnieniem ulgi.

Remi się roześmiała. Sam podniósł głowę i rzucił jej pytające spojrzenie.

- Zabierasz mnie w uroczyska – wyjaśniła.

- Gdy stąd wyjdziemy, obiecuję ci gorącą kąpiel z bąbelkami. Dla dwojga.

- Czytasz w moich myślach.

Tunel był dwa razy szerszy niż rozpiętość ramion i na tyle wysoki, że Sam mógł iść, tylko lekko się garbiąc, ale jego dno przypominało ser szwajcarski – roilo się w nim od dziur, przez które widzieli wzburzoną powierzchnię rwącej rzeki poniżej. Podmuchy zimnego powietrza i kryształki lodu wystrzeliwały w górę przez otwory w podłożu i tworzyły mgłę, która kłębiła się w świetle ich lamp czołowych. Ściany i strop pokrywała warstewka lodu. Cienkie jak ołówki sople odrywały się raz po raz od stropu i rozbijały o dno z dźwiękiem gongów wiatrowych.

- Nie chcę psuć nastroju – powiedziała Remi – ale zakładamy, że ta droga dokądś prowadzi, tak?

- Oczywiście – odrzekł Sam.

- A jeśli się mylimy?

- To zawrócimy, wdrapiemy się na przeciwległy brzeg jamy i wycofamy drogą, którą przyszlismy.

Tunel był kręty i to wznosił się, to opadał, ale według wskazań kompasu Sama biegł mniej więcej na wschód. Fargowie na zmianę liczyli kroki, ale bez GPS-u do mierzenia przebytego dystansu mieli zaledwie mgliste pojęcie, jaką odległość pokonują.

Po mniej więcej stu metrach Sam zarządził postój. Znalazł stosunkowo równy fragment podłoża i oboje usiedli. Wypili po kilka łyków wody, zjedli jedną czwartą zapasów suszonego mięsa i owoców, a potem odpoczywali w milczeniu, słuchając kojącego szumu wody.

- Która godzina? - zapytała w pewnej chwili Remi. Sam spojrzął na zegarek.

- Dziewięta.

Informując Selmę, dokąd się wybierają, poprosili ją, żeby wszczęła alarm, jeśli nie wrócą do dziewiętej następnego ranka. Ale ile czasu zajmie lokalnym władzom zorganizowanie ekipy ratowniczej? Co najmniej kilka, jeżeli nie kilkanaście godzin. Niewątpliwą zaletą tunelu, w którym się znajdowali, było to, że się nie rozgałęział; gdyby postanowili zawrócić, bez problemu odnaleźliby drogę. Kiedy jednak powinni podjąć taką decyzję? Czy wyjście jest za następnym zakrętem, czy też kilometry stąd? A może w ogóle go nie ma?

Nie rozmawiali o tym. Nie musieli. Po spędzonych razem latach i wspólnie przeżytych przygodach rozumieli się bez słów.

- Trzymam cię za słowo w sprawie tej gorącej kąpieli z bąbelkami - odezwała się Remi.

- Zapomniałem ci powiedzieć: dodałem do niej masaż relaksujący.

- Mój bohater. Idziemy? Sam skinął głową.

- Dajmy sobie jeszcze godzinę - zaproponował. - Jeśli nie pojawi się wyjście z czerwonym dywanem, zawrócimy, odpoczniemy i przeprawimy się przez jamę.

- Zgoda - odparła Remi.

Przyzwyczajeni do ciężkich prób, bez trudu utrzymywali stały rytm: dwadzieścia minut marszu, dwie minuty postoju na odpoczynek, odczytanie wskazań kompasu i przestudiowanie mapy, i dalej w drogę. Dla oszczędności energii elektrycznej Remi wyłączyła swoją lampę czołową, a Sam ustawił swoją na minimalny pobór prądu, poruszali się więc w półmroku. Chłodne podmuchy spod dna tunelu wydawały się lodowate, a dźwięk spadających sopli działał im na nerwy.

W pewnej chwili Sam przystanął i Remi wpadła na niego.

- Czujesz? - szepnął.

- Co?

- Zimne powietrze.

- Przecież cały czas...

- Nie, nie to z dołu. Z przodu. Mogłabyś poszukać zapalniczki w moim plecaku?

Remi znalazła zapalniczkę i podała mu ją. Sam przeszedł parę kroków w poszukiwaniu solidnego kawałka podłoża między dziurami. Znalazł odpowiednie miejsce i pstryknął zapalniczką. Remi stanęła obok niego i zajrzała mu przez ramię. Żółty blask płasał po oblodzonych ścianach. Płomień chwilę chybotął, potem się wyprostował.

- Czekaj - mruknął Sam, nie odrywając wzroku od ognia.

Po pięciu sekundach płomień zakołysał się i przechylił w stronę jego twarzy.

- Tam! - zawołał, wskazując kierunek.

- Jesteś pewien? - zapytała Remi.

- Nie, ale powietrze wydaje mi się cieplejsze.

- Pobożne życzenie?

- Sprawdźmy.

Przeszli trzy metry, przystanęli i popatrzyli na płomień zapalniczki. Znów się przechylił. Pokonali jeszcze pięć metrów i powtórzyli czynności - z takim samym skutkiem.

- Słyszę szum - powiedziała Remi. - To chyba wiatr.

- Ja też.

Po następnych piętnastu metrach dotarli do rozwidlenia tunelu. Trzymając zapalniczkę przed sobą, Sam skręcił w lewą odnogę. Nic. Skierował się w prawo. Płomień zadrżał i o mało nie zgasł w silnym podmuchu.

Sam zdjął plecak.

- Zaczekaj tu - powiedział do żony. - Zaraz wrócę. Przełączył lampę czołową na najmocniejsze światło i zniknął w tunelu. Remi słyszała jego oddalające się kroki. Spojrzała na zegarek, odczekała dziesięć sekund i zawołała:

- Sam! Cisza.

- Sam, odezwij...

W ciemności na wprost pojawił się blask jego lampy czołowej.

- Przykro mi ... - zaczął Sam. Remi zwiesiła głowę.

- ...nie ma czerwonego dywanu - ciągnął - ale jest światło dzienne. Wystarczy?

Remi uniosła głowę i zobaczyła szeroki uśmiech na twarzy męża. Zmrużyła oczy i walnęła go w ramię.

- To nie było śmieszne, Fargo.

Rzeczywiście nie było czerwonego dywanu, ale były za to kręte schody wiodące w górę szybu, w którego wylocie widniała niewyraźna plama światła słonecznego.

Sam wspiął się na ostatni stopień i zobaczył krótki boczny tunel, tym razem nie w skale, lecz w ziemi. Przez gęstą trawę na jego przeciwległym końcu przeświecało słońce. Sam doczołgał się tam, przepchnął ramiona przez otwór i wyszedł na zewnątrz. Gdy po chwili dołączyła do niego Remi, oboje położyli się na miękkiej trawie i uszczęśliwieni wpatrzyli w niebo.

- Już prawie południe - zauważył Sam. - Spędziliśmy pod ziemią cały ranek.

Kilka minut później usiadł prosto, rozejrzał się, a potem nachylił do żony i szepnął:

- Zakłócenia radiowe. Krótkofalówka.

Wpełzł na wzniesienie tuż obok i wyjrzawszy zza szczytu, przyczołgał się z powrotem.

- Policja - oznajmił.

- Ekipa ratownicza? - zapytała Remi. - Kto mógł ich wezwać?

- Tylko zgaduję, ale prawdopodobnie nasza eskorta eksploracyjna, bliźnięta King.

- Skąd...

- Nie wiem. Może się mylę. Rozegrajmy to bezpiecznie. Wszystkie rzeczy, które mogłyby zdradzić, gdzie byli i co robili - kaski ochronne, lampy czołowe, plecaki, sprzęt wspinaczkowy, mapy Sama, aparat fotograficzny Remi i kufer zabrany z jaskini - wpełnęli z powrotem do tunelu i zasłonili wejście trawą.

Potem ruszyli na wschód wzdłuż wąwozu, kryjąc się między drzewami. W odległości pół kilometra od tunelu przystanęli i nasłuchiwali zakłóceń radiowych. Po chwili Sam opuścił krótkofalówkę i wskazawszy kilka postaci idących przez las jakieś sto metrów dalej, szepnął do żony:

- Zrób żalostną minę.

- Nie będę z tym miała najmniejszego problemu - odrzekła.

Sam otoczył usta dłońmi i krzyknął:

- Hej! Tu jesteśmy!

Rozdział 10

Wąwóz Chobar, Nepal

Drzwi celi otworzyły się ze skrzypnięciem. Strażnik zajrzał do środka, popatrzył na Sama, jakby podejrzewał go o chęć ucieczki, a potem odsunął się na bok i wpuścił Remi. Była ubrana w workowaty jasnoniebieski kombinezon, kasztanowe włosy miała związane w koński ogon, twarz zaróżowioną po myciu.

- Proszę siadać. Czekać - powiedział strażnik łamaną angielszczyzną i zatrzasnął drzwi.

Ubrany w podobny kombinezon Sam wstał od stołu, podszedł do żony i przytulił ją mocno. Odsunął się i zlustrowawszy ją spojrzeniem od stóp do głowy, oznajmił:

- Wyglądasz zachwycająco. Po prostu cudownie.

- Wariat - mruknęła z uśmiechem.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Znacznie lepiej. Zdumiewające, co może działać myjka i ciepła woda. To niezupełnie gorąca kąpiel, ale prawie.

Usiedli przy stole. Pomieszczenie, w którym ich zamknięto, nie było typową celą, lecz czymś w rodzaju aresztu. Stół i krzesła z grubego aluminium przyśrubowano do podłogi w takim samym jasnoszarym kolorze jak ściany. Przez zabezpieczone siatką wąskie okno widzieli pokój operacyjny, gdzie mundurowi policjanci odbierali telefony, pisali raporty albo zajmowali się innymi czynnościami służbowymi. Jak dotąd, poza kilkoma uprzejmymi, ale stanowczymi poleceniami w kiepskiej angielszczyźnie, żaden się do Fargów nie odezwał.

Zostali „uratowani” przed dwiema godzinami i zaproszeni na tył policyjnej furgonetki, która pomknęła na północny wschód w kierunku Katmandu. Sam i Remi obserwowali scenerię na zewnątrz w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki co do tego, gdzie wyłonili się z systemu jaskiń. Odpowiedź nadeszła, kiedy przejechali przez most nad wąwozem Chobar.

Po podziemnym marszu ku wolności wydostali się na powierzchnię zaledwie trzy kilometry od wejścia do jaskini. Uświadomiwszy to sobie, wymienili uśmiechy, a potem, ku zdumieniu dwóch policjantów siedzących na przodzie furgonetki, wybuchli głośnym śmiechem, który trwał pełną minutę.

- Wiadomo, kto wszczął alarm? - zapytała Remi męża.

- Nie. Ale o ile się orientuję, nie jesteśmy aresztowani.

- Na pewno nas przesłuchają. Co powiemy? Sam się zastanowił.

- Możliwie jak najwięcej prawdy - odparł. - Tuż przed wschodem słońca wybraliśmy się na całodniową wycieczkę. Niestety zabłądziliśmy i krążyliśmy po okolicy, dopóki nas nie znaleźli. Gdyby pytali o szczegóły, powtarzaj, że nie znasz

terenu. Niczego nam nie udowodnią; chyba że znajdą nasz ekwipunek.

- Miejmy nadzieję, że nie i że w końcu nas wypuszczą. Co wtedy?
- Będziemy musieli odzyskać... - Sam urwał i zmrużył oczy.

Remi powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Patrzył przez okno na drzwi pokoju operacyjnego. W progu stali Russell i Marjorie Kingowie.

- Nie powiem, żebym była zaskoczona - mruknęła.
- Ja też nie - odparł Sam.

Sierżant dowodzący funkcjonariuszami zauważył Kingów i natychmiast do nich podbiegł. Rozmawiali jakieś pół minuty, po czym sierżant krótko skinął głową i wrócił do pokoju operacyjnego, a Russell i Marjorie cofnęli się na korytarz.

Chwilę później drzwi pomieszczenia, w którym przetrzymywano Sama i Remi, otworzyły się i do środka wszedł sierżant w towarzystwie jednego ze swoich podwładnych. Usiedli naprzeciwko Fargów. Sierżant powiedział coś po nepalsku i skinął na podwładnego, który wyjaśnił mocno akcentowaną, ale przyzwoitą angielszczyzną:

- Mam tłumaczyć naszą rozmowę. Zgadzą się państwo?

Sam i Remi zgodnie pokiwali głowami. Sierżant znów się odezwał, a jego podwładny przetłumaczył:

- Proszę, żebyście potwierdzili swoją tożsamość.
- Czy jesteśmy aresztowani? - spytał Sam.
- Nie - odparł policjant. - Tylko czasowo zatrzymani.
- Na jakiej podstawie?

- Zgodnie z nepalskim prawem nie mamy obowiązku tego ujawniać. Proszę potwierdzić swoją tożsamość.

Fargowie zrobili *to* i przez kilka następnych minut odpowiadali na rutynowe pytania: W jakim celu przybyli do Nepalu? Gdzie mieszkają? Co ich skłoniło do odwiedzenia Katmandu?

Wreszcie sierżant przeszedł do rzeczy.

- Dokąd się wybieraliście dziś rano?

- W żadne konkretne miejsce - odpowiedziała Remi. - Po prostu dzień wydawał się idealny na wycieczkę.

- Zostawiliście samochód przy wąwozie Chobar. Dlaczego akurat tam?
- Bo słyszeliśmy, że to piękna okolica - wyjaśnił Sam.
- Kiedy przyjechaliście?
- Przed świtem?
- Czemu tak wcześnie? Sam się uśmiechnął.
- Jesteśmy niespokojnymi duchami.
- Co to znaczy?
- Lubimy mieć zajęcie - wyjaśniła Remi.
- Proszę nam powiedzieć, gdzie doszliście.

- Gdybyśmy wiedzieli - odparł Sam - to pewnie byśmy się nie zgubili.
- Mieliście przecież kompas. Dlaczego więc zabłądziliście?
- Wyrzucili mnie ze skautów - odpowiedział Sam.
- A ja jako skautka tylko sprzedawałam kruche ciasteczka - dodała Remi.
- Naprawdę uważacie, że to zabawne? Sam zrobił skruszoną minę.
- Przepraszamy. Jesteśmy zmęczeni i trochę zakłopotani. Dziękujemy, że nas znaleźliście. Kto was zawiadomił, że możemy być w tarapatach?

Policjant przetłumaczył pytanie. Jego przełożony coś burknął i funkcjonariusz powiedział:

- Sierżant prosi, żebyście ograniczyli się do odpowiedzi na pytania. Wspomnieliście państwo, że planowaliście całodniową wycieczkę. Bez plecaków?

- Nie spodziewaliśmy się, że będziemy iść tak długo - odrzekła Remi. - Nie umiemy zbyt dobrze planować.

Sam skinął głową ze smutkiem, żeby podkreślić słowa żony.

- Mamy uwierzyć, że wybraliście się na wędrowkę bez żadnego ekwipunku?

- Wziąłem ze sobą mój szwajcarski scyzoryk - zakpił Sam.

Kiedy sierżant usłyszał przekład, zgromił wzrokiem naj - pierw Sama, potem Remi, wstał i wyszedł z pokoju.

- Proszę tu poczekać - polecił policjant i zostawił ich samych.

Jak można było się spodziewać, sierżant ruszył przez pokój operacyjny do drzwi na korytarz. Fargowie widzieli tylko jego plecy; Russell i Marjorie byli niewidoczni. Sam wstał, podszedł do prawej krawędzi okna i przycisnął twarz do siatki.

- Widzisz ich? - spytała Remi.

- Tak.

- I?

- Bliźnięta nie wyglądają na zadowolone. Żadnych lizusowskich uśmiechów. Russell gestykułuje... O, to ciekawe.

- Co?

- Pokazuje kształt pudła... o takich samych wymiarach jak nasz kufer.

- To dobrze. Podejrzewam, że przeszukali okolicę, gdzie nas znaleźli. Russell nie pytałby o to, co już zostało znalezione.

Sam cofnął się od okna i wrócił na swoje miejsce.

Po chwili sierżant i jego podwładny weszli z powrotem do pokoju i kontynuowali przesłuchanie, wyraźnie próbując przyłapać Fargów na jakimś kłamstwie. Istota pytań pozostała ta sama: wiemy, że musieliście coś mieć ze sobą, gdzie to jest? Sam i Remi nie spieszyli się z odpowiedziami, trzymali swojej wersji i obserwowali nie bez satysfakcji, jak rośnie frustracja sierżanta.

W końcu posunął się do gróźb.

- Wiemy, kim jesteście i czym się zajmujecie - rzekł. - Podejrzewamy, że przyjechaliście do Nepalu w poszukiwaniu czarnorynkowych antyków.

- Na czym są oparte pańskie podejrzenia? - spytał Sam.
- Na pewnych informacjach, których źródła nie zamierzam zdradzać.
- Zostaliście źle poinformowani - odparła Remi.
- Jest kilka paragrafów, z których możecie zostać oskarżeni, a za ich łamanie grożą surowe kary.

Sam pochylił się do przodu i utkwiał wzrok w sierżancie.

- Proszę bardzo. Gdy tylko postawicie nam zarzuty, będziemy chcieli porozmawiać z attaché prawnym naszej ambasady.

Sierżant wytrzymał spojrzenie Sama przez długie dziesięć sekund, potem oparł się wygodnie i westchnął. Powiedział coś do swojego podwładnego, wstał i wyszedł z pokoju, walnąwszy otwartymi drzwiami w ścianę.

- Są państwo wolni - przetłumaczył policjant.

Dziesięć minut później, z powrotem we własnych ubraniach, Fargowie wyszli z posterunku policji. Zapadał zmierzch. Na pogodnym niebie, niczym brylantowe okruchy, zaczynały błyszczeć gwiazdy. Latarnie uliczne oświetlały brukowaną ulicę.

- Sam! Remi!

Oboje odwrócili się. Żadne nie było zaskoczone, kiedy zobaczyli Russella i Marjorie biegnących chodnikiem w ich stronę.

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że zostaliście zatrzymani - powiedział Russell. - Wszystko w porządku?

- Jesteśmy zmęczeni, ale poza tym wszystko gra - odparł Sam.

Już postanowili, że nadal będą się trzymać wersji o zabłądzeniu podczas wędrownki. Było to niebezpieczne, bo wszyscy doskonale wiedzieli, że Sam i Remi kłamią. Co Russell i Marjorie z tym zrobią? Było jasne, że Charlie King ma całkiem inny cel niż ten, który przedstawił Fargom, jaką zatem taktykę przyjmą teraz jego dzieci? Czego szuka King i co kryje się za zaginięciem Franka Altona?

- Podwieziemy was do waszego samochodu - zaproponowała Marjorie.

- Chcemy wrócić do hotelu - odrzekła Remi. - Samochód możemy zabrać rano.

- Lepiej pojedźmy po niego teraz - nalegał Russell. - Jeśli zostawiliście w środku sprzęt...

Sam nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nic w nim nie ma. Dobrej nocy.

Wziął Remi pod rękę, odwrócili się i ruszyli w przeciwnym kierunku.

- Zadzwonimy do was rano! - zawołał Russell.

- Nie dzwońcie, my zadzwonimy do was - odkrzyknął Sam, nie oglądając się za siebie.

Houston, Teksas

- Działaj ą na własną rękę - warknął Charles King i wyciągnął się w fotelu biurowym. Z sięgającego od podłogi do sufitu okna za jego plecami rozciągał się

wspaniały widok na miasto.

Russell i Marjorie, z którymi rozmawiał przez telefon głośnomówiący, nie odezwali się. Woleli nie przerywać ojcu. Jeśli będzie chciał coś wiedzieć, sam o to zapyta.

- Gdzie byli przez cały dzień, do cholery?

- Nie wiemy - odparł Russell. - Facet, którego wynajęliśmy do śledzenia ich, zgubił ich na południowy zachód od...

- Wynajęliście? Jak to, wynajęliście?

- To jeden z naszych ochroniarzy na wykopaliskach - wyjaśniła Marjorie. - Jest godny zaufania...

- Ale niekompetentny! Może zatrudnilibyście kogoś z jajami, co? Nie przyszło wam to do głowy? A w ogóle po co kogoś zatrudniać? Od czego wy jesteście?

- Byliśmy na wykopaliskach - tłumaczył Russell. - Przygotowujemy transport...

- Nieważne. To bez znaczenia. Czy Fargowie mogli być w systemie jaskiń?

- To całkiem możliwe - przyznała Marjorie. - Ale już go przeszukaliśmy. Nic tam nie ma.

- Jasne, jasne. Jeśli tam byli, to ciekawe, jak się o nim dowiedzieli? Macie pilnować, żeby dostawali tylko takie informacje, jakie chcemy. Rozumiemy się?

- Tak, tato - odpowiedzieli unisono Russell i Marjorie.

- Co z ich rzeczami?

- Przetrzepaliśmy je - odparł Russell. - Ich samochód też. Nasz człowiek w policji przesłuchiwał ich ponad godzinę, ale bez skutku.

- Przycisnął ich, na litość boską?

- Na ile mógł.

- Powiedział, że nic ich nie ruszało.

- Twierdzą, że *co* robili?

- Że zabłądzili podczas pieszej wycieczki.

- Bzdura! Rozmawiamy o Samie i Remi Fargach. Powiem wam, co się stało: coś schrzaniliście i Fargowie stali się podejrzliwi. Kołują was. Naślijcie na nich ludzi. Chcę wiedzieć, dokąd chodzą i co robią. Jasne?

- Możesz na nas liczyć, tato - zapewniła Marjorie.

- To byłaby miła odmiana - warknął King. - Na razie, nie zamierzam więcej ryzykować. Wysyłam wsparcie.

Pochylił się, sięgnął do telefonu głośnomówiącego i nacisnął przycisk przerywający połączenie. Po drugiej stronie biurka stała z założonymi rękami Zhilan Hsu.

- Jesteś dla nich za surowy, Charles - powiedziała cicho.

- A ty ich rozpieszczasz! - odparował.

- Do tego ostatniego incydentu z Fargami spisywali się dobrze.

King zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Być może, ale chcę, żebyś się tam wybrała i dopilnowała, żeby sprawa nie wymknęła się spod kontroli. Coś wkurzyło Fargów. Weź gulfstreama, leć tam i załatw ich. Tego Altona też. Jest już bezużyteczny.

- Możesz to sprecyzować?

- Dopilnuj, żeby Fargowie odegrali swoją rolę. Jeśli im się nie uda... Nepal to duży kraj. I jest tam mnóstwo miejsc, w których ludzie mogą zniknąć.

Rozdział 11

Hotel Hyatt Regency Katmandu, Nepal

Wczesnym rankiem telefon na nocnym stoliku Remi zaczął dzwonić.

- Sam, zrobiłeś to celowo? Zamówiłeś budzenie? Wiesz, która jest godzina?

Sam podniósł słuchawkę.

- Będziemy za czterdzieści pięć minut.

- Gdzie będziemy? - zapytała ostro Remi.

- Tak jak obiecałem: himalajski masaż gorącymi kamieniami dla ciebie i masaż głębokotkankowy dla mnie.

Remi uśmiechnęła się szeroko.

- Fargo, jesteś nieoceniony.

Wstała z łóżka i pobiegła do łazienki. Gdy po chwili rozległo się pukanie do drzwi, Sam poszedł otworzyć. Przyniesiono śniadanie, które zamówił poprzedniego wieczoru: dla Remi jej ulubioną zapiekankę z peklowanej wołowiny z jajkami w koszulkach, dla siebie jajecznicę z łososiem.

Zamówił też kawę i dwie szklanki soku z granatów.

Podczas śniadania zerkali raz po raz na tajemniczy kufer, który stał na kanapie naprzeciwko stołu. Kiedy skończyli jeść, Remi naląła drugą filiżankę kawy, Sam zadzwonił do Selmy.

- Sądzą państwo, że King kazał porwać Altona? - zapytała ich asystentka.

- Tak, żeby nas tu ściągnąć - odparła Remi i wypła łyk kawy.

- Ale po co? - zastanawiała się Selma.

- Fałszywa flaga - rzekł Sam i wyjaśnił: - To termin szpiegowski. Agent jest werbowany przez wroga udającego sojusznika. Wykonuje zadanie, którego cel jest zupełnie inny, niż myśli.

- Super - mruknęła Remi.

- Więc nie wiedzą, państwo, czy naprawdę szukają Lewisa Kinga. Ani nawet tego, czy go widziano - podsumowała Selma.

- Charlie nie robi na mnie wrażenia sentymentalnego. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nie szuka ojca, ale raczej tego, czego on szukał.

- Kufra, który państwo znaleźli? - domyśliła się Selma.

- Prawdopodobnie. Ale, jak powiedziałem, tylko zgaduję - zastrzegł Sam.

Poprzedniego wieczoru Fargowie nie wrócili bezpośrednio do hotelu. Z posterunku policji skierowali się na południe, a gdy zniknęli z widoku młodym Kingom, skręcili na północ i zatrzymali taksówkę. Sam polecił kierowcy kluczyć po mieście przez dziesięć minut i sprawdzał wraz z Remi, czy nikt ich nie śledzi.

Kiedy się upewnili, że nie mają ogona, Sam kazał taksówkarzowi jechać do wypożyczalni samochodów na południowych obrzeżach Katmandu. Wypożyczyli

poobijanego zielonego opla i godzinę później zatrzymali się na parkingu motelu nieopodal miejsca, w którym wyszli z tunelu. Zostawili samochód i resztę drogi pokonali pieszo.

Zapamiętali punkty orientacyjne na trasie, jaką wiozła ich policyjna furgonetka, więc bez trudu znaleźli wyjście z tunelu. Ich ekwipunek nadal leżał w środku, nietknięty.

- Wysyłam ci go FedEksem - powiedziała Remi do Selmy.

- Jeśli tego kufra szuka King - dodał Sam - lepiej, żebyśmy się go pozbyli. Poza tym, Selmo, lubisz zagadki; tą będziesz zachwycona. Rozwiąż ją, a kupimy ci tę rybkę do twojego naczynia...

- Do akwarium, panie Fargo. A ta rybka jest z rodziny pielęgnicowatych. Bardzo rzadka. Bardzo droga. Jej naukowa nazwa...

- Na pewno łacińska - dokończył Sam z udawaną powagą. - Otwórz naszą tajemniczą skrzynkę, to rybka będzie twoja.

- Nie musi mnie pan przekupywać, panie Fargo. To część mojej pracy.

- Więc uznaj to za wcześniejszy prezent urodzinowy - odparła Remi i uśmiechnęła się porozumiewawczo do męża: Selma nie lubiła świętowania urodzin, zwłaszcza swoich.

Selma szybko zmieniła temat.

- Odezwał się Rube. Wziął pod lupę Zhilan Hsu. Powiedział, że jest, cytując: „prawie niewidzialna”. Nie ma prawa jazdy ani kart kredytowych i nie figuruje w rejestrze żadnego urzędu, z wyjątkiem imigracyjnego. Przyjechała do Stanów z Hongkongu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym w wieku szesnastu lat, z wizą zezwalającą na pracę.

- Niech zgadnę - wtrącił Sam. - W koncernie King Oil.

- Zgadza się. I tu ciekawostka. Była wtedy w szóstym miesiącu ciąży. Zrobiłam obliczenia. Data porodu zbiega się z grubsza z datą narodzin Russella i Marjorie.

- Coraz bardziej nie lubię Charliego Kinga - powiedziała Remi. - Pewnie ją kupił.

- Prawdopodobnie - zgodził się Sam.

- Jaki będzie państwa następny krok? - spytała Selma.

- Jedziemy na uniwersytet. Dostaliśmy wiadomość od profesor Kaalrami, że skończyła tłumaczyć tekst dewanagari na pergaminie...

- lowa - poprawiła go Remi. - Powiedziała, że to pismo lowa.

- Racja, lowa - przytaknął Sam. - Jeśli dopisze nam szczęście, jej kolega rzuci trochę światła na grobowiec, który znaleźliśmy, albo przynajmniej wykluczy związek.

- A co z Frankiem Altonem?

- Jeżeli to King jest odpowiedzialny za jego porwanie, naszą jedyną szansą na uwolnienie Franka jest wywarcie nacisku. Jeśli King pomyśli, że znaleźliśmy to,

czego on szuka, będziemy na lepszej pozycji przetargowej. Na razie możemy tylko mieć nadzieję, że Król Charlie jest za mądry, aby zabić Franka.

Uniwersytet Katmandu

Po upewnieniu się, że nie są śledzeni, Fargowie znaleźli placówkę FedEksu i wysłali kufer. Urzędnik powiedział im, że przesyłka będzie kosztować sześćset dolarów, odleci z Katmandu wieczornym samolotem i dotrze do adresata w ciągu dwóch dni. Uznali, że to korzystna oferta, bo jeśli King rzeczywiście szukał kufra, znajdzie się on poza zasięgiem Russella i Marjorie. Oni sami nie mieli ani czasu, ani pomysłu na otwarcie go, lepiej więc, żeby trafił w ręce Selmy, Pete'a i Wendy.

Dotarli do kampusu parę minut po pierwszej i zastali profesor Kaalrami w jej gabinecie. Po wymianie uprzejmości usiedli wokół stołu konferencyjnego.

- To było prawdziwe wyzwanie - zaczęła Kaalrami. - Tłumaczenie zajęło mi prawie sześć godzin.

- Przepraszamy, że zajęliśmy pani tyle czasu - powiedziała Remi.

- Nie ma za co przepraszać - odparła profesor. - To było lepsze niż spędzenie wieczoru przed telewizorem. Lubię ćwiczenia umysłowe. Mam dla państwa pisemny przekład. - Podsunęła przez stół zadrukowaną kartkę papieru. - To dekret wojskowy, rozkaz wywiezienia Theuranga z Lo Manthang, stolicy Królestwa Mustangu.

- Kiedy powstał? - zapytał Sam.

- Z dokumentu to nie wynika - odpowiedziała Kaalrami. - Może mój kolega, z którym się spotkamy, będzie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. W tekście może być jakaś wskazówka, którą przeoczyłam.

- A ten Theurang?... - spytała Remi.

- Poza tym, że był nazywany również „Złocistym Człowiekiem”, nie wiem o nim nic więcej. Ale jak wspomniałam, mój kolega może wiedzieć. Mogę tylko podać przyczynę wydania dekretu: najazd. Jakaś armia zbliżała się do Lo Manthang. Dowódca armii Mustangu - odpowiednik dzisiejszego marszałka albo szefa sztabu - rozkazał specjalnej formacji żołnierzy nazywanych Strażnikami wywieźć Theuranga z miasta. Nie ma żadnego opisu, tylko nazwa.

- Dokąd wywieźć? - zapytał Sam.

- Dekret tego nie precyzuje, ale użyte kilka razy sformułowanie „zgodnie z rozkazem” sugeruje, że Strażnicy mogli dostać osobne, bardziej szczegółowe instrukcje.

- Coś jeszcze? - spytała Remi.

- Jedna rzecz zwróciła moją uwagę - odparła Kaalrami. - Autor dekretu wychwala gotowość Strażników do oddania życia za bezpieczeństwo Złocistego Człowieka.

- Typowy wojskowy język - zauważył Sam. - Mobilizująca przemowa generała

przed...

- Nie rozumiał mnie pan, panie Fargo. Zapewne użyłam niewłaściwego słowa. Nie chodzi o ich gotowość do oddania życia, tylko o pewność co do tego. Ktokolwiek napisał ten dokument, zakładał, że Strażnicy zginą. Nie spodziewał się, że któryś z nich wróci żywy do Lo Manthang.

Krótko przed drugą, porą umówionego spotkania z Sushantem Dharelem, kolegą profesor Kaalrami, opuścili jej gabinet i przeszli przez kampus do innego budynku. Zastali Dharela - chudego jak szczapa trzydziestokilkuletniego mężczyznę w spodniach khaki i białej koszuli z krótkimi rękawami - w wyłożonej boazerią sali, gdzie kończył wykład. Zaczekali, aż wszyscy studenci wyjdą, po czym profesor Kaalrami dokonała prezentacji. Kiedy Dharel usłyszał, co interesuje Sama i Remi, oczy mu rozblęły.

- Mają państwo ten dokument przy sobie? - zapytał.

- I przekład - odparła Kaalrami i wręczyła mu jedno i drugie.

Dharel przyjrzał się uważnie oryginałowi i tłumaczeniu, poruszając bezgłośnie wargami, gdy chłonał treść, i podniósł wzrok na Fargo.

- Gdzie państwo to znaleźli? Kto miał... - Urwał w pół zdania. - Proszę mi wybaczyć moje złe maniery. Zechcą państwo usiąść.

Sam, Remi i profesor Kaalrami zajęli miejsca w pierwszym rzędzie. Dharel wziął krzesło z za biurka i usiadł przed nimi.

- Jeśli można... Gdzie państwo znaleźli ten pergamin?

- Wśród rzeczy archeologa i podróżnika nazwiskiem Lewis King.

- Mojego przyjaciela sprzed wielu lat - dodała Kaalrami. - Z czasów, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie, Sushant. Sądzę, że mój przekład jest dokładny, ale nie potrafiłam wiele wyjaśnić państwu Fargo. Pomyślałam, że ty, jako znawca historii Nepalu, będziesz mógł pomóc.

- Oczywiście, postaram się - odparł Dharel i znów wpatrzył się w pergamin. Po pełnej minucie podniósł wzrok. - Bez obrazy, państwo Fargo, ale dla uproszczenia przyjmę, że nie znają państwo naszej historii.

- Słuszne przypuszczenie. - Sam się uśmiechnął.

- Muszę też zastrzec, że dużo z tego, co zamierzam państwu powiedzieć, jest przez wielu uważane bardziej za legendę niż historię.

- Rozumiemy - odparła Remi. - Proszę mówić.

- Dokument, który tu mamy, jest znany jako Dekret Himanshu. Został wydany w tysiąc czterysta dwudziestym pierwszym roku przez wojskowego dowódcę Dolmę. Tu na dole widać jego urzędową pieczęć. Wtedy było to powszechną praktyką. Pieczęcie i stemple wykonywano bardzo pieczołowicie i pilnie ich strzeżono. Wysoko postawionym osobom - zarówno wojskowym, jak i cywilom - często towarzyszyli żołnierze, których jedynym zadaniem była ochrona urzędowych pieczęci. Potrzebowałbym czasu, żeby potwierdzić lub podważyć pochodzenie tej

pieczęci, ale na pierwszy rzut oka wydaje się autentyczna.

- Z przekładu pani profesor wynika, że ten dekret to rozkaz przemieszczenia pewnego artefaktu - powiedział Sam. - Theuranga.

- Tak, zgadza się. Znanego również jako Złocisty Człowiek. I tu, niestety, historia miesza się z legendą. Mówi się, że Theurang to naturalnej wielkości posąg człekokształtnego stworzenia lub, zależnie od tego, kogo się zapyta, szkielet tego stworzenia. Theurang trochę przypomina złotego cielca z biblijnej Księgi Rodzaju, był bowiem uważany za szczątki ziemskiego... - Dharel urwał, szukając właściwego określenia. - Dawcy życia. Matki ludzkości, jeśli pan woli.

- Nie lada tytuł służbowy - zażartował Sam.

Dharel na chwilę zmarszczył czoło, potem się uśmiechnął.

- A tak, rozumiem. Ciężkie brzemię do dźwigania spoczywało na barkach Theuranga. W każdym razie, bez względu na to, czy jego istnienie to rzeczywistość, czy mit, Złocisty Człowiek stał się symbolem czczonym przez lud Mustangu, a także wielu Nepalczyków. Ale według legendy dom Theuranga to Lo Manthang.

- A przydomek „dawca życia” jest uważany za przenośnię czy rozumiany dosłownie? - spytała Remi.

Dharel wzruszył ramionami.

- Jak w wypadku każdej opowieści religijnej, interpretacja zależy od wierzącego. Moim zdaniem można śmiało przyjąć, że w chwili wydania Dekretu Himanshu przeważali zwolennicy tej drugiej.

- Co pan może nam powiedzieć o Strażnikach? - zapytał Sam.

- Byli elitą żołnierzy, odpowiednikiem dzisiejszych sił specjalnych. Według niektórych tekstów szkolono ich od najmłodszych lat tylko do strzeżenia Theuranga.

- Profesor Kaalrami zwróciła uwagę na sformułowanie „zgodnie z rozkazem”, użyte w związku z zadaniem przemieszczenia Theuranga, które mieli wykonać Strażnicy. Co pan o tym sądzi?

- Nie wiem nic na temat tego planu - odparł Dharel - ale o ile się orientuję, było tylko kilkudziesięciu Strażników. Każdy miał opuścić miasto z kufrem, żeby zmylić przeciwnika. W jednym z kufrów miał być rozłożony na kawałki posąg Theuranga.

Sam i Remi wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Tylko kilku najwyższych wojskowych i cywilnych dostojników wiedziało, który Strażnik wiezie relikwię - dodał Dharel.

- A co było w pozostałych kufrach? - zapytał Sam. Dharel pokręcił głową.

- Nie wiem. Może nic, a może repliki Theuranga. W każdym razie chodziło o to, żeby wywieść w pole ścigających. Wyposażeni w najlepszą broń i najszybsze konie Strażnicy mieli wyjechać z miasta i rozdzielić się, żeby rozproszyć pościg. Przy odpowiedniej dozie szczęścia Strażnik z Theurangiem zdołałby uciec i ukryć go w ustalonym wcześniej miejscu.

- Może pan opisać ich uzbrojenie?

- Tylko ogólnie: miecz, kilka sztyletów, łuk i włócznia.

- Nie istnieje żadna relacja, czy plan się powiódł?

- Nie.

- Jak wyglądały kufry?

- O ile wiem, nie istnieje żaden szczegółowy opis. Ale podobno kufry zostały bardzo przemyślnie skonstruowane, tak żeby za każdym razem, kiedy przeciwnik zdobędzie jeden z nich, będzie musiał spędzić dni lub nawet tygodnie na próbach otwarcia go.

- A pozostali Strażnicy mogli dzięki temu zyskać na czasie - dodał Sam.

- Dokładnie. Strażnicy nie mieli rodzin ani przyjaciół, których wróg mógłby wykorzystać przeciwko nim, i od najmłodszych lat ćwiczyli wytrzymałość na najgorsze rodzaje tortur.

- Zdumiewające poświęcenie - zauważyła Remi.

- W istocie.

- Może pan opisać Theuranga? - poprosił Sam. Dharel skinął głową.

- Jak już wspomniałem, miał podobno ludzkie rysy, ale ogólnie... zwierzęcy kształt. Jego kości zrobiono z najczystszej złota, a oczy z kamieni szlachetnych.

- Złocisty Człowiek - powiedziała Remi.

- Tak. Mam jego artystyczny wizerunek.

Dharel wstał, okrążył biurko i zaczął grzebać w szufladach. Pół minuty później wrócił z oprawioną w skórę książką i zaczął ją kartkować. Gdy znalazł odpowiednią stronę, podał książkę Fargom.

- Cześć, przystojniaku - szepnęła Remi, przyjrzawszy się wizerunkowi Theuranga.

Choć mocno stylizowana, ilustracja była prawie identyczna jak rysunek na tarczy, którą znaleźli w jaskini.

Godzinę później, już z hotelu, Fargowie zadzwonili do Selmy. Sam zrelacjonował jej ich wizytę na uniwersytecie.

- Zdumiewające - powiedziała, gdy skończył. - To epokowe odkrycie.

- Nie możemy przypisać go sobie - odparła Remi. - Przypuszczam, że Lewis King nas ubiegł. I dobrze się stało. Jeśli rzeczywiście spędził kilkadziesiąt lat na poszukiwaniach Theuranga, to jemu należy się uznanie - pośmiertnie, oczywiście.

- Więc zakładają państwo, że on nie żyje?

- Prawdopodobnie - odrzekł Sam. - Gdyby ktoś jeszcze znalazł ten grobowiec przed nami, zostałoby to ogłoszone.

Założono by tam stanowisko archeologiczne i zabrano zawartość.

- Lewis King musiał zbadać system jaskiń - ciągnęła Remi - wbić tamte gwoździe kolejowe, odkryć grobowiec i spaść podczas próby przeprawy przez jamę. Jeśli tak się stało, to jego kości są rozrzucone wzdłuż jakiegoś podziemnego dopływu Bagmati. Szkoda. Był tak blisko.

- Ale wyprzedzamy samych siebie - wtrącił Sam. - Znaleziony przez nas kufer może być jednym z wabików. To nadal znaczące odkrycie, ale nie epokowe.

- Dowiemy się - odparła Selma - jeśli, a raczej kiedy go otworzymy.

Gawędzili z Selmą jeszcze kilka minut.

- Co dalej? - zapytała Remi, gdy skończyli rozmowę.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam po dziurki w nosie odrażających bliźniąt King. Depczą nam po piętach, odkąd tu przyjechaliśmy. Pora zamienić się rolami z nimi i z Kingiem seniorem.

- Potajemna inwigilacja? - spytała Remi z błyskiem w oku.

Sam pokręcił głową.

- Twój zapal czasami mnie przeraża - rzekł.

- Uwielbiam potajemną inwigilację - odparła z uśmiechem.

- Wiem, że uwielbiasz, kochanie. Może mamy to, czego szuka King, a może nie. Spróbujmy go przekonać, że tak. Potrząśniemy trochę drzewem i zobaczymy, co spadnie.

Rozdział 12

Katmandu, Nepal

Wiedząc, że bliźnięta King nadzorują w Nepalu jeden z koncernów górniczych ich ojca, Selma w ciągu kilku godzin ustaliła szczegóły. Kopalnia badawcza, działająca pod szyldem jednej z wielu zależnych od Kinga firm, była zlokalizowana na północ od Katmandu, w dolinie Langtang.

Po następnej wyprawie do sklepu z nadwyżkami wojskowymi Sam i Remi załadowali sprzęt do bagażnika nowo wypożyczonego range rovera i ruszyli w drogę. Chociaż dochodziła piąta i do zmierzchu zostały niecałe dwie godziny, chcieli się urwać bliźniętom, które na pewno nie zamierzały zostawić ich w spokoju.

W linii prostej kopalnia leżała około pięćdziesięciu kilometrów na północ od miasta. Drogą było ponad trzy razy dalej – krótka jazda w każdym zachodnim kraju, ale w Nepalu całodzienna podróż.

– Sądząc po tej mapie – powiedziała Remi do męża, który siedział za kierownicą – to, co oni nazywają szosą, jest w rzeczywistości drogą gruntową, niewiele szerszą i lepiej utrzymaną niż ścieżka dla krów. Gdy minimy Trisuli Bazar, będziemy jechać drogami drugorzędnymi. Bóg jeden wie, co to znaczy.

– Daleko jeszcze do Trisuli? – spytał, zerkając na nią.

– Jeśli dopisze nam szczęście, będziemy tam przed zmrokiem... Uważaj, koza!

Sam spojrział na drogę i zobaczył kilkunastoletnią dziewczynkę, która przeprowadzała kozę na drugą stronę, całkowicie obojętna na to, że zbliża się samochód. Wcisnął hamulec. Range rover zatrzymał się z poślizgiem w tumanie brunatnego kurzu. Dziewczynka podniosła wzrok, uśmiechnęła się i pomachała Fargom. Odwzajemnili uśmiech i gest.

– Kolejne przypomnienie – skomentował Sam. – W Nepalu nie ma przejść dla pieszych.

– I kozy mają pierwszeństwo – dodała Remi.

Wkrótce znaleźli się u podnóży wzgórz otaczających miasto. Po prawej stronie drogi ciągnęły się tarasowe pola uprawne, kontrastujące zielenią z nagimi brunatnymi zboczami. Na lewo od nich rzeka Trisuli, wezbrana po wiosennych roztopach, pieniała się wśród głazów. Skalny rumosz i muł nadawały wodzie barwę ołowiu. Gdzieś widzieli skupiska chałup na tle odległej linii drzew. Daleko na północy i zachodzie wznosiły się himalajskie szczyty, poszarpane czarne wieże uwieńczone śnieżnymi czapami.

Dwie godziny później, gdy słońce chowało się za górami, dotarli do Trisuli Bazar. Kusilo ich, żeby przenocować w jednym z hosteli, ale w końcu zrezygnowali z tego pomysłu. Choć wydawało się mało prawdopodobne, żeby Kingowie szukali ich akurat tutaj, woleli zakładać najgorsze.

Pilotowany przez Remi, Sam wyjechał z miasteczka i skręcił w lewo w wąską drogę dojazdową opisaną na mapie jako „punkt orientacyjny dla trekkerów”. Kilka minut później znaleźli się na owalnej polanie otoczonej podobnymi do jurt chatami. Sam zatrzymał rovera, zgasił reflektory i wyłączył silnik.

- Widzisz kogoś? - zapytał, rozglądając się dookoła.

- Nie. Wygląda na to, że jesteśmy sami.

- Chata czy namiot?

- Szkoda byłoby nie wykorzystać tego ohydneho patchworkowego namiociku, za który zapłaciliśmy tyle forsy - odparła Remi.

- To mi się podoba.

Rozbili obóz kilkaset metrów za chatami w kępie sosen. Kiedy Remi skończyła rozwijać śpiwory, Sam rozpałił ognisko. Przejrzał ich prowiant i zapytał:

- Liofilizowany kurczak teriyaki czy... liofilizowany kurczak teriyaki?

- Cokolwiek, byle szybko - odparła. - Chcę się położyć. Głowa mnie strasznie boli.

- To przez rozrzedzone powietrze. Jesteśmy na wysokości ponad dwóch tysięcy siedmiuset metrów. Jutro będzie lepiej.

Sam przygotował obie porcje paczkowanego jedzenia w ciągu kilku minut. Kiedy skończyli kolację, zaparzył herbatę ulung. Siedzieli przy ognisku i patrzyli na tańczące płomienie. Gdzieś wśród drzew pohukiwała sowa.

- Jeśli King szuka Theuranga, to ciekawe, z jakiego powodu - odezwała się Remi.

- Nie mam pojęcia - odparł Sam. - Tak samo jak nie wiem, po co to całe kręcenie. I te idiotyczne przepychanki z jego dziećmi.

- Charlie King to potężny człowiek z ego wielkości Alaski...

- I despota lubiący rządzić innymi.

- Może po prostu tak działa. Nikomu nie ufa i trzyma wszystko żelazną ręką.

- Niewykluczone, że masz rację. Ale cokolwiek nim kieruje, nie zamierzam oddawać mu czegoś o takim znaczeniu historycznym jak Theurang.

Remi skinęła głową.

- Podejrzewam, że Lewis King by się z tobą zgodził - żywy czy martwy. Chciałby przekazać Theuranga Muzeum Narodowemu Nepalu albo jakiemuś uniwersytetowi.

- Krótko mówiąc - podsumował Sam - nie możemy dopuścić, żeby Charlie go zdobył. A jeśli to on kazał porwać Franka, musimy się postarać, żeby za to zapłacił.

- On się nie podda bez walki - powiedziała Remi.

- My też nie.

- Mówisz jak mężczyzna, którego kocham. Sam otoczył żonę ramionami i przytulił.

Następnego dnia wstali przed świtem, zjedli szybkie śniadanie, spakowali się i o siódmej ruszyli w dalszą drogę. Kiedy minąwszy osady Betrawati, Manigaun,

Ramche i Thare, znaleźli się wyżej, zielone tarasowe pola i monochromatyczne wzgórza ustąpiły miejsca gęstym lasom i wąskim wąwozom. Po krótkim lunchu w malowniczej scenerii pojechali dalej i godzinę później dotarli do nieoznakowanej bocznej drogi na północ od Boka Jhunda. Droga, niewiele szersza od range rovera, biegła wśród gęstej roślinności i wyglądała jak tunel.

- Czuję się, jakbym miał deja vu - powiedział Sam. - Jechaliśmy identyczną drogą kilka miesięcy temu na Madagaskarze.

- Rzeczywiście jest bardzo podobna - zgodziła się Remi. Powiodła palcem wskazującym po mapie. - Obóz górniczy jest niecałe dwadzieścia kilometrów na wschód. Prowadzi do niego lepsza droga, która zaczyna się kilka kilometrów na północ stąd, ale jeżdżą nią samochody z obozu.

- Czyli lepiej zakraść się od tyłu - podsumował Sam. - Masz jakieś wiadomości?

Remi sięgnęła po telefon satelitarny, sprawdziła i skinęła głową. Odsłuchiwała wiadomość.

- Od profesora Dharela - powiedziała do męża. - Wykonał kilka telefonów. Pewien historyk z Lo Manthang, uważany za najlepszego w kraju znawcę dziejów Mustangu, zgodził się z nami spotkać.

- Kiedy?

- Kiedy tylko się tam zjawimy.

Sam zastanowił się i skinął głową.

- Nie ma problemu. Jeśli w obozie górniczym nie złapią nas ludzie Kinga, powinniśmy dotrzeć do Lo Manthang za trzy, cztery tygodnie.

Powiedziawszy to, wrzucił bieg i nacisnął gaz.

Droga robiła się coraz bardziej stroma i kręta, więc mimo całkiem przyzwoitej średniej prędkości piętnastu kilometrów na godzinę czuli się jak w kolejce górskiej. Od czasu do czasu przez gęstą roślinność dostrzegali wąwozy, rwące rzeki i poszarpane wypiętrzenia skalne.

Po prawie półtoragodzinnej jeździe Sam pokonał wyjątkowo ciasny zakręt.

- Drzewa! - krzyknęła Remi.

- Widzę je - odparł, już hamując.

Przed przednią szybą ukazała się ściana zieleni.

- Powiedz mi, że Selma się pomyliła - poprosił Sam.

- Niestety, nie ma takiej możliwości.

Oboje wysiedli, dali nura w zarośla i przedarli się do przedniego zderzaka.

- I żadnego parkingowego - mruknął Sam. Po chwili Remi oznajmiła:

- Natrafiłam na ścieżkę.

Sam dołączył do żony i popatrzył na wąski, zryty szlak, który po kilku metrach zniknął między drzewami. Wyjął kompas, a Remi zorientowała się według mapy.

- Trzy kilometry - powiedziała.

- Przekładając to na nepalskie odległości, jakieś dziesięć dni - mruknął.

- Mniej więcej - zgodziła się.

Szlak doprowadził ich wieloma opadającymi zakosami do rzeki. Płynąca z północy na południe woda rozpryskiwała się na omszałych głazach, więc w ciągu zaledwie kilku sekund mokra mgiełka przemoczyła Sama i Remi.

Ruszyli w dół rzeki i po kilkunastu minutach dotarli do miejsca, gdzie zobaczyli wiszący drewniany most, niewiele szerszy od ich ramion. Otaczające go pnącza i gałęzie zasłaniały drugi brzeg.

Sam zdjął plecak, zacisnął dłonie na linach służących za balustrady i ostrożnie wszedł na most. Przed każdym krokiem szukał stopą pęknięć i luźnych desek, więc poruszał się bardzo wolno. Kiedy dotarł do połowy, podskoczył na próbę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła przerażona Remi.

- Bez obawy - odpowiedział. - Jest wystarczająco mocny.

- Nie rób tego więcej. - Remi zmarszczyła brwi. - Nie mam ochoty na zimną kąpiel.

Roześmiał się i wrócił do niej.

- Chodź, utrzyma nas - zapewnił.

Włożył plecak i poprowadził Remi przez most. Wkrótce znaleźli się na drugim brzegu.

Przez następną godzinę szli krętym szlakiem, który wił się wśród zalesionych zboczy i przez wąwozy. W końcu drzewa zaczęły się przerzedzać. Wspięli się na grzbiet i niemal natychmiast usłyszeli warkot silników i sygnały ostrzegawcze cofających się ciężarówek.

- Padnij! - wychrypiał Sam. Rzucił się na ziemię i pociągnął Remi za sobą.

- Co jest? - spytała. - Nie widziałam niczego...

- Pod nami - odpowiedział.

Pokazał jej, żeby ruszyła za nim, i wczołgał się w zarośla. Po pięciu metrach zatrzymał się, zerknął za siebie i gestem przywołał Remi. Gdy dopełzła do niego, rozchylił krzaki koniuszkami palców.

Dokładnie pod nimi był kilkunastometrowy wykop o szerokości około dwustu i długości prawie czterystu metrów. Miał idealnie pionowe ściany, po ubitych trasach na jego dnie jeździły tam i z powrotem żółte spychacze, wywrotki i wózki widłowe, a wzdłuż krawędzi robotnicy z łopatami i kilofami pracowali wokół znikających w ziemi tuneli. Na przeciwległym końcu wykopu była ziemna pochylnia, która prowadziła w górę na polanę, a dalej zapewne do głównej drogi dojazdowej. Wokół polany stały przyczepy mieszkalne i baraki z blachy falistej.

Sam rozejrzał się po terenie.

- Widzę ochroniarzy - powiedział. - Między drzewami na obrzeżach i na polanie.

- Są uzbrojeni? - spytała Remi.

- Tak. W karabiny szturmowe. Nie rozpoznaję typu, ale to na pewno coś

nowoczesnego. Jeszcze nie widziałem takiej kopalni badawczej. Chyba że w jakiejś republice bananowej.

Remi popatrzyła na zbocze wykopu.

- Jest trzynaście... nie, czternaście bocznych tuneli. Mieszczą się w nich tylko ludzie z ręcznymi narzędziami.

Spychacze i ciężarówki omijały brzegi wykopu, natomiast każdy wózek widłowy zatrzymywał się przy wylocie jednego z tuneli, zabierał przykrytą brezentem paletę, po czym kierował się do pochylni, wyjeżdżał na polanę i wkrótce znikał z widoku.

- Daj mi lornetkę - poprosiła Remi.

Sam wyjął lornetkę ze swojego plecaka i wręczył żonie. Obserwowała wykop przez pół minuty, po czym podała lornetkę mężowi.

- Popatrz na trzeci tunel na prawo od pochylni. Szybko, zanim go zasłonią.

Uniósł lornetkę do oczu.

- Widzę - rzekł po chwili.

- Przyjrzyj się palecie.

Sam zrobił to. Potem opuścił lornetkę i spojrzał na Remi.

- Co to jest, do cholery? - spytał.

- To nie moja specjalność - odparła - ale jestem prawie pewna, że to olbrzymi amonit. Typ skamieniałości, jak ogromny łodzik. To nie jest obóz górniczy, Sam. To są wykopaliska archeologiczne.

Rozdział 13

Dolina Langtang, Nepal

Wykopaliska? – powtórzył Sam. – Po co King miałby prowadzić wykopaliska?

– Nie mam pojęcia – odrzekła Remi – ale to, co się tu dzieje, jest łamaniem co najmniej kilkunastu paragrafów nepalskiego prawa. Oni bardzo poważnie traktują wykopaliska archeologiczne, zwłaszcza gdy chodzi o skamieniałości.

– Czarnorynkowy handel? – zgadywał Sam.

– To pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy – powiedziała Remi.

W ostatniej dekadzie nielegalne wykopaliska i sprzedaż skamieniałości stały się dochodowym interesem w całej Azji. Za głównego winowajcę uważano Chiny. Według raportu SPI – amerykańskiej organizacji zajmującej się ochroną dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego – z setek tysięcy wykonanych ze skamieniałości artefaktów sprzedanych na czarnym rynku zarekwirovano niespełna jeden procent i nikogo nie postawiono w stan oskarżenia.

– To ogromne pieniądze – ciągnęła Remi. – Prywatni kolekcjonerzy płacą miliony za nietknięte skamieniałości, zwłaszcza za takie okazy jak *Velociraptor*, *Tyrannosaurus rex*, *Triceratops*, *Stegosaurus*...

– Miliony dolarów to dla Kinga drobne.

– Masz rację, ale czy ten rzekomy obóz badawczy nie kwalifikuje się jako środek nacisku?

Sam się uśmiechnął.

– Owszem – przyznał – tyle że przyda nam się coś więcej niż zdjęcia. Co powiesz na małe podchody?

– Uwielbiam podchody.

– Do zmroku mamy jeszcze kilka godzin – powiedział Sam, zerknąwszy na zegarek.

Remi wyjęła z plecaka cyfrowy aparat fotograficzny.

– Wykorzystam światło dzienne, które nam pozostało.

Zachód słońca w Himalajach, być może dzięki jakiemuś złudzeniu optycznemu, wydaje się trwać całe godziny. Słońce zaczęło się chylić ku szczytom na zachodzie godzinę po tym, jak Sam i Remi przyczaili się w krzakach nad wykopem, ale dopiero po następnych dwóch zapadła całkowita ciemność i rozbłysły światła spychaczy i ciężarówek.

– Zwijają się – powiedział Sam, wskazując teren wykopalisk.

Robotnicy pracujący wzdłuż wykopu wylaniali się z tuneli i kierowali w stronę pochylni.

– Pracują od świtu do zmierzchu – zauważyła Remi.

– I pewnie za psie pieniądze – dodał Sam.

- Jeśli w ogóle coś zarabiają.

Na prawo od siebie usłyszeli trzask gałęzi. Znieruchomieli. Zapadła cisza, a potem rozległ się chrzęst żwiru pod butami. Fargowie położyli się płasko na ziemi i odwrócili głowy w kierunku, z którego dobiegał odgłos zbliżających się kroków.

Po dziesięciu sekundach na szlaku pojawił się mężczyzna w oliwkowym mundurze polowym i z karabinem szturmowym przy boku. Podeszedł do krawędzi wykopu, uniósł lornetkę do oczu i przez dłuższą chwilę obserwował wyrobisko. Potem opuścił lornetkę, wrócił na ścieżkę i wkrótce zniknął z widoku.

Fargowie unieśli się na łokciach.

- Widziałeś jego twarz? - zapytała Remi.

- Nie - odparł Sam. - Cały czas zastanawiałem się, co zrobić, jeśli na nas nadeprnie.

- To był Chińczyk.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Więc wygląda na to, że Charlie King ma współników. Ale jest też dobra wiadomość.

- Jaka?

- To nie była lornetka noktowizyjna. A skoro tak, musimy się martwić tylko o to, żeby nie wpaść na któregoś z nich w ciemności.

- Niepoprawny optymista - skomentowała Remi.

Gdy ostatni robotnicy i maszyny dotarli na górę po pochylni i zniknęli z widoku, Fargowie odczekali jeszcze pół godziny, by sprawdzić, czy nie pojawią się następne patrole.

Wreszcie uznali, że mogą się bezpiecznie przemieścić. Ponieważ nie zabrali ze sobą liny, musieli ją czymś zastąpić. Przez kilkanaście minut przeszukiwali poszycie leśne, aż znaleźli pnącze wystarczająco długie i mocne na ich potrzeby. Sam przywiązał jeden koniec do pnia pobliskiego drzewa i rzucił zwój za krawędź wykopu.

- Będziemy musieli zeskoczyć jakieś dwa i pół metra - uprzedził żonę.

- Wiedziałam, że szkolenie spadochronowe kiedyś mi się przyda - odparła. - Pomóż mi.

Zanim Sam zdążył się sprzeciwić, zsunęła dolną połowę ciała poza krawędź. Gdy zacisnęła lewą rękę na pnączu, chwycił ją za prawą.

- Do zobaczenia na dnie - powiedziała i zaczęła się opuszczać.

Szybko dotarła do końca liany, skoczyła na ziemię, wykonała przewrót przez bark i uklękła.

Sam poszedł w jej ślady. Dołączył do Remi chwilę później, też wykonawszy przewrót, choć nie z takim wdziękiem, jak ona.

- Ćwiczyłaś - mruknął.

- Owszem – potwierdziła. – Pilates i balet.
- O balecie pierwsze słyszę.
- W dzieciństwie – wyjaśniła i cmoknęła go w policzek. – Dokąd teraz?

Sam wskazał wylot najbliższego tunelu, pięćdziesiąt metrów na lewo od nich. Przebiegli schyleni wzdłuż wykopu i wśliznęli się do otworu.

- Rozejrzę się – powiedziała Remi i dała nura w głąb. Wróciła po kilku minutach.
- Mają tu parę okazów, ale nic rewelacyjnego – oznajmiła.
- Ruszamy dalej – rzekł Sam.

W następnym tunelu powtórzyli rozpoznanie z identycznym skutkiem i skierowali się do trzeciego korytarza. Byli trzy metry od wejścia, gdy na przeciwległym końcu wykopu rozbłysły trzy zamontowane na słupach lampy łukowe i wyrobisko załało ostre białe światło.

- Szybko! – zawołał Sam. – Do środka! Zatrzymali się z poślizgiem tuż za wejściem i padli na ziemię.

- Zauważyli nas? – spytała szeptem Remi.

- Myślę, że nie, bo pewnie już by do nas strzelali – odparł Sam. – Ale zaraz się okaże, czy mam rację.

Czekali ze wstrzymanymi oddechami na tupot nóg nadbiegających ludzi albo huk wystrzałów. Nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego w pobliżu pochylni kobiecy głos krzyknął jakiś rozkaz.

- Zrozumiałaś? – zapytał Sam. – To było po chińsku? Remi przytaknęła.
- Większość mi umknęła, ale chyba kazała kogoś przy prowadzić.

Podczołgali się kawałek i wyrzeli zza krawędzi wykopu. Czterej ochroniarze prowadzili w dół pochylni około dwudziestu pięciu robotników. Na czele kolumny szła drobna kobieta w czarnym kombinezonie. Kiedy grupa dotarła na dno wyrobiska, ochroniarze ustawili robotników w szeregu twarzami do kryjówki Fargów. Kobieta szła dalej.

Sam sięgnął po lornetkę i przyjrzał się jej, a potem zwrócił się do żony.

- Nie uwierzysz. To Przyczajona Tygrysica we własnej osobie. Zhilan Hsu.

Remi chwyciła aparat fotograficzny i zaczęła pstrykać zdjęcia.

Hsu nagle stanęła, odwróciła się do ustawionych w szeregu robotników i zaczęła coś krzyczeć, gwałtownie gestykulując. Remi przysłuchiwała się uważnie, próbując zrozumieć jej słowa.

- Mówi coś o złodziejach, kradzieżach i brakujących artefaktach.

Hsu przerwała swoją tyradę i wskazała oskarżycielskim gestem jednego z robotników. Ochroniarze natychmiast znaleźli się przy nim. Jeden uderzył go kolbą karabinu w lędźwie i posłał na ziemię, drugi postawił mężczyznę z powrotem na nogi i na wpół powłókł, na wpół poprowadził naprzód. Zatrzymali się przed Hsu. Ochroniarz puścił mężczyznę, który padł na kolana i zaczął coś mówić błagalnym głosem.

- Prosi o litość - wyjaśniła Remi. - Ma żonę i dzieci. Ukradł tylko jeden mały kawałek.

Zhilan Hsu, lekceważąc błagania nieszczęsnego robotnika, wyciągnęła pistolet zza paska, dała krok naprzód i strzeliła mężczyźnie w czoło. Przewrócił się na bok i znieruchomiał.

Hsu znów zaczęła mówić. Chociaż Remi już nie tłumaczyła, treść przemowy wydawała się oczywista: jeśli kradniesz, to nie żyjesz.

Ochroniarze zaczęli szturchać i popychać robotników z powrotem w górę pochylni. Hsu poszła za nimi i wkrótce w wykopie zostało tylko ciało zastrzelonego mężczyzny. Lampy łukowe zgasły.

Fargowie milczeli dłuższą chwilę, poruszeni tym, co się stało. W końcu Sam powiedział:

- Jeśli miałem dla niej jakieś współczucie, to właśnie je straciłem.

Remi skinęła głową.

- Musimy pomóc tym ludziom - oznajmiła.

- Wiem. Niestety, teraz nie możemy nic zrobić.

- Możemy porwać Hsu i nakarmić nią...

- Z największą przyjemnością - przerwał żonie Sam - ale wątpię, żeby nam się to udało bez wywołania alarmu. Nie dalibyśmy rady uciec. Najlepsze, co możemy zrobić, to donieść na Kinga.

Remi rozważyła słowa męża.

- Masz rację - orzekła. - Ale same zdjęcia nie wystarczą.

- Fakt, zdjęcia to za mało. W jednej z tych przyczep na polanie musi być biuro. Jeśli jest tu jakaś dokumentacja, znajdziemy ją tam.

Czekali, dopóki nie byli całkiem pewni, że zamieszanie się skończyło, a potem zbadali kolejno wszystkie tunele. Sam stał na czatach, Remi robiła zdjęcia.

- Znalazłam wspaniały okaz *chalikoterium* - powiedziała, wyłoniwszy się z jednego z korytarzy. - W prawie idealnym stanie.

- Okaz czego?

- *Chalikoterium*. To trójpalczasty ssak nieparzystokopytny z dolnego pliocenu, coś w rodzaju hybrydy konia i nosorożca. Te zwierzęta wymarły około siedmiu milionów lat temu. Są bardzo interesujące, naprawdę...

- Remi.

- Co?

- Może później. Uśmiechnęła się ze skruchą.

- Słusznie. Przepraszam.

- Ile jest wart?

- Tylko zgaduję, ale okaz w dobrym stanie może kosztować co najmniej pół miliona dolarów.

Sam zlustrował pochylnię i polanę w poszukiwaniu oznak ruchu, ale zobaczył

tylko jednego ochroniarza na patrolu.

- Coś mi mówi, że oni pilnują nie tyle tego, żeby ktoś się tu nie dostał, ile tego, żeby ktoś się stąd nie wydostał.

- Po tym, co widzieliśmy, muszę ci przyznać rację. Jaki mamy plan?

- Idąc nisko pochyleni, będziemy w martwym polu prawie do szczytu pochylni. Tam zaczekamy, aż ochroniarz przejdzie, a potem szybko pobiegniemy do pierwszej przyczepy po lewej stronie i damy nura pod nią. Jak już tam będziemy, pozostanie nam tylko odszukanie biura.

- Tak po prostu?

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Jak odebranie skamieniałości miliarderowi. Byłbym za pomniął. Mogę pożyczyć twój aparat fotograficzny?

Podala mu aparat. Sam wybiegł na środek wykopu i przyklęknął obok zwłok. Przeszukał kieszenie martwego mężczyzny, potem przetoczył go na plecy, zrobił zdjęcie jego twarzy i wrócił do Remi.

- Hsu zapewne każe zakopać tutaj ciało - powiedział. - Może przynajmniej uda nam się zawiadomić jego rodzinę, co się z nim stało.

Remi się uśmiechnęła.

- Jesteś porządnym człowiekiem, Samie Fargo.

Zaczekali, aż ochroniarz zniknie z widoku, i pobiegli wzdłuż ściany wyrobiska do pochylni. Pół minuty później leżeli na brzuchach blisko szczytu.

Mieli w polu widzenia całą polanę. Stało na niej osiem przyczep, trzy w szeregu z lewej strony i pięć szerokim półkolem z prawej. W zasłoniętych oknach przyczep po lewej paliło się światło, a ze środka dochodził szmer głosów. Z pięciu przyczep po prawej trzy najbliższe były oświetlone, dwie ostatnie ciemne. Teren na wprost Sama i Remi zajmowały cztery baraki magazynowe z blachy falistej; między nimi biegła główna droga prowadząca poza obóz. Oświetlało ją mdłe żółte światło lamp sodowych umieszczonych nad drzwiami baraków.

- Garaże dla ciężkiego sprzętu - domyśliła się Remi. Sam skinął głową.

- Gdybym miał zgadywać, w której przyczepie jest biuro, typowałbym, że w jednej z tych ciemnych.

- Ja też. Dotarcie tam będzie trudne.

Remi miała rację. Nie mogli skierować się prosto do celu, bo gdyby nagle pojawił się ochroniarz lub ktoś wyjrzał przez okno, zostaliby zauważeni.

- Podkradniemy się pod osłonę trzech pierwszych przyczep - zaproponował Sam.

- A jeśli biuro będzie zaryglowane?

- Nie martwmy się na zapas. - Sam spojrzął na zegarek. - Ochroniarz powinien się pojawić lada chwila.

Zgodnie z jego przewidywaniami dwadzieścia sekund później ochroniarz

wyłonił się zza rogu najbliższego baraku i ruszył w stronę trzech przyczep po lewej. Zlustrował każdą z nich w blasku latarki, przeciął polanę, oświetlił pozostałe pięć przyczep i zniknął z widoku.

Sam dał mu pół minuty, potem skinął na Remi. Wstali, wbiegli na szczyt pochylni i skręcili w prawo ku pierwszej przyczepie. Zatrzymali się przy tylnej ścianie i padli na ziemię za osłoną jednej z podpór.

- Widzisz coś? - spytał Sam.

- Czysto.

Podnieśli się i podkradli wzdłuż tylnej ściany do następnej przyczepy, gdzie znów przystanęli. Rozejrzeli się, wyteżyli słuch i ruszyli dalej. Kiedy się zatrzymali za trzecią przyczepą, Sam postukał w swój zegarek i wymówił bezgłośnie słowo „ochroniarz”. Przez ścianę nad głowami słyszeli męskie głosy i cichą muzykę, zapewne z radia.

Rozciągnęli się płasko na ziemi i znieruchomieli. Nie czekali długo. Strażnik wszedł na polanę i zaczął swoją inspekcję przy latarce. Kiedy zrównał się z ich przyczepą, wstrzymali oddechy. Snop światła omiótł ziemię pod przyczepą, na chwilę się zatrzymał, potem cofnął się do podpory zasłaniającej Sama i Remi i znów znieruchomiał. Sam ścisnął uspokajająco dłoń żony, co znaczyło: Czekaj. Nie ruszaj się.

Wydawało im się, że minęły całe minuty, choć w rzeczywistości nie upłynęło nawet dziesięć sekund, zanim snop światła przemieścił się dalej. Wkrótce kroki ochroniarza ucichły. Fargowie wstali ostrożnie i spoglądając to w lewo, to w prawo w poszukiwaniu oznak ruchu, przekradli się wokół przodu przyczepy i dotarli do drzwi.

Sam spróbował obrócić klamkę. Ustąpiła. Uśmiechnęli się do siebie z ulgą. Sam uchylił drzwi i zajrzał do środka. Cofnął się, pokręcił głową i wymówił bezgłośnie „zaopatrzenie”.

Przemieścili się do następnej przyczepy. Jej drzwi również były niezaryglowane. Sam sprawdził, co jest w środku, wystawił rękę na zewnątrz i gestem przywołał Remi. Weszła i ostrożnie zamknęła drzwi za sobą.

Tylną ścianę przyczepy zajmowały szafki na dokumenty i regały. Dwa poobijane szare metalowe biurka i takie same krzesła stały po obu stronach drzwi.

- Chyba już czas - szepnęła Remi. Sam spojrzął na zegarek i przytaknął.

Chwilę później światło latarki ochroniarza pojawiło się za oknami przyczepy, po czym znów zniknęło.

- Szukamy informacji - powiedział Sam. - Nazw firm, numerów kont, manifestów ładunkowych, faktur. Wszystkie go, co mogłoby zainteresować śledczych.

Remi skinęła głową.

- Musimy zostawić wszystko, jak jest. Jeśli czegoś będzie brakować, wiadomo,

na kogo spadnie wina.

- I kto zarobi kulkę. Słusznie. - Sam zerknął na zegarek. - Mamy trzy minuty.

Zaczęli od szafek na dokumenty. Zajrzeli do każdej szuflady, każdej teczki, każdej koszulki. Aparat cyfrowy Remi mógł pomieścić tysiące zdjęć, więc fotografowała wszystko, co wydawało się ważne.

Przed upływem trzech minut przerwali. Ochroniarz nadszedł, przeprowadził inspekcję i odszedł. Wznowili poszukiwania. Powtarzali ten cykl jeszcze cztery razy, aż wreszcie uznali, że zdobyli wszystko, co mogli.

- Czas iść - powiedział Sam. - Wrócimy do samochodu i...

Na zewnątrz zaczął wyc alarm. Fargowie zamarli na moment.

- Za drzwiami! - krzyknął Sam.

Przywarli do ściany. Z zewnątrz dobiegły dźwięki otwieranych gwałtownie drzwi innych przyczep, a potem odgłosy szybkich kroków i podniesione ludzkie głosy.

- Rozumiesz coś? - spytał Sam.

Remi zamknęła oczy i wytężyła słuch. Po chwili uniosła gwałtownie powieki i powiedziała:

- Chyba znaleźli naszego range rovera.

Rozdział 14

Dolina Langtang, Nepal

Zanim Sam zdążył odpowiedzieć, drzwi przyczepy otworzyły się z rozmachem. Sam zatrzymał je czubkami palców kilka centymetrów od ich twarzy. Jeden z ochroniarzy przestąpił próg i oświetlił latarką wnętrze. Sam zobaczył, jak mężczyzna zaczyna się odwracać w ich stronę.

Zatrzasnął biodrem drzwi, dał długi krok naprzód i kopnął ochroniarza w tył kolana. Kiedy mężczyzna upadł, Sam złapał go za kołnierz, dźwignął i walnął jego czołem w krawędź biurka. Ochroniarz jęknął i zwiotczał. Sam pociągnął go, zawlókł za drzwi, po czym przyklęknął i sprawdził mu tętno.

- Żyje, ale nieprędko się ocknie.

Przetoczył mężczyznę na bok, zdjął mu karabin z ramienia i wstał.

Remi popatrzyła na męża z uznaniem.

- To było w stylu Jamesa Bonda - orzekła. Sam wzruszył ramionami.

- Zwykły fart i metalowe biurko - powiedział z uśmiechem. - Kombinacja nie do pobicia.

Remi odwzajemniła uśmiech.

- Myślę, że zasługujesz na nagrodę.

- Później. Jeżeli będzie jakieś później.

- Wolałabym, żeby było. Masz jakiś plan?

- Kradzież samochodu - odparł. Podszedł do tylnego okna przyczepy i odciągnął zasłonę. - Ciasno, ale chyba damy radę.

- Sprawdź, co się dzieje z przodu - powiedziała Remi. - Ja się zajmę tylnym oknem.

Sam przeniósł się do przedniego okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Ochroniarze są na polanie. Około dziesięciu. Nie widzę Smoczycy.

- Pewnie tylko tu wpadła, żeby wykonać brudną robotę dla Kinga.

- Wygląda na to, że starają się coś postanowić. Lada chwila zorientują się, że jednego z nich brakuje.

- Okno otwarte - oznajmiła Remi. - Jest jakieś dwa i pół metra nad ziemią. Drzewa są w odległości około trzech.

- Równie dobrze możemy wyjść teraz, zanim się zorganizują - rzekł Sam. Zdjął z ramienia karabin zabrany ochroniarzowi i obejrzał go. - Supernowoczesny.

- Poradzisz sobie z nim?

- Bezpiecznik, spust, magazynek, dziura, z której wylatuje pocisk. Myślę, że tak.

Nagle alarm umilkł.

Sam podszedł do drzwi i zaryglował je.

- To może ich spowolnić.

Złapał najbliższe krzesło i zaniósł do tylnego okna. Remi weszła na nie i zaczęła się przeciskać przez wąski otwór. Kiedy znalazła się na dole, Sam poszedł w jej ślady.

Dali nura między drzewa i skierowali się w stronę baraku. Kilka metrów od jego tylnej ściany przystanęli i rozejrzeli się dookoła. Słyszeli, jak na polanie ochroniarze wciąż się przekrzykują.

Ruszyli dalej. Sam szedł przodem, wodząc lufą opuszczonego karabinu tam i z powrotem. Wkrótce dotarli do baraku.

- Drzwi - szepnęła Remi.

Sam skinął głową. Zamienili się miejscami i posuwali wzdłuż ściany, dopóki Remi nie dotknęła ramieniem ościeżnicy. Sięgnęła do klamki. Drzwi nie były zaryglowane. Uchyliła je ostrożnie, zajrzała do środka i cofnęła się.

- Dwie ciężarówki zaparkowane obok siebie. Wyglądają na wojskowe. Zielone, na bliźniakach, z plandekami i tylnymi klapami.

- Czujesz się na siłach prowadzić? - spytał Sam.

- Jasne.

- Wsiądź za kierownicę tej z lewej. Ja unieruchomię drugą i dołączę do ciebie. Bądź gotowa do odpalenia silnika.

- Okej.

Remi otworzyła drzwi nieco szerzej i wśliznęli się do środka. Byli w połowie drogi do ciężarówek, gdy usłyszeli tupot na zewnątrz. Schowali się za tyłem prawej ciężarówki.

- Czterech ludzi - powiedział Sam, wyrzawszy zza pojazdu. - Wsiadają po dwóch do ciężarówek.

- Część ich planu awaryjnego? - zgadywała Remi.

- Prawdopodobnie - odrzekł. - Okej, plan B. Jedziemy na gapę.

Prawie jednocześnie silniki ciężarówek obudziły się do życia.

Ostrożnie, żeby ich ciężar nie zaalarmował ochroniarzy, Fargowie wspięli się na zderzak i przeszli przez tylną klapę. Bieg wskoczył z głośnym zgrzytem i ciężarówka wyrwała do przodu. Sam i Remi zatoczyli się i padli na dno skrzyni ładunkowej.

Ich ciężarówka jechała pierwsza. Leżąc na pace w ciemności, którą rozpraszał tylko przeświecający przez połę plandeki blask reflektorów drugiej ciężarówki, Fargowie pozwolili sobie na pierwszy głęboki oddech od dziesięciu minut. Po obu ich stronach stały drewniane skrzynie różnej wielkości, przypasane do śrub oczkowych w dnie skrzyni ładunkowej.

- Udało się - szepnęła Remi.

- Trzymaj kciuki.

- Co to znaczy?

- Jestem prawie pewien, że to ciężarówka chińskiej armii.

- Chyba nie sugerujesz tego, co podejrzewam?

- Owszem. Wydaje się oczywiste, że King kombinuje z kimś w chińskim wojsku. Ochroniarze to Chińczycy, uzbrojeni prawdopodobnie w chińskie karabiny. I wiemy, co jest w tych skrzyniach.

- Ile jest stąd do granicy?

- Trzydzieści, może czterdzieści kilometrów. Mniej więcej cztery godziny jazdy.

- Mnóstwo czasu na odwrót.

- Pytanie, jak daleko od cywilizacji będziemy?

- Zaczynasz mi psuć nastrój - powiedziała Remi i położyła głowę w zagłębieniu ramienia Sama.

Mimo twardości podłogi i ciągłych podskoków przytłumiony warkot silnika ciężarówki działał na Fargów uspokajająco. Drzemali więc w półmroku, a Sam budził się co kilka minut, żeby spojrzeć na zegarek.

Po godzinie jazdy wyrwał ich ze snu głośny pisk hamulców. Sam usiadł prosto i wycelował karabin w tylną klapę. Remi też się podniosła z pytającą miną, ale milczała.

Ciężarówka zwolniła i stanęła. Reflektory drugiego pojazdu zgasły. Drzwi kabin się otworzyły i zatrzasnęły. Po obu stronach skrzyni ładunkowej rozległy się kroki. Umilkły przy tylnej klapie. Fargowie usłyszeli mówiące po chińsku męskie głosy i poczuli zapach dymu papierosowego.

Sam odwrócił się do żony i szepnął jej do ucha:

- Nie ruszaj się.

Gdy skinęła głową, wolno podkurczył nogi. Ukucnął, dał dwa krabie kroki w stronę tylnej klapy i wyteżył słuch. Po chwili pokazał Remi cztery palce - czterech ochroniarzy - wskazał swój karabin i wykonał gest w kierunku mężczyzn na zewnątrz.

Remi podała mu broń. Położył karabin w poprzek swoich nóg i pokazał jej, żeby przywarła płasko do podłogi. Zrobiła to.

Sam sprawdził, czy broń jest odbezpieczona, wziął głęboki oddech, sięgnął lewą ręką w górę, chwycił brezent i szarpnął w bok.

- Ręce do góry! - krzyknął.

Dwaj mężczyźni najbliżej zderzaka odwrócili się gwałtownie i natychmiast cofnęli. Wpadli na swoich kompanów, którzy usiłowali ściągnąć karabiny z pleców.

- Nie radzę! - ostrzegł Sami i uniósł broń do ramienia. Mimo bariery językowej żołnierze najwyraźniej zrozumieli ostrzeżenie, bo znieruchomieli w jednej chwili. Sam machnął kilka razy lufą. Domyślili się, o co mu chodzi, ściągnęli wolno karabiny z pleców i rzucili na ziemię. Sam kazał im gestami cofnąć się o kilka kroków, podszedł do tylnej klapy i zeskoczył na ziemię.

- Czysto - zawołał do Remi. Dołączyła do niego.

- Wyglądają na przerażonych - powiedziała.

- I dobrze - odrzekł Sam. - Im bardziej są przerażeni, tym lepiej dla nas.

Zechcesz czynić honory?

Remi zebrała karabiny i trzy wrzuciła na skrzynię ładunkową ciężarówki.

- Odbezpieczony? - zapytał Sam, wskazując głową czwartą.

- Chyba tak...

- Przesuń do góry dźwigię powyżej spustu po prawej stronie.

- Dobra. Okej.

Fargowie i czterej chińscy żołnierze przez dłuższą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem. W końcu Sam zapytał:

- Czy któryś z was zna angielski?

- Ja - odrzekł mężczyzna z prawej. - Trochę.

- Okej. Jesteście moimi więźniami. Remi westchnęła ciężko.

- Sam...

- Przepraszam. Zawsze chciałem to powiedzieć.

- Teraz, kiedy już to z siebie wyrzuciłeś, co z nimi zrobimy?

- Zwiążemy ich i... O, nie. Niedobrze.

- Co? - Remi zerknęła na męża.

Patrzył zmrużonymi oczami nad głowami żołnierzy na kabinę drugiej ciężarówki. Remi powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła siedzącą w środku postać, która nagle dała nura w dół.

- Źle policzyliśmy - mruknął Sam.

- Widzę.

- Wsiądź za kierownicę, Remi. Odpal silnik. Sprawdź, czy...

Nie czekając, aż dokończy, odwróciła się i popędziła w kierunku szoferki. Chwilę później silnik ożył. Czterej żołnierze przestąpili nerwowo z nogi na nogę i zerknęli jeden na drugiego.

- Wszyscy na pokład! - krzyknęła Remi przez okno kabiny.

- Idę, skarbie! - odkrzyknął Sam przez ramię. - Ruszać się! - zawołał do żołnierzy i wykonał gesty karabinem.

Mężczyźni odsunęli się na bok, odsłaniając chłodnicę ciężarówki.

Sam uniósł broń i wycelował.

Piąty mężczyzna, dotąd ukryty w kabinie drugiej ciężarówki, wychylił się przez okno kierowcy. Sam zobaczył zwracający się ku niemu karabin.

- Stój!

Mężczyzna nadal się odwracał, broń zataczała łuk.

Sam wycelował w przednią szybę i dwa razy nacisnął spust. Żołnierze się rozpięchli i dali nura w zarośla przy drodze. Sam usłyszał huk. Coś uderzyło w tylną klapę obok niego. Schylił się, rzucił za przeciwny zderzak, odwrócił z powrotem i posłał krótką serię w ciężarówkę z nadzieją, że trafi w chłodnicę lub kadłub silnika. Wykonał półobrót, podbiegł do drzwi pasażera, otworzył je i wspiął się do kabiny.

- Chyba nadużyliśmy ich gościnności - powiedział. Remi wrzuciła bieg i nacisnęła gaz.

Nie ujechali nawet stu metrów, gdy zorientowali się, że pociski Sama chybiły. W bocznych lusterkach zobaczyli blask reflektorów drugiej ciężarówki. Czterej żołnierze wybiegli z zarośli; dwaj wskoczyli na pakę, pozostali do kabiny. Ciężarówka wyrwała do przodu.

- Wąski most przed nami! - zawołała Remi.

Sam spojrzał na wprost. Choć oddalony o kilkaset metrów, most wyglądał na niewiele szerszy od ciężarówki.

- Prędkość, Remi - ostrzegł.

- Jadę naj szybciej, jak mogę.

- Chodzi mi o to, żebyś zwolniła.

- Żartujesz? Trzymaj się!

Ciężarówka wpadła w koleinę na drodze, zarzuciła, wyskoczyła do góry i wylądowała. Most rósł w oczach. Pięćdziesiąt metrów.

- No oczywiście - mruknęła Remi z irytacją. - To musiał być jeden z tych.

Choć szerszy i mocniej podparty, był tylko nieco większą wersją tamtego, przez który przeszli kilka godzin wcześniej.

Ciężarówka znów podskoczyła. Fargowie zostali poderwani z siedzeń i uderzyli głowami w dach kabiny. Remi jęknęła, zmagając się z kierownicą.

Byli już prawie na moście. Remi w ostatniej chwili nacisnęła hamulec. Rozległ się pisk i ciężarówka zatrzymała się z poślizgiem. Otoczył ich tuman kurzu.

Sam usłyszał zgrzyt skrzyni biegów, spojrzał w bok i zobaczył, jak jego żona wrzuca wsteczny.

- Co ty kombinujesz? - zapytał. Uśmiechnęła się ponuro.

- Staranuję ich.

- To ryzykowne.

- W przeciwieństwie do wszystkiego innego, co dziś zrobiliśmy?

Sam się poddał.

- Punkt dla ciebie.

Remi nacisnęła gaz. Z wyciem silnika ciężarówka zaczęła się cofać, szybko nabierając prędkości. Sam zerknął w boczne lusterko. Przez tuman kurzu, który wzbily opony przy ostrym hamowaniu, widział tylko blask reflektorów drugiej ciężarówki. Wychylił się przez okno i posłał w nią dwie trzystrzałowe serie. Ciężarówka skręciła i zniknęła mu z widoku.

Ze wzrokiem utkwionym w swoim lusterku Remi mówiła:

- Stają. Widzą nas. Cofają się.

Przez ryk silnika usłyszeli strzały i schylili się. Z głową poniżej deski rozdzielczej Remi przechyliła się w bok, żeby spojrzeć w lusterko. Ścigająca ich ciężarówka jechała pełnym gazem na wstecznym, ale wężykowała i wypadała z drogi.

- Przygotuj się na uderzenie! - krzyknęła Remi.

Sam wyciągnął się na siedzeniu i zaparł stopami o deskę rozdzielczą. Chwilę później ciężarówka zatrzymała się raptownie. Remi zerknęła w swoje lustro.

- Wylecieli z drogi.

- Wynośmy się stąd - przynaglił Sam.

Remi wrzuciła jedynekę i nacisnęła gaz. Znow ukazał się most.

- Wszystko na nic - oznajmiła Remi. - Wrócili na drogę.

- Ale uparciuchy - skomentował Sam. - jedź spokojnie przez chwilę - powiedział i otworzył drzwi.

- Sam, co ty...

- Będę z tyłu, gdybym był ci potrzebny.

Zawiesił karabin na szyi, przytrzymał się krawędzi otworu drzwiowego i zszedł na stopień. Wolną ręką chwycił boczną połą plandeki, szarpnął i zerwał ją. Złapał się pionowego wspornika, przełożył nogę przez burtę i wciągnął się na skrzynię ładunkową. Podpełził do tylnej ściany kabiny i otworzył odsuwaną szybę.

- Cześć - powiedział.

- Cześć. Trzymaj się mocno, zamykam twoje drzwi.

Remi skręciła gwałtownie w prawo, potem w lewo. Otwarte drzwi Sama się zatrzasnęły.

- Jaki masz plan? - spytała.

- Sabotaż. Jak daleko są?

- Pięćdziesiąt metrów. Dojedziemy do mostu za dziesięć sekund.

- Okej.

Doczołgał się do tylnej kłapy i znalazł po omacku jeden z leżących na podłodze karabinów. Podniósł go, rzucił swój i pospiesznie zebrał magazynki.

- Most! - krzyknęła Remi. - Zwalniam!

Sam czekał, dopóki nie usłyszał dudnienia kół ciężarówki na drewnianym moście. Wtedy wynurzył się spod tylnej poły plandeki, wycelował w nawierzchnię i otworzył ogień. Pociski trafiały w drewno i przebijały je na wylot. Sam schował się, zmienił magazynek i ponowił ostrzał, tym razem nie tylko nawierzchni mostu, ale również ścigającej ich ciężarówki, która właśnie na niego wjechała. Zobaczył pomarańczowe błyski z lufy wystawionej przez okno. Trzy pociski trafiły w tylną klapę poniżej niego. Rzucił się na podłogę. Następna seria podziurawiła tylną połą plandeki i posiekała ścianę kabiny.

- Sam?! - zawołała Remi.

- Nie udało się!

- Domyśliłam się.

- Co myślisz o bezsensownym niszczeniu afektów ze skamieniałości?

- Generalnie jestem przeciw, ale to wyjątkowa sytuacja!

- Zyskaj trochę na czasie.

Remi zaczęła na przemian hamować i przyspieszać, w nadziei że utrudni strzelcowi celowanie. Sam przetoczył się na brzuch, wymacał pierwszy pas mocujący skrzynie i rozpiął go. Szybko uporał się z pozostałymi. Podpełzł do tylnej klapy i zwolnił rygiel; opadła w dół.

- Bomby poszły - zawołał, wypychając pierwszą skrzynię. Odbiła się od nawierzchni mostu, uderzyła w przedni zderzak ciężarówki i rozleciała się. W powietrze pofrunęły drzazgi i siano.

- Zero efektu! - zawołała Remi.

Sam cofnął się, przywarł barkiem do całego stosu skrzyń, zaparł się stopami o ścianę kabiny i zaczął pchać. Skrzynie zaczęły przesuwac się ze zgrzytem po podłodze. Sam ugiął nogi i pchnął mocniej, niczym obrońca liniowy posuwający się na treningu za saniami blokującymi.

Stos zsunął się z paki i skrzynie zaczęły koziołkować w kierunku prowadzącej pościg ciężarówki. Sam nie czekał, żeby zobaczyć skutki, tylko zabrał się do spychania następnego stosu z paki.

Z tyłu dobiegł pisk hamulców, a potem brzęk tłuczonego szkła i zgrzyt metalu miażdżącego drewno.

- To ich załatwiło! - zawołała Remi. - Zatrzymali się! Sam podniósł się na kolana i spojrzał na nią przez tylne okno kabiny.

- Ale na jak długo? - wydyszał.

- Na tyle czasu - odparła z uśmiechem - ile zajmie im wyciągnięcie pół tuzina skrzyń spod podwozia.

Rozdział 15

Hotel Hyatt Regency, Katmandu, Nepal

Sam wyszedł z łazienki przepasany ręcznikiem, drugim wycierał włosy.

- Masz chęć na śniadanie? - zapytał.

- Umieram z głodu - odparła Remi, która siedziała przy stole przed lustrem i wiazała włosy w koński ogon.

- Zamówimy do pokoju czy zejdziemy do jadalni?

- Jest piękna pogoda. Zjedzmy na balkonie.

- Brzmi zachęcająco. - Sam podszedł do niskiego stolika w rogu, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. - Poproszę dwie porcje łososia, bajgla, jajka po benedyktyńsku, paterę owoców, tost z chleba na zakwasie i dzbanek kawy.

Zaczekał na potwierdzenie zamówienia, rozłączył się i zadzwonił do baru.

- Dwa ramos fizz proszę - powiedział. - Tak, ramos fizz.

- Wiesz, jak podjąć damę - stwierdziła Remi.

- Nie rób sobie nadziei. Barman nie potrafi tego przyrządzić.

Spróbował jeszcze raz.

- To może harveya wallbangera... Wallbangera... Wódka, galliano i sok pomarańczowy... Rozumiem, nie ma galliano. - Sam pokręcił głową i podjął trzecią próbę. - Więc niech pan przyśle butelkę veuve clicquot.

Remi się roześmiała.

- Naprawdę wiesz, jak podjąć damę.

- To wszystko, co pan może zrobić?... No dobrze, tylko niech będzie odpowiednio schłodzone. - Sam odłożył słuchawkę i zwrócił się do żony: - Nie ma szampana. Jedyna rzecz, jaka została po jakimś kongresie polityków, to chińskie wino musujące.

- Nie wiedziałam, że Chińczycy produkują cokolwiek musującego - powiedziała Remi.

Zadzwonił telefon. Sam odebrał.

- Moment. - Włączył głośnik i powiedział do aparatu: - Sie masz z rana, Rube.

- U kogo rano, u tego rano - odparł Rube. - Tu jest pora kolacji. Podobno ty i twoja piękna panna młoda rozkoszujecie się kolejnymi relaksującymi wakacjami.

- Wszystko jest względne - wtrąciła Remi. - Jak tam Kathy i dziewczynki?

- Świetnie. Są właśnie w rodzinnym centrum rozrywki Chuck E. Cheese. Wasz telefon uratował mnie przed udziałem w tej wyprawie.

Sam uśmiechnął się lekko.

- Nie zatrzymujemy cię. Możemy pogadać później.

- O, nie, przyjacielu. Nie ma nic ważniejszego niż to. Wierz mi. Okej, mów. Siedzicie w więzieniu? Z ilu paragrafów lokalnego prawa podpadliście?

- Nie siedzimy w więzieniu - odpowiedziała Remi. - Sam wszystko ci wyjaśni.

Poprzedniej nocy, po uziemieniu prześladowców na moście, jechali przez ciemność, szukając znaków drogowych lub punktów orientacyjnych, które Remi mogłaby porównać z mapą. Po kilku godzinach pokonali w końcu rozpoznawalną górską przełęcz - Laurebinę - i wkrótce potem dotarli do miejscowości Majhi Feda jakieś trzydzieści kilometrów na wschód od obozu. Tak jak się spodziewali, było tam ciemno i pusto, z wyjątkiem budynku z pustaków, który okazał się miejscowym barem. Mimo bariery językowej jakoś udało im się dobić targu z właścicielem: ich ciężarówka za jego samochód osobowy - trzydziestoletni pomarańczowy peugeot z plamami szarej farby podkładowej - i wskazówki, jak wrócić do Katmandu. Tuż przed świtem zatrzymali się na parkingu hotelu Hyatt Regency.

Rube wysłuchał opowieści Sama, a potem podsumował:

- Jeśli dobrze zrozumiałem, zakradliście się do obozu Kinga, byliście świadkami zabójstwa, rozprawiliście się z ochroniarzami, prawdopodobnie chińskimi żołnierzami z jakiegoś oddziału wartowniczego, i zabraliście im ciężarówkę załadowaną czarnorynkowymi skamieniałościami, które wykorzystaliście do zatrzymania pościgu. Zgadza się?

- Mniej więcej - odparł Sam.

- I zdobyliśmy jakieś trzydzieści gigabajtów informacji - dodała Remi.

Rube westchnął.

- Wiecie, co robiłem wczoraj wieczorem? Malowałem naszą główną łazienkę. A wy... Okej, prześlijcie mi te dane.

- Selma już je ma. Skontaktuj się z nią, to da ci link do bezpiecznej przechowalni plików w necie.

- Dobra. Moich szefów w Langley zainteresuje chiński wątek i na pewno znajdziemy w FBI kogoś, kto weźmie pod lupę działalność Kinga na czarnym rynku skamieniałości. Nie mogę obiecać, że coś z tego wyjdzie, ale zajmę się tym.

- Tylko o to prosimy - powiedział Sam.

- Bardzo możliwe, że King już kazał zwinąć interes. Teraz może to być po prostu opuszczone wyrobisko w środku lasu.

- Wiemy.

- A co z waszym przyjacielem Altonem?

- Mamy nadzieję, że znaleźliśmy to, czego szukał King - odparła Remi. - Zadzwonimy do niego po rozmowie z tobą.

- Król Charlie to szumowina - ostrzegł Rube. - Każdy, kto próbował go załatwić, kończył martwy albo zrujnowany, a on ciągle się trzyma.

- Coś nam mówi - odrzekła Remi - że to, co mamy, jest dla niego naprawdę ważne.

- Ten Theurock...

- Theurang - poprawiła Remi. - Złocisty Człowiek.

- Być może. Ale to ryzykowne - uprzedził Rube. - Jeśli się mylicie i Kinga guzik obchodzi ten Theurang, zostaną tylko podejrzenia o czarnorynkowy handel skamieniałościami, a nie ma gwarancji, że coś mu się udowodni.

- Wiemy - odparł Sam.

- Ale i tak zrobicie po swojemu.

- Owszem - potwierdziła Remi.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? A tak przy okazji, zanim zapomnę, dowiedziałem się jeszcze czegoś o Lewisie Kingu. Przypuszczam, że oboje słyszeliście o Heinrichu Himmlerze?

- Najlepszym przyjacielem Hitlera i nazistowskim psychopacie? - upewnił się Sam. - Znamy to nazwisko.

- Himmler i większość wysoko postawionych członków NSDAP mieli obsesję na punkcie okultyzmu, zwłaszcza w kontekście do wyższości aryjskiej rasy nad innymi. Himmler był bodaj najbardziej zaintrygowany tą kwestią. W latach trzydziestych i podczas drugiej wojny światowej sponsorował wiele wypraw naukowych w najodleglejsze zakątki świata w nadziei na znalezienie dowodów na poparcie twierdzeń nazistów. Jedną z ekspedycji, zorganizowaną w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, wysłano w Himalaje na poszukiwanie aryjskich korzeni cywilizacji. Chcecie zgadnąć nazwisko jednego z kierujących nią naukowców?

- Lewis King - domyśliła się Remi.

- Wtedy Lewes König.

- Ojciec Charliego Kinga był nazistą? - zapytał Sam, szczerze zdumiony.

- Tak i nie. Z moich źródeł wynika, że wstąpił do partii z konieczności, nie z przekonania. W tamtych czasach, jeśli chciałeś dostać fundusze od rządu, musiałeś należeć do partii.

Wielu naukowców wstępowało do partii i pobieżnie badało teorie nazistów, aby móc prowadzić na boku własne badania. Wszystko wskazuje na to, że Lewis King był jednym z nich. Guzik go obchodził aryjski rodowód.

- Więc dlaczego wziął udział w tamtej wyprawie?

- Nie wiem, ale bardzo możliwe, że szukał tego Złocistego Człowieka, którego wy znaleźliście w jaskini. Jeśli Charlie King nie kłamał, wygląda na to, że jego ojciec wyruszył w świat krótko po przybyciu do Stanów.

- Może podczas ekspedycji pod auspicjami Himmlera trafił na coś, co go zainteresowało - spekulował Sam.

- I nie chciał, żeby to wpadło w ręce nazistów - dodała Remi. - Nie zgłosił odkrycia, przeczekał wojnę i zajął się nim ponownie po latach.

- Mogło tak być - przyznał Rube. - Ale to nie wyjaśnia postępowania Charliego Kinga. Z tego, co o nim wiemy, wynika, że nigdy nie przejawiał najmniejszego zainteresowania pracą ojca.

- Może Theurang - zasugerował Sam - to dla niego po prostu jeszcze jedna

skamieniałość do sprzedania.

- Niewykluczone, że masz rację. Jeśli posąg rzeczywiście wykonano ze złota i kamieni szlachetnych, jest wart majątek.

- Czy nazistowska przeszłość ojca kiedykolwiek zaszkodziła Charliemu? - zapytała Remi.

- O ile mi wiadomo, nie - odparł Rube. - Zresztą jego sukces mówi sam za siebie. A biorąc pod uwagę bezwzględność Kinga, wątpię, żeby ktokolwiek odważył się do tego wracać.

- To się wkrótce zmieni - mruknął Sam. - Czas zakłócić spokój Króla Charliego.

Rozłączyli się, w ciągu kilku minut omówili strategię i Sam zadzwonił na bezpośredni numer Kinga. Miliarder odebrał po pierwszym sygnale.

- King.

- Tu Sam Fargo.

- Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz. Twoja piękna żona jest z tobą?

- Cała i zdrowa - odrzekła Remi słodkim głosem.

- Nasza współpraca się nie układa - powiedział King. - Dzieci mówią mi, że pogrywacie z nimi.

- Nie pogrywamy - zaprzeczył Sam. - Po prostu gramy w co innego niż wy. Charlie, kazałeś porwać Franka Altona?

- Porwać? Po co miałbym robić coś takiego?

- To nie jest odpowiedź - zauważyła Remi.

- Wysłałem Franka Altona do Nepalu, żeby wykonał tam dla mnie robotę. Wpakował się w tarapaty, wkurzył niewłaściwych ludzi. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

- To też żadna odpowiedź - odrzekł Sam. - Okej, idźmy dalej. Mamy to, czego szukasz...

- A co to takiego?

- To, czego szukasz i czego twój ojciec szukał całe życie. I jak się pewnie domyśliłeś, złożyliśmy wizytę w twoim obozie koncentracyjnym w dolinie Langtang.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Zrobiliśmy tysiące zdjęć - głównie dokumentów w biurze w przyczepie mieszkalnej - ale pstryknęliśmy też kilka fotek twojej żonie czy konkubinie, czy jak ją tam nazywałeś w zaciszu twojego gulfstreama. Traf chciał, że kiedy robiliśmy zdjęcia, ona akurat mordowała jednego z twoich pracowników. Mamy również fotografię jego twarzy.

Charlie King milczał przez dłuższą chwilę. W końcu westchnął.

- Moim zdaniem łżesz, Sam, ale mów dalej.

- Po kolei. Wypuść Franka...

- Już powiedziałem, że nie...

- Zamknij się. Wypuść Franka Altona. Jak otrzymamy od niego telefon, że nic

mu się nie stało i jest bezpieczny w swoim domu, spotkamy się z Russellem i Marjorie i dojdziemy do porozumienia.

- I kto teraz dużo mówi, niewiele mówiąc? - zapytał King.

- To jedyna umowa, jaką możemy z tobą zawrzeć.

- Wybacz, przyjacielu, ale odmawiam. Uważam, że Wetujesz.

- Jak chcesz - odrzekł Sam i się rozłączył.

Położył swój telefon na stoliku do kawy i spojrzał na Remi.

- Szanse? - zapytała.

- Sześćdziesiąt do czterdziestu, że oddzwoni w ciągu minuty.

Uśmiechnęła się.

- Nie zakładam się.

Telefon Sama zadzwęczał po pięćdziesięciu dwóch sekundach. Sam odebrał po trzecim sygnale.

- Byłbyś dobrym pokerzystą, Samie Fargo - powiedział Charlie King. - Cieszę się, że mogliśmy dojść do porozumienia. Wykonam kilka telefonów i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć o Franku Altonie. Oczywiście nie mogę niczego obiecać, ale...

- Jeśli nie dostaniemy wiadomości od Franka w ciągu doby, nici z naszej umowy.

Charlie King nie odzywał się przez chwilę. Wreszcie powiedział:

- Bądź pod telefonem. Sam się rozłączył.

- A co, jeśli King myśli, że mamy dowody przy sobie? - spytała Remi.

- Nie jest taki głupi.

- Uważasz, że dotrzyma słowa? Sam skinął głową.

- Jest na tyle sprytny, że z pewnością się zabezpieczył. Porywacze Franka na pewno zadbali o to, żeby nie było widać ich twarzy. Nie będzie żadnego tropu prowadzącego do Kinga, więc on nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania, zgadzając się na nasze warunki.

- To dlaczego jesteś zaniepokojony?

- Tak wyglądam?

- Mrużysz oczy.

Sam zwlekał z odpowiedzią.

- Powiedz mi - nalegała Remi.

- Właśnie zadarliśmy z jednym z najbogatszych ludzi na świecie, z despotycznym socjopata, który doszedł wysoko niszcząc swoich wrogów. Wypuści Franka, ale coś mi mówi, że planuje kontratak.

Houston, Teksas

Sam miał rację.

Po odłożeniu słuchawki Charlie King wstał i przez chwilę krążył po swoim gabinecie. Patrzył przed siebie, ale nic nie widział, zaślepiiony wściekłością. Mamrocząc pod nosem, podszedł do okna i spojrzał na miasto. Zachodziło słońce.

- No dobra, Fargowie - mruknął. - Tę rundę wygraliście. Ale to się nie powtórzy. - Wrócił do biurka i wcisnął przycisk interkomu. - Marsha, połącz mnie z Russellem i Marjorie.

- Już, panie King, moment.

Po trzydziestu sekundach King usłyszał głos syna:

- Tato...

- Zamknij się i słuchaj. Jest tam Marjorie?

- Jestem, tato - potwierdziła.

- A Zhilan?

- Tak, panie King.

- Co wy tam, do diabła, wyrabiacie, idioci?! Fargowie właśnie do mnie dzwoniли i dali mi niezłe popalić. Podobno sfotografowali cię, Zee, jak zabijałaś jakiegoś miejscowego na naszym terenie w Langtang. Co tam się stało?

- Dziś rano dostałem telefon od szefa ochrony terenu - wyjaśnił Russell. - Powiedział, że natknęli się na podejrzany pojazd i wszczęli alarm. Znaleźli jednego ze swoich ludzi nieprzytomnego, ale nie wyglądało na to, żeby coś zginęło.

- Jak stracił przytomność?

- Nie wiedzą. Mógł się przewrócić.

- Akurat! Mieliśmy jakiś transport do wysłania?

- Dwie ciężarówki - odparła Marjorie. - Jak tylko podniesiono alarm, zostały zabrane przez ludzi pułkownika Zhou. To standardowa procedura.

- Nie pouczaj mnie, dziewczyno. Dojechały do punktu przerzutowego?

- Nie otrzymaliśmy jeszcze potwierdzenia - zaczął Russell - ale przypuszczam...

- Niczego nie przypuszczaj - przerwał mu ojciec - tylko weź telefon i zlokalizuj tamte ciężarówki.

- Dobrze, tato.

- Zee, co z tym zabójstwem? To prawda?

- Tak. Jednego z robotników przyłapano na kradzieży. Musiałam go ukarać dla przykładu. Jego ciała już się pozbyto.

King zrobił pauzę, potem chrząknął.

- W takim razie w porządku. Dobra robota. A co do was obojga, kretyni... Fargowie powiedzieli mi, że mają Złociste go Człowieka.

- Skąd? - zapytała zdumiona Marjorie.

- Kłamią - prychnął Russell.

- Może i tak, ale takie sprawy to ich specjalność. Właśnie dlatego ich w to wciągnęliśmy. Najwyraźniej jednak nie doceniliśmy Fargów. Myśleliśmy, że Alton wystarczy, żeby utrzymać ich w ryzach.

- Nie rób sobie wyrzutów, tato - powiedziała Marjorie.

- Zamknij się. Musimy założyć, że mówią prawdę. Żądają wypuszczenia Altona. Mógł coś widzieć? Mógłby kogoś zidentyfikować?

- Zajął się tym po przylocie tutaj, panie King - odparła Zhilan. - Alton nic nie wie.

- Okej. Uwolnijcie go. Nakarmcie, umyćcie i wsadźcie do gulfstreama. Fargowie obiecali, że jak tylko Alton będzie w domu, spotkają się z Russellem i Marjorie i porozmawiają o przekazaniu tego... jak mu tam.

- Nie możemy im ufać, tato - zaprotestował Russell.

- Wiem, durniu. Wsadźcie tylko Altona do odrzutowca, a resztę zostawcie mnie. Fargowie chcą grać twardo? No to się przekonają, na czym polega naprawdę twarda gra.

Rozdział 16

Miejscowość Jomsom, strefa Dhawalagiri, Nepal

Jednosilnikowy piper club przechylił się ostro i zaczął opadać. Siedzący po przeciwnych stronach przejścia Sam i Remi obserwowali wznoszące się kredowoszare klify, które zdawały się wchłaniać samolot, gdy podchodził do lądowania. Za urwiskami wyrastały ośnieżone szczyty łańcuchów górskich Dhawalagiri i Nilgiri, ich wyższe partie tonęły częściowo w chmurach.

Chociaż opuścili Katmandu zaledwie godzinę wcześniej, przylot tutaj był dopiero początkiem podróży; czekało ich jeszcze dwanaście godzin jazdy, jak wszystko w Nepalu, odległości na mapie były prawie bezużyteczne. Cel Fargów – dawna stolica Królestwa Mustangu, Lo Manthang – leżał tylko dwieście dwadzieścia pięć kilometrów na północny zachód od Katmandu, ale był niedostępny drogą powietrzną. Wycarterowany samolot miał ich zostawić w Jomsom, sto dziewięćdziesiąt trzy kilometry na wschód od stolicy. Aby dotrzeć do Lo Manthang na spotkanie z miejscowym historykiem, pozostałe osiemdziesiąt kilometrów musieli przebyć samochodem, jadąc na północ doliną rzeki Kali.

Sam i Remi dobrze się czuli z dala od dość ruchliwego Katmandu i mieli nadzieję, że są poza zasięgiem klanu Kingów.

Samolot nadal schodził w dół i szybko wytracał prędkość, aż w końcu leciał w tempie zaledwie kilku węzłów powyżej przeciętności, jak ocenił Sam. Remi spojrzała pytająco na męża. Uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Krótki pas startowy. Trzeba albo wytracić prędkość w górze, albo dać ostro po hamulcach na ziemi.

- Super.

Podwozie dotknęło asfaltu z piskiem i wstrząsem i wkrótce kołowali w stronę skupiska budynków na południowym krańcu pasa startowego. Gdy samolot się zatrzymał, Fargowie wzięli swoje plecaki i ruszyli do drzwi, które były już otwarte. Członek obsługi naziemnej w granatowym kombinezonie uśmiechnął się i wskazał schodki. Remi zeszła na dół, Sam za nią.

Skierowali się do budynku terminalu. Na prawo od nich stado kóz skubało brązową trawę przy hangarze. Drogą gruntową za nimi starzec w czerwonej wełnianej czapce i zielonych spodniach pędził piźmowoły. Raz po raz uderzał wityką zabłąkane zwierzę i cmokał.

Remi szczelniej otuliła szyję kołnierzem parki.

- Rześko – zauważyła.

- Jeszcze jak – przyznał Sam. – Jesteśmy ponad trzy tysiące metrów nad poziomem morza.

- Mocno tu wieje.

Jakby dla podkreślenia słów Remi, podmuch wiatru smagnął płytę lotniska i tumany kurzu koloru ochry przesłoniły im widok. Po kilku sekundach opadły i ukazało się więcej szczegółów scenerii za budynkami portu lotniczego. Wysokie ciemnoszare klify były głęboko poźłobione, jakby przeorały je ogromne palce. Wyglądzone przez upływ czasu i erozję wzory wyglądały niemal jak dzieło człowieka – niczym mury jakiejś starożytnej twierdzy.

- Większość Mustangu jest taka – rozległ się za nimi męski głos. – Przynajmniej na mniejszych wysokościach.

Fargowie przystanęli, odwrócili się i zobaczyli uśmiechniętego dwudziestokilkulatka z bujną blond czupryną.

- Pierwszy raz tutaj? – zapytał.

- Tak – odparł Sam. – Ale założę się, że pan nie.

- Piąty. Jestem nałogowym trekkerem, chyba tak można to nazwać. Jomsom to coś w rodzaju bazy wypadowej do trekkingu w tym regionie. Mam na imię Wally.

Sam przedstawił siebie i Remi i ruszyli we troje w kierunku budynków terminalu. Wally wskazał grupki ludzi stojących wzdłuż krawędzi płyty lotniska. Większość była ubrana w jaskrawe parki i miała duże plecaki.

- Koledzy trekkerzy? – zapytała Remi.

- Tak. I prawie same znajome twarze. Stanowimy część lokalnej gospodarki, chyba tak można to nazwać. Sezon trekkingowy trzyma ten rejon przy życiu. Tu nie można się nigdzie ruszyć bez przewodnika.

- A jeśli woli się samemu? – spytał Sam.

- Stacjonuje tu kompania nepalskiego wojska odparł Wally. – To mafia, ale trudno im się dziwić. Większość tych ludzi zarabia mniej przez rok niż my przez tydzień. Ale nie jest tak źle. Jeśli się udowodni, że wie się, co się robi, większość przewodników trzyma się z boku i nie przeszkadza.

- Hej, Wally, jesteśmy tutaj! – zawołała jakaś kobieta z pobliskiej grupy trekkerów.

Odwrócił się, pomachał do niej i zapytał Sama i Remi:

- Dokąd się wybieracie?

- Do Lo Manthang.

- Fajne miejsce. Pełne średniowiecze, jakby człowiek podróżował wehikułem czasu. Macie już przewodnika?

Sam przytaknął.

- Nasz znajomy w Katmandu go załatwił.

- Ile czasu potrzeba, żeby się tam dostać? – spytała Remi. – Według mapy to...

Wally zachichotał.

- Mapy! Nie są złe, nawet dość dokładne na równym, ale tu teren jest jak zmięta gazeta, którą tylko częściowo wygładzono. Wszystko ciągle się zmienia. Jednego dnia jakieś przejście jest szerokie i płaskie, a następnego zablokowane przez

osuwisko skalne. Wasz przewodnik przez większość drogi prawdopodobnie będzie się trzymał wąwozu rzeki Kali Gandaki, bo teraz powinno być tam sucho, więc w sumie wyjdzie około stu kilometrów. Co najmniej dwanaście godzin jazdy.

- Co oznacza nocleg - stwierdził Sam.

- Tak. Zapytajcie waszego przewodnika. Będzie miał albo namiot, albo zarezerwowaną dla was chatę trekkerów. Czekają was nie lada gratki. Szlak wiodący wąwozem Kali Gandaki jest najgłębszy na świecie. Po jednej stronie wznosi się masyw Annapurny, po drugiej Dhawalagiri, a między nimi osiem z dwudziestu najwyższych szczytów świata! Ten szlak w wąwozie to coś jak skrzyżowanie Utah z Marsem. Stupy i jaskinie wzdłuż...

- Wally! - zawołała znów kobieta.

- Cześć, muszę lecieć - powiedział blondyn do Fargo. - Miło było was poznać. Bezpiecznej podróży. I nie zbliżajcie się do wąskich gardeł po zmroku.

Ucisnęli sobie dłonie i Wally ruszył truchtem w kierunku swojej grupy.

- Wąskich gardeł? - zawołał za nim Sam.

- Wasz przewodnik wam wytłumaczy! - odkrzyknął Wally przez ramię.

Sam odwrócił się do Remi.

- Są tu stupy? - zapytał. Skinęła głową.

- Tak, tyle że tutaj nazywają je czortenami. To coś w rodzaju relikwiarzy - podobne do kopców budowlane ze świętymi buddyjskimi artefaktami w środku.

- Duże?

- Różnie bywa. Jedne mają rozmiary ogrodowych krasnali, inne są wielkości katedry. Jedna z największych stup znajduje się w Katmandu. Nazywa się Bodnath.

- Ta kopuła z flagami?

- Zgadza się. W Mustangu jest ich bardzo dużo, głównie wielkości krasnali. Niektórzy oceniają, że tylko wzdłuż samej rzeki Kali Gandaki są ich tysiące. Jeszcze kilka lat temu Mustang był prawie nieodstępny dla turystów z obawy przed profanacją.

- Państwo Fargo! - zawołał męski głos. - Państwo Fargo! Łysy Nepalczyk dobrze po czterdziestce utorował sobie drogę przez tłum trekkerów i podbiegł do nich truchtem, ciężko dysząc.

- Państwo Fargo, prawda?

- Tak - potwierdził Sam.

- Nazywam się Basanta Thule - przedstawił się mężczyzna przyzwoitą angielszczyzną. - Jestem państwa prze wodnikiem.

- Jest pan przyjacielem Pradhana? - zapytała Remi. Mężczyzna zmrużył oczy.

- Nie wiem, kto to jest. Sushant Dharel poprosił mnie, żebym się z państwem spotkał. Spodziewali się państwo kogoś innego? Mogę się wylegitymować... - Sięgnął do kieszeni kurtki.

- Nie trzeba - odparł Sam z uśmiechem. - Miło nam pana poznać.

- Mnie państwa też. Wezmę to. - Chwycił ich plecaki i wskazał głową budynek terminalu. - Mój samochód stoi tam. Proszę za mną. - Ruszył truchtem.

- Bardzo sprytnie, pani Bond - zwrócił się Sam do Remi.

- Czy z wiekiem staję się paranoiczką? - mruknęła.

- Nie - zaprzeczył Sam z uśmiechem. - Stajesz się coraz piękniejsza. Chodź, dokończmy naszego przewodnika, bo go zgubimy.

Po pobieżnej kontroli celnej, która, jak się domyślali, miała służyć utwierdzeniu Mustangijczyków w mocnym, acz niewyrażanym głośno przekonaniu o ich częściowej autonomii, Sam i Remi wyszli z terminalu. Thule stał przy krawężniku obok białej toyoty land cruiser. Sądząc po tuzinach niemal identycznych pojazdów wzdłuż ulicy, z których każdy miał logo innej firmy trekkingowej, toyota była wybrana dla regionu terenówką. Thule uśmiechnął się do Fargów, wrzucił plecak Remi do bagażnika toyoty i zatrzasnął klapę.

- Załatwiłem kwaterę na noc - oznajmił.

- Nie wyruszamy od razu do Lo Manthang? - zdziwiła się Remi.

- Nie, rozpoczynanie podróży o tej porze przynosi pecha - wyjaśnił Nepalczyk. - Lepiej wyjechać jutro rano. Zjecie kolację, odpoczniecie, obejrzyście Jomsom, a jutro skoro świt ruszymy w drogę. Chodźcie, państwo, chodźcie...

Sam nawet nie drgnął.

- Wolelibyśmy wyruszyć od razu.

Thule zmarszczył brwi, zastanawiał się chwilę, po czym odparł:

- Wybór należy do państwa, ale do rana nie uprzątą osuwiska.

- Jakiego osuwiska? - spytała Remi.

- Między Jomsom a Kagbeni. Nie przejechalibyśmy więcej niż kilka kilometrów. No i na pewno będzie tam korek. Dużo teraz trekkerów w Mustangu. Lepiej poczekać do rana, prawda? - Thule otworzył tylne drzwi toyoty i szerokim gestem wskazał kanapę.

Sam i Remi wymienili spojrzenia, wzruszyli ramionami i wsiedli do samochodu.

Po dziesięciominutowej jeździe labiryntem wąskich ulic Thule zatrzymał toyotę przed jakimś budynkiem kilka kilometrów na południowy wschód od lotniska. Brązowy napis na żółtej tabliczce informował: „Dom Gościnny Księżycowa Poświata. Łazienki z wannami - Łazienki przy pokojach - Łazienki wspólne”.

Remi skomentowała z uśmiechem:

- Wygląda na to, że łazienki to w Jomsom duża atrakcja.

- I monochromatyczna architektura - dodał Sam.

- Istotnie - odezwał się Thule z przedniego siedzenia. - W Jomsom są najlepsze kwatery w okolicy.

Wysiadł, podbiegł wokół samochodu do drzwi Remi i otworzywszy je, podał jej rękę. Ujęła jego dłoń i wysiadła, a Sam za nią.

- Wezmę bagaże - powiedział Thule. - Proszę wejść do środka. Madame Roja

zajmie się państwem.

Pięć minut później byli w apartamencie królewskim Domu Gościnnego Księżycowa Poświata. W przestronnej sypialni stało małżeńskie łóżko, a w salonie wiklinowe meble ogrodowe. Zgodnie z obietnicą madame Roja mieli własną łazienkę.

- Przyjadę po państwa jutro o jedenastej - powiedział Thule od drzwi.

- Dlaczego tak późno? - zapytał Sam.

- Osuwisko spowoduje...

- Korek - dokończył Sam. - Dziękujemy, panie Thule. Do zobaczenia.

Gdy zamknął drzwi, z łazienki dobiegł głos Remi:

- Sam, chodź coś zobaczyć.

Zastał żonę stojącą z szeroko otwartymi oczami przy wielkiej miedzianej wannie na nogach w kształcie łap.

- To beasley - powiedziała z niekłamanym podziwem.

- Doprawdy? Ja bym nazwał to wanną.

- Nie wygłupiaj się, Sam. Beasleye to rzadkość. Ostatniego wyprodukowano pod koniec dziewiętnastego wieku. Masz pojęcie, ile to jest warte?

- Nie, ale coś mi mówi, że ty masz.

- Dwanaście tysięcy dolarów albo i więcej. To skarb.

- I ma wielkość studebakera. Chyba nie myślisz o włożeniu go do swojego bagażu podręcznego?

Remi oderwała wzrok od wanny i spojrzała na męża z figlarnym uśmiechem.

- Duży, co?

Sam odwzajemnił uśmiech.

- Owszem.

- Zechcesz być moim ratownikiem?

- Do usług, szanowna pani.

Godzinę później, zrelaksowani, ze skórą pomarszczoną po gorącej kąpieli, usiedli w salonie. Przez okna balkonowe widzieli majaczące w oddali szczyty Annapurny.

Sam spojrzał na wyświetlacz telefonu.

- Wiadomość głosowa. - Odsłuchał ją, puścił oko do Remi i oddzwonił.

Pół minuty później z głośnika dobiegł głos Selmy:

- Gdzie państwo są?

- W kraju wikliny i miedzi - odparł Sam.

- Słucham?

- Nic ważnego. Masz dla nas dobre wiadomości?

- Proszę poczekać.

Chwilę później usłyszeli znajomy głos.

- Sam, Remi - mówił do nich Frank Alton - nie wiem, jak to zrobiliście, ale zawdzięczam wam życie.

- Drobiazg - odrzekła Remi. - W Boliwii ty kilka razy uratowałeś nas od śmierci.
- Nic ci nie jest? - zapytał Sam.
- Mam parę siniaków, ale poza tym wszystko w porządku.
- Widziałeś się już z Judy i dziećmi?
- Tak, jak tylko wróciłem do domu.
- Selmo, jak stoją sprawy? - spytał Sam.
- Raczej leżą - odparła.
- Miło nam to słyszeć.

Z obawy przed mackami Charlesa Kinga i z powodu lekkiej paranoi Sam i Remi ustanowili „zasadę przymusu”: gdyby Selma lub ktokolwiek z nich był terroryzowany bronią albo znajdował się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, odpowiedź inna niż „leżą” byłaby sygnałem alarmowym.

- Frank, co możesz nam powiedzieć? - spytała Remi.

- Niestety, niewiele więcej, niż już wiecie. Selma wprowadziła mnie w sprawę. Zgadzam się, że King nie mówi całej prawdy, ale nie mam żadnego dowodu, że odpowiadał za moje porwanie. Ogłuszyli mnie i uprowadzili z ulicy. Nie widziałem ich. Nie potrafię też powiedzieć, gdzie mnie trzymali. Kiedy się ocknąłem, miałem związane oczy, dopóki nie wypchnęli mnie z powrotem z furgonetki. Jak zdjąłem przepaskę, stałem przed trapem gulfstreama.

- Poznałeś bliźnięta King?

- A, tamtych dwoje. Czekali na mnie na lotnisku. Myślałem, że wszedłem na plan remake'u *Rodziny Addamsów*. Domyślałem się, że są produktem Kinga i Smoczyca.

- Tak - odrzekł Sam. - Jakie jest twoje zdanie na temat Lewisa Kinga?

- Sto do jednego, że nie żyje od dziesięcioleci. Uważam, że byłem tylko przynętą na was.

- Też tak sądzimy - powiedziała Remi. - Jeszcze rozpracowujemy szczegóły, ale przypuszczamy, że to miało coś wspólnego z pewną starą himalajską legendą.

- O - domyślił się Frank.

- Otóż to.

- O ile zdążyłem się zorientować przed moim porwaniem, właśnie Theuranga szukał Lewis King, kiedy przepadł. Miał obsesję na tym punkcie. Ale czy Złocisty Człowiek naprawdę istnieje, nie wiem.

- Uważamy, że tak - odpowiedział Sam. - Jutro mamy się spotkać z pewnym człowiekiem w Lo Manthang. Przy odrobinie szczęścia będzie w stanie rzucić więcej światła na tę tajemnicę.

Rozdział 17

Wąwóz Kali Gandaki, strefa Dhawalagiri, Nepal

Basanta Thule zatrzymał toyotę po raz czwarty w ciągu godziny.

- Następne stupy - oznajmił, wskazując przez boczne okno. - Tam... i tam. Widzą państwo?

- Tak - odparł Sam, wyglądając przez opuszczoną szybę po swojej stronie. Krótco po wyjeździe z Jomsom tego ranka popełnili błąd, wyrażając zainteresowanie czortenami; od tamtej pory Thule czuł się w obowiązku pokazać im każdy. Jak dotąd, pokonali zaledwie trzy kilometry.

Fargowie wysiedli, obeszlą stupy i pstryknęli parę zdjęć. Chociaż żaden z czortenów nie był wyższy niż kilkadziesiąt centymetrów, robiły wrażenie - miniaturowe, pomalowane na śnieżnobiało miniświątynie zdawały się strzec wąwozu niczym milczący strażnicy.

Wrócili do toyoty i ruszyli dalej. Milczeli przez jakiś czas, wreszcie Remi zapytała:

- Gdzie jest to osuwisko? Długa cisza.

- Już je minęliśmy - odparł w końcu Thule.

- Kiedy?

- Dwadzieścia minut temu. Takie pokryte luźnym żwirem zbocze obok głazu, który widzieliśmy. Niewiele trzeba, żeby droga została zablokowana.

Zrobili krótką przerwę w podróży na lunch i kolejny postój przy czortenach - Sam i Remi taktownie oznajmili Thulemu, że to już ostatni - po czym kontynuowali jazdę na północ wzdłuż krętego biegu Kali Gandaki, mijając osady prawie nie do odróżnienia od Jomsom.

Parę minut po piątej znaleźli się w węższej części wąwozu. Piętnastometrowe urwiska po obu stronach zasłaniały słońce. Powietrze wpadające przez otwarte okno Sama stało się chłodniejsze. W pewnej chwili Thule zwolnił i przez łukowy otwór wjechał do krętego tunelu, niewiele szerszego od toyoty. Koła rozchlapwały wodę, warkot silnika odbijał się echem od skalnych ścian.

Po pięćdziesięciu metrach wytoczyli się na polanę o szerokości dwunastu i długości kilkuset metrów. Na jej północnym krańcu widniał drugi otwór w skale. Na prawo od nich rzeka przedzierała się z bulgotem przez niepodmytą część klifu.

Thule skręcił w lewo, zatoczył szeroki łuk w kierunku, z którego przybyli, i zahamował.

- Tu rozbijemy obóz - oznajmił. - Będziemy osłonięci od wiatru.

- Dlaczego tak wcześnie? - zdziwił się Sam. Nepalczyk odwrócił się na siedzeniu i wyjaśnił z uśmiechem:

- Tutaj noc szybko zapada, a wtedy robi się bardzo zimno. Lepiej mieć

schronienie i rozpalić ognisko przed zmrokiem.

Szybko rozstawili dwa namioty Vango, w których ułożyli karimaty i ciepłe śpiwory. Thule rozpalił małe ognisko, a Sam zapalił trzy lampy naftowe zawieszane na żerdziach na granicy obozu.

Remi wzięła latarkę i wybrała się na krótki rekonesans. Thule wspomniał, że trekkerzy znaleźli kiedyś w tej części wąwozu ślady Kanga Admi, człowieka śniegu, szerzej znanego jako Yeti. Wprawdzie Fargowie nie bardzo wierzyli w opowieści o himalajskim odpowiedniku Wielkiej Stopy, podczas swoich podróży napotykali tyle osobliwości, że Remi postanowiła zaspokoić ciekawość.

Po niespełna półgodzinie weszła z powrotem w żółty blask lamp wokół obozu.

- I jak? - zapytał Sam, podając jej wełnianą czapkę.

- Nie ma śladu nawet palca u nogi - odrzekła i wsunęła pod czapkę kilka luźnych kosmyków kasztanowych włosów.

- Niech pani nie traci nadziei - odezwał się Thule od ogniska. - Może usłyszymy bestię w nocy.

- A czego mamy nasłuchiwać? - zainteresował się Sam.

- To zależy od osoby. Ja w dzieciństwie słyszałem raz płacz. Brzmiał jak... częściowo ludzki, częściowo niedźwiedzi. Jedna z tybetańskich nazw Yeti to Mehteh, „człowiek niedźwiedź”.

- Czy to aby nie bajeczka dla turystów? - spytała Remi.

- Wcale nie. Słyszałem go. Znam ludzi, którzy go widzieli. I takich, którzy natrafili na jego ślady. Osobiście widziałem piźmowoła z łbem...

- Rozumiemy - przerwała mu Remi. - Co jest na kolację?

Kolacja składała się z jakiegoś paczkowanego liofilizowanego dania, które we wrzątku przybrało postać gulaszowego melanżu. Fargowie jadali już gorsze paskudztwa, ale tej brei niewiele do nich brakowało. Po posiłku Thule zrehabilitował się parującymi kubkami tongby, nepalskiego napoju alkoholowego. Sączyli go, gdy noc otulała wąwóz. Gawędzili jeszcze godzinę, a potem przykręcili lampy naftowe i poszli do namiotów.

Kiedy ułożyli się w śpiworach, Remi zabrała się do czytania przewodnika dla trekkerów, który wgrała do swojego iPada, a Sam studiował mapę przy świetle latarki.

- Sam - szepnęła w pewnej chwili - pamiętasz, co Wally mówił na lotnisku o wąskich gardłach? Nie spytaliśmy o to Thulego.

- Zapytamy rano.

- Chyba lepiej teraz. - Podała mu iPada, wskazując fragment tekstu.

- "Nazywane »wąskimi gardłami« jary spotykane na całej długości wąwozu Kali Gandaki wiosną mogą być bardzo niebezpieczne - przeczytał na głos. - Na skutek roztopów nocami często zalewa je woda spływająca z okolicznych gór, osiągając poziom..."

Sam przestał czytać i oddał Remi iPada.

- Spakuj swój sprzęt. Tylko niezbędne rzeczy. Po cichu – szepnął, a potem głośno zawołał: – Panie Thule?

Brak odpowiedzi.

- Panie Thule?

Po chwili usłyszeli chrzęst żwiru pod butami i głos:

- Tak, panie Fargo?

- Niech pan nam opowie o wąskich gardłach. Długa pauza.

- Eee... niestety nie znam tego określenia.

Znów chrzęst żwiru i dźwięk otwieranych drzwi toyoty.

Sam błyskawicznie rozpiął suwak śpiwora i wytoczył się na zewnątrz. Już ubrany, chwycił swoją kurtkę, włożył ją i cicho otworzył namiot. Wypelzł na zewnątrz i rozejrzał się. Dziesięć metrów od siebie dostrzegł sylwetkę Thulego, który sięgał do toyoty przez drzwi kierowcy, jakby szukał czegoś w środku.

Sam wstał i zaczął się skradać do samochodu. Pięć metrów od celu przystanął i zaczął nasłuchiwać. Jedyńm dźwiękiem, jaki docierał do jego uszu, był szum wody. Coraz głośniejszy, jakby rzeka wzbierała.

Po chwili za jego plecami rozległo się ledwo słyszalne „psyt”. Odwrócił się. Remi, która wyglądała z namiotu, pokazała mu uniesiony kciuk.

Odpowiedział jej gestem: „czekaj” i ruszył w kierunku toyoty. W odległości trzech metrów pochylił się i okrążywszy tylny zderzak, znalazł się po stronie kierowcy. Wyrzwał zza samochodu.

Zobaczył nogi Thulego, który nadal szperał w kabinie. Sam ocenił, że dzieli ich półtora metra. Wyciągnął nogę, ostrożnie postawił stopę i zaczął przenosić ciężar ciała naprzód.

Thule odwrócił się gwałtownie. W dłoni trzymał rewolwer.

- Stój, Fargo.

Sam zatrzymał się i wyprostował.

- Coś mi mówi, że powinniśmy byli sprawdzić pańską tożsamość, kiedy pan to proponował – rzekł.

- To byłoby rozsądne.

- Ile panu zapłacili?

- Dla takich bogaczy jak pan i pańska żona to grosze. Dla mnie – równowartość pięcioletniego zarobku. Chce pan zaproponować mi więcej ?

- A czy przyjąłby pan propozycję?

- Nie. Tamci ludzie jasno dali mi do zrozumienia, co się ze mną stanie, jeśli ich zdradzę.

Szum wody narastał. Sam dostrzegł kątem oka, jak rzeka zaczyna się rozlewać. Musiał grać na zwłokę i mieć nadzieję, że mężczyzna z rewolwerem choćby na moment straci czujność.

- Gdzie jest prawdziwy Thule? - zapytał.

- Pół metra na prawo od pana.

- Zabił go pan.

- To była część zadania. Kiedy woda się cofnie, znajdą go z głową roztrzaskaną o skały. A razem z nim pana i pańską żonę.

- Oraz pana.

- Mnie?

- Tak, chyba że ma pan zapasowy przewód wysokiego napięcia do aparatu zapłonowego - odparł Sam, klepiąc kieszeń swojej kurtki.

Mężczyzna odruchowo zerknął w kierunku wnętrza toyoty. Spodziewając się tego, Sam skoczył w jego stronę. Był już bardzo blisko, ale mężczyzna odwrócił się z powrotem i zamachnął rewolwerem. Cios lufą, choć częściowo chybiony, trafił Sama w czoło. Zatoczył się do tyłu i opadł na kolana.

Mężczyzna dał krok naprzód i spróbował kopnąć Sama. Ten zaś, widząc zbliżający się but, zrobił unik, ale wierzch stopy napastnika trafił go w bok i przewrócił na plecy.

- Sam! - krzyknęła Remi.

Odwrócił głowę w prawo i zobaczył, że żona biegnie ku niemu.

- Bierz sprzęt! - wychrypiał. - Za mną!

- Za tobą? Dokąd? Silnik toyoty ożył.

Sam instynktownie przetoczył się na brzuch, dźwignął na kolana i wstał. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę najbliższej lampy naftowej, dwa metry na lewo od niego. Kątem oka zobaczył w głębi jaru kilkumetrową falę spienionej wody. Porwał lampę z żerdzi, odwrócił się z powrotem w kierunku toyoty i zmusił do biegu.

Samochód ruszył. Spod kół wytrysnął żwir, który posiekał nogi Sama. Zignorował to i pędził dalej. Kiedy toyota wyrwała do przodu, skoczył. Wylądował lewą stopą na tylnym zderzaku, a prawą ręką złapał się relingu dachowego.

Toyota zarzucała na żwirze, ale zdołał się utrzymać i przyciągnąć bliżej tylnej klapy. Gdy mężczyzna za kierownicą wyprostował tor jazdy i przyspieszył w kierunku wylotu jaru, oddalonego o jakieś pięćdziesiąt metrów, Sam wetknął uchwyt lampy między zęby i lewą ręką podkręcił knot. Płomień zamigotał, potem pojaśniał. Sam znów wziął lampę do ręki.

- Tylko jedna szansa - mruknął.

Nabrał powietrza do płuc, wygiął rękę i rzucił lampę jak granat. Poszybowała nad dachem toyoty, spadła na maskę i roztrzaskała się. Płonąca nafta ochlapała przednią szybę.

Skutek był natychmiastowy. Widząc ogień na przedniej szybie, Nepalczyk spanikował. Szarpnął kierownicę w lewo, potem w prawo, stawiając toyotę na dwóch kołach.

Sam stracił chwyt. Poczuł, jak spada, i zobaczył zbliżającą się ziemię. W ostatniej chwili zwinął się w kłębek, wylądował na biodrze i przetoczył. Po chwili usłyszał hałas: brzęk tłuczonego szkła i zgrzyt metalu. Odwrócił się i zamrugał, żeby odzyskać ostrość widzenia.

Toyota tkwiła w wąskim łukowym otworze w skale.

Usłyszał szybkie kroki, a potem głos Remi, gdy przy nim uknęła:

- Sam... Sam! Jesteś ranny?

- Nie wiem, chyba nie.

- Krwawisz.

Sam dotknął palcami czoła i spojrzał na krew.

- To tylko zadrapanie - mruknął. Chwycił garść ziemi i uklepał na ranie. - Widzisz? Od razu lepiej.

- Nic sobie nie złamałeś?

- Nie sędzę. Spróbuję wstać.

Remi dała nura pod jego ramię i pomogła mu się podnieść.

- Czy rzeka... - zaczął, ale nie dokończył, bo w tym momencie wzbierająca woda omyła im stopy.

Kilka sekund później sięgali im do kostek. Odwrócili się jednocześnie. Woda zalewała północny kraniec jaru. Stali w niej po łydki.

- Zimna - stwierdziła Remi.

- Delikatnie mówiąc - odparł Sam. - Co z naszym sprzętem?

- Wszystko, co wartościowe, mam w plecaku - zapewniła Remi i wskazała wrak toyoty. - Czy on nie żyje?

- Zginął albo jest nieprzytomny. Inaczej już by do nas strzelał. Musimy uruchomić samochód. To nasza jedyna szansa na ucieczkę przed powodzią.

Ruszyli w kierunku toyoty, Remi przodem, Sam kuśtykał za nią. Przy tylnym zderzaku zwolniła, podkradła się do drzwi kierowcy i zajrzała do środka.

- Nie daje znaku życia - zawołała do męża.

Gdy po chwili do niej dołączył, razem otworzyli drzwi i wyciągnęli mężczyznę z samochodu. Zanurzył się w wodzie.

- Nie przejmuj się nim - odpowiedział Sam na nieme pytanie Remi. - Za chwilę wszystko będzie pod wodą.

Wsiadła do toyoty i przesunęła się na miejsce pasażera. Sam usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi za sobą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozrusznik zadziałał, ale silnik nie zaskoczył.

- No dalej... - mruknął Sam.

Spróbował ponownie. Tym razem silnik zaskoczył, lecz po chwili zakrzuszył się i zgasł.

- Uda się - powiedziała Remi i pokazała mężowi, że trzy ma kciuki.

Sam zamknął oczy, wziął głęboki oddech i znów przekręcił kluczyk.

Rozrusznik obrócił wałem korbowym, silnik kaszlnął raz, potem drugi i wreszcie ożył.

Sam już miał wrzucić bieg, gdy poczuli, jak toyota przesuwana się do przodu. Remi odwróciła się na siedzeniu i zobaczyła, że woda omywa dolną krawędź drzwi.

- Sam...

- Widzę - odrzekł ze wzrokiem utkwionym w lusterku wstecznym.

Wrzucił wsteczny i nacisnął gaz. Koła toyoty wgrzyły się w podłoże. Samochód zaczął się powoli cofać, tylne błotniki tarły ze zgrzytem o skalne ściany.

Znów zostali popchnięci do przodu.

- Tracę przyczepność - oznajmił Sam, zaniepokojony, że wzbierająca woda zaleje silnik.

Dodał gazu i opony przestały się ślizgać, ale tylko na chwilę.

Sam walnął dłonią w kierownicę.

- Niech to szlag!

- Płyniemy - powiedziała Remi, siląc się na spokój.

Ledwo wymówiła to słowo, maska toyoty została wepchnięta głębiej w otwór. Obciążony silnikiem przód zanurzał się coraz bardziej.

- Jak długo wytrzymamy w wodzie? - spytała Remi.

- Po pięciu minutach zamarzniemy na kość, a potem stracimy kontrolę motoryczną i utoniemy.

Woda zaczęła się wciskać przez nieszczelności wokół drzwi.

- Nie mam zamiaru utonąć - oznajmiła Remi.

- Ja też nie. - Sam zamknął oczy, zastanowił się, po czym oznajmił: - Wyciągarki.

Są na obu zderzakach.

Poszukał włączników na desce rozdzielczej. Znalazł dźwigienkę z oznaczeniem „Tył” i przestawił ją z „Wyłącz” na „Luz”.

- Na mój sygnał przestawisz ją na „Włącz” - polecił Remi.

- Myślisz, że to wystarczy, żeby nas wyciągnąć? - spytała.

- Nie - odparł. - Potrzebna mi lampa czołowa.

Remi pogrzebała w plecaku i wyjęła lampę. Sam włożył ją na głowę, cmoknął żonę w policzek i przeszedł przez oparcie siedzenia, trzymając się zagłówka. Powtórzywszy ten manewr z tyłu, wcisnął się do bagażnika toyoty. Odryglował otwieraną tylną szybę, pchnął ją na zewnątrz, przywarł plecami do oparcia tylnej kanapy i kopnął. Szyba oderwała się od zawiasów i pogrążyła w wodzie. Wstał. Otoczyła go lodowata mgiełka.

- Silnik zgasł! - zawołała Remi.

Sam pochylił się, sięgnął w dół i chwycił oburącz hak wyciągarki. Ręka za ręką zaczął wybierać linę. Niestety bęben się zablokował.

- Chodź tu! - zawołał do żony.

Remi przedostała się przez oparcie przedniego siedzenia, sięgnęła za siebie po

plecak i podała Samowi. Potem złapała się jego wyciągniętego ramienia i wspięła do bagażnika.

- Nie! - krzyknęła.

- Co się stało?

Spojrzał w dół. Snop światła jego lampy czołowej padł na upiornie bladą twarz przyciśniętą do plastikowego pokrycia.

- Przepraszam - powiedział Sam. - Zapomniałem cię uprzedzić. Przedstawiam ci prawdziwego pana Thule.

- Biedny człowiek.

Toyota zadrżała, przesunęła się w bok i znieruchomiała, zaklinowana pionowo w łukowym otworze.

Remi oderwała wzrok od twarzy martwego mężczyzny.

- Chyba znów będziemy się wspinać na górę.

- Tak. Przy odrobinie szczęścia powinno nam się udać. Sam wyrzwał z bagażnika. Tylne koła były zanurzone.

- Ile czasu nam zostało? - zapytała Remi.

- Jakies dwie minuty. Pomóż mi.

Obrócił się i Remi pomogła mu włożyć plecak. Przerzucił przez tylną klapę najpierw prawą nogę, potem lewą i wstał z rozpostartymi dla równowagi ramionami. Omiótł światłem lampy czołowej skalną ścianę obok toyoty.

Dopiero za trzecim razem znalazł to, czego szukał: pionową szczelinę szerokości pięciu centymetrów cztery metry nad nimi i metr w prawo. Powyżej rząd uchwytów dla dłoni prowadził na szczyt urwiska.

- Okej, podaj mi hak - polecił Sam.

Gdy Remi uniosła hak wyciągarki, schylił się, by go chwycić. Poślizgnął się i opadł na jedno kolano. Po chwili odzyskał równowagę i wyprostował się, tym razem z lewą ręką na relingu dachowym toyoty.

- Do dzieła, kowboju - zachęciła go Remi z uśmiechem. Z hakiem wyciągarki zwisającym z prawej dłoni Sam zakręcił liną jak śmigłem i rzucił. Hak uderzył z brzękiem w skalną ścianę, zsunął się po szczelinie i pogrążył w wodzie.

Sam wydobył go i spróbował ponownie. Znowu chybił.

Poczuł zimną wodę wokół lewej stopy. Spojrzał w dół. Woda podniosła się ponad zderzak i omywała tylną klapę.

- Coraz więcej przecieków - oznajmiła Remi.

Sam znów rzucił hak, który utkwiał na moment w szczelinie, zanim wypadł.

- Do czterech razy sztuka, prawda? - zachęcała go żona.

- Mówi się...

- Współpracuj ze mną, Fargo. Sam zachichotał.

- Jasne.

Przymknął powieki, żeby się skoncentrować, po czym otworzył oczy i zaczął

kręcić liną. Rzucił.

Hak poszybował w górę, odbił się od skały i zaczął zsuwać. Sam zorientował się, że za szybko, więc kiedy prześlizgiwał się po szczelinie, szarpnął linę w bok. Hak odchylił się do tyłu jak atakujący wąż i zaklinował w otworze.

Sam delikatnie pociągnął linę. Trzymała. Pociągnął mocniej. Hak się przesunął, potem znów zaklinował. Ręka za ręką, Sam napręzał linę, aż hak zagłębił się w szczelinie po ucho.

- Hurra! - zawołała Remi.

Sam podał jej rękę i pomógł przejść przez tylną klapę. Woda zalewała im stopy i wdzierała się do wnętrza toyoty. Remi wskazała głową zwłoki Thulego.

- Chyba nie możemy go zabrać?

- Nie - zgodził się Sam. - Ale dopiszemy go do listy spraw, za które Charlie King i jego wredne potomstwo muszą odpowiedzieć.

Remi westchnęła i pokiwała głową. Sam wskazał linę.

- Panie mają pierwszeństwo.

Rozdział 18

Lo Manthang, Mustang, Nepal

Dwadzieścia godzin po tym, jak Fargowie wspięli się na szczyt klifu i zostawili toyotę na pastwę wzburzonych wód Kali Gandaki, wiozący ich na skrzyni ładunkowej pikap zatrzymał się na rozwidleniu gruntowej drogi.

Mukti, ostrzyżony na jeża Nepalczyk, który siedział za kierownicą, zawołał przez tylne okno:

- Lo Manthang. - Wskazał na północ.

Sam delikatnie potrząsnął Remi, która spała skulona przy worku z paszą dla kóz.

- Jesteśmy w domu.

Jęknęła, odepchnęła od siebie szorstką bawełnę, usiadła prosto i ziewnęła.

- Miałam sen - powiedziała - podobny do *Tragedii „Posejzona „*, ale byliśmy uwięzieni w toyocie land cruiser.

- Rzeczywistość przerasta fikcję.

- Dojechaliśmy?

- Prawie.

Podziękowali kierowcy, wysiedli i popatrzyli, jak pikap skręca na południe i znika za zakrętem. Remi westchnęła.

- Szkoda, że istnieje coś takiego jak bariera językowa. Znając tylko parę słów po nepalsku, nie byli w stanie wyjaśnić ich kierowcy, że zapewne uratował im życie. Myślał, że po prostu zabrał dwoje zabłąkanych turystów, którzy odłączyli się od swojej grupy. Jego pobłażliwy uśmiech sugerował, że to nierzadki przypadek w tych stronach.

Teraz, wyczerpani, ale rozgrzani i wysuszeni, stali na obrzeżach ich punktu docelowego.

Otoczona wysokim murem z kamieni, cegieł i glinianej zaprawy dawna stolica potężnego niegdyś Królestwa Mustang zajmowała powierzchnię niespełna półtora kilometra kwadratowego w płytkiej dolinie pośród falistych wzgórz. Większość budynków też wzniesiono z cegieł i gliny, pomalowano na różne odcienie bieli - od szarawego do brązowego - i pokryto strzechą. Cztery z nich górowały nad pozostałymi: pałac królewski i trzy świątynie z czerwonymi dachami - Chyodi, Champa i Tugchen.

- Cywilizacja - powiedziała Remi z głębokim westchnieniem.

- Wszystko jest względne - odparł Sam.

Po pełnej niebezpieczeństw wędrówce przez pustkowia Mustangu średniowieczne Lo Manthang sprawiało wrażenie metropolii.

Ruszyli drogą gruntową w kierunku głównej bramy. Pokonali połowę odległości, gdy pojawił się mniej więcej dziesięcioletni chłopiec i ruszył pędem w ich

stronę, wołając:

- Fargo? Fargo?

Sam uniósł rękę na powitanie i odkrzyknął po nepalsku:

- *Namaste. Hoina.* Cześć. Tak.

Chłopiec zatrzymał się przed nimi z poślizgiem.

- Za mną, tak? - powiedział z uśmiechem łamaną angielszczyzną. - Za mną?

- *Hoina* - odrzekła Remi.

Chłopiec poprowadził ich krętymi zaułkami Lo Manthang, gdzie przyglądały się im ciekawie setki mieszkańców, i przystanął przed grubymi drewnianymi drzwiami w pobielonej ścianie. Uniósł zaśnieżoną mosiężną kołatkę, zastukał dwa razy i powiedział do Sama i Remi:

- *Pheri bhetaunla.*

Potem czmychnął w boczną uliczkę.

Usłyszeli odgłos kroków wewnątrz budynku i po kilku sekundach drzwi się otworzyły. W progu stał drobny mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce z długimi siwymi włosami i taką samą brodą. Twarz miał pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami i mocno opaloną. Ku ich zaskoczeniu powitał ich z akcentem brytyjskich wyższych sfer:

- Dzień dobry. Sam i Remi Fargo, jak mniemam?

- Owszem - potwierdził Sam. - Dzień dobry. Szukamy pana Karny. Sushant Dharel z Uniwersytetu Katmandu umówił nas na spotkanie.

- W istocie. I znaleźliście go. Jack Karna to ja. Ale gdzie moje maniery? Proszę wejść.

Odsunął się na bok i wpuścił Fargo do środka. Ściany wewnątrz również były pobielone, a podłoga ze starych desek porządnie wyszorowana. Pokrywało ją kilka kilimów w tybetańskim stylu, na ścianach wisiały gobeliny i oprawione kawałki pergaminu. Wzdłuż zachodniej ściany, pod grubymi skrzydłowymi oknami leżały poduszki do siedzenia i stał niski stolik do kawy. Przy wschodniej ścianie stał pękaty piecyk. Krótki korytarz prowadził do pokoju o wyglądzie sypialni.

- Już miałem wysłać po was ekipę poszukiwawczą - po wiedział Karna. - Wyglądacie na bardzo zmęczonych. Wszystko w porządku?

- Mieliśmy drobną przygodę po drodze - odparł Sam.

- Tak właśnie myślałem. Wiadomość dotarła do mnie kilka godzin temu. Trekkerzy znaleźli zniszczony samochód przewodnika w jednym z wąskich gardeł na południe stąd, a w pobliżu Kagbeni dwa ciała zostały wyrzucone na brzeg. Obawiałem się najgorszego. - Zanim zdążyli odpowiedzieć, Karna poprowadził ich ku poduszkom, na których usiedli. - Herbata jest prawie gotowa. Przepraszam na chwilę.

Kilka minut później postawił na stoliku srebrny serwis do herbaty oraz kopiasty talerz ciastek *scone* i kanapek z ogórkiem. Nalał herbatę i usiadł naprzeciwko nich.

- Mówcie - poprosił.

Sam zrelacjonował ich podróż, począwszy od przylotu do Jomsom, a skończywszy na przyjeździe do Lo Manthang. Pomiął udział Kinga w usiłowaniu zabójstwa. Karna nie zadawał żadnych pytań ani niczego nie komentował, jego jedyną reakcją było kilkakrotne uniesienie brwi.

- Nadzwyczajne - powiedział, kiedy Sam skończył. - I nie macie pojęcia, jak się nazywał ten impostor?

- Nie - zaprzeczyła Remi. - Trochę się spieszył.

- Wyobrażam sobie. Wasza ucieczka to istny hollywoodzki film.

- To, niestety, było do przewidzenia. Karna zachichotał.

- Powinienem zawiadomić tutejszych braminów, czyli radę, co się wydarzyło.

- Czy to konieczne? - zapytał Sam.

- Konieczne i z korzyścią dla was. Jesteście teraz w Lo Manthang, państwo Fargo. Stanowimy wprawdzie część Nepalu, ale mamy pełną autonomię. Bez obaw, nie zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności za to, co się stało. I jeśli rada nie uzna tego za absolutnie konieczne, nepalskie władze nie zostaną zawiadomione. Jesteście tu bezpieczni.

Fargowie rozważyli jego słowa i wyrazili zgodę.

Karna podniósł mosiężny dzwonek z podłogi obok jego poduszki i potrząsnął nim. Dziesięć sekund później z bocznego korytarza wyłonił się chłopiec, który wyszedł po nich na drogę. Stał przed Karną i się uklonił.

Karna mówił do niego szybko przez pół minuty w języku brzmiącym jak lowa. Chłopiec zadał jedno pytanie, potem znów się skłonił, skierował do drzwi frontowych i wyszedł.

- Bez obaw - rzekł Karna do Fargów. - Wszystko będzie dobrze.

- Proszę nam wybaczyć - powiedziała Remi - ale umieramy z ciekawości. Ma pan akcent...

- ...oksfordzki - dokończył i wyjaśnił: - Jestem Brytyjczykiem, chociaż nie byłem w kraju od... chyba od piętnastu lat, a w Mustangu mieszkam od trzydziestu ośmiu. Większość tego czasu w tym domu.

- Jak pan tu trafił? - zapytał Sam.

- Przyjechałem, kiedy byłem studentem antropologii. Miałem też inne zainteresowania, więc spędziłem tu trzy miesiące w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim i wróciłem do kraju. Nie minęły jednak nawet dwa tygodnie, a zdałem sobie sprawę, że Mustang wszedł mi w krew, jak to mówią, więc przyjechałem z powrotem i zostałem. Miejscowi duchowni uważają, że jestem jednym z nich - w innym wcieleniu, oczywiście. - Karna uśmiechnęła się i wzruszył ramionami. - Kto wie, może mają rację. Bez wątplenia nigdzie nie czułem się bardziej u siebie.

- Fascynujące - rzekł Sam. - Czym pan się zajmuje?

- Jestem kimś w rodzaju archiwisty. I historyka. Skupiam się na dokumentowaniu dziejów Mustangu. Ale nie takich, o jakich można przeczytać w Wikipedii. - Zauważywszy zdumioną minę Remi, dodał: - Tak, wiem, co to jest Wikipedia. Mam tu Internet satelitarny. Dość niezwykle, biorąc pod uwagę, jakie to odludzie, prawda?

- Owszem - zgodziła się.

- Od prawie dwunastu lat piszę książkę, która przy odrobinie szczęścia będzie pełną historią Mustangu i Lo Manthang. Ukrytą historią, jeśli wolicie.

- To tłumaczy, dlaczego Sushant uznał, że powinniśmy się zobaczyć właśnie z panem - powiedział Sam.

- W istocie. Wiem od niego, że interesuje was legenda o Theurangu, Złocistym Człowieku.

Remi przytaknęła.

- Tylko nie wyjaśnił mi dlaczego. - Karna spoważniał i przez chwilę wpatrywał się w Fargów. Zanim zdążyli odpowiedzieć, ciągnął dalej: - Nie będę udawał, że o was nie słyszałem. Jesteście zawodowymi poszukiwaczami skarbów, prawda?

- Nie przepadamy za tym określeniem - odparł Sam - ale w zasadzie jest trafne.

- Nie zatrzymujemy dla siebie niczego, co znajdujemy - zastrzegła Remi. - A każda finansowa rekompensata trafia do naszej fundacji.

- Wiem, czytałem o tym. Faktem jest, że cieszy się bardzo dobrą opinią. Problem w tym, że miałem już gości. Ludzi szukających Theuranga z niskich pobudek, jak się obawiam.

- Czy ci ludzie to młody mężczyzna i młoda kobieta? - spytał Sam. - Bliźnięta rasy kaukaskiej o azjatyckich rysach?

Karna uniósł lewą brew.

- Zgadza się - potwierdził. - Zjawili się tu kilka miesięcy temu.

Sam i Remi wymienili spojrzenia. Zrozumieli się bez słów: mogą i powinni zaufać Karnie. Byli na odludziu, a wczorajszy zamach na ich życie świadczył o tym, że Charles King przestał działać w rękawiczkach. Potrzebowali nie tylko wiedzy Karny, ale również zaufanego sojusznika.

- Nazywają się Russell i Marjorie Kingowie. Ich ojcem jest Charles King...

- Król Charlie - przerwał Karna. - Czytałem artykuł o nim w „Wall Street Journal”. Kowboj, jak wywnioskowałem. Teksaski burak.

- Bardzo potężny burak - uściśliła Remi.

- Dlaczego, na Boga, chce was zabić?

- Tego nie wiemy - odrzekł Sam - ale jesteśmy przekonani, że szuka Theuranga.

Zrelacjonował ich znajomość z Charlesem Kingiem. Niczego nie pominął. Powiedział Karnie, co wiedzą, co podejrzewają i co pozostaje tajemnicą.

- Jedną tajemnicę mogę wyjaśnić od razu - rzekł Karna. - Te wredne bliźnięta, dzieci Kinga, podały mi fałszywe nazwisko. Ale podczas wizyty wspomnieli o

Lewisie „Łobuzie”

Kingu. Kiedy im powiedziałem to, co zaraz powiem wam, nie wyglądali na przejętych. Dziwne, biorąc pod uwagę, kim są.

- A co im pan powiedział?

- Że Lewis King nie żyje. Zginął w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim.

Rozdział 19

Lo Manthang, Mustang, Nepal

Zaszokowani Fargowie milczeli przez chwilę. W końcu Remi zapytała:

- jak to się stało?

- Wpadł do szczeliny lodowcowej jakieś piętnaście kilometrów stąd. Pomagałem wydobyć jego ciało. Jest pochowany na tutejszym cmentarzu.

- I powiedział pan to rodzeństwu King? - spytał Sam.

- Owszem. Ich reakcję określiłbym jako... rozczarowanie. Teraz, kiedy wiadomo, kim są, wydaje się to wyjątkowo nieczułe, prawda?

- Zgodne z rodzinnym charakterem - odparła Remi. - Wyjaśnili panu, dlaczego go szukali?

- Bardzo kluczeli, więc znalazłem pretekst do skrócenia naszego spotkania. Wywnioskowałem tylko, że szukają Kinga i są zainteresowani Theurangiem. Nie przypadli mi do gustu. Miło wiedzieć, że intuicja mnie nie zawiodła. Tak czy inaczej, Charles King wiedział o śmierci swojego ojca, kiedy się z wami skontaktował.

- I kiedy wynajmował Altona - dodał Sam. - Raport z rzekomym zdjęciem Lewisa został sfabrykowany.

- Wszystko po to, żebyście się zaangażowali w szukanie Złocistego Człowieka - podsumował Karna. - Ten King to niezbyt tęga głowa, prawda? Spodziewał się, że przyjedziecie tutaj odnaleźć waszego przyjaciela, a potem, niczego nie podejrzewając, podejmiecie poszukiwania Theuranga i doprowadzicie do niego bliźnięta.

- Na to wygląda - przyznała Remi. - Przemyślny plan...

- ...wiejskiego buraka i jego wrednego potomstwa - dokończył Karna. - Pytanie, dlaczego Theurang jest taki ważny dla Kinga? Chyba nie przypuszczacie, że to jakiś zakonspirowany nazista, który kontynuuje dzieło ojca?

- Nie - odparł Sam. - Zaczynamy się zastanawiać, czy to po prostu obsesja, czy jakiś kolejny interes, taki jak jego czarnorynkowy handel skamieniałościami. W każdym razie Kingowie porywają i mordują dla Theuranga.

- Nie wspominając o zniewoleniu - dodała Remi. - Ludzie na stanowisku archeologicznym nie mogą się swobodnie poruszać.

- Bez względu na motywy Kinga, nie możemy pozwolić, żeby Złocisty Człowiek wpadł w jego ręce.

Karna uniósł swoją filiżankę jak do toastu.

- Zatem postanowione - rzekł - wypowiadamy wojnę rodzinie Kingów. Jeden za wszystkich?

Sam i Remi też unieśli swoje filiżanki.

- I wszyscy za jednego.

- Opowiedzcie mi więcej o komorze grobowej, którą znaleźliście - poprosił Karna. - Niczego nie pomijajcie.

Remi zwięźle opisała, co zastali w jaskini w wąwozie Chobar, a potem wyjęła z plecaka swój iPad, wywołała galerię zdjęć, które tam zrobiła, i wręczyła go Karnie.

Zafascynowany urządzeniem, przez chwilę obracał je w rękach i bawił się interfejsem.

- Muszę sobie taki sprawić - oznajmił. - Ale do rzeczy. Przez następne dziesięć minut uważnie oglądał zdjęcia.

Przesuwał je i powiększał, cmokając i mrużąc „niezwykłe”, „zdumiewające”. W końcu oddał iPad Remi.

- Tworzycie historię - powiedział. - Nie spodziewam się, że cały świat doceni znaczenie tego odkrycia, ale mieszkańcy Mustangu i Nepalu na pewno. Ten grobowiec jest miejscem ostatniego spoczynku któregoś ze Strażników. Cztery symbole wyryte na wierzchu kufra... Macie może ich lepsze zdjęcia?

- Niestety nie.

- Gdzie jest teraz kufer?

- W San Diego, u Selmy, szefowej naszego zespołu badawczego - odparł Sam.

- Czy ona aby jest...

- W pełni wykwalifikowana - zapewniła Remi. - Próbuje go otworzyć, ale bardzo ostrożnie, tak żeby go nie uszkodzić.

- Może będę w stanie jej pomóc.

- Wie pan, co jest w środku?

- Możliwe. Niedługo do tego dojdę. Co Sushant powiedział wam o Strażnikach i Theurangu?

- Przekazał tylko podstawowe informacje - odparła Remi - ale zapewnił, że od pana dowiemy się znacznie więcej, bo jest pan najlepszym znawcą historii Mustangu.

- To prawda - potwierdził Karna. - Strażnicy strzegli Theuranga. Ten zaszczyt przechodził z ojca na syna. Szkolono ich od szóstego roku życia tylko i wyłącznie w tym celu. Dekret Himanshu z tysiąc czterysta dwudziestego pierwszego roku to czwarty rozkaz wywiezienia Theuranga z Lo Manthang. Wcześniej trzy razy ukrywano Złotego Człowieka przed najeźdźcami i zawsze wracał szczęśliwie do stolicy. Ale w tysiąc czterysta dwudziestym pierwszym roku ówczesny „marszałek armii”, Dolma, przekonał króla i jego doradców, że ten najazd będzie początkiem końca Mustangu. A istniała przecież przepowiednia.

- Przepowiednia? - powtórzył Sam.

- Tak. Oszczędzę wam szczegółów, bo w większości dotyczą buddyjskiej legendy i numerologii, ale przepowiednia mówiła, że nadejdzie czas, kiedy Królestwo Mustang upadnie i jedynym sposobem na to, żeby kiedykolwiek się odrodziło, będzie powrót Theuranga do miejsca jego narodzin.

- Czyli tutaj - wtrąciła Remi. - Tak nam powiedział Sushant.

- Mój przyjaciel jest w błędzie. Ale to nie jego wina. Historia Mustangu i Theuranga jest w najlepszym razie epizodyczna. Po pierwsze, musicie zrozumieć, że mieszkańcy Mustangu nigdy nie uważali się za właścicieli Złocistego Człowieka, tylko raczej za jego opiekunów. Czy Sushant dokładnie opisał Theuranga?

- Jego wygląd?

- Nie, jego... naturę.

- Użył określenia „dawca życia”. Karna zastanowił się i rzekł:

- Może to i trafna metafora. - Spojrzał na Remi. - Pani Fargo, jest pani z wykształcenia antropologiem, prawda?

- Tak - potwierdziła.

- To dobrze, to bardzo dobrze. Zaczekajcie chwilę. Karna wstał i zniknął w bocznym korytarzu. Usłyszeli, że przesuwając książki na półce, a gdy po jakiejś minucie wrócił, niósł dwa oprawione w skórę tomy i szarą teczkę na akta. Usiadł i odszukawszy w obu książkach odpowiednie strony, odłożył je otwarte na podłogę.

- Królestwo Mustang nigdy nie było bogate - powie dział. - Architektura była raczej funkcjonalna, skromna, tak jak jego obywatele. Ale jeśli chodzi o wiedzę, pod wieloma względami znacznie wyprzedzali zachodni świat.

Zwrócił się do Remi.

- Pani antropolog, co pani wie o Ardim?

- Chodzi panu o to znalezisko archeologiczne?

- W istocie.

Remi zastanawiała się chwilę.

- Minęło trochę czasu, odkąd czytałam raporty - rzekła wreszcie - ale pamiętam, że Ardim nazwano w skrócie skamieniałość sprzed czterech i pół miliona lat znalezioną w Etiopii. O ile sobie przypominam, jej naukowa nazwa brzmi *Ardipithecus ramidus*. Nadal wiele się dyskutuje o tym znalezisku, panuje jednak zgodne przekonanie, że Ardi to brakujące ogniwo w ewolucji człowieka - pomost pomiędzy wyższymi naczelnymi, takimi jak małpy człekokształtne i ludzie, a ich dalszymi krewnymi, takimi jak lemury.

- Bardzo dobrze. A czym się charakteryzuje?

- Ma szkielet podobny do lemura, ale cechy naczelnych: chwytne dłonie, kciuki przeciwstawne pozostałym szponiastym palcom i krótkie kończyny. Coś pominęłam?

- Dostaje pani szóstkę - odparł z uśmiechem Karna. Otworzył szarą teczkę, wyjął z niej kolorowe zdjęcie o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i podał je Fargo. - Oto Ardi.

Zgodnie z opisem Remi skamieniałe stworzenie wyglądało jak skrzyżowanie małpy z lemurem.

- A tu jest popularny wizerunek Theuranga - powiedział Karna i wyciągnął z

teczki pojedynczą kartkę. Kolorowy rysunek przedstawiał stworzenie podobne do goryla, z masywnymi ramionami, spłaszczoną głową i szerokim pyskiem pełnym ostrych zębów. Ale zamiast nóg miało kolumnę mięśni zakończoną płetwostopą.

- Dostrzegacie jakieś podobieństwo do Ardiego? - spytał Karna.

- Nie - odpowiedział Sam. - To wygląda jak postać z kreskówki.

- W istocie. Pochodzi z legendy o pierwszym królu Tybetu, Niatrim Cenpo, który podobno był potomkiem Theuranga. W Tybecie na przestrzeni tysięcy Theurang stał się straszidłem. Ale tutejsza wersja jest zupełnie inna. - Karna podał Samowi i Remi jedną z książek.

Była otwarta na stronie z rysunkiem w zdecydowanie buddyjskim stylu, mało wyraźnym, jednak nie mogło być mowy o pomyłce.

- Ardi? - spytała Remi.

- Zgadza się - potwierdził Karna. - Moim zdaniem to jest najwierniejsza podobizna Theuranga. Patrzycie na Żłocistego Człowieka.

Fargowie przez dłuższą chwilę wpatrywali się w rysunek, kompletnie oszołomieni.

- Chyba nie sugeruje pan, że to stworzenie... - zaczął w końcu Sam.

- ...żyło we współczesnym Mustangu? - dokończył Karna. - Nie, oczywiście, że nie. Przypuszczam, że Theurang to daleki kuzyn Ardiego, prawdopodobnie znacznie późniejsze brakujące ogniwo, ale z pewnością sprzed milionów lat. Mam inne rysunki Theuranga ze wszystkimi cechami Ardiego: chwytnymi dłońmi, przeciwstawnymi kciukami... Jeszcze inne przedstawiają go z rysami twarzy bardziej podobnymi do naczelnych.

- Skąd nazwa Żłocisty Człowiek? - spytał Sam.

- Według legendy w tysiąc trzysta piętnastym roku, krótko po założeniu Lo Manthang, pierwszy król Mustangu, Arne Pal, uznał, że Theurang prezentuje się zbyt skromnie. Kazał pozłocić kości, oczodoły i końce palców ozdobić klejnotami, a zęby, podobno prawie nietknięte, pokryć listkami złota.

- To dopiero musiał być widok - powiedziała Remi.

- Jarmarczny - odrzekł Karna - ale nie mnie spierać się z Arnem Palem.

- Sugeruje pan, że tutejsi ludzie sformułowali teorię ewolucji setki lat przed Darwinem?

- Czy to była teoria? Nie. Głęboka wiara? W żadnym razie. W ciągu prawie trzydziestu lat pobytu tutaj znajdowałem teksty i dzieła sztuki, które jasno wskazują, że lud Mustangu głęboko wierzył w pochodzenie człowieka od stworzeń istniejących wcześniej, głównie naczelnych. Mogę wam pokazać malowidła naskalne przedstawiające drogę od niższych form do współczesnego człowieka. Co ważniejsze, wbrew powszechnemu przekonaniu Theuranga czczono nie tyle w sensie religijnym, ile raczej historycznym.

- Skąd się wzięła ta legenda? - spytał Sam. - Gdzie i kiedy znaleziono

Theuranga?

- Nikt tego nie wie, a przynajmniej nikt, kogo znam. Mam jednak nadzieję, że zanim umrę, znajdę odpowiedź na to pytanie. Może wasze odkrycie okaże się brakującym fragmentem układanki.

- Myśli pan, że Theurang jest w kufrze, który znaleźliśmy?

- Nie, chyba że popełniono straszną pomyłkę. Jedną z umiejętności, jakie musieli posiadać Strażnicy, była astronawigacja. Nie, jestem przekonany, że znaleźliście tego Strażnika tam, gdzie kazano mu dotrzeć.

- Więc co może być w środku?

- Albo nic, albo wskazówka co do miejsca narodzin Theuranga, dokąd rzekomo został zabrany w tysiąc czterysta dwudziestym pierwszym roku.

- Jakiego rodzaju wskazówka? - spytała Remi.

- Krążek ze złota o średnicy około dziesięciu centymetrów z wyrytymi na nim symbolami. W połączeniu z dwoma innymi krążkami i specjalną mapą wskazałby miejsce ostatniego spoczynku Theuranga.

- Wie pan coś o tym miejscu? - zapytał Sam.

- Znam jego nazwę.

- Czyli?

- Stary przekład jest trochę skomplikowany, ale na pewno słyszeliście popularną wersję: Shangri-La.

Rozdział 20

Lo Manthang, Mustang, Nepal

Sądząc po minach – powiedział Karna – myślicie, że się z was nabijam.

- Nie sprawia pan wrażenia tego typu faceta – zaprzeczył Sam – ale musi pan przyznać, że Shangri-La to tylko bajka.

- Tak pan sądzi? A co wiecie o tej rzekomo baśniowej krainie?

- To utopia, dolina w Himalajach, której mieszkańcy są szczęśliwi i wolni od wszelkich trosk.

- I nieśmiertelni – dodała Remi.

- Zgadza się.

- Taka jest Shangri-La w powieści Jamesa Hiltona z tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku *Zaginiony horyzont*. Ale ta powieść to tylko kolejny przykład na to, jak popkultura zakłamuje fascynującą – i być może prawdziwą – historię.

- Więc niech nam pan opowie tę prawdziwą historię – poprosiła Remi. – Zamieniamy się w słuch.

- Wzmianki o Shangri-La i jej odpowiednikach można znaleźć w wielu kulturach w Azji – zaczął Karna. – Tybetańczycy nazywają ją Nghe-Beyul Khimpalung i umiejscawiają w regionie Makalu-Barum albo w górach Kunlun, albo w starożytnym mieście Tsaparang w zachodnim Tybecie. Inne prawdopodobne lokalizacje to kilka miejsc w Indiach, kilkanaście w Chinach, łącznie z Junnanem, Syczuanem i Zhong-dianem, a także Bhutan i dolina Hunza w północnym Pakistanie.

A teraz naprawdę interesująca część. Jak wiecie, naziści mieli bzika na punkcie okultyzmu. Jednym z celów ekspedycji z udziałem Lewisa „Łobuza” Kinga w trzydziestym ósmym było znalezienie Shangri-La. Naziści byli pewni, że okaże się ojczyzną starożytnej rasy panów, Aryjczyków niezmienionych przez czas i krzyżówki genetyczne.

- Nie wiedzieliśmy o tym – przyznała Remi.

- Może Charles King szuka nie tylko Theuranga, ale również Shangri-La – zasugerował Karna.

- Wszystko jest możliwe – odparł Sam – ale King nie sprawia na mnie wrażenia miłośnika legend. Jeśli czegoś nie może dotknąć, zobaczyć, powąchać...

- Albo sprzedać – wtrąciła Remi.

- ...to nie jest tym zainteresowany – dokończył Sam. – Wróćmy jednak do Shangri-La. Jak pan sądzi, czym naprawdę było?

- Uważam, że dla ludu Mustangu było źródłem – miejscem narodzin i zarazem wiecznego spoczynku Theuranga, stworzenia, które uważali za swojego przodka. Innymi słowy, Shangri-La to miejsce, w którym odkryto Theuranga.

- A gdyby miał pan wskazać lokalizację? - zapytała Remi.
- Myślę, że klucz tkwi w etymologii. Tybetańskie *shang*, czy inaczej *tsang*, w połączeniu z *ri* oznacza górę, a *la* przełęcz.

- A więc górską przełęcz Tsang - podsumowała Remi.
- Niezupełnie. W starym dialekcie Mustangu *la* oznacza również wąwóz.
- Wąwóz Tsangpo to ogromny obszar - powiedział Sam. - Jaką długość ma płynąca tamtędy rzeka Yarlung Tsangpo? Ponad dwieście kilometrów?
- Dwieście czterdziestu - uściślił Karna. - Wąwóz jest w wielu miejscach głębszy od waszego Wielkiego Kanionu.

A góry są gęsto zalesione. To jeden z najbardziej niedostępnych terenów na świecie.

- Jeśli ma pan rację - orzekła Remi - to nic dziwnego, że Shangri-La pozostaje ukryta.

Karna się uśmiechnął.

- A my możemy być bliżej znalezienia jej - i Żłocistego Człowieka - niż ktokolwiek inny.

- Może bliżej - odparł Sam - ale wciąż daleko od celu. Wspomniał pan o trzech krążkach. Załóżmy, że w kufrze, który ma Selma, jest jeden z nich. Będzie nam brakowało jeszcze dwóch.

- I mapy - przypomniała Remi.

- Brak mapy to najmniejszy problem - zapewnił Karna. - Wytypowałem cztery miejsca. Jedno z nich na pewno jest właściwe. A jeśli chodzi o dwa pozostałe krążki... Co sądzicie o Bałkanach?

Fargowie wymienili spojrzenia.

- Kiedyś w Bułgarii podano nam wstrętą jagnięcinę - odparła Remi - ale poza tym nie mamy nic przeciwko.

- Miło mi to słyszeć. - Karna uśmiechnął się i zniżył głos do niemal konspiracyjnego szeptu: - Zdradzę wam coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem. Mimo iż cieszę się tu dużym szacunkiem, nie wiem, jak w mojej przybranej ojczyźnie przyjęto by moją teorię.

- Znów zamieniamy się w słuch - rzekł Sam.

- Trzy lata temu natrafiłem na tekst spisany przez osobistego sekretarza króla w ciągu tygodni poprzedzających najazd w tysiąc czterysta dwudziestym pierwszym roku.

- Jaki tekst?

- Coś w rodzaju pamiętnika. Wynika z niego, że król został poinformowany o ogromnej sile wrogiej armii i zgadzał się z przepowiednią, że nadchodzi koniec Mustangu. Miał jednak wątpliwości, czy Strażnicy zdołają wypełnić swoje zadanie. Był również przekonany, że ktoś z jego najbliższego otoczenia zdradził i przekazuje ważne informacje wrogom. Dlatego w największej tajemnicy powierzył najlepszemu

ze Strażników – człowiekowi imieniem Dhakal – zadanie przetransportowania Theuranga do Shangri-La. Do dwóch z trzech kufrów rzekomo zawierających krążki włożył falsyfikaty. Tylko jeden był oryginalny.

- A co zrobił z pozostałymi dwoma krążkami? – spytała Remi.

- Powierzył je duchownym ortodoksyjnego Kościoła wschodniego.

Fargowie zaniemówili na chwilę. Odpowiedź Karny była tak zaskakująca, że nie mieli pewności, czy dobrze usłyszeli.

- Może pan powtórzyć? – poprosił Sam.

- Rok przed najazdem Lo Manthang odwiedzili dwaj duchowni ortodoksyjnego Kościoła wschodniego.

- To był piętnasty wiek – przypomniała Remi. – W tamtym stuleciu najbliższa placówka tego Kościoła była... – Urwała i wzruszyła ramionami.

- Na terenie dzisiejszego Uzbekistanu, dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd – dokończył Karna. – I uprzedzę wasze pytanie: nie, w historii Kościoła nie znalazłem żadnej wzmianki o misjonarzach podróżujących tak daleko na wschód. Mam coś lepszego. Niedługo do tego dojdę.

W pamiętniku króla jest napisane, że zaprosił on misjonarzy na swój dwór i wkrótce się zaprzyjaźnili. Kilka miesięcy po ich przybyciu dokonano próby zamachu na życie monarchy. Duchowni przyszli mu z pomocą i jeden z nich został ranny. Król nabrał przekonania, że obecność tych dwóch obcokrajowców jest częścią przepowiedni, że zjawili się, by pewnego dnia Theurang mógł powrócić do Lo Manthang.

- Więc dał każdemu krążek na przechowanie i odesłał obu do ich ojczystych krajów przed najazdem – domyśliła się Remi.

- Właśnie tak zrobił.

- Czy znalazł pan jakieś informacje o nich? – spytał Sam.

Karna się uśmiechnął.

- Znalazłem. Nazwiska ojców Besima Mali i Arnosta Deniwa figurują w archiwach Kościoła z piętnastego wieku. Obaj zostali wysłani do Samarkandy w Uzbekistanie w roku tysiąc czterysta czternastym. Po śmierci Czyngis-chana i zdobyciu władzy przez Timura Chromego ortodoksyjny Kościół wschodni palił się do krzewienia chrześcijaństwa wśród pogan.

- Co się stało z naszymi dzielnymi misjonarzami? – zapytała Remi.

- Mała zmarł w tysiąc czterysta trzydziestym szóstym roku na albańskiej wyspie Sazan, a Deni w sześć lat później w Sofii.

- Daty pasują – stwierdził Sam. – Jeśli opuścili Lo Manthang w tysiąc czterysta dwudziestym pierwszym, to wrócili na Bałkany jakiś rok później.

Fargowie zamilkli, pogrążeni w myślach.

- Brzmi nieprawdopodobnie, prawda? – powiedział Karna.

- Cieszę się, że to wyszło od pana – odparł Sam. – Nie chciałem być nieuprzejmy.

- Nie dziwię się, że jest pan sceptyczny. Ja sam przez pierwszy rok po znalezieniu pamiętnika próbowałem podważyć jego wiarygodność, ale bez rezultatu. Oto, co proponuję: przekażę notatki z moich badań tej waszej Selmie. Jeśli uda jej się obalić moją teorię, trudno. Jeśli nie, to...

- Jedziemy na Bałkany - dokończyła Remi.

Karna przyniósł z sypialni swój laptop, Apple MacBook Pro z siedemnastocalowym ekranem, i postawił go na stoliku do kawy. Jeden koniec kabla ethernetowego wetknął do komputera, drugi do gniazdka w ścianie, połączonego - jak domyślili się Fargowie - z anteną satelitarną.

Wkrótce w oknie iChata ukazała się twarz Selmy, za którą stali Pete Jeffcoat i Wendy Corden. Selma miała na sobie swój codzienny uniform w postaci nierównomiernie ufarbowanego T-shirta, a na nosie okulary w rogowej oprawce z łańcuszkiem na szyję.

Remi dokonała prezentacji, po czym wprowadziła całą trójkę w sprawę. Selma swoim zwyczajem nie zadawała żadnych pytań podczas relacji, a gdy Remi skończyła, milczała dłuższą chwilę, porządkując w głowie informacje.

- Interesujące - orzekła w końcu.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytał Sam.

- Przypuszczam, że powiedzieli już państwo panu Karnie we właściwy dla was dyplomatyczny sposób, jak naciąganie to brzmi.

Jack Karna zachichotał.

- W istocie, pani Wondrash.

- Selma.

- W takim razie, Jack.

- Masz zdigitalizowany swój materiał badawczy?

- Oczywiście.

Selma podała Karnie link do serwera biurowego.

- Prześlij go, to zacznę nad nim pracować. Na razie prze każę kufer Pete'owi i Wendy. Możecie się zająć otwieraniem go.

Przesyłanie plików trwało dwadzieścia minut. Kiedy się skończyło, Karna namówił Sama i Remi, żeby się zdrzemnęli w jego pokoju gościnnym, po czym zabrał się wraz z Pete'em i Wendy do pracy nad skrzynią. Najpierw poprosił o pokazanie powiększonych zdjęć kufra, łącznie ze zbliżeniem wyrytych na nim symboli.

Przyglądał się im na ekranie laptopa, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę i mrużąc coś pod nosem. Nagle wstał, wyszedł na chwilę i wrócił z niewielką książeczką oprawioną w czerwoną tkaninę. Wertował ją przez kilka minut, wreszcie zawołał:

- Aha! Tak jak myślałem. Te znaki pochodzą z języka lowa i jeszcze innego królewskiego dialektu. Inskrypcję należy czytać pionowo, od prawej do lewej. W

wolnym przekładzie brzmi ona tak:

Przez spełnienie – dobrobyt,

Przez opór – cierpienie...

- Chyba czytałam to kiedyś w jakimś poradniku – zażartowała Wendy.

- Nie wątpię – odrzekł Karna – ale w tym wypadku to ostrzeżenie, klątwa. Przypuszczam, że te znaki zostały wyryte na kufkach wszystkich Strażników.

- Krótko mówiąc – podsumował Pete – dostarcz to do celu, a znajdziesz szczęście; majstruj przy tym albo kombinuj, a będziesz miał przerąbane.

- Jestem pod wrażeniem, młody człowieku – odparł Karna. – Oczywiście nie użyłbym takich słów, ale świetnie uchwyciłeś sedno.

- Czy to było przeznaczone dla Strażników? – zapytała Wendy.

- Nie sądzę. Dla wrogów lub kogokolwiek, kto nielegalnie stanie się właścicielem któregoś kufra.

- Ale jeśli ten dialekt jest tak mało znany, to kto poza rodziną panującą w Mustangu byłby w stanie zrozumieć ostrzeżenie?

- Nie miało to znaczenia. Klątwa obowiązuje, do diabła z ignorancją.

- Ostro – stwierdził Pete.

- Przyjrzyjmy się bliżej skrzyni, dobrze? Na jednym ze zdjęć zauważyłem cieniutecznie spojenie wzdłuż dolnej krawędzi.

- My też – odrzekła Wendy. – Uwaga, robimy zbliżenie... Kilka kliknięć myszką później żądany obraz wypełnił ekran laptopa Karny. Przyglądał się zdjęciu przez kilka minut, w końcu zapytał:

- Widzicie spojenie, o którym mówiłem? To, które wygląda jak rząd ośmiu myślników?

Pete przytaknął.

- A to pełne naprzeciwno?

- Też.

- Zapomnijcie o nim. To zmyłka. Jeśli dobrze się domyślam, to przerywane spojenie jest rodzajem zamka szyfrowego.

- Szparki są niewiele szersze od kartki papieru – zauważyła Wendy.

- To prawda, mają jakieś dwa milimetry – zgodził się Karna. – Będzie wam potrzebny cienki pręt z bardzo twardego metalu lub stopu. W każdej z tych szparek powinien być brązowy lub mosiężny wieniec z trzema pionowymi zagłębieniami do ustawienia w górnym, środkowym lub dolnym położeniu.

- Moment – powiedziała Wendy. – Obliczam... To ponad sześć i pół tysiąca możliwych kombinacji.

- Nie należy się zniechęcać – odparł Pete. – Mając dość cierpliwości i czasu, w końcu się trafi.

- To prawda – przyznał Karna – gdyby nie jeden fakt: można spróbować tylko raz. Po wprowadzeniu niewłaściwej kombinacji wewnętrzny mechanizm się zablokuje.

- To komplikuje sprawę.
- Jeszcze nie doszliśmy do komplikacji, mój chłopcze. Prawdziwe wyzwanie zacznie się po wprowadzeniu kombinacji.
- Jak to? - zdziwiła się Wendy.
- Słyszeliście kiedykolwiek o chińskiej szkatułce?
- Owszem.
- Potraktujcie to, co macie przed sobą, jak matkę wszystkich chińskich szkatulek. Tak się składa, że chyba znam kombinację do mechanizmu ryglującego. Zaczynamy?

Gdy trzy godziny później Sam i Remi, odświeżeni i uzbrojeni w filiżanki herbaty, dołączyli do Karny, Pete właśnie wykrzyknął:

- Mam!
Fargowie spojrzeli na ekran laptopa. Pete i Wendy pochylali się nad stołem do pracy, na którym stał kufer Strażnika. Oświetlała go lampa halogenowa w suficie.

Po chwili na ekranie pojawiło się drugie okno iChata i zobaczyli twarz Selmy.

- I jak wam idzie? - zapytała.
- To chińska szkatułka - odparła Wendy. - Kiedy wprowadziliśmy kombinację, otworzył się wąski panel. W środku były trzy drewniane dźwigienki. Według instrukcji Jacka przestawiliśmy jedną. Otworzył się następny panel, odsłonił kolejne dźwigienki i tak dalej... Ile jest teraz ruchów, Jack?

- Sześćdziesiąt cztery. Został jeszcze jeden. Jeśli wszystko zrobimy dobrze, kufer się otworzy. Jeśli nie, możemy na zawsze stracić zawartość.

- Wyjaśnij to - poprosił Sam.
- O Boże, nie wspomniałem o pułapce - jęknął Karna. - Bardzo przepraszam.
- Wspomnij teraz - odparła Remi.
- Jeśli w skrzyni jest krążek, to zawieszono go pośrodku głównej przegrody. W jej bokach są osadzone szklane buteleczki ze żrącym płynem. Jeżeli wasz ostatni ruch będzie niewłaściwy albo spróbujecie otworzyć przegrodę siłą... - Karna wydał syczący odgłos - znajdziecie bezkształtną bryłkę złota.

- Mam nadzieję, że się mylę - powiedziała Selma - ale wątpię, żeby tam był krążek.

- Dlaczego? - zapytał Pete.
- Prawdopodobieństwo. Sam i Remi natknęli się na jedyny kiedykolwiek znaleziony kufer Strażnika i akurat w nim ma być krążek?

- Ale oni się na niego nie „natknęli” - zaproponował Karna. - Szli śladem Lewisa Kinga, człowieka, który przez co najmniej jedenaście lat szukał Theuranga. Bez względu na jego motywy, wątpię, żeby gonił za cieniem tamtego dnia w wąwozie Chobar. Nie dotarł wprawdzie do komory grobowej Strażnika, nie sądzę jednak, żeby wybrał się tam dla pustej skrzyni.

Selma rozważyła jego słowa.

- Logiczne - przyznała.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedział Sam. - Kto będzie pełnił honory? Pete? Wendy?

- Będę rycerski - odrzekł Pete. - Do dzieła, Wendy.

Wendy wzięła głęboki oddech, sięgnęła do kufra i przestawiła odpowiednią dźwigienkę. Prostokąt szerokości dwóch i pół centymetra odsunął się obok jej palców.

- Teraz delikatnie wsuwaj mały palec do otworu - instruował ją Karna - dopóki nie wyczujesz kwadratowego wypustu.

Wendy wykonała polecenie.

- Okej, jest.

- Przesuń ten wypust... niech zobaczę... w prawo. Nie, w lewo!

- W lewo - powtórzyła Wendy. - Na pewno? Karna energicznie skinął głową.

- Tak, w lewo.

- Już się robi.

Sam i Remi usłyszeli przez głośnik laptopa stuk drewna.

- Wieko się otworzyło! - krzyknęła Wendy.

- Teraz ostrożnie je unieś. Jeśli krążek jest w kufrze, to wisi pod spodem.

Wendy zaczęła bardzo wolno unosić wieko, centymetr za centymetrem.

- Jest czymś obciążone.

- Nie zakołysz nim - szepnął Karna. - Jeszcze kawałek...

- Widzę wiszący pionowo sznurek - powiedział Pete. - Wygląda jak katgut albo coś tym rodzaju.

Wendy nadal unosiła wieko.

Światło lampy halogenowej odbiło się od zakrzywionej krawędzi czegoś litego, zalśniło złoto.

- Przygotuj się, Pete - polecił Karna.

Wendy uniosła wieko do końca i reszta sznurka wyłoniła się ze skrzyni. Na jego końcu wisiała nagroda: złoty krążek o średnicy dziesięciu centymetrów.

Pete wyciągnął ręce w lateksowych rękawiczkach i Wendy opuściła krążek na jego dłonie. Przeniósł go ostrożnie na wyłożoną pianką tacę na stole.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Teraz będzie najtrudniejsze - uprzedził Karna.

- Co?! - wykrzyknęła Wendy. - Nie to było najtrudniejsze?

- Niestety nie, moja droga. Teraz musimy się przekonać, czy mamy oryginał.

Rozdział 21

Vlora, Albania

Zegar na desce rozdzielczej fiata pokazał dziewiątą rano akurat w momencie, gdy Sam i Remi mijali tablicę witającą we Vlorze. Drugie największe miasto Albanii miało sto tysięcy mieszkańców i leżało nad zatoką na zachodnim wybrzeżu Adriatyku, u stóp gór.

Sam i Remi mieli nadzieję, że dopisze im szczęście i znajdą tu jeden z krążków Strażników.

Godzinę po wydobyciu z kufra pierwszego krążka w oknie iChata na ekranie laptopa Karny ponownie ukazała się twarz Selmy, która w typowy dla siebie sposób stwierdziła sucho:

- Jack, twoje metody badawcze są bez zarzutu. Uważam, że teoria o dwóch duchownych trzyma się kupy. Czy uda nam się znaleźć dwa pozostałe krążki, to już inna sprawa.

- Czego zdołałaś się dowiedzieć? - zapytał Sam.

- Przed śmiercią Besim Mała i Arnost Deniw zostali podniesieni do godności biskupów i byli bardzo szanowani w swoich społecznościach. Obaj pomogli ufundować liczne kościoły, szkoły i szpitale.

- Co sugeruje, że ich groby powinny być bardziej wymyślne niż prostokątne doły w ziemi głębokości dwóch metrów - zauważył Karna.

- Nie znalazłam żadnych szczegółów, ale zgadzam się z twoim rozumowaniem - odparta Selma. - W piętnastym i szesnastym wieku OKW...

- Co takiego? - spytała Remi.

- Ortodoksyjny Kościół wschodni - wyjaśniła spokojnie Selma. - OKW, zwłaszcza na Bałkanach i w południowej Rosji, zwykł z wielką ceremonią grzebać swoich dostojników. Zwyczajowymi miejscami ich pochówku były krypty i mauzolea.

- Pytanie tylko - powiedział Karna - gdzie zostali pochowani.

- Jeszcze pracuję nad Deniwem, ale w archiwach Kościoła jest napisane, że biskup Besim Mała został pochowany we Vlorze w Albanii.

Oczekując kolejnych informacji od Selmy, Fargowie zwiedzali miasto, podziwiając jego wspaniałe zabytki. Krótco przed południem wjechali na parking hotelu Bologna z widokiem na błękitne wody zatoki i usiedli w obsadzonym palmami restauracyjnym ogródku.

Zadzwieczał telefon satelitarny Sama. Dzwoniła Selma. Sam włączył głośnik.

- Mam tu również Jacka - oznajmiła Selma. - Mamy...

- Nie pytaj nas, jaką wiadomość chcemy usłyszeć najpierw, złą czy dobrą, tylko po prostu mów - przerwała jej Remi. - Jesteśmy za bardzo zmęczeni, żeby wybierać.

- Są same dobre wiadomości, a przynajmniej potencjalnie dobre.

- Zaczynajcie - przynaglił Sam.

- Moim zdaniem - powiedział Karna - krążek Strażnika jest autentyczny. Nie będę stuprocentowo pewny, dopóki nie porównam go z mapą naścienną, o której wam wspomniałem, ale jestem optymistą.

Głos zabrała Selma:

- Co do miejsca wiecznego spoczynku Besima Mali, to mogę zauważyć wasz obszar poszukiwań do około półtora kilometra kwadratowego.

- Czy to jest pod wodą? - spytał Sam.

- Nie.

- Na mokradłach pełnych aligatorów? - dorzuciła Remi.

- Też nie.

- Niech zgadnę - podjął Sam. - W jakiejś jaskini.

- Trzy razy pudło - odparł Karna. - Na podstawie naszych badań uważamy, że biskup Mala jest pochowany na cmentarzu klasztoru Matki Boskiej na wyspie Zver nec.

- Która znajduje się? - zapytała Remi.

- Niecałe dziesięć kilometrów na północ wzdłuż wybrzeża. Znajdźcie dostęp do Wi-Fi, to prześlę szczegóły do pani iPada.

Sam i Remi pozwolili sobie na krótki relaks w hotelowej restauracji. Zamówili smakowity albański lunch złożony z klopsików jagnięcych z miętą i cynamonem, pierożków ze szpinakiem z przyprawami korzennymi i soku winogronowego z cukrem i musztardą. Traf chciał, że w lokalu był bezpłatny dostęp do Wi-Fi, więc między kolejnymi kęsami wyśmienitego jedzenia przeglądali ich pakiet podróży, jak to nazywała Selma. Zgodnie z przewidywaniami, był wyczerpujący - zawierał instrukcje, jak jechać, historię punktu docelowego i plan terenu klasztoru. Selma nie zdołała znaleźć tylko dokładnej lokalizacji grobu biskupa Mali.

Po lunchu Fargowie ruszyli fiatem na północ. Wkrótce dotarli do miejscowości Zver nec, skąd skierowali się ku lagunie Narta. Okazała się duża, miała ponad trzydzieści kilometrów kwadratowych.

Sam skręcił w drogę gruntową biegnącą wokół laguny i podążał na północ, aż dojechali do pustego żwirowego parkingu na cyplu.

Fargowie wysiedli i się przeciągnęli. Było słonecznie i wyjątkowo ciepło, jak na tę porę roku - dwadzieścia jeden stopni.

- Domyślam się, że to nasz cel - powiedziała Remi, wskazując odległą o niecałe trzysta metrów niewielką wysepkę.

Klasztor Matki Boskiej - kompleks czterech budynków w stylu gotyckim - zajmował niespełna hektarowy teren przy brzegu.

Na wysepkę prowadził wąski pieszy most. Gdy do niego podeszli, Remi przystanąła i popatrzyła nerwowo na przeprawę. Rozpadające się mosty, które

musieli pokonać najpierw w wąwozie Chobar, a potem w drodze na tajne wykopaliska Kinga, najwyraźniej wywarły na nią większy wpływ, niż sobie uświadamiała.

Sam otoczył żonę ramieniem.

- Nie bój się, Remi - powiedział. - Jestem inżynierem i znam się na mostach. Ten na pewno się nie zawali. Klasztor Matki Boskiej to atrakcja turystyczna. Dziesiątki tysięcy ludzi przechodzą tym mostem co roku.

Zerknęła na niego zmrużonymi oczami.

- Chyba mnie nie pocieszasz, Fargo?

- A jak myślisz?

- Kto cię tam wie.

- Nie tym razem. Chodź, przejdziemy razem. To będzie jak spacer chodnikiem.

Skinęła energicznie głową.

- Raz kozie śmierć. Idziemy.

Sam wziął ją za rękę i ruszyli. W połowie mostu Remi nagle się zatrzymała i oznajmiła z uśmiechem:

- Chyba już mi lepiej.

- Wyleczona?

- Tego bym nie powiedziała, ale wszystko jest w porządku. Możemy iść dalej.

Po kilku minutach dotarli na wyspę. Z daleka budynki kościelne wyglądały nieskazitelnie: zbielały od słońca kamienne ściany i czerwone dachówki. Dopiero z bliska można było zauważyć, że zabudowania klasztorne pamiętają lepsze czasy. Brakowało sporo dachówek, kilka ścian wybrzuszało się lub częściowo kruszyło, a jedna dzwonnica nie miała dachu.

Przez teren wiła się dobrze utrzymana ziemna ścieżka. Gołębie stłoczone na okapach gruchały, przyglądając się dwojgu nowym gościom.

- Nikogo nie widzę - powiedział Sam. - A ty? Remi pokręciła przecząco głową.

- W materiale od Selmy jest wzmianka o dozorczy, ale ani słowa o biurze turystycznym.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował Sam. - Jaką powierzchnię ma wyspa?

- Cztery hektary.

- Znalezienie cmentarza nie powinno zabrać dużo czasu.

Obejrzeliby pobieżnie każdy budynek i ruszyli ścieżką do sosnowego lasu za polaną. Kiedy weszli między drzewa, zobaczyli, że zagajnik jest bardzo gęsty. Wędrówka wśród próchniejących kłód i pniaków była prawdziwym wyzwaniem. Po kilkuset metrach ścieżka się rozwidliła.

- Żadnego drogowskazu - powiedziała Remi.

- Rzuć w myślach monetę - zaproponował Sam.

- W lewo - rzekła po chwili.

Wybrali lewą odnogę i dotarli krętym szlakiem do walącego się, na wpół

spróchniałego pomostu na skraju bagna.

- Zły rzut – stwierdziła Remi.

Wrócili do rozwidlenia i skręcili w prawo. Prowadziła na północny wschód, w kierunku szerszego krańca wyspy.

Sam pobiegł truchtem na zwiady i wkrótce zniknął z widoku. Minutę później zawołał do Remi:

- Widzę polanę!

Po chwili wyłonił się zza zakrętu i zatrzymał przed nią z szerokim uśmiechem.

- Normalnie polany tak cię nie podniecają – zauważyła.

- Owszem, jeśli są na nich nagrobki – odparł.

- Prowadź, *bwana*.

Doszli ścieżką do owalnej polany o szerokości mniej więcej sześćdziesięciu metrów. Rzeczywiście była cmentarzem, ale Sam i Remi niemal natychmiast uświadomili sobie, że coś tu jest nie tak. Na przeciwległym krańcu leżała bezładna sterta sosnowych kłód, a obok niej wysokie stosy suchych konarów i gałęzi. Ziemia wyglądała jak po ostrzale artyleryjskim, prawie połowa grobów nosiła świeże ślady zniszczeń. Z kilkudziesięciu nagrobków ocalało tylko kilka; pozostałe były popękane lub częściowo wyrwane z ziemi. Fargowie naliczyli czternaście mauzoleów. Wszystkie ucierpiały: stały przechylone, a niektóre całkiem się zawaliły.

- Co tu się stało? – zastanawiała się Remi.

- Prawdopodobnie był silny sztorm – powiedział Sam. – Nadciągnął od oceanu i przeszedł przez wyspę. Szkoda.

- Szkoda, ale dla nas to nawet lepiej – odparła Remi. – Nie będziemy musieli się włamywać do mauzoleum Mali.

- Słusznie – przyznał Sam. – Ale jest jeszcze jedna przeszkoda.

- Jaka?

- Najpierw się rozejrzyjmy. Nie chcę zapeszyć. Rozdzielili się. Sam ruszył wzdłuż wschodniego skraju cmentarza, a Remi wzdłuż zachodniego. Omijając płyty nagrobne, podchodzili do kolejnych mauzoleów, przystawali i czytali nazwiska wyryte na kamiennych fasadach.

W końcu Remi dotarła do północno-wschodniego rogu cmentarza, przy stercie sosnowych kłód. Ostatnie mauzoleum na jej drodze było najmniej zniszczone ze wszystkich, miało tylko kilka pęknięć na ścianach. Gdy spojrzała na jedną z nich, serce zabiło jej żywiej.

- Sam! – zawołała. – Chyba znalazłam.

- Dlaczego tak myślisz? – spytał, podchodząc do niej.

- Jeszcze nie widziałam takiego wielkiego krzyża, a ty?

- Też nie.

Na ścianie najbliższej nich był krzyż prawosławny o wymiarach metr dwadzieścia na półtora metra z trzema poprzecznymi belkami – dwiema poziomymi na górze i

jedną ukośną na dole.

- Widziałam ich mnóstwo, ale nigdy tej wielkości. Obeszli mauzoleum i stanęli przed sięgającym do połowy łydki ogrodzeniem z kutego żelaza. Do wejścia prowadziły trzy kamienne schodki, ale drzwi nie było. Albo zostały zniszczone, albo ktoś je zabrał.

Na frontonie pod spadzistym dachem wyryto cztery litery: MALA.

- Miło w końcu znaleźć Waszą Eminencję - powiedział Sam.

Dał krok nad płotkiem, Remi za nim i zeszli po stopniach. Zatrzymali się przed ciemnym otworem; woń stęchlizny wypełniła im nozdrza. Sam sięgnął do kieszeni po latarkę diodową, a gdy przestąpili próg, włączył ją.

- Pusto - szepnęła Remi.

Sam oświetlił wnętrze, w nadziei że jest dolny przedsionek, ale nic nie zobaczył.

- Widzisz jakieś oznaczenia? - spytał.

- Nie. Ten zapach nie jest normalny. To...

- Stojąca woda.

Zgasił latarkę. Odwrócili się i wspięli po stopniach.

- Ktoś go gdzieś zabrał - powiedział Sam. - Wszystkie mauzolea, do których zaglądałem, też były puste.

- Moje też. Ktoś ekshumował tych ludzi.

Po powrocie na teren klasztoru zauważyli mężczyznę na szczycie drabiny opartej o uszkodzoną dzwonnice. Był w średnim wieku, krępy, w czarnej skórzanej cyklistówce na głowie. Podeszli bliżej.

- Przepraszam pana - zagadnęła Remi po albańsku. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nich z góry.

- *A flisni anglisht?* Mówi pan po angielsku? Mężczyzna pokręcił głową.

- Jo.

- Cholera - mruknęła Remi i wyjęła swój iPad.

- Earta - zawołał mężczyzna.

Zza rogu budynku wybiegła mała jasnowłosa dziewczynka i zatrzymała się z poślizgiem przed Samem i Remi. Uśmiechnęła się do nich, a potem do mężczyzny na drabinie.

- *Po?* - spytała.

Tłumaczył jej coś po albańsku przez kilka sekund. Skinęła głową i zwróciła się do Fargów:

- Dzień dobry. Mam na imię Earta. Znam angielski.

- To wspaniale - ucieszył się Sam, po czym przedstawił siebie i żonę.

- Miło mi was poznać. Chcecie o coś zapytać mojego ojca?

Remi przytaknęła.

- Jest tutaj dozorca? Earta zmarszczyła brwi.

- Do-zor-cą? - przesylabizowała, jakby próbowała sobie przypomnieć, co

oznacza to słowo. – A, tak, jest dozorcą.

– Interesuje nas cmentarz. Właśnie tam byliśmy i...

– Straszne to, co się stało, prawda?

– A co dokładnie się stało?

Earta zapytała ojca, wysłuchała jego odpowiedzi i wyjaśniła:

– Dwa miesiące temu wielki sztorm nadszedł od zatoki. Było dużo szkód. Następnego dnia morze się podniosło i zalało lagunę i część wyspy. Cmentarz był pod wodą. Tam też jest dużo szkód.

– A co się stało z... pochowanymi?

Earta zapytała ojca, potem zwróciła się do Fargów:

– Dlaczego pytacie?

– Mam krewnych, którzy stąd pochodzą – wyjaśniła Remi. – Wiem od mojej ciotki, że jeden z nich został tu pochowany.

– Ojej – powiedziała Earta, wyraźnie zmartwiona. Znowu rozmawiała chwilę z ojcem i zwróciła się do Remi: – Około połowy grobów ocalało. Reszta... Kiedy woda opadła, ludzie już nie byli pod ziemią. Mój ojciec, moje siostry i ja znajdowaliśmy ich potem przez kilka dni. – Oczy jej zabłysły i uśmiechnęła się. – Była nawet czaszka na drzewie! Po prostu tam została. To było zabawne.

Remi popatrzyła na rozpromienioną dziewczynkę.

– Na pewno – przyznała.

– Przyjechały władze i zdecydowały, że ciała powinny być zabrane, dopóki cmentarz nie zostanie... eee... naprawiony. Czy to dobre słowo?

Remi się uśmiechnęła.

– Tak.

– Wróćcie w przyszłym roku. Wtedy będzie dużo przyjemniej. Mniej śmierdząco.

– Gdzie są teraz szczątki?

Earta zapytała ojca. Skinęła głową na jego wyjaśnienie i powiedziała do Sama i Remi:

– Na wyspie Sazan. – Wskazała w kierunku zatoki Vlor. – Tam jest stary klasztor, jeszcze starszy niż ten. Władze zabrały tam ich wszystkich.

Rozdział 22

Vlora, Albania

A to pech – powiedziała Selma, kiedy kilka minut później Sam i Remi, wróciwszy na parking, na którym zostawili fiata, podzielili się z nią informacjami. – Moment, zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć o wyspie Sazan.

Przez chwilę słyszeli stukanie w klawiaturę, potem Selma znów się odezwała:

– Sazan, największa wyspa Albanii, ma ponad pięć kilometrów kwadratowych powierzchni i leży między cieśniną Otranto a zatoką Vlora. Jest niezamieszкана. Wody wokół niej to część Morskiego Parku Narodowego. Wiele razy przechodziła z rąk do rąk, należała do Grecji, Cesarstwa Rzymskiego, Imperium Osmańskiego, Włoch, Niemiec i wreszcie do Albanii. Podczas drugiej wojny światowej Włosi zbudowali tam jakieś fortyfikacje i... tak, zgadza się, przerobili klasztor z epoki bizantyjskiej na jakąś twierdzę. – Selma zrobiła pauzę. – Hm, to może być problem. Zdaje się, że się pomyliłam.

– Jaskinie – wypalił Sam.

– Bagna, aligatory – zgadywała Remi.

– Nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że wyspa wprawdzie jest niezamieszкана, ale znajduje się na niej baza Straży Parkowej. Mają kilka łodzi patrolowych i około trzydziestu strażników.

– A cywile nie mają tam wstępu – domyśliła się Remi.

– Tak podejrzewam, pani Fargo – odparła Selma.

Fargowie milczeli chwilę, a potem Sam zapytał:

– Jak więc się tam dostaniemy?

Pominęli pierwszą sugestię Selmy: „nie dajcie się złapać” i zaczęli rozważać możliwości. Przede wszystkim potrzebowali środka transportu. Selma zapewniła, że załatwienie go nie będzie trudne.

Powierzili jej to zadanie i wróciwszy fiatem do Vlory, gdzie w ogródku restauracyjnym hotelu Bologna czekali na wiadomość. Selma zadzwoniła po godzinie.

– Co państwo sądzą o kajakach?

– Nie mamy nic przeciwko nim, dopóki są dla nas miłe – odparł Sam.

Remi zbyła ten wyrafinowany żart machnięciem ręki.

– Mów, Selmo – poprosiła.

– Na północnym krańcu półwyspu są tereny rekreacyjne: plaże, skałki wspinaczkowe, jaskinie morskie, zatoczki do pływania. Z krańca półwyspu na Sazan jest niewiele ponad trzy kilometry. Kłopot w tym, że tamtejszy ośrodek to strefa ciszy i zamykają go o zmroku. Domyślałam się, że woleliby państwo zadziałać w nocy.

– Jak ty dobrze nas znasz. – Remi się roześmiała. – Przypuszczam, że znalazłaś

sklep z kajakami.

- Tak, i pozwoliłam sobie zamówić dwa dla państwa.

- A co z pogodą i pływami? - zapytała Remi.

- Dziś w nocy ma być zachmurzenie umiarkowane, bezwietrznie, księżyc w pierwszej kwadrze, ale jutro rano spodziewany jest sztorm. Z map morskich, które udało mi się znaleźć w Internecie, wynika, że prąd w zatoce jest dość słaby, ale jeśli oddalą się państwo zanadto na wschód od wyspy Sazan i półwyspu, to znajdą się państwo na Adriatyku. A tam prąd jest bardzo silny.

- Innymi słowy - podsumował Sam - podróż w jedną stronę na południe do Morza Śródziemnego.

- Jeśli w ogóle dotrą państwo tak daleko bez...

- Rozumiemy, Selmo - przerwała Remi. - Wschód jest niedobry.

Fargowie spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

- Ile czasu zostało do zmroku? - spytał Sam.

Nadejście nocy okazało się najmniejszym z ich zmartwień. Wprawdzie sklep - zlokalizowany w Orikum, nadmorskim kurorcie piętnaście kilometrów na południe od Vlory - oferował różnorodne modele plastikowych kajaków, ale wszystkie były czerwone, żółte lub pomarańczowe. Z braku czasu na szukanie innych kupili dwa najmniej jaskrawe, wraz z wiosłami i kapokami.

Po krótkiej wizycie w sklepie żelaznym wrócili do Vlory, gdzie znaleźli sklep z nadwyżkami wojskowymi. Tam zaopatrzyli się w czarne stroje: buty i skarpety, wełniane spodnie i czapki oraz za duże swetry z golfem, żeby zasłonić wściekle pomarańczowe kapoki. Kupili też dwa czarne plecaki. Potem ruszyli na północ.

Sam jeździł po terenach rekreacyjnych przez kilka minut, ale nie zobaczyli żywej duszy. Parkingi i plaże świeciły pustkami. Ze szczytu klifu przyjrzeni się uważnie wodom poniżej - też nikogo.

- Powinniśmy założyć, że będą patrole - powiedziała Remi. - Straży Parkowej albo miejscowej policji.

Sam skinął głową.

- Słusznie.

Gdyby znaleziono ich fiata, zostałyby odholowane albo dostałoby mandat. Co gorsza, lokalne władze mogłyby wszcząć alarm w obawie, że dwoje turystów zaginęło na morzu. Nie potrzebowali takich komplikacji.

Sam znalazł gęsto zarośnięty rów odwadniający i wjechał tam tyłem. Pod czujnym okiem dbającej o szczegóły Remi zamaskowali samochód gałęziami tak, że był niewidoczny z drogi.

Cofnęli się i przyjrzeni swojemu dziełu.

- Mogliby cię wykorzystać przed lądowaniem aliantów w Normandii - stwierdził Sam.

- Mogłabym się przydać - przyznała skromnie Remi.

Z plecakami na ramionach ściągnęli kajaki ze wzgórza do ustronnej zatoczki, którą wypatrzyli wcześniej. Miała nieco ponad dziesięć metrów szerokości, prawie dwieście długości i prowadziła tukiem od płycizny przy piaszczystej plaży do morza.

Do zmroku zostały zaledwie trzy kwadranse, zabrali się więc za maskowanie kajaków. Pokrywali ich powierzchnię czarną i szarą farbą okrętową w sprayu, dopóki nie zniknął ostatni kawałek jaskrawego plastiku. Sam zrobił to porządnie, ale nie tak artystycznie jak Remi, której dzieło było uderzająco podobne do kamuflażu okrętów wojennych z czasów pierwszej wojny światowej.

Cofnął się kilka kroków, przyjrzał kolejno każdemu kajakowi i zapytał:

- Jesteś pewna, że w poprzednim wcieleniu nie byłaś kimś z Biura Służb Strategicznych?

- Nie całkiem - odparła i wskazała głową jego kajak. - Pozwolisz?

- Proszę bardzo.

Parę minut i pół pojemnika farby później kajak Sama wyglądał prawie identycznie jak jej. Odwróciła się do męża.

- I jak?

- Czuję się... bezzałogowy.

Remi pocałowała go i się uśmiechnęła.

- Jeśli to cię pocieszy, twój kajak jest chyba większy od mojego.

- Bardzo śmieszne. Zamieńmy się.

Przebrali się w stroje ze sklepu z nadwyżkami wojskowymi, a swoje zwykłe ubrania schowali do plecaków, które umieścili w forpikach.

Potem usiedli na piasku i obserwowali, jak zachodzi słońce i ciemność powoli otula zatoczkę.

Kiedy zapadła noc, zepchnęli kajaki na wodę, wsiedli do nich i popłynęli przez zatoczkę. Przez kilka minut ćwiczili manewry, wyczuwając wiosła i równowagę. Wreszcie nabrali pewności, że są gotowi.

Ruszyli wzdłuż zatoczki, Sam przodem, Remi z tyłu i na prawo od niego. Wiosła prawie bezdźwięcznie zanurzały się w wodzie. Wkrótce w polu widzenia ukazał się wylot zatoczki, a za nim otwarte morze. Trzy kilometry przed sobą, niemal dokładnie na północy, widzieli ciemną bryłę wyspy Sazan.

W pewnej chwili Sam przestał wiosłować i uniósł zaciśniętą pięść, dając żonie znak, żeby się zatrzymała. Gdy Remi posłusznie wyciągnęła wiosło z wody, powolnymi ruchami wskazał najpierw swoje ucho, a potem szczyt klifu na prawo od nich.

Minęło dziesięć sekund.

Wtedy Remi to usłyszała: warkot silnika, a potem cichy pisk hamulców.

Sam wskazał skalną ścianę, zanurzył wiosło i skierował kajak w tamtą stronę. Remi powiosłowała za nim. Ustawił kajak równoległe do urwiska, obrócił się,

położył rękę na dziobie kajaka żony i przyciągnął go do swojego.

- Strażnik? - szepnęła.

- Miejmy nadzieję. Popatrzeli w górę.

Na krawędzi klifu rozbłysnął płomień zapałki, po chwili zgasł i pojawił się ogień papierosa. W jego nikłym blasku Sam dostrzegł daszek czapki w wojskowym stylu. Przez kilka minut siedzieli nieruchomo i obserwowali palacza. W końcu mężczyzna odwrócił się i ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł. Z góry dobiegł odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek, a potem cichy warkot silnika i samochód odjechał.

Fargowie odczekali jeszcze pięć minut na wszelki wypadek i popłynęli dalej.

Pół kilometra od brzegu przekonali się, że informacje Selmy co do pływów też były trafne. Wiedzieli, że ocean to kapryśna bestia: nawet stosunkowo słaby prąd, płynący z prędkością jednego węzła, zmuszał do stałych korekt kierunku. Inaczej mogliby zejść z kursu i znaleźć się na Adriatyku w drodze do Grecji.

Wkrótce złapali rytm i oboje wiosłowali w jednakowym tempie, pokonując kolejne metry. W połowie dystansu zrobili postój. Remi zrównała się z Samem i przez kilka minut siedzieli w milczeniu, rozkoszując się łagodnym kołysaniem fal.

- Patrol - powiedziała nagle Remi.

Zza cypla na północnym wschodzie wyspy wyłoniła się duża motorówka. Skręciła i ruszyła prosto w ich stronę. Sam i Remi siedzieli nieruchomo. Ich kajaki, choć dobrze zamaskowane, zostałyby zauważone w świetle szperacza z odległości pół kilometra.

Na dziobie łodzi rozbłysnął reflektor, omiótł południowy brzeg wyspy i zgasł.

- No dobra - mruknął Sam. - Koniec służby na wodzie. Motorówka skręciła na wschód.

- Grzeczny chłopiec - pochwaliła Remi. - Tak trzymać. Obserwowali, jak światła pozycyjne łodzi oddalają się, by w końcu stopić się ze światłami Vlory w oddali. Sam spojrzął na żonę.

- Gotowa?

- Gotowa.

Ostatnie półtora kilometra pokonali w niespełna dwadzieścia minut. Sam zawczasu przeprowadził wirtualne rozpoznanie wyspy w Google Earth i wybrał punkt lądowania.

Sazan, mająca około trzech kilometrów z północy na południe i półtora kilometra w najszerszym miejscu, przypominała Samowi zniekształconego gupika. Baza strażników mieściła się na jego grzbiecie, nad zatoczką na północno-wschodnim brzegu, a ich punkt lądowania leżał na ogonie, w pobliżu fortyfikacji z czasów drugiej wojny światowej.

Na niemal pozbawionym roślinności skalistym terenie dominowały dwa wysokie wzgórza. Na jednym z nich mieli nadzieję znaleźć kościół i cmentarz, na

który przeniesiono szczątki pochowanych na wyspie Zvernec.

Kilkadziesiąt metrów od brzegu były wysokie fale, które rozbijały się o wystające z dna skały i płaskie formacje osadowe. Plastikowe kajaki spisały się znakomicie. Sam i Remi, na wpeł wiosłując, na wpeł się odpychając, dotarli do płycizn. Tam wysiedli z kajaków i doszli do lądu.

Dotarwszy na brzeg, odsapnęli chwilę i się rozejrzeli.

Kamienista plaża, niewiele szersza od długości ich kajaków, ciągnęła się wzdłuż ponadmetrowej skalnej ściany, za którą wznosiło się strome wzgórze porośnięte krzakami. W połowie zbocza stał budynek wielkości garażu.

- Bunkier - szepnął Sam.

Nieco wyżej dostrzegli coś o wyglądzie kamiennej budki - zapewne stanowisko obserwacyjne - a jeszcze wyżej, sto metrów od szczytu wzgórza, dwupiętrowy ceglany budynek. Czarne otwory okien bez szyb wychodziły na morze.

- Pusto - szepnął Sam. - A ty coś zauważyłaś?

- Nie.

- Nie widzę żadnych graffiti.

- Czy to coś znaczy? - spytała Remi.

- Gdybym był dzieciakiem mieszkającym we Vlorze, na pewno nie oparłbym się pokusie zakradnięcia się tutaj - odparł. - Ja wprawdzie wolałem inne zabawy, ale znałem wielu chłopaków, którzy pomalowałiby farbą w sprayu cały ten bunkier tylko po to, aby dowieść, że tu byli.

Remi skinęła głową.

- Więc albo albańska młodzież jest wyjątkowo praworządna, albo...

- Nikt, kto się tu zakrada, nie pozostaje na wolności na tyle długo, żeby zdążyć nabroić - dokończył Sam.

Rozdział 23

Wyspa Sazan, Albania

W świetle połowki księżyca zaczęli się wspinać szlakiem biegnącym na szczyt wzgórza. W linii prostej dzieliło ich od szczytu jakieś półtora kilometra, ale kręty szlak był co najmniej dwa razy dłuższy.

W końcu dotarli do ostatniego zakrętu. Kiedy go pokonali, Sam dał nura w krzaki i przeszedł do miejsca, skąd mógł wyrzeć zza szczytu. Po chwili skinął na Remi.

- Nasza ziemia obiecana – stwierdziła, dołączysz do niego.
- Która pamięta lepsze czasy – dodał.

Przed wyprawą na półwysep przyjrzeni się dokładnie kościołowi w Google Earth, ale z lotu ptaka był on niczym niewyróżniającym się budynkiem w kształcie krzyża. Teraz, z bliska, zobaczyli stożkową dzwonnice, wysokie, zabite deskami okna i spłowiałe od słońca dachówki.

Dwuskrzydłowe główne drzwi okazały się zaryglowane, więc okrążyli kościół. Zobaczyli dwie interesujące rzeczy: sięgającą do pasa dziurę w ceglanym murze i całą północną część Sazan, łącznie z placówką Straży Parkowej, usytuowaną w niewielkiej zatoczce i oświetloną przez lampy na słupach. Naliczyli trzy łodzie i trzy budynki.

- Znajdźmy biskupa Małę i wynośmy się stąd – powie działa Remi.

Rozdział 24

Wyspa Sazan, Albania

Gdy tylko dali nura przez dziurę w murze, uświadomili sobie, że ich zadanie będzie znacznie trudniejsze, niż się spodziewali. Zamiast w otwartej przestrzeni, znaleźli się w labiryncie. Próchniejące drewniane trumny, ustawione po osiem w pionie i po cztery w poziomie, tworzyły korytarz niewiele szerszy od ich ramion. Oświetlając sobie drogę lampami czołowymi, doszli do rozwidlenia na końcu korytarza. W obu odnogach też stały trumny.

- Liczysz? - spytał szeptem Sam.

- Tak - odparła Remi. - Jak dotąd, sto dziewięćdziesiąt dwie.

- Cmentarz na wyspie Zvernec nie pomieściłby tylu.

- Pomieściłby, jeśli trumny umieszczano by piętrowo, jedną obok drugiej. Wiemy, że Mala zmarł w tysiąc czterysta trzydziestym szóstym roku. Nawet gdyby jego pogrzeb był pierwszy, mamy tu szczątki sprzed co najmniej pięciu wieków.

- Ciarki mi przeszły po plecach. W którą stronę idziemy? Remi wybrała lewą odnogę.

Ledwie pokonali kilka metrów, światło lampy czołowej Sama padło na ceglana ścianę.

- Ślepy zaułek - powiedział.

Zawrócili, minęli główny korytarz i weszli w prawą odnogę. Na jej końcu był kolejny skręt w prawo, potem w lewo i tak jeszcze pięć razy. Remi doliczyła się ponad sześciuset trumien.

Wreszcie dotarli do otwartej przestrzeni. Obrócili się dookoła, omiatając światłem lamp czołowych rzędy sosnowych trumien.

- Popatrz - powiedział Sam, wskazując zachodnią ścianę, przy której między stertami trumien stał rząd kamiennych sarkofagów.

- Czternaście - policzyła Remi. - Tyle, ile mauzoleów na cmentarzu.

Sam powiódł wzrokiem po próchniejących trumnach.

- Nie do wiary - mruknął. - W tym budynku są szczątki ponad tysiąca ludzi.

- Earta musiała się pomylić - odparła Remi. - Najwyraźniej Zvernec to nie tyle cmentarz, ile dół z kośćmi.

- Nie ma żadnego zapachu.

- Selma wspominała, że ostatni pogrzeb odbył się w tysiąc dziewięćset dwunastym. Do tej pory nawet z zabalsamowanego nieboszczyka zostałby tylko szkielet.

Sam uśmiechnął się i zanucił melodię z serialu *Kości*.

- Obejrzyjmy te sarkofagi - powiedział. - Na mauzoleum Mali jest wielki krzyż prawosławny. Może na sarkofagu też.

Ruszyli wzdłuż rzędu kamiennych trumien, oświetlając lampami czołowymi ich wierzchy. Prawosławny krzyż był wyryty na trzech.

- Jak myślisz, ile może ważyć taki sarkofag? - zapytała Remi.

- Ze dwieście kilo - odrzekł Sam i po chwili dodał: - Łom.

- Łom? - powtórzyła Remi z uśmiechem. Była przyzwyczajona do pozornie nielogicznych uwag męża; w ten sposób rozpracowywał problemy.

- Zapomnieliśmy łomu - wyjaśnił. - Wieko waży najwyżej pięćdziesiąt kilo, ale podważenie go, kiedy sarkofag tkwi w... Cholera, czułem, że nie zabraliśmy ze sobą czegoś ważnego.

- Na szczęście masz plan awaryjny. Sam skinął głową.

- Owszem.

Przekonawszy się wielokrotnie o przydatności trzech rzeczy - liny, drutu i taśmy samoprzylepnej - Fargowie rzadko wyruszali w teren bez nich, nawet jeśli specyfika danego zadania czy podróży nie wskazywała, że któraś będzie potrzebna. Tym razem, w pośpiechu, żeby zdążyć przed zapadnięciem nocy, zapomnieli nie tylko łomu, ale również drutu. Sam miał nadzieję, że piętnastometrowy zwój liny wspinaczkowej i taśma samoprzylepna wystarczą.

Po zaledwie kilku minutach obmacywania trawersów znaleźli to, czego potrzebowali: obluzowany wspornik w kształcie litery L. Sam go oderwał i ciężarem swojego ciała zagniół na linie w połowie jej długości. Przeczolgał się po sarkofagu i wepchnął wspornik z tyłu pod wieko. Potem chwycił linę jak lejce i ciągnął ją, dopóki wspornik nie utkwiał mocno w szparze. Wtedy oboje przerzucili końce liny przez trawers i razem naprężyli je wolno, aż tylna krawędź wieka zaczęła się unosić.

- Przytrzymam - mruknęła Remi przez zaciśnięte zęby, biorąc od Sama jego koniec liny. - Podnoś.

Sam pobiegł naprzód, pochylił się nad wiekiem i wsunął palce pod jego bok. Wygiął się do tyłu i wyprostował nogi. Wieko odskoczyło do góry i zsunęło się między jego nogi. Wspornik wypadł z metalicznym dźwiękiem.

Okrążyli wieko i lampami czołowymi oświetlili zawartość sarkofagu.

- Kości, kości i jeszcze raz kości - powiedziała Remi.

- I żadnego błysku złota - dodał Sam. - Jeden z głowy, zostały dwa.

Choć żadne z nich nie wyraziło głośno tej obawy, oboje czuli, że którykolwiek sarkofag otworzą jako następny, będzie to niewłaściwy wybór. Obawiali się też, że biskup Besim Mala mógł wyrzucić lub zgubić drugi krążek i tym samym zaprzepaścić szansę na odnalezienie Złocistego Człowieka oraz - jeśli Jack Karna się nie mylił - Shangri-La.

Pół godziny później patrzyli na zbiór kości w drugim sarkofagu.

Gdy półtorej godziny po wejściu do kościoła odsunęli wieko trzeciego, wyczerpani usiedli na chwilę, by złapać oddech.

- Gotowa? - zapytał Sam.

- Nie, ale miejmy to już za sobą - odparła Remi. Ominęli z dwóch stron kamienne wieko i zajrzeli do sarkofagu.

W ciemnym wnętrzu zaśniło złoto.

Rozdział 25

Sofia, Bułgaria

Krótko po świcie, wyczerpani, ale triumfujący, byli w drodze powrotnej do hotelu.

Selma, którą już wcześniej zawiadomili, że obawiają się wysiać krążek do San Diego w zwykły sposób, zorganizowała to inaczej. Rube Haywood, ich stary przyjaciel z CIA, podał jej nazwę i adres solidnej i dyskretnej firmy kurierskiej w Sofii. Nie zdradził, czy jest jakoś powiązana z jego pracodawcą, ale szyld nad wejściem do jej siedziby, który głosił: „Akademickie Usługi Archiwistyczne, Sp. z o.o.”, wyjaśnił Samowi wszystko, co potrzebował wiedzieć.

- Przesyłka będzie na miejscu nie później niż jutro w południe czasu lokalnego - powiedział do żony. - Masz dla mnie wskazówki?

Remi uśmiechnęła się i uniosła swój iPad.

- Włączony i gotowy do pracy. Sam wrzucił bieg i fiat ruszył.

Niecały kilometr od celu iPad Remi stał się niepotrzebny. Napisy cyrylicą i po angielsku doprowadziły ich ulicą Wasyla Lewskiego, a potem obok gmachu parlamentu i akademii nauk do placu, na którym wznosił się sobór św. Aleksandra Newskiego.

Pozłacana centralna kopuła cerkwi z krzyżem na szczycie wyrastała czterdzieści pięć metrów nad poziom ulicy, a dzwonnica była o osiem metrów wyższa.

Remi przeczytała głośno informację z e-przewodnika:

- Dwanaście dzwonów o łącznym ciężarze dwudziestu czterech ton, najlżejszy waży dziewięć kilogramów, najcięższy prawie jedenaście ton.

- Robi wrażenie - rzekł Sam. - I pewnie nieźle ogłusza. Dwa razy okrążył obsadzony drzewami plac, zanim skręcił w boczną ulicę i znalazł miejsce do zaparkowania.

Fargowie postanowili odwiedzić sobór św. Aleksandra Newskiego, mając nadzieję, że główna bibliotekarka cerkwi wskaże im kierunek poszukiwań. Choć Selma i Karna zgadzali się co do tego, że biskup Arnost Deniw zmarł w Sofii w 1442 roku, żadne z nich nie zdołało znaleźć szczegółów dotyczących miejsca jego ostatniego spoczynku.

Remi i Sam wysiedli, weszli na plac i skierowali się do zachodniej strony świątyni, gdzie wspięli się po kamiennych stopniach do masywnych drewnianych drzwi. Blondynka z krótko obciętymi włosami uśmiechnęła się do nich i powiedziała coś po bułgarsku. Zabrzmiało to jak pytanie. Wyłowili słowo „angielski”, domyślili się, o co chodzi, i powtórzyli je.

- Witamy w soborze Aleksandra Newskiego - powiedziała kobieta. - Czym mogę służyć?

- Chcielibyśmy porozmawiać z szefową waszej biblioteki - odparła Remi.

- Biblioteki? - powtórzyła kobieta. - A, pewnie mają państwo na myśli archiwistę?

- Tak.

- Przykro mi, ale to nie tutaj.

Fargowie wymienili zdziwione spojrzenia. Remi wyjęła swój iPad i pokazała kobiecie przesłany im przez Selmę plik PDF z informacjami o bułgarskim Kościele prawosławnym. Remi wskazała odpowiedni fragment i kobieta przeczytała go, poruszając bezgłośnie wargami.

- Och, to już nieaktualne - powiedziała. - Ta osoba pracuje teraz w Pałacu Synodu.

Wskazała otoczony drzewami budynek.

- To ten gmach. Proszę tam iść, oni państwu pomogą.

- A co tam jest? - zapytał Sam.

- Pałac Synodu - wyjaśniła kobieta - to siedziba grupy metropolitów, czyli biskupów, którzy z kolei wybierają patriarchów i innych ważnych dostojników. Tradycja synodów sięga czasów apostołów.

Zamilkła, uśmiechnęła się i przechyliła głowę na bok, jakby chciała zapytać: „Coś jeszcze?”

Sam i Remi podziękowali jej i ruszyli do Pałacu. W środku podeszli do stanowiska informacyjnego w holu i wyjaśnili cel swojej wizyty - zbieranie materiałów do książki o historii Kościoła prawosławnego. Poproszono ich, żeby usiedli i zaczęli.

Po godzinie zjawił się pop z długą siwiejącą brodą i zaprowadził ich do swojego gabinetu. Okazało się, że zna angielski niewiele lepiej niż Sam i Remi bułgarski, będzie więc korzystał z pomocy tłumacza. Powtórzyli swoją historyjkę i pokazali list polecający od wydawcy, który sfabrykowała dla nich Wendy, korzystając z Photoshopu. Duchowny słuchał uważnie, kiedy tłumacz czytał list, a potem usiadł wygodnie i przez pełną minutę gładził brodę, zanim się odezwał.

- Niestety, nie możemy państwu pomóc - przełożył jego słowa tłumacz. - Poszukiwanych przez państwa dokumentów nie ma w Pałacu. Osoba, z którą państwo rozmawiali w soborze, się pomyliła.

- Gdzie możemy je znaleźć? - zapytał Sam.

Tłumacz przekazał pytanie duchownemu. Ten znów pogładził brodę, podniósł słuchawkę telefonu i odbył krótką rozmowę.

Tłumacz powiedział do Fargów:

- Akta osobowe z tamtego okresu są w Sveta Sofia... przepraszam, w cerkwi Mądrości Bożej.

- A gdzie to jest? - spytała Remi.

- Sto metrów stąd - odparł tłumacz. - Po drugiej stronie placu.

Sam i Remi byli tam kilka minut później. Znow musieli poczekać, tym razem tylko trzy kwadranse, po czym zostali zaproszeni do gabinetu kolejnego duchownego. Ten bardzo dobrze mówił po angielsku, więc szybko otrzymali odpowiedź: pomyliła się nie tylko przewodniczka w soborze Aleksandra Newskiego, ale również duchowny w Pałacu Synodu.

- Archiwa sprzed okresu rządów pierwszego bułgarskiego egzarchy, Antyma, który sprawował władzę do wybuchu szóstej wojny rosyjsko-tureckiej w tysiąc siedemset osiem dziesiątym siódmym roku, są u Cyryla i Metodego.

Sam i Remi spojrzeli na siebie i zapytali:

- To znaczy?

- W Bibliotece Narodowej ich imienia.

- A gdzie to jest?

- Niedaleko stąd, naprzeciwko Narodowej Galerii Sztuki.

Kilka minut później Sam i Remi znow stali obok swojego samochodu, który zaparkowali, jak się okazało, naprzeciwko Biblioteki Narodowej.

Tym razem nie musieli czekać, ale ich rozmowa z bibliotekarką trwała zaledwie kilka minut. Dowiedzieli się, że u Cyryla i Metodego nie ma żadnych materiałów dotyczących metropolity nazwiskiem Arnost Deniw zmarłego w pierwszej połowie XV wieku.

- Nasza gra w trzy kubki trumnami na wyspie Sazan zaczyna się wydawać dziecinnie łatwa - stwierdził Sam, gdy bibliotekarka odeszła, zostawiając ich samych przy stole w czytelnicy.

- Wiemy, że Arnost Deniw istniał. Jak może nie być żadnych informacji o nim? - zastanawiała się Remi.

Od sąsiedniego stołu dobiegł spokojny basowy głos:

- Problem w tym, moja droga, że w historii bułgarskiego Kościoła było kilku Arnostów Deniwów i większość z nich żyła przed szóstą wojną rosyjsko-turecką.

Fargowie odwrócili się i zobaczyli siwowłosego mężczyznę o błyszczących zielonych oczach. Uśmiechnął się do nich i powiedział:

- Przepraszam, że podsłuchiwałem.

- Nic nie szkodzi - odrzekła Remi.

- Kłopot z tą biblioteką polega na tym - ciągnął mężczyzna - że są akurat w trakcie digitalizacji swoich zbiorów. Nie mają jeszcze kompletnego katalogu. W rezultacie, jeśli nie sprecyzuje się dokładnie pytania, trudno znaleźć odpowiedź.

- Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie - powiedział Sam.

Mężczyzna zaprosił ich gestem do swojego stołu. Kiedy usiedli, ułożył w stos książki wokół siebie i wyjaśnił:

- Tak się składa, że zajmuję się trochę historią.

- Bułgarskiego Kościoła prawosławnego? - spytała Remi. Mężczyzna się uśmiechnął.

- Między innymi. Moje zainteresowania są... eklektyczne, chyba tak to można określić.

Sam przyglądał się uważnie jego twarzy.

- To ciekawe, że nasze drogi skrzyżowały się właśnie tutaj - rzekł.

- Cóż, rzeczywistość przerasta fikcję - odparł mężczyzna. - Dziś rano, kiedy badałem okres rządów Turków osmańskich, natrafiłem na nazwisko Arnosta Deniwa, piętnastowiecznego metropolity.

- Ale bibliotekarka powiedziała, że nie ma żadnych... - zaczęła Remi.

- Powiedziała, że nie mają żadnych akt metropolity o takim nazwisku zmarłego w tamtym okresie. Książka, w której go znalazłem, nie została jeszcze zdigitalizowana. Kiedy Turcy osmańscy, muzułmanie, podbijali Bułgarię, zginęły tysiące chrześcijańskich duchownych, a większość tych, którzy przeżyli, degradowano albo wypędzano, albo jedno i drugie. Taki los spotkał Arnosta Deniwa. Miał znaczne wpływy, co niepokoiło najeźdźców.

- W tysiąc czterysta dwudziestym drugim roku, po zakończeniu pracy misyjnej na Wschodzie i powrocie do kraju, został podniesiony do godności metropolity, ale cztery lata później zdegradowano go i wygnano. Turcy zagrozili mu śmiercią, jeśli nie ograniczy działalności duszpasterskiej do wioski, w której zmarł dwa lata później.

- Domyślam się - powiedział Sam - że Turcy osmańscy robili wszystko, aby wymazać jak największą część historii bułgarskiego Kościoła prawosławnego.

- Zgadza się - potwierdził mężczyzna. - Według wielu źródeł z tamtych czasów Arnost Deniw nigdy nie był nikim więcej niż zwykłym popem w maleńkiej osadzie.

- Czy orientuje się pan, gdzie został pochowany? - zapytała Remi.

- Owszem, i mogę również wskazać miejsce, w którym wszystkie jego dobra doczesne są wystawione na widok publiczny.

Rozdział 26

Sofia, Bułgaria

Instrukcje siwowłosego mężczyzny były proste: Pojedźcie piętnaście kilometrów na północ do miejscowości Kutina u stóp gór Stara Płanina, znajdźcie tam Muzeum Historii Kultury i powiedzcie, że chcecie obejrzeć wystawę poświęconą Deniwowi.

Dotarli do Kutiny parę minut po pierwszej i zatrzymali się na lunch w miejscowej restauracji. Udało im się sklecić parę zdań i uzyskać wskazówki, jak trafić do muzeum.

- A tak przy okazji - zagadnął Sam, kiedy wsiadali do fiata - pamiętasz, jak się nazywał tamten mężczyzna? Bo ja za nic nie mogę sobie przypomnieć.

Remi znieruchomiała z otwartymi do połowy prawymi drzwiami i zmarszczyła brwi.

- To zabawne... ja też nie. Chyba jakoś na „C”. Sam skinął głową.

- Tak, ale czy to było jego nazwisko czy imię? A może jedno i drugie?

Muzeum Historii Kultury mieściło się w starym jasnożółtym budynku nad rzeką Iskyr. Po obu jego stronach ciągnęły się zielone pastwiska dla koni.

Zaparkowali na kolistym żwirowym podjeździe, wysiedli i wspięli się po schodkach na ganek. W wielodzietnym oknie we frontowych drzwiach wisiał uniwersalny wizerunek zegara z napisem „Wracam o...”, ale cyrylicą. Wskazówki były ustawione na drugą trzydzieści.

- Za dwadzieścia minut - powiedział Sam.

Usiedli na huśtawce na ganku i kołysali się, gawędząc dla zabicia czasu. Zaczęło padać i krople deszczu bębniły w drewniany dach.

- Dlaczego my nie mamy takiej? - zapytała Remi. - To dobry relaks.

- Mamy - odrzekł Sam. - Kupiłem ci podobną w Dniu Drzewa cztery lata temu.

- Lubił zaskakiwać żonę prezentami w mało znane święta. - Tylko jeszcze nie miałem czasu jej złożyć. Przesunę to na początek mojej listy rzeczy do zrobienia.

Remi się uśmiechnęła.

- A tak, pamiętam. Ale czy na pewno w Dniu Drzewa? Mnie się wydaje, że w Dniu Świstaka.

- Nie, w Dniu Świstaka byliśmy w Ankarze.

- Naprawdę? Mogłabym przysiąc, że Ankara była w marcu...

O drugiej dwadzieścia osiem stary zielony bulgaralpine skręcił na kolisty podjazd i zatrzymał się przed budynkiem. Z samochodu wysiadła chuda kobieta w berecie i okrągłych okularach w drucianej oprawce. Gdy zobaczyła Fargów siedzących na ganku, pomachała im i zawołała:

- *Sdrawei!*

- *Sdrawei!* - odpowiedzieli chórem. „Cześć!” i „Mówisz po angielsku?” to były

dwa zwroty, które starali się zapamiętać, ilekroć odwiedzali jakiś nowy kraj.

Sam użył teraz tego drugiego.

- Tak, mówię po angielsku - odparła kobieta. - Moja siostra mieszka w Stanach, w Dearborn w Michigan. Uczy mnie przez Internet. Mam na imię Sowka.

Sam i Remi się przedstawili.

- Przyjechaliście zobaczyć muzeum? - zapytała Sowka.

Remi potwierdziła.

- W takim razie proszę za mną. - Sowka otworzyła drzwi i weszła do środka, a Fargowie za nią.

Wewnątrz unosił się zapach starego drewna i gotowanej kapusty, ściany miały podobny odcień jasnej żółci jak na zewnątrz. Sowka powiesiła płaszcz w szafie w holu i wprowadziła ich do małego biura w przerobionym pokoju frontowym.

- Co was sprowadza do naszego muzeum? - spytała. Sam i Remi już w drodze do Kutiny ustalili zgodnie, że najlepiej będzie postawić na szczerość.

- Interesuje nas Arnost Deniw. W Bibliotece Narodowej w Sofii dowiedzieliśmy się, że tu mogą być pewne przedmioty, które należały do niego za życia.

Sowka otworzyła szeroko oczy.

- U Cyryla i Metodego? Wiedzą tam o naszym muzeum? Remi skinęła głową.

- Owszem.

- O rety, umieszczę to w naszej nowej ulotce. A co do ojca Deniwa, to macie rację. Tyle że mamy nie pewne należące do niego przedmioty; mamy je wszystkie. Mogę spytać, dlaczego się nim interesujecie?

Sam i Remi wyjaśnili, że zbierają materiały do książki. Sowka skinęła głową i rzekła z powagą:

- Mroczny okres w dziejach Kościoła. Dobrze, że o tym napiszecie. Chodźcie.

Wyszli za nią z biura i wspięli się po krętych schodach na piętro. Ścianki działowe zostały zburzone i z kilku pokoiów powstało jedno obszerne pomieszczenie o powierzchni około dziewięćdziesięciu metrów kwadratowych. Sowka zaprowadziła ich w południowo-wschodni róg pomieszczenia, gdzie skupisko oszklonych gablot i wiszące tkaniny dekoracyjne tworzyły alkowę z oświetleniem sufitowym.

Remi zobaczyła to pierwsza, Sam chwilę później.

- Widzisz?...

- Tak.

- Słucham? - zapytała Sowka przez ramię.

- Nic, nic - odparła Remi.

Fargowie weszli do alkowy. Na najwyższej półce, na złożonej czarnej sutannie z ciemnopomarańczowymi wykończeniami, leżał trzeci złoty krążek.

Sowka rozpostarła ramiona.

- Oto rzeczy ojca Deniwa. Jest tu wszystko, co miał w chwili śmierci.

Sam i Remi oderwali wzrok od krążka i rozejrzeli się po alkwie. Było tu nie więcej niż dwadzieścia eksponatów, głównie ubrania, akcesoria fryzjerskie, przybory do pisania i kilka oprawionych listów.

- Co to jest? - zapytała Remi swobodnym tonem, wskazując złoty krążek.

- Nie mamy pewności - odparła Sowka. - Prawdopodobnie jakaś pamiątka z któregoś z dzikich krajów, gdzie ojciec Deniw był misjonarzem.

Sam podszedł bliżej.

- Fascynujące. Rozejrzemy się, jeśli można.

- Oczywiście. Będę tu, gdybyście chcieli o coś spytać. Sowka odeszła, ale pozostała w polu widzenia.

- To komplikuje sprawę - szepnęła Remi do Sama. Uwolnienie Besima Mali od jego krążka było łatwe.

Ale krążek Arnosta Deniwa stanowił część znanej historii. Wprawdzie włamanie się do muzeum po jego zamknięciu nie nastroczałoby większych trudności, lecz Fargowie nie chcieli tego robić.

- Naradźmy się z naszymi ekspertami - zaproponowała Remi.

Powiedzieli Sowce, że zaraz wrócą, i wyszli na ganek. Zadzwonili do Selmy i poprosili ją, żeby ich skontaktowała z Karną. Gdy po dwóch minutach Jack się odezwał, Sam wyjaśnił mu sytuację.

- Co dokładnie jest ci potrzebne do zestawienia z mapą naskalną? - spytała Remi. - Sam krążek czy symbole na nim?

- Podejrzewam, że jedno i drugie. Jest jakaś szansa na wypożyczenie krążka?

- Wątpię - odparł Sam. - Te zbiory to duma i radość Sowki. Poza tym obawiam się, że jeśli ją poprosimy o pożyczenie krążka, stanie się podejrzliwa. W tej chwili jest pomocna i skłonna do współpracy. Nie chcemy tego zmieniać.

- Jack - zapytała Selma - czy krążki różnią się wielkością i kształtem?

- Z moich badań wynika, że są prawie identyczne. Będziecie wiedzieć na pewno, kiedy porównacie ten, który właśnie wam przysłali Sam i Remi, z tym, który wydobyliście z kufra.

- O czym myślisz, Selmo? - spytała Remi.

- Za wcześnie, żeby o tym mówić, ale jeśli zaczekacie chwilę... - Na linii zapadła cisza. Selma wróciła po trzech minutach. - Mogę go odtworzyć - oznajmiła. - To znaczy, nie osobiście, ale znajomy mojego znajomego może zrobić replikę z precyzją CAD/CAM. Jeśli dostarczymy mu odpowiednio dokładne zdjęcia, to zrobi kopię brakującego krążka.

- Przypuszczam, że masz listę szczegółów? - powiedział Sam.

- Już ją państwu wysyłam.

Po uzyskaniu zgody Sowki na sfotografowanie rzeczy Deniwa w zamian za niewielki datek dla muzeum na nowy dach Sam i Remi pojechali do Sofii, gdzie zaopatrzyli się we wszystko, czego potrzebowali: dwie profesjonalne linijki z

potrójną podziałką, tacę obrotową, czarną podstawkę o wysokości dwóch i pół centymetra oraz lampy i trójnóg do aparatu fotograficznego.

Wrócili do Kutiny przed czwartą i zaczęli robić zdjęcia. Aby uniknąć nadmiernego zainteresowania Sowki, fotografowali wszystkie eksponaty po kolei, zostawiając złoty krążek na koniec. Zgodnie z ich przewidywaniami po mniej więcej półgodzinie znudzona Sowka poszła do swojego biura na dole.

- Byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy nie mieli skrupułów - zauważył Sam.

- Patrz na to jak na dobrą karmę. Poza tym, kto wie, jaka jest w Bułgarii kara za kradzież muzealnego eksponatu?

- Masz rację w obu punktach.

Po zrobieniu komory bezcieniowej i tła z białej tkaniny Sam ustawił lampy według instrukcji Selmy. Remi umieściła na tacy obrotowej podstawkę, położyła na niej krążek i uformowała wokół niego literę L z linijek.

Po serii próbnych fotografii i drobnych regulacjach aparatu Remi zaczęła pstrykać po pięć zdjęć na każdy obrót tacy o osiem stopni. W sumie wyszło czterdzieści pięć obrotów i dwieście dwadzieścia pięć fotografii. Odwrócili krążek na drugą stronę i powtórzyli sesję zdjęciową, a potem obfotografowali go w pozycji pionowej. W końcu zrobili wiele zbliżeń obu stron krążka, koncentrując się na symbolach.

- Osiemset zdjęć - powiedziała Remi, kiedy wyprostowała się nad trójnogiem.

- Jak duży jest plik? - spytał Sam.

Remi sprawdziła na wyświetlaczu ciekłokrystalicznym aparatu.

- O rany. Osiem gigabajtów. O wiele za duży na standardowy mejl.

- Chyba wiem, jak możemy to obejść - odparł Sam. - Pakujmy się i chodźmy.

Zadzwonili do Selmy, która z kolei zadzwoniła do Rube'a, a on do swoich znajomych w firmie Akademickie Usługi Archiwistyczne, Sp. z o.o. Kiedy więc Fargowie o wpół do siódmej wrócili do Sofii, zastali biuro otwarte. Tak jak podczas pierwszej wizyty, Sama poproszono o przedstawienie się i podanie hasła - innego niż poprzednio - a następnie zaprowadzono do pokoju z komputerem. Szybki Internet umożliwił przesłanie Selmie zdjęć w niecałe trzy minuty. Sam zaczekał na potwierdzenie, po czym wrócił do Remi.

- Dokąd teraz? - spytała.

Sam się zawahał. Od przylotu do Katmandu działali w takim tempie, że nie mieli czasu zastanowić się co dalej.

- Głosuję za powrotem do domu i przegrupowaniem się - zaproponował.

- Zgoda - odparła.

Rozdział 27

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Super... dzięki. Będziemy na niego czekać. – Selma odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Sama, Remi, Pete’a i Wendy zebranych wokół klonowego stołu do pracy. – To był George. Model krążka jest gotowy. Wiezie go do nas kurier motocyklowy.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak wygląda osiemset zdjęć w trójwymiarze – powiedziała Remi.

Po powrocie do domu ubiegłego wieczoru Fargowie przywitani się z Selmą, Pete’em i Wendy i od razu poszli na górę do sypialni. Zasnęli, ledwo przyłożyli głowy do poduszek, i spali dziesięć godzin. Rano, odświeżeni i wypoczęci, spotkali się w pracowni ze swoim zespołem.

– Bez względu na to, jak dobry jest ten model – zauważył Pete – nie może się równać z oryginałem.

Wypełnione czarną pianką korytka skrywały dwa krążki, które lśniły w ostrym świetle wiszących pod sufitem lamp halogenowych.

– Jeśli chodzi o wygląd, tak – odparł Sam. – A pod względem przydatności... to się dopiero okaże. Jeżeli pomoże wskazać miejsce ukrycia Theuranga, dla mnie będzie cenniejszy niż złoto.

– Wierzyście w to wszystko? – zapytała Selma.

– To znaczy?

– W przepowiednię, teorię Jacka, że Theurang to brakujące ogniwo ewolucji, w istnienie Shangri-La...

– No cóż – odparła Remi – Jack sam przyznał, że mamy tylko rysunki Theuranga i nie wiadomo, czy powstały one na podstawie legendy czy bezpośredniej obserwacji. Moim zdaniem jego argumentacja jest na tyle przekonująca, że powinniśmy doprowadzić sprawę do końca.

– Zgadzam się z tobą – rzekł Sam. – W wielu legendach tkwi ziarno prawdy. Dla nas Shangri-La jest mitycznym synonimem raju. Dla mieszkańców Mustangu mogło to być po prostu miejsce, gdzie znaleziono Theuranga i gdzie powinien on spocząć. Nazwy miejsc nie są ważne. Liczy się znaczenie, jakie im przypisujemy.

– Ująłeś to niemal poetycko – stwierdziła Remi. Sam się uśmiechnął.

– Miewam przebłycki talentu.

Zadzwęczał interkom. Selma się zgłosiła, wyszła z pracowni i po chwili wróciła z niewielkim tekturowym pudełkiem. Otworzyła je, wyjęła model krążka i położyła na piankowej tacce.

Na oko niczym się nie różnił od oryginalnych.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Sam. – Dobra robota, Selmo.

- Dziękuję, panie Fargo. Skontaktujemy się z Jackiem?
- Za moment. Najpierw pogadajmy z Królem Charliem. Mam nadzieję, że wkurzy się na tyle, by zacząć mówić.
- Co masz na myśli? - spytała Wendy.
- Zależnie od tego, jak wiarygodne są jego źródła w Mustangu, może być przekonany, że jego plan utopienia nas w Kali Gandaki się powiodł. Spróbujemy go zirytować. Selmo, możesz mi dać bezpieczną linię na głośnik?
- Tak, panie Fargo. Jedną chwileczkę.
- Wkrótce telefon zaczął dzwonić. Charlie King zgłosił się po trzecim sygnale.
- King - rzucił szorstko.
- Witamy, panie King - powiedział Sam. - Tu Sam i Remi Fargo.
- Wahanie. Potem okrzyk:
- A, witam! Nie odzywaliście się dłuższy czas i już myślałem, że nie zamierzacie dotrzymać umowy.
- Jakiej umowy?
- Załatwiłem uwolnienie waszego przyjaciela. Teraz musicie mi przekazać to, co znaleźliście.
- Coś nie tak z twoją pamięcią, Charlie. Umowa była taka, że spotkamy się z Russellem i Marjorie i dojdziemy do porozumienia.
- Co to niby ma znaczyć, do cholery? Ja dałem wam Altona, więc teraz wy dajcie mi to, czego chcę.
- Uznaliśmy, że naruszyłeś warunki umowy, Charlie - wtrąciła się Remi.
- O czym wy mówicie?
- O fałszywym przewodniku, którego wynająłeś do zabicia nas.
- Nie wynajmowałem żadnego przewodnika i...
- Na pewno nie osobiście - przerwał mu Sam. - Kazałeś to załatwić swoim dzieciom albo żonie.
- Tak myślicie? Więc udowodnijcie to.
- Możemy zrobić coś lepszego - odparł Sam.
- Obok niego Remi zapytała bezgłośnie „Co?”, a on odpowiedział bezgłośnie „Improwizuję”.
- Nie próbuj mnie straszyć, Fargo - warknął King. - Grożą mi twardsi i bogatsi od was. Prawie co dzień zmywam z butów ich krew. Dajcie mi to, czego chcę, i rozstańmy się jak przyjaciele.
- Za późno na przyjaźń. A jeśli chodzi o to, czego szukasz - czego twój ojciec szukał przez większość życia - mamy to. Jest tuż przed nami.
- Gówna prawda.
- Zachowuj się grzecznie, to przyślemy ci zdjęcie. Ale najpierw może nam wyjaśnisz, dlaczego się tym interesujesz?
- Nie, najpierw wy mi powiecie, co znaleźliście.

- Drewniany kufer w kształcie sześcianu, który miał żołnierz nieżyjący od jakichś pięciuset lat.

King milczał, ale słyszeli na linii jego przyspieszony oddech. W końcu odezwał się przyciszonym tonem:

- Naprawdę go macie.

- Owszem. I jeśli nie zaczniesz mówić prawdy, to sami go otworzymy i przekonamy się, co jest w środku.

- Nie, wstrzymajcie się. Nie róbcie tego.

- Co jest w środku?

- Może być jedna z dwóch rzeczy: coś w rodzaju dużej monety albo sterta kości. W każdym razie nic, co by było dla was cenne.

- A dlaczego jest cenne dla ciebie?

- Nie wasz interes.

Stojąca po drugiej stronie stołu Selma uniosła palec wskaźujący.

- Możesz chwilę poczekać? - zwrócił się Sam do Kinga. Nie czekając na odpowiedź, Pete sięgnął do telefonu głośnomówiącego i wyłączył mikrofon.

- Zapomniałam o czymś - wyjaśniła Selma. - Pogrzebałam jeszcze trochę w młodości Kinga i natrafiłam na blog byłej dziennikarki „New York Timesa”. Twierdzi ona, że podczas wywiadu z Kingiem trzy lata temu zadała pytanie, które mu się nie spodobało. Spiorunował ją wzrokiem i zakończył rozmowę. Dwa dni później została zwolniona i od tamtej pory nie może znaleźć pracy w żadnej redakcji.

- O co go zapytała?

- Dlaczego w szkole średniej wszyscy przezywali go Adolf.

- To wszystko? - zdziwił się Sam. - Tylko tyle?

- Tak.

- Wiemy - powiedziała Wendy - że Lewis King tylko udawał nazistę, a Charlie nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, więc dlaczego tak się wkurzył?

- Dzieci są tylko dziećmi - odparła Remi. - Pomyśl: Lewis prawie nie uczestniczył w życiu syna od jego najmłodszych lat. A Charliemu prawdopodobnie wszędzie dokuczano z powodu jego niemieckiego pochodzenia. Nam może się to wydawać mało istotne, ale dla nastolatka... Sam, to może być czuły punkt Kinga. Wtedy był drażliwym dzieckiem bez żadnej władzy, teraz jest drażliwym miliarderem, który ma większą władzę niż niejedna głowa państwa.

Sam rozważył sugestię żony i dał Pete'owi znak, żeby wyłączył głośnik.

- Przepraszam, Charlie. Na czym skończyliśmy? A, na kufrze. Powiedziałeś, że może zawierać monetę lub kości, zgadza się?

- Tak.

- I twój ojciec potrzebował ich do czego? Do jakiegoś nazistowskiego rytuału okultystycznego? Do czegoś, co wymyślili Himmler z Adolfem?

- Zamknij się, Fargo!

- Twój staruszek spędził życie na szukaniu tego kufra. Skąd możesz wiedzieć, że nie miał powiązań z jakąś tajną powojenną organizacją nazistowską?

- Zamknij gębę!

- Dlatego chcesz zdobyć Złocistego Człowieka, Charlie? Starasz się dokończyć to, co nie udało się twojemu maszerującemu defiladowym krokiem ojcu?

Z głośnika dobiegł hałas, jakby coś ciężkiego uderzyło w drewno, a potem rozległy się trzaski. Wreszcie King wrócił na linię.

- Nie jestem żadnym nazistą! - warknął.

- Jabłko zawsze pada niedaleko od jabłoni, Charlie. Myślę, że było tak: twój staruszek dowiedział się o istnieniu Theuranga podczas ekspedycji w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, a gdy po wojnie rodzina przeniosła się do Stanów, ojciec nadal poddawał cię nazistowskiej indoktrynacji. W twoim pokręconym umyśle Theurang jest czymś w rodzaju świętego Graala. Lewis przepadł, kiedy go szukał, ale dobrze cię wyszkolił. Nie zamierzałeś...

- Ten sukinsyn ciągle zostawiał moją matkę w Niemczech i to samo robił jej tutaj! Kiedy połknęła całą butelkę proszków, nawet nie raczył się zjawić na jej pogrzebie. Zabił ją i nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby się pokazać! Poczciwy stary Lewis! Guzik go obchodziło, co o nim mówi li, i nie mógł zrozumieć, dlaczego mnie to gnębiło. Co dzień musiałem słuchać ich szeptów za plecami i tego cholernego „Heil Hitler” pod moim adresem! A mimo to pobiliśmy ich na głowę. Wszystkich! Teraz mógłbym kupić i sprzedać każdego z nich. Myślisz, że szukam Złocistego Człowieka, bo wiele znaczył dla mojego ojca? Dobre sobie. Kiedy dostanę go w swoje ręce, roztrzaskam go w drobny mak. I jeśli Bóg istnieje, mój ojciec będzie na to patrzeć! - King urwał i za chichotał nerwowo. - A wy oboje od początku jesteście mi solą w oku. Niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę, żebyście zgarnęli to, co mi się prawnie należy.

Sam spojrzał na Remi i od razu wiedział, że są tego samego zdania: należy współczuć małemu Charliemu, ale Charles King nie był już dzieckiem i jego chora żądza zemsty na dawno nieżyjącym ojcu kosztowała życie wielu ludzi.

- Więc o to chodzi - powiedział. - Dlatego to wszystko. King, ty mordujesz, porowasz i zniewalasz ludzi. Jesteś socjopata.

- Fargo, nie waż się...

- Wiem, co już zrobiłeś i co jeszcze będziesz zdolny zrobić, byle tylko zrealizować swój obłąkańczy plan. Oświadczam ci, King, że nie dopuścimy, abyś zdobył Złocistego Człowieka, i doprowadzimy do tego, że trafisz do więzienia za dotychczasowe zbrodnie.

- Posłuchaj, Fargo! Zabiję... Sam się rozłączył.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Milczenie przerwała Selma.

- Trochę się wnerwił - powiedziała.

Jej eufemistyczny komentarz rozładował napięcie. Wszyscy wybuchli śmiechem.

Kiedy umilkli, odezwała się Remi:

- Ciekawe, czy jeśli dotrzemy słowa, King skończy w więziennej celi czy w pokoju bez klamek?

Trisuli, Nepal

Pułkownik Zhou zgodził się na spotkanie późną nocą częściowo z ciekawości, częściowo z konieczności. Dotychczasowa współpraca z amerykańskimi *zazhóng* – mieszającami – była dla niego bardzo korzystna, ale teraz, kiedy poznał prawdziwą tożsamość obojga, chciał jak najszybciej zmienić warunki umowy. To, co Charles King robi w Nepalu, nie obchodziło pułkownika. Był jednak zły, że tak mało zażądał od jego dzieci na... opłaty manipulacyjne, jak mawiają Amerykanie. Przewiezienie skamieniałości do Lhasy i przez cło było łatwe, natomiast znalezienie godnych zaufania dystrybutorów zakazanego towaru okazało się znacznie trudniejsze – i miało od dzisiejszej nocy znacznie więcej kosztować.

Kilka minut przed północą Zhou usłyszał warkot silnika. Dwaj uzbrojeni w karabiny szturmowe żołnierze za jego plecami wstali z krzesel.

- Tym razem kazałem ich zrewidować – powiedział do nich pułkownik – ale bądźcie czujni.

Do pomieszczenia zajrzał jeden ze strażników stojących na zewnątrz. Skinął głową i zniknął. Chwilę później w chybotały blask lampy naftowej weszli Marjorie i Russell Kingowie, a za nimi z ciemności wyłoniła się szczupła Chinka o ponurej twarzy.

Zhou spojrzał na kobietę i od razu zorientował się, że to ona będzie z nim rozmawiać w imieniu całej trójki. Dostrzegł też łączące ich podobieństwo. Matka i dzieci, pomyślał. Interesujące. Podniósł się ze swojego miejsca za stołem i skinął głową kobiecie.

- Pani King, prawda?

- Nie. Nazywam się Hsu. Zhilan Hsu.

- Proszę siadać.

Zhilan usiadła na ławie i splótła dłonie na blacie. Młodzi Kingowie nadal stali, wyprostowani na baczność jak żołnierze pułkownika. Zhou usiadł naprzeciwko ich matki.

- Czemu zawdzięczam pani wizytę? – spytał.

- Mój mąż ma do pana kilka spraw.

- Tak? Jakich?

- Po pierwsze, chce, aby pan zrozumiał, iż wiemy, że nie nazywa się pan Zhou i nie jest pan pułkownikiem Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Pańskie nazwisko brzmi Feng i jest pan generałem.

Generał Feng poczuł, jak żołądek zamienia mu się w bryłę lodu. Siłą woli nie dopuścił, żeby wyraz paniki pojawił się na jego twarzy.

- Doprawdy?

- Tak. Wiemy o panu wszystko, łącznie z tym, że handluje pan bronią, przemyca heroinę i tak dalej. Wiemy też, kto w armii jest pana sojusznikiem, a kto wrogiem. Mój mąż jest w dobrych stosunkach z pewnym generałem nazwiskiem Gou. Zna go pan?

Feng z trudem przełknął ślinę. Jego świat się walił.

- Znam - zdołał wykrztusić.

- Generał Gou nie lubi pana, prawda?

- Nie.

- Wyraziłam się jasno?

- Tak.

- A teraz porozmawiajmy o naszej współpracy. Mój mąż jest zadowolony z pańskich usług i zamierza dać panu piętnastoprocentową podwyżkę.

- To duża hojność.

- Mój mąż jest tego świadom. Prosi pana też o przysługę.

- Przysługa sugeruje brak wynagrodzenia - powiedział Feng, zanim zdążył ugryźć się w język.

Zhilan przeszyta go twardym spojrzeniem obsydianowych oczu.

- Źle się wyraziłam - odparła. - „Wykonanie zadania” będzie trafniejszym określeniem. Mąż chętnie zapłaci dwieście tysięcy dolarów amerykańskich, ale pod warunkiem że się panu powiedzie.

Feng ledwo zdołał powstrzymać uśmiech.

- Oczywiście, to zrozumiałe. Jakie to zadanie?

- Pewni ludzie, mężczyzna i kobieta, zagrażają naszym interesom. Spodziewamy się, że w nadchodzących tygodniach będą podróżować wzdłuż granicy Tybetańskiego Regionu Autonomicznego, może nawet ją przekroczą. Chcemy, żeby pan ich przechwycił.

- Musi mi podać pani więcej szczegółów.

- Chodzi o to, żeby ich złapać i zatrzymać dla nas albo zabić. Dam panu znać w odpowiednim czasie.

- Jak blisko granicy będą podróżować?

- W niektórych miejscach w odległości kilku kilometrów.

- Granica ma długość setek kilometrów. Trudno znaleźć wzdłuż niej dwie osoby.

- Raczy pan żartować - odparła Zhilan. - Ma pan pod swoim dowództwem czternaście śmigłowców Harbin Z-9 wyposażonych w radary na podczerwień, kamery noktowizyjne i rakiety przeciwlotnicze i przeciwczołgowe.

Feng westchnął.

- Jest pani wyjątkowo dobrze poinformowana.

- Podlega panu również siedemdziesiąt dziewięć posterunków obserwacyjnych wzdłuż granicy. Zgadza się?

- Tak.

- Podejrzewamy, że ci ludzie będą musieli skorzystać z helikoptera, żeby przebyć bardziej odległe rejony. W Nepalu niewiele jest firm czarterowych, które oferują takie usługi. Aby ułatwić panu zadanie, będziemy te firmy monitorować.

- Czy nie łatwiej byłoby przechwycić tych ludzi, zanim wyruszą?

- Być może, ale pozwolimy im... dokończyć ich operację, zanim podejmie pan działania.

- Co to za operacja?

- Szukają czegoś. Chcemy, żeby to znaleźli.

- Czego szukają?

- Nie musi pan tego wiedzieć, generale. Wyjaśniłam, czego oczekujemy od pana; podałam wszystkie informacje potrzebne panu do podjęcia decyzji, jaka jest pańska odpowiedź?

- Zgadza się. Ale będę potrzebował informacji o celach. Zhilan wyjęła z kieszeni parki kartę SD, podsunęła ją przez stół Fengowi i wstała.

- Niech pan będzie gotowy, kiedy zadzwonię.

Rozdział 28

Jomsom, Nepal

Świadomi, że rozwścieczyli tkwiącego w Charlesie Kingu lwa, dotąd tylko rozdrażnionego, Sam i Remi poprosili Selmę o znalezienie im innej drogi do Mustangu.

Wszyscy zainteresowani wiedzieli, że Theurang jest gdzieś w Himalajach, King miał więc pewność, że Fargowie wrócą do Nepalu. Russell i Marjorie wraz ze swoją matką Zhilan Hsu niewątpliwie będą ich wypatrywać. Sam i Remi, znając determinację i bezwzględność Kinga, spodziewali się, że do akcji przeciwko nim zaangażuje znacznie poważniejsze siły, zamierzali więc postępować bardzo ostrożnie.

Po serii maratońskich lotów wylądowali w New Delhi w Indiach, skąd pojechali do leżącego czterysta kilometrów na południowy wschód miasta Lucknow. Tam wyczarterowali jednosilnikowy samolot, którym polecili do odległego o trzysta dwadzieścia kilometrów na północny wschód Jomsom. Opuścili centrum trekkingu niecały tydzień wcześniej, więc gdy opony samolotu dotknęły pasa startowego, oboje doznali deja vu. To wrażenie jeszcze się spotęgowało, kiedy wśród tłumów trekkerów i rywalizujących ze sobą przewodników szli do terminalu.

Po kontroli paszportowej i celnej – zgodnie z zapewnieniami Jacka Karny bezproblemowej – wyszli z budynku i zobaczyli kolejny znajomy obrazek: obok zaparkowanej przy krawężniku białej toyoty land cruiser stał Nepalczyk trzymający tabliczkę z ich nazwiskiem.

Sam wyciągnął rękę i się przedstawił.

Mężczyzna uścisnął mu dłoń.

– Mam ma imię Ajay – powiedział. – Pan Karna prosił, żebym państwu przekazał, że najnowsza rybka Selmy nazywa się *Apistogramma iniridae*. Dobrze to wymówiłem?

– Tak – potwierdziła Remi. – A jak się wabi?

– Frodo.

Podczas długich rozmów Selmy z Jackiem Karną okazało się, że oboje są miłośnikami trylogii Tolkiena *Władca Pierścieni*.

Ajay uśmiechnął się i spytał:

– Zgadza się?

– Zgadza – odparł Sam. – Niech pan prowadzi.

Ajay okazał się nie tylko świetnym przewodnikiem, ale również znakomitym kierowcą. Nawet najostrejsze zakręty w Kali Gandaki pokonywał z taką wprawą, że dotarli do domu Jacka Karny w Lo Manthang w ciągu zaledwie ośmiu godzin.

Jack, uściskawszy Fargów, zaprosił ich na herbatę i ciastka *scone*. Kiedy rozgrzali

się aromatycznym napojem, wyjęli złote krążki i położyli na stoliku do kawy.

Karna przez pełną minutę tylko na nie patrzył. Potem brał je kolejno i każdy obejrzał dokładnie z bliska. Dopiero wtedy rozpoznał duplikat.

- Znakomity - ocenił. - Pomijając symbole, niczym nie różni się od autentycznych. Ta wasza Selma jest niezwykłą kobietą.

Remi zerknęła na męża i się uśmiechnęła. Intuicja podpowiadała jej, że między Selmą a Jackiem zaiskrzyło. Sam nie miał zdania na ten temat.

- Jedyńą w swoim rodzaju - skomentował zdawkowo i spytał: - Więc myślisz, że się sprawdzi?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - odparł Karna. - Jutro rano Ajay zawiezie nas do jaskiń. Jeśli szczęście nam dopisze, dopasujemy krążki do mapy. Potem pozostanie tylko dotrzeć według niej do Shangri-La.

- Nic nigdy nie jest takie proste. - Remi westchnęła. Karna wzruszył ramionami.

- Skoro tak twierdzisz. - Dolał im herbaty i poczęstował ciastkami. - Teraz powiedzcie mi coś więcej o słabości Selmy do herbaty i tropikalnych ryb.

Nazajutrz wstali przed świtem i zjedli obfite angielskie śniadanie podane przez służącego Karny: smażony bekon, jajka, grillowane pomidory i pieczarki, tosty i kielbaski. Kiedy skończyli, Remi zapytała Jacka:

- Codziennie tak jadasz?

- Oczywiście.

- To jak utrzymujesz wagę?

- Dużo chodzę. Nie wspominając o zimnie i wysokości. Tutaj spala się mnóstwo kalorii. Moje zapotrzebowanie to minimum pięć tysięcy dziennie, inaczej zaczynam chudnąć.

- Może powinieneś organizować turnusy odchudzające - zasugerowała Remi.

- Świetny pomysł - odparł Karna, wstając. Klasnął i zatarł ręce. - No, czas się zbierać. Za dziesięć minut spotykamy się przy bramie.

Gdy kilka minut później wyszli przed dom, Ajay już na nich czekał. Wkrótce jechali na południowy wschód ku szczytom majaczącym w oddali. Zbocza kolejnych mijanych wzgórz były coraz bardziej strome, a porastająca je roślinność coraz bardziej skąpa. Land cruiser kołysał się z boku na bok, kiedy Ajay płynnie omijał wyboje na krętej drodze. Samowi i Remi zatkało uszy.

Karna, siedzący obok kierowcy, odwrócił się do nich i powiedział:

- W bagażniku są dwie skrzynki butelkowanej wody. Pamiętajcie, żeby dużo pić. Im wyżej, tym więcej płynów potrzebuje organizm.

- Daleko jeszcze do granicy z Tybetem? - zapytał Sam.

- Jakieś dziesięć kilometrów. Ale pamiętajcie, że dla Pekinu Tybetański Region Autonomiczny to nie odrębne państwo, tylko część Chin. Jeśli dobrze się przyjrzyjecie, zobaczycie posterunki na grzbiecie gór. Możemy nawet spotkać jakiś patrol.

- Patrol chińskiej armii?

- Tak. Wojska lądowe i lotnictwo często zapuszczają się do Mustangu. Chińczycy wiedzą, że Nepal nie może zrobić nic poza złożeniem formalnej skargi, a tym w ogóle się nie przejmują.

- A co się dzieje, kiedy ktoś zabłądzi i przejdzie przez granicę na ich stronę? Na przykład jakiś trekker.

- To zależy. Chińczycy czasem zawracają intruzów, ale przeważnie ich aresztują. W zeszłym roku aresztowali trzech trekkerów.

Ajay podniósł rękę i pokazał cztery palce.

- Racja, czterech - sprostował Karna. - W końcu wypuścili wszystkich poza jednym. Dobrze mówię, Ajay?

- Tak.

- Zdefiniuj „w końcu” - poprosiła Remi.

- Po mniej więcej roku. Ten, którego zatrzymali, przepadł na sześć lat. Chińczycy lubią karać dla przykładu. Według nich zbyt wczesne zwolnienie intruza miałyby opłakane skutki. Spowodowałyby prawdziwą inwazję zachodnich agentów przebranych za trekkerów.

- Naprawdę tak sądzą? - zapytał Sam.

- Niektórzy decydenci pewnie tak. Ale w praktyce wygląda to trochę inaczej. Wzdłuż południowej granicy Chin są całe połacie niemożliwe do kontrolowania z ziemi. Wiem z dobrego źródła - Karna wskazał głową Ajaya - że trekkerzy w północnych Indiach stale przenikają przez granicę; są nawet biura podróży, które się w tym specjalizują. Mam rację, Ajay?

- Tak, panie Karna.

- Ajay i ja robimy to od lat. Mamy doskonale skalibrowany GPS i znamy ten rejon jak własną kieszeń. Mogę was zapewnić, że nie wpadniemy na chińskich żołnierzy.

Po następnej godzinie dotarli do wąwozu otoczonego tak głęboko zerodowanymi klifami, że wyglądały jak wielopoziomowe rzędy ogromnych mrowisk. Podobna do zamku budowla na wprost okazała się częściowo wpuszczona w urwisko. Zewnętrzne ściany parteru miały taki sam ciemnoczerwony kolor, jaki widzieli w Lo Manthang, natomiast dwa piętra na wystających poziomych belkach były progresywnie mniejsze i wydawały się wyciosane ze skały. Spłowiałe flagi modlitewne zawieszane między dwoma stożkowymi dachami trzepotały na lekkim wietrze.

- Gompa Tarła - oznajmił Karna.

- Słyszeliśmy kilka razy tę nazwę - powiedziała Remi - ale definicja wydaje się... bardzo pojemna.

- Słuszna uwaga. Gompy to swego rodzaju fortyfikacje mogące pełnić funkcję ośrodka edukacji i rozwoju duchowego, klasztoru albo posterunku wojskowego. Wiele zależy od tego, w jakim okresie powstała gompa i kto ją zajmował.

- Ile ich jest?

- W samym Nepalu ponad sto, o których wiem. Prawdopodobnie trzy razy tyle pozostaje nieodkrytych. Jeśli rozszerzyć obszar ich występowania na Tybet i Bhutan, są ich tysiące.

- Dlaczego zatrzymujemy się przy tej? - zapytał Sam.

- Głównie po to, aby okazać szacunek. Wszędzie, gdzie znajdują się święte jaskinie, tworzy się rada starszych, której zadaniem jest czuwanie nad nimi. Tutejsze jaskinie nie są jeszcze dobrze znane i starszyzna pilnie ich strzeże. Jeśli nie okazemy należytego szacunku, zobaczymy przed sobą tuzin luf karabinowych.

Wysiedli z samochodu. Karna zawołał coś po nepalsku i chwilę później z ciemnego wejścia wyłonił się starszy mężczyzna w spodniach khaki i jasnoniebieskiej parce. Miał smagłą, głęboko pooraną zmarszczkami twarz. Przez kilka sekund przyglądał się gościom spod krzaczastych brwi, potem uśmiechnął szeroko.

- *Namaste, Jack!* - zawołał.

- *Namaste, Pushpa. Tapaai laai kasto chha?*

Karna poszedł naprzód, mężczyźni uściskali się na powitanie i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Karna wskazał Fargów, którzy już chcieli podejść, lecz Ajay ich powstrzymał.

- Lepiej zaczekajcie tutaj - powiedział. - Pushpa to sgonyer, dozorca. Ci ludzie dobrze znają pana Karne, ale są podejrzliwi w stosunku do obcych.

Karna i Pushpa rozmawiali jeszcze kilka minut. Wreszcie dozorca skinął głową, klepnął Jacka w oba ramiona i ten wrócił do land cruisera.

- Pushpa pozwolił nam jechać dalej. Poinformuje miejscowego przewodnika, że ma na nas czekać przy pierwszych jaskiniach.

- Jak go poinformuje? - zainteresowała się Remi. - Nie widzę żadnego...

- Przez posłańca - odparł Karna.

Wskazał jeden ze skalnych występów na szczycie przeciwległego klifu. Stał tam jakiś mężczyzna. Kiedy Pushpa uniósł rękę i wykonał kilka gestów, mężczyzna zasygnalizował coś w odpowiedzi i zniknął za urwiskiem.

- Zanim tam dotrzemy - powiedział Karna - wszyscy miejscowi będą wiedzieć, że należy się nas spodziewać i że mamy pozwolenie.

- Innymi słowy, nie będzie żadnych rozgniewanych wieśniaków z widłami.

- Z karabinami - poprawił Sam. Karna się uśmiechnął.

- Ani z jednym, ani z drugim - zapewnił. - Jedziemy?

Zostawiwszy gompę Tarla za sobą, pojechali na wschód wąwozem i po trzech kilometrach znaleźli się w wyschniętym korycie rzeki. Kilkaset metrów dalej, za mostem, u podnóża następnego przypominającego mrowisko wysokiego klifu, dostrzegli skupisko zabudowań.

Kiedy przejechali przez most na drugą stronę wąwozu, rumosz skalny i głązy ustąpiły miejsca drobnemu brązowemu piaskowi. Ajay zatrzymał samochód przy

niskim kamiennym murze ciągnącym się wzdłuż wioski. Wszyscy wysiedli i porywisty wiatr sypnął w nich piaskiem.

- Przenikliwy, co? - rzekł Karna.

Fargowie przytaknęli i naciągnęli na głowy kaptury.

- Dalej idziemy pieszo? - zawołał Sam, przekrzykując szum wiatru.

- Tak. Tam. - Jack wskazał w kierunku „mrowisk”.

Poprowadził ich przez przerwę w murze, a potem obłożoną kamieniami ścieżką. Na jej końcu był gęsty żywopłot. Skręcili wzdłuż niego w lewo i przeszli przez naturalną pergolę. Wyłonili się na brukowanym placu z fontanną pośrodku. Wokół stały skrzynki pełne purpurowych kwiatów.

- Odwracają kawałek rzeki, żeby mieć system irygacyjny, instalację wodno-kanalizacyjną i fontanny - wyjaśnił Karna. - Uwielbiają fontanny.

- Ta jest piękna - powiedziała Remi.

Nie potrzeba wielkiej wyobraźni, by zrozumieć, jak narodziła się tu legenda o Shangri-La, pomyślała. W jednej z najbardziej ponurych okolic, jakie ona i Sam kiedykolwiek napotkali, znaleźli maleńką oazę zieleni. Kontrast mile zaskakiwał.

Na drewnianej ławce koło fontanny siedział niski mężczyzna w średnim wieku w kurtce z kraciastego koca i czapce bejsbolowej z logo Chicago Bears.

Uniósł rękę i podszedł do Karny. Uściskali się i porozmawiali chwilę, a potem Jack przedstawił Sama i Remi.

- *Namaste... namaste* - rzekł mężczyzna z uśmiechem.

- To jest Pushpa - wyjaśnił Karna. Zanim zdążyli zapytać, dodał: - Tak, nazywa się tak samo jak tamten dozorca w gompie. Pushpa zaprowadzi nas do jaskiń. Wypijemy z nim herbatę, a potem przejdziemy do rzeczy.

Rozdział 29

Jomsom, Nepal

Z plecakami na ramionach poszli za Pushpą wzdłuż muru najpierw na południe, a potem na wschód wokół wioski do podnóża klifów.

Kiedy Sam i Remi wcześniej patrzyli na te urwiska, odległość i ich niezwykła budowa geologiczna sprawiały, że wydawały się nierzeczywiste, jakby były tłem na planie filmu science fiction. Teraz, gdy stali w cieniu „mrowisk”, nie mogli oderwać od nich wzroku, przepełnieni podziwem.

Idący na czele Pushpa zatrzymał się, poczekał cierpliwie, aż Fargowie skończą się gapić i robić zdjęcia, po czym ruszył dalej. Dziesięć minut później dotarli do skalnej szczeliny niewiele wyższej od Sama. Gęsiego prześliznęli się przez otwór i wyszli na podobną do tunelu ścieżkę. Nad ich głowami gładkie brązowe ściany wyginały się ku sobie i niemal stykały, widać więc było tylko skrawek błękitnego nieba.

Ścieżka zygzakowała i wiła się na wschód. Gdy po mniej więcej półgodzinie Pushpa zarządził postój, idący na końcu kolumny Ajay powiedział:

- Teraz się powspinamy.

- Jak? - zapytała Remi. - Nie widzę żadnych uchwytów dla dłoni. I nie mamy żadnego sprzętu.

- Pushpa i jego przyjaciele zrobili drogę. Piaskowiec jest bardzo kruchy, zwykle haki wspinaczkowe powodują za dużo zniszczeń - wyjaśnił Ajay.

Pushpa i Karna rozmawiali chwilę, po czym Nepalczyk zniknął w zagłębieniu po lewej stronie klifu, a Jack wrócił do miejsca, gdzie stali Fargowie.

- Pushpa wchodzi pierwszy - oznajmił. - Po nim Ajay, Remi i Sam. Ja będę zamykał tyły. Stopnie nie wyglądają zachęcająco, ale są wystarczająco mocne, zapewniam was. Tylko idźcie wolno.

Sam i Remi skinęli głowami.

Ajay przeszedł na przód kolumny i przez kilka minut stał z zadartą głową, po czym wszedł do zagłębienia i po chwili zniknął z widoku. Fargowie przesunęli się do przodu i spojrzeli w górę.

- O rany - szepnęła Remi.

- Właśnie - mruknął Sam.

Stopnie, o których wspomniał Karna, nie były schodami, tylko drewnianymi kołkami, które wbito poziomo w piaskowiec, by utworzyć rząd uchwytów dla dłoni i punktów oparcia dla stóp. Prowizoryczna drabina prowadziła trzydzieści metrów w górę wąskiej rozpadliny, a potem skręcała i zniknęła z widoku za skalnym nawisem.

Patrzyli, jak Ajay wdrapuje się po szczeblach. Gdy przestali go widzieć, Remi wzięła głęboki oddech, odwróciła się do męża, pocałowała go w policzek i

powiedziała wesoło:

- Do zobaczenia na szczycie!

Weszła na pierwszy szczebel i zaczęła się wspinać. Kiedy była w połowie drogi na górę, Karna rzekł do Sama:

- Twoja żona to dynamit. Sam się uśmiechnął.

- Mnie to mówisz?

- Tak jak Selma, zgadza się?

- Tak. Selma jest wyjątkowa.

Wkrótce Remi zniknęła za zakrętem i Sam ruszył w górę. Szczeble były naprawdę solidne, więc po kilku ruchach złapał rytm. Gdy dotarł do nawisu skalnego, wyrzał zza zakrętu. Pięć metrów wyżej szczeble kończyły się przy poziomej wąskiej desce przybitej do rzędu kotków. Dalej była druga deska, ułożona ukośnie za następnym nawisem. Remi, która stała na rozwidleniu, pomachała do męża i pokazała mu uniesiony kciuk.

Kiedy Sam dotarł do deski, zobaczył, że nie jest taka wąska, na jaką wyglądała z dołu. Podciągnął się na platformę, przeszedł po niej stopa za stopą i skręcił. Cztery następne deski doprowadziły go do skalnej półki i owalnej jaskini. W środku zastał Pushpę, Ajaya i Remi siedzących wokół kuchenki turystycznej Jetboil, na której stał miniaturowy czajnik.

Woda właśnie zaczęła wrzeć, gdy do jaskini wszedł Karna.

- O, widzę, że herbata gotowa - powiedział, siadając obok pozostałych.

Pushpa wyjął ze swojego plecaka pięć czerwonych emaliowanych kubków, rozdał je i nalał wszystkim herbatę. Siedzieli w milczeniu, pijąc gorący napar i rozkoszując się ciszą.

Kiedy skończyli, Pushpa spakował kubki i ruszyli dalej, tym razem z włączonymi lampami czołowymi. Pushpa znów prowadził, a na końcu szedł Ajay.

Tunel skręcał w lewo, potem w prawo i kończył się pionową ścianą, w której wykuto sięgające piersi łukowe wejście. Pushpa odwrócił się i powiedział coś do Karny, który przetłumaczył jego słowa Samowi i Remi:

- Pushpa rozumie, że nie jesteście buddystami i że nasza praca tutaj może być trochę skomplikowana, więc nie będzie nas prosić o przestrzeganie wszystkich zwyczajów buddystów. Pragnie tylko, abyście po wejściu do głównego pomieszczenia okrążyli je zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Potem możecie się poruszać, jak chcecie.

Fargowie skinęli głowami.

Przeszli kolejno przez łukowe wejście, skręcili za Pushpą w lewo i znaleźli się w następnym korytarzu. Na ścianie przed nimi widniały wyblakłe czerwono-żółte symbole, nieznane Samowi i Remi, oraz setki linijek tekstu w dialekcie lowa, jak przypuszczali.

- To swego rodzaju wprowadzenie do historii systemu jaskiń - wyjaśnił szeptem

Karna. – Żadnych szczegółów do tyczących Theuranga czy Shangri-La.

Remi wskazała ściany i strop.

– To wszystko jest dziełem przyrody czy człowieka?

– Po trosze jednym i drugim. W czasie kiedy powstały te święte jaskinie – około dziewięćset lat temu – tutejsi Loba wierzyli, że przyroda odłoniła je w ich dziewiczym stanie. Loba mogli je dostosować do swoich duchowych potrzeb.

Szli korytarzem za Pushpą, aż dotarli do drugiego łukowego wejścia, kilka centymetrów wyższego od Sama.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Karna.

Główne pomieszczenie miało kształt kopuły o średnicy dziesięciu kroków i wysokości około dwóch i pół metra. Ściany zdobiły malowidła naskalne, sięgające od podłogi do stropu. W przeciwieństwie do malowideł w korytarzu, tutaj teksty i rysunki miały żywe odcienie czerwieni i żółci. Kontrast z kawowym tłem ścian był zdumiewający.

– Wspaniale – powiedział Sam. Remi skinęła głową.

– Tak, te szczegóły... – Zwróciła się do Karny: – Jack, dlaczego tutaj kolory nie są wyblakłe?

– Pushpa i jego ludzie dbają o to. Skład pigmentu, którego używają, to tajemnica. Nie zdradzą jej nawet mnie, ale Pushpa twierdzi, że przepis pochodzi sprzed dziewięciu wieków.

Pushpa stał na środku pomieszczenia, gestykułując wymownie.

– Zróbmy nasze okrażenie – szepnął Karna do Sama i Remi. – Nie odzywajcie się i pochylcie głowy.

Gdy okrażyli pomieszczenie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, Pushpa skinął im głową z uśmiechem i przyklęknął obok swojego plecaka. Wyjął z niego dwie lampy naftowe, które następnie powiesił na kołkach w bocznych ścianach. Wkrótce pomieszczenie wypełnił bursztynowy blask.

– Jak możemy ci pomóc? – zapytała Remi Karnę.

– Będą mi potrzebne krążki i trochę spokoju – odparł. – Resztę muszę zrobić sam.

Sam wyjął z plecaka poliwęglanowe pudełko z krążkami i podał je Karnie. Chwilę później Jack, uzbrojony w krążki, zwój sznurka, taśmę mierniczą, linijki równoległe, kompas i cyrkiel kreślarski, podszedł do malowidła naskalnego. Pushpa postawił obok niego grubo ciosane drewniane schodki.

Sam, Remi i Ajay zdjęli plecaki i usiedli pod ścianą przy wejściu.

Karna pracował prawie godzinę. Mierzył kolejne symbole na malowidle naskalnym i zapisywał liczby w notesie. Od czasu do czasu cofał się i patrzył na ścianę, mrużąc pod nosem.

W końcu powiedział coś do Pushpy, który stał z boku. Obaj przyklęknęli i otworzyli poliwęglanowe pudełko. Przez kilka minut oglądali krążki i dopasowywali je do siebie, aż wreszcie znaleźli właściwą konfigurację.

Przyłożywszy krążki do odpowiednich symboli, zmierzili odległości taśmą mierniczą, po czym Karna cofnął się z rękami na biodrach i po raz ostatni przyjrzał malowidłu naskalnemu.

Odwrócił się do Fargów i powiedział:

- Wiem od Selmy, że lubicie scenariusz „dobra wiadomość - zła wiadomość”.

Sam i Remi wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Niezupełnie - odparł Sam. - To Selma je lubi, my nie bardzo.

- Ale mów, Jack - zachęciła Remi.

- Dobra wiadomość jest taka, że nie musimy iść dalej. Przeczucie mnie nie zawiodło: to jest właściwa jaskinia.

- To fantastycznie - ucieszył się Sam. - A zła wiadomość?

- Właściwie to jest jeszcze jedna dobra. Mamy opis drogi do Shangri-La, a przynajmniej pewne wskazówki, które nam powiedzą, czy jesteśmy blisko.

- Teraz zła wiadomość - przynagliła Remi.

- Zła wiadomość jest taka, że mapa pokazuje tylko drogę, którą przebyłby Strażnik Dhakal z Theurangiem. Prowadzi ona na wschód przez Himalaje, a wyznacza ją dwadzieścia siedem punktów.

- Możesz sformułować to jaśniej - poprosił Sam.

- Shangri-La mogła być w którymkolwiek z dwudziestu siedmiu miejsc na trasie biegnącej stąd aż do wschodniej Birmy.

Rozdział 30

Katmandu, Nepal

Na pewno nie dasz się przekonać, Jack? – spytała Remi. Za nią na asfalcie stał niebiesko-biały helikopter Bell 206b Long Ranger III. Silnik wył, rotory wirowały, maszyna była gotowa do startu.

– Nie, moja droga, przykro mi. Przepraszam, że was opuszczam, ale nie cierpię żadnych latających urządzeń. Kiedy ostatni raz leciałem do Anglii, byłem na silnych środkach uspokajających.

Gdy poprzedniego dnia po opuszczeniu kompleksu jaskiń wrócili do Lo Manthang, nie musieli się zastanawiać nad następnym ruchem. Wiedzieli, że możliwy jest tylko jeden: podążać śladem Strażnika Dhakala na wschód i sprawdzać kolejne miejsca z mapy na malowidle naskalnym.

Ze względu na wysokość i odległość, jaką mieli do pokonania, w grę wchodził tylko jeden środek transportu – helikopter. Aby go wyczarterować, musieli wybrać się z powrotem do Katmandu, jaskini Iwa. Sam i Remi mieli nadzieję, że znajdą to, czego szukają, zanim Charles King odkryje ich trasę.

– A jeśli Kingowie nas śledzą? – zapytał Sam.

– Tego się nie obawiam – odparł Jack. – Obecny tu Ajay służył w indyjskim wojsku. W dodatku jest Gurkhą. To twardziel. Będzie mnie pilnować.

Ajay wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Karna dat Fargom załaminowaną mapę, którą poprzedniego wieczoru opatrzył przypisami.

– Wyeliminowałem dwa mało prawdopodobne miejsca. Oba znajdują się na szczytach, które w czasie podróży Dhakala byłyby pokryte śniegiem i lodem.

Jack był przekonany, że prawdziwa Shangri-La leżała w miejscu o umiarkowanym klimacie. Niestety, w Himalajach roilo się od ukrytych dolin, skrawków niemal tropikalnego rajy pośród niedostępnych szczytów.

– Na pierwszym odcinku trasy zostaje wam sześć miejsc do sprawdzenia – podsumował Karna. – Ajay podał waszemu pilotowi współrzędne. Powodzenia. Spotkamy się wieczorem.

Jack i Ajay pobiegli do land cruisera, a Sam i Remi ruszyli do śmigłowca.

Pierwszy punkt znajdował się na przełęczy Hutabrang, pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Katmandu. Pilot bella, były oficer pakistańskich sił powietrznych nazwiskiem Hosni, przez dziesięć minut leciał na północ i wskazywał szczyty i doliny, żeby Fargowie zorientowali się w terenie. Potem skręcił na wschód w kierunku współrzędnych.

– Jesteśmy w rejonie docelowym – powiedział. – Okrążę go zgodnie z ruchem wskazówek zegara i spróbuję zejść niżej.

Sam i Remi usiedli bokiem, żeby lepiej widzieć przez okna.

- Wypatruj grzyba - poleciła Remi.

- Tak jest, kapitanie - odparł Sam.

Z dokonanego przez Karnę tłumaczenia tekstu naskalnego w jaskini wynikało, że najbardziej charakterystycznym elementem w krajobrazie Shangri-La jest formacja skalna w kształcie grzyba. Tekst nie precyzował ani wielkości owej formacji, ani tego, czy Shangri-La znajduje się na niej, w niej czy obok niej. Fargowie mieli nadzieję, że ludzie planujący ukrycie Theuranga wybrali formację wystarczająco dużą, by wyróżniała się wśród innych.

Bell przeleciał nad zalesionym grzbieciem i zszedł w dolinę. Sto metrów nad wierzchołkami drzew Hosni wypoziomował i zmniejszył prędkość.

- Jesteśmy w strefie - oznajmił. Sam i Remi unieśli lornetki do oczu.

- Przypomnij mi, jak dokładne są współrzędne - poprosiła Remi. - Co powiedział Jack?

- Do pół kilometra.

- To mi nic nie mówi. - Remi nie przepadała za matematyką; irytowała ją zwłaszcza ocena odległości.

- Około czterystu pięćdziesięciu jardów. Wyobraź sobie typową bieżnię lekkoatletyczną.

- Teraz rozumiem. I jestem pełna podziwu dla tamtego Strażnika. On musiał trafić do każdego z tych punktów bez żadnej pomocy.

- Rzeczywiście niezwykła orientacja - zgodził się Sam. - Ale Karna powiedział, że ci faceci byli odpowiednikami dzisiejszych komandosów. Ćwiczyli to całe życie.

Hosni leciał tuż nad wierzchołkami drzew, ale w dolinie poniżej nie było nic oprócz nagich skał. Sam kazał pilotowi wziąć kurs na następne współrzędne.

Godziny mijały, a oni sprawdzali kolejne miejsca. Szło to wolno, bo chociaż niektóre dzieliło zaledwie kilka kilometrów, ograniczony pułap bella zmuszał Hosniego do okrążania wyższych szczytów i przelatywania przez przełęcze położone na wysokości poniżej pięciu tysięcy metrów.

Gdy parę minut po pierwszej lecieli na północny zachód, żeby ominąć jakiś szczyt w łańcuchu Ganesh Himal, Hosni zawołał:

- Mamy towarzystwo. Śmigłowiec na godzinie drugiej. Remi przysunęła się do męża i oboje popatrzyli przez okno.

- Co to za maszyna? - spytał Sam.

- Z-9 Sił Powietrznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej - odparł Hosni.

- Gdzie jest granica Tybetu?

- Jakieś trzy kilometry za nimi. Ale bez obaw, Chińczycy zawsze wysyłają obserwatorów do śledzenia helikopterów z Katmandu.

- Wszędzie indziej uznano by to za inwazję.

- Witamy w Nepalu.

Po kilku minutach lotu równoległe z bellem chiński śmigłowiec odbił na północ w kierunku granicy. Wkrótce wleciał w chmury i stracili go z oczu.

Dwa razy tego popołudnia prosili Hosniego, żeby wylądował w pobliżu przypominającej grzyb formacji skalnej, ale żadna nie była tą właściwą. O czwartej Sam przekreślił czerwonym flamastrem ostatni punkt na mapie ich dzisiejszych celów i Hosni wziął kurs na Katmandu.

Nazajutrz polecili do doliny Budhi Gandaki, która ciągnie się na północny zachód od nepalskiej stolicy wzdłuż masywu Annapurny i w której znajdowały się trzy spośród możliwych lokalizacji legendarnej Shangri-La. Sam i Remi przez trzy godziny podziwiali piękną scenerię – gęste sosnowe lasy, łąki pełne polnych kwiatów, poszarpane górskie grzbiety, wzburzone rzeki i wysokie wodospady – ale jedyna formacja skalna przypominająca grzyb okazała się niewłaściwym tropem.

W południe wylądowali nieopodal miejsca postoju trekkerów, w wiosce Bagarchap. Hosni zabawiał dzieci pokazywaniem im wnętrza bella, a Sam i Remi zjedli lunch złożony z suchego prowiantu.

Wkrótce znów byli w powietrzu i lecieli na północ nad lodowcem Bintang w kierunku góry Manaslu.

- Osiem tysięcy sto metrów – zawołał Hosni, wskazując szczyt.
- Około dwudziestu czterech tysięcy stóp – przetłumaczył Sam żonie.
- Pięć tysięcy mniej niż Mount Everest – dodał Hosni.
- To coś zupełnie innego niż oglądać je na zdjęciach albo z ziemi – powiedziała Remi. - Dopiero tutaj, w górze, zrozumiałam, dlaczego nazywa się ten rejon Dachem Świata.

Hosni zaczekał, aż Remi zrobi zdjęcia. Potem wziął kurs na zachód, zszedł nad następny lodowiec – Pung Gyen, jak go nazwał – i po niecałych trzynastu kilometrach znów skręcił na północ.

- Nasi przyjaciele wrócili – oznajmił przez interkom. - Z prawej strony.

Sam i Remi spojrzeli przez okno. Chiński Z-9 rzeczywiście wrócił i znów leciał równoległe do nich, tym razem w odległości zaledwie kilkuset metrów.

Towarzyszył im jeszcze przez parę kilometrów, po czym odbił w bok i zniknął w chmurach.

- Następna strefa poszukiwań za trzy minuty – powie dział Hosni.

Fargowie usadowili się przy oknach.

Jak zwykle, Hosni wzniósł maszynę nad górski grzbiet, potem mocno przechylił w skrócie do doliny, która była ich celem, i wytracił wysokość. Zwolnił i zatrzymał bella w zawisie.

Sam pierwszy zauważył surrealistyczny krajobraz. Podczas gdy górne partie zboczy były gęsto porośnięte sosnami, dolne wyglądały tak, jakby wycięto je prostokątną foremką do wykrawania ciasteczek, pozostawiając urwiska opadające stromo do jeziora. Z przeciwległego zbocza wystawał otaczający jeden kraniec

doliny, pokryty lodem płaskowyż. Spieniona woda płynęła przecinającą półkę rynną i spadała kaskadą do jeziora.

- Hosni, jak głęboka jest twoim zdaniem ta dolina? - zapytał Sam.

- Od górskiego grzbietu do jeziora ma jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów - odparł pilot.

- Klify mają co najmniej połowę tej wysokości - stwierdził Sam.

Hosni leciał wolno wzdłuż zbocza, a Fargowie lustrowali teren przez lornetki. Kiedy zrównali się z płaskowyżem i pilot zawrócił, zobaczyli, że pozornie szeroka półka zwęża się na odcinku kilkuset metrów i kończy wysoką lodową ścianą otoczoną pionowymi klifami.

- To lodowiec - powiedział Sam. - Nie widziałem tego płaskowyżu na żadnej mapie. Wygląda znajomo?

- Nie, ma pan rację. Jest stosunkowo młody. Widzicie zielonkawoszarą wodę?

Remi skinęła głową.

- Taką barwę ma woda po cofnięciu się lodowca. Oceniam, że ta część doliny ma niecałe dwa lata.

- Zmiana klimatu?

- Zdecydowanie. Lodowiec, nad którym przelatywaliśmy wcześniej - Pung Gyen - zmniejszył się tylko w zeszłym roku o dwanaście metrów.

Remi nagle opuściła lornetkę i zawołała:

- Sam, zobacz!

Przysunął się do niej i wyjrzał. Dokładnie pod nimi w warstwie lodu tkwiło coś co wyglądało na drewnianą chatę.

- Co to jest, na Boga? - zastanawiał się Sam.

- Nie mam pojęcia - odparł Hosni.

- Jak daleko do współrzędnych?

- Niecały kilometr.

- Sam, to gondola - powiedziała Remi.

- Słucham?

- Wiklinowa gondola balonu na ogrzane powietrze.

- Jesteś pewna?

- Tak. Hosni, lądujemy!

Rozdział 31

Północny Nepal

Hosni leciał bokiem nad płaskowyżem, szukając miejsca odpowiedniego do lądowania. Gdy takie znalazł, wolno posadził maszynę. Rotory przestały się obracać, Fargowie wysiedli i włożyli kurtki, czapki i rękawice.

- Idźcie ostrożnie - przestrzegł ich Hosni. - Tu na pewno jest dużo szczelin lodowcowych.

Pomachali mu na znak, że rozumieją, i ruszyli przez płaskowyż w kierunku gondoli.

- Zaczekajcie... - zawołał za nimi Hosni.

Gdy zawrócili, wyszedł z kokpitu i schylił się przy schowku w tylnej części kadłuba. Wyjął coś o wyglądzie składanego słupka namiotowego i podał Samowi.

- Próbnik lawinowy - powiedział. - Sprawdza się równie dobrze jako sonda szczelin. Lepiej się zabezpieczyć.

- Dzięki. - Sam machnął próbnikiem, którego elementy rozsunęła i zablokowała elastyczna linka wewnątrz. - Zmyślne.

Podjęli marsz, ale tym razem Sam używał próbnika.

Pokrywająca płaskowyż lodowa skorupa była pomarszczona, jakby zastygły na niej fale. Przypuszczali, że to skutek powolnego cofania się lodowca w dolinę.

Po pięciu minutach wędrówki stanęli przed tajemniczym obiektem, który spoczywał blisko przeciwległej krawędzi płaskowyżu.

- Dobrze, że się z tobą nie założyłem - powiedział Sam. - To rzeczywiście jest gondola.

- Leży do góry nogami. To wyjaśnia, dlaczego z powietrza wyglądała jak chata. Teraz już takich nie robią. Skąd ona się tu wzięła, na Boga?

- Nie mam pojęcia.

Sam zbadał lód przed gondolą, stwierdził, że jest mocny, i zaczął dźgać próbnikiem wokół niej.

Posuwał się w lewo wzdłuż gondoli, aż doszedł do końca.

- Jaką ma długość? - spytała Remi.

- Około dziesięciu metrów - odparł Sam.

- Dziwne - stwierdziła Remi. - O ile się orientuję, typowe wymiary gondoli to metr na metr.

- Mniej więcej. - Sam powiódł próbnikiem po odwróconym dnie. - Prawie dwa i pół metra szerokości.

Podał próbnik Remi, ukląkł i popelzł naprzód, przesuwając zanurzonymi w śniegu rękami wzdłuż boku gondoli.

- Sam, bądź ostrożny...

Sam znieruchomiał z ręką zagłębioną w śnieg aż po łokieć.

- Nie mam całkowitej pewności - powiedział - ale zdaje się, że na coś natrafiłem.
- Położył się na brzuchu.

- Trzymam cię - rzekła Remi i chwyciła go za kostki. Uderzeniami rąk Sam wybił w lodzie dziurę wielkości pił ki do koszykówki. Zajrzał do środka i odwrócił się do żony.

- Szczelina lodowcowa - oznajmił. - Bardzo głęboka. Gondola opiera się ukośnie na jej brzegach.

Jeszcze raz zajrzał do dziury, a potem cofnął się i dźwignął na kolana.

- Już wiem, jak się tu znalazła.

- Jak?

- Przyleciała. Widziałem przymocowane do niej liny, jakieś drewniane elementy, spleciony sznur i coś o wyglądzie tkaniny. Wszystko jest splątane i wisi w szczelinie.

Remi przykucnęła obok niego i przez chwilę patrzyli na gondolę.

- Tajemnica na kiedy indziej? - zapytała. Sam skinął głową.

- Tak. Oznaczmy ją i wrócimy tutaj.

Wstali. Już mieli wracać do bella, gdy Sam przechylił głowę na bok i powiedział:

- Posłuchaj.

Z oddali dobiegł cichy warkot helikoptera. Odwrócili się, próbując zlokalizować odgłos. Stojący obok bella Hosni też go usłyszał. Uniósł głowę i patrzył na niebo.

Nagle zza górskiego grzbietu na lewo od nich wyłonił się oliwkowy śmigłowiec. Łagodnie opadł w dolinę i skierował w ich stronę. Na drzwiach maszyny widniała pięcioramienna czerwona gwiazda w żółtej obwódce.

Śmigłowiec zrównał się z płaskowyżem i zatrzymał w zawisie piętnaście metrów od Fargów; jego dziób i wyrzutnie rakietowe celowały prosto w nich.

- Nie ruszaj się - powiedział Sam.

- Chiński? - zapytała Remi.

- Tak. Taki sam Z-9 jak wczoraj.

- Czego chcą?

Zanim Sam zdążył odpowiedzieć, śmigłowiec obrócił się i w otwartych drzwiach kabiny zobaczyli żołnierza przykucniętego za pokładowym karabinem maszynowym.

Sam wziął żonę za rękę.

- Nie uciekaj - powiedział. - Gdyby chcieli nas zabić, już byśmy nie żyli.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zerknął w stronę ich helikoptera i zobaczył, jak Hosni otwiera boczne drzwi. Chwilę później wyłonił się z nich z kompaktowym pistoletem maszynowym w dłoniach. Uniósł go w kierunku Z-9.

- Hosni, nie! - krzyknął Sam.

Za późno. Wylot lufy pistoletu błysnął pomarańczowym ogniem. Pociski posiekały przednią szybę Z-9. Śmigłowiec przechylił się mocno w prawo i odleciał

nad powierzchnią jeziora w kierunku górskiego grzbietu, po czym skręcił i znów wycelował dziób w bella.

- Hosni, uciekaj! - zawołał Sam i zwrócił się do Remi: - Za gondolę! Szybko!

Remi wystartowała sprintem, on tuż za nią.

- Remi, szczelina! - zawołał. - Skręć w lewo. Zrobiła to, a potem odbiła się obiema nogami i dała nura za gondolę. Sam skoczył sekundę po niej, podniósł się na kolana i pomógł Remi dostać się na lodową półkę. Stoczyli się z tyłu i wylądowali rozciągnięci na ziemi.

Z płaskowyżu dobiegł terkot automatu. Sam wstał i wyjrzał z ukrycia. Hosni stał na krawędzi płaskowyżu i strzelał do nadlatującego Z-9.

- Hosni, wynoś się stamtąd!

Z-9 zatrzymał się w zawisie w odległości stu metrów. Sam zobaczył błysk z lewej wyrzutni raketowej. Hosni też. Odwrócił się i puścił pędem w kierunku Fargów.

- Szybciej! - krzyknął Sam.

Z wyrzutni Z-9 wystrzeliły dwie rakiety. Doleciały do bella w ułamku sekundy. Jedna trafiła w ziemię pod jego ogonem, druga w komorę silnikową.

Śmigłowiec zatrząsnął się, podskoczył do góry i eksplodował.

Sam dał nura w dół i przykrył sobą Remi. Poczuli podmuch i usłyszeli trzask lodu pod nimi. Odłamki posiekały gondolę i lodową półkę trzydzieści centymetrów nad ich głowami.

Zapadła cisza.

- Za mną - powiedział Sam, podczołgał się do końca gondoli i wyjrzał zza niej.

Płaskowyż zaścielały szczątki bella. Poszarpane części kadłuba jeszcze się kołysały wśród płonącego paliwa lotniczego. Kawalki łopat rotora sterczały z zasp.

Z-9 wycofał się za jezioro do linii górskiego grzbietu, gdzie czekał w zawisie z wyrzutniami raketowymi wciąż wycelowanymi w płaskowyż.

- Co z Hosnim? - zapytała Remi. - Widzisz go?

- Na razie nie - odparł Sam.

Po chwili go zauważył. Leżał przy poszarpanym fragmencie przedniej szyby bella. Ciało było zwęglone. Potem Sam dostrzegł jeszcze coś: pistolet maszynowy Hosniego. Leżał dokładnie przed nimi, w odległości pięciu metrów, i wyglądał na nietknięty. Sam cofnął się i odwrócił do Remi.

- Hosni nie żyje - powiedział.

- O nie.

- Zauważyłem jego pistolet. Chyba uda mi się go dosięgnąć.

- Sam, nie rób tego. Nawet nie wiesz, czy broń jest sprawna. Gdzie jest Z-9?

- Czeka w zawisie. Pewnie proszą przez radio bazę o instrukcje. Już nas zobaczyli; przylecą, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Nie możesz liczyć na to, że długo ich powstrzymasz.

- Prawdopodobnie chcą nas mieć żywych. Inaczej ostrzelaliby ten płaskowyż

pociskami raketowymi.

- Dlaczego, o co im chodzi?

- Mam pewne podejrzenia.

- Ja też. Podzielimy się nimi później, jeśli przeżyjemy. Co planujesz?

- Nie mogą wylądować na tych szczątkach, więc będą musieli zawisnąć nad płaskowyżem i zrobić desant linowy. Gdyby mi się udało zaskoczyć ich w odpowiednim momencie... - Sam urwał, a potem spytał: - Za czym głosujesz? Walczyć i być może zginąć tutaj czy poddać się i skończyć w chińskim obozie jenieckim?

Remi uśmiechnęła się dzielnie.

- Naprawdę musisz pytać?

Remi wróciła na koniec lodowej półki, gdzie zagrzebała się w śniegu między dwiema zaspami, a Sam przycupnął za gondolą i nasłuchiwał warkotu nadlatującego Z-9. Kiedy hałas stał się ogłuszający, zaryzykował i wyjrzał z ukrycia.

Śmigłowiec był tuż za krawędzią płaskowyżu, kołysząc się lekko niczym ważka czekająca na pojawienie się ofiary. W otwartych bocznych drzwiach Sam widział strzelca pokładowego pochylonego nad karabinem maszynowym.

Nagle śmigłowiec skręcił, opadł w dół i zniknął z widoku poniżej lodowej półki. Kilka sekund później Sam zobaczył, że maszyna kieruje się w stronę jeziora. Zareagował błyskawicznie. Wyłonił się zza osłony i schylony pobiegł po automat Hosniego. Porwał go z ziemi i sprintem wrócił do gondoli.

- Udało się! - zawołał do żony i zaczął sprawdzać pistolet. Drewniane łoże było lekko osmalone, ale lufa i ruchome części wydawały się nieuszkodzone. Sam wyjął magazynek: zostało trzynaście nabojów.

- Co robią Chińczycy? - spytała Remi.

- Albo odlatują, albo zużywają paliwo, żeby móc wysadzić desant.

Z-9 dotarł do krańca jeziora i wzniósł się wzdłuż zbocza nad górski grzbiet. Sam obserwował śmigłowiec i modlił się w duchu, żeby nie zawrócił.

Na próżno.

Chiński pilot przechylił maszynę, zmienił kurs i ponownie skierował się nad jezioro.

- Wracają - oznajmił Sam.

- Powodzenia! - zawołała Remi w odpowiedzi.

Sam powtórzył w myślach plan. Wiele zależało od tego, czy podczas desantu śmigłowiec będzie zwrócony ku niemu otwartymi drzwiami. Nieskuteczny atak Hosniego dowiódł, że strzelanie w kadłub śmigłowca nie ma sensu. Potrzebny był słaby punkt.

Warkot silników Z-9 narastał, a rytmiczne bicie łopat rotorów niemal rozsadzało bębni w uszach. Sam czekał z opuszczoną głową i obserwował płaskowyż.

Jeszcze nie... jeszcze nie...

Silny powiew poderwał śnieg z lodowej półki.

Sam wyjrzał zza gondoli.

Z-9 wisiał dziesięć metrów nad płaskowyżem.

- No dalej, obróć się - mruknął Sam. - Tylko trochę.

Z-9 wykonał lekki obrót i strzelec pokładowy zajął pozycję, żeby móc osłaniać desant. Ze śmigłowca spuszczone dwie grube liny i pierwsza para żołnierzy podeszła do drzwi.

Sam wziął głęboki oddech, przestawił selektor ognia na pojedyncze strzały i wychynął zza gondoli. Uniósł broń do ramienia, wycelował w otwarte drzwi śmigłowca, a potem przesunął lufę w lewo, wziął na muszkę hełm strzelca pokładowego i nacisnął spust. Strzelec upadł. Sam przestawił selektor ognia na trzystrzałowe serie, zmienił cel i wypalił w otwarte drzwi. Jeden żołnierz zatoczył się do tyłu; drugi padł na brzuch.

Teraz Sam miał odsłonięty fotel pilota. Wycelował i posłał trzy kolejne krótkie serie, opróżniając magazynek.

Z-9 przechylił się na bok i wpadł w korkociąg. Z otwartych drzwi kabiny wysunęło się ciało strzelca pokładowego i drugiego martwego żołnierza. Potem z kabiny wypadli dwaj ranni, rozpaczliwie wymachując rękami. Jeden zdołał się złapać płozy, ale drugi runął na ziemię. Po chwili śmigłowiec roztrzaskał się na lodowej półce, miażdżąc wiszącego pod nim żołnierza. Łopaty rotora, które uderzyły w łód ułamek sekundy wcześniej niż kadłub, połamały się i odpadły.

Sam popędził do miejsca, gdzie leżała Remi.

- Odłamki! - krzyknął i nakrył ją swoim ciałem. Rozpłaszczeni na śniegu czekali na eksplozję, ale nie nastąpiła. Usłyszeli tylko przeraźliwy zgrzyt.

Sam wstał i spojrzał nad gondolą. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że rozbity Z-9 sunie ku niemu po lodzie. Zgnieciony kadłub, popychany naprzód przez urywające się pozostałe łopaty rotora, wyglądał jak okaleczony owad w śmiertelnych drgawkach.

Sam poczuł, jak Remi chwyta go za rękę i z zadziwiającą siłą ciągnie z powrotem na ziemię.

Wrak śmigłowca uderzył w gondolę i popchnął ją na Fargów, którzy zaczęli się cofać.

Gondola zatrzymała się zaledwie centymetry od nich. Kilka sekund później umilkł zgrzyt ślizgającego się wraku i zapadła głucha cisza.

Fargowie odetchnęli z ulgą i wyjrzelili zza gondoli.

- Nie co dzień widzi się coś takiego - skomentował Sam.

Rozdział 32

Północny Nepal

Odtworzenie sceny, która rozegrała się na płaskowyżu, zajęło Samowi i Remi kilka dobrych sekund.

Po odbiciu się od gondoli roztrzaskany śmigłowiec zmienił kierunek i dotarł ślizgiem do przecinającej płaskowyż rynnę. Tam, niczym kulka uwieczona w rowku automatu do gry, zsunął się korytem strumienia na samą krawędź urwiska, a potem częściowo poza nią. Ogon maszyny, kilka centymetrów węższy od rynnę, utkwiał w niej.

Kadłub zwisał poza krawędź płaskowyżu, więc woda lała się przez otwarte drzwi kabiny.

- Powinniśmy sprawdzić, czy ktoś przeżył - powiedziała Remi.

Podeszli do wraku. Sam przyklęknął obok strumienia i pamiętając, że silniki są jeszcze gorące, ostrożnie podpełzł do krawędzi. Kadłub został zmiażdżony do połowy wysokości i brakowało przedniej szyby, więc spływająca woda zasłaniała widok.

- Jest tam ktoś? - krzyknął Sam. - Halo! Cisza.

Sam zawołał jeszcze dwa razy, ale wciąż nie było odpowiedzi.

Wstał i dołączył do żony.

- Tylko my ocaleliśmy - rzekł.

- To brzmi cudownie i zarazem strasznie - odparła z westchnieniem. - Co teraz?

- No cóż, nasza sytuacja wygląda niewesoło. Po pierwsze, nie zdołamy stąd zejść. A nawet gdyby nam się udało, jesteśmy jakieś pięćdziesiąt kilometrów od najbliższej wioski. W nocy temperatura spadnie poniżej zera, więc bez żadnego schronienia będziemy mieli bardzo małe szanse na przeżycie. Musimy się zastanowić, jak przetrwać dzisiejszą noc.

- Rzeczywiście niewesoło - przyznała Remi. - Mów dalej.

- Nie mamy pojęcia, kiedy Karna uzna nas za zaginionych i ile czasu zajmie zorganizowanie akcji poszukiwawczej. Tak czy inaczej, trochę to potrwa, a musimy przyjąć, że Z-9 skontaktował się ze swoją bazą po tym, jak Hosni otworzył ogień. Załoga śmigłowca już się nie odezwie i nie wróci, więc baza wyśle następną maszynę, może nawet dwie.

- Kiedy?

- W najlepszym razie jutro rano.

- A w najgorszym?

- Za parę godzin. Wtedy naszą jedyną przewagą będzie to, że nadchodzi noc, a nocą łatwiej się ukryć. Muszę wejść do wraku.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła Remi. - Sam, to...

- ...naprawdę zły pomysł - dokończył spokojnie. - Ale jest tam zaopatrzenie, którego potrzebujemy. Poza tym może dopisze nam szczęście i radio będzie działać.

Remi rozważyła słowa męża i skinęła głową.

- Masz rację. Ale najpierw sprawdźmy bella.

Przeszukanie wraku bella zajęło im tylko kilka minut. Znaleźli zwęglone fragmenty swoich plecaków, kawałek liny wspinaczkowej, jakieś drobiazgi z apteczki i parę narzędzi z wyposażenia śmigłowca.

Zebrali wszystko, co mogło się przydać.

- Jak wygląda lina? - spytał Sam. Remi obejrzała ją dokładnie.

- Trochę osmalona, ale jakieś pięć, sześć metrów jest w porządku - odparła. - Myślisz o asekuracji w Z-9?

Sam skinął głową.

- Może czasami przesadzam, ale nie zamierzam włączyć do tej śmiertelnej pułapki bez liny ratunkowej. Będziemy potrzebować czegoś w rodzaju haka wspinaczkowego.

- Może znajdę coś takiego - powiedziała Remi. Ruszyła przez płaskowyż, rozglądając się uważnie. Gdy wróciła po kilku minutach, w jednej ręce trzymała kawałek rotora, a w drugiej kamień wielkości pięści. Podała je mężowi.

Sam wygładził kamieniem brzegi górnej połowy fragmentu rotora, a następnie zwęził i zaostrił dolną część. Potem podszedł do krawędzi płaskowyżu i wbił prowizoryczny hak wspinaczkowy w lód na głębokość pół metra i pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Wykręcał go i ciągnął, a gdy się upewnił, że nie puści, Remi rozwinęła linę - na której zawiązała węzły co pół metra - i przymocowała do haka węzłem ratowniczym.

Sam zdjął kurtkę, rękawice i czapkę i zrobił z luźnego końca liny prowizoryczne krzeselko z mocno zaciśniętym węzłem u dołu pleców.

- Jeśli wrak zacznie się zsuwać poza krawędź, uciekaj - powiedział.

- Nie martw się o mnie - odparła Remi. - Skoncentruj się na sobie.

- Jasne.

- Słyszysz, co mówię?

- Słyszę.

Sam cmoknął żonę w policzek i podszedł do odwróconego ogona Z-9. Kilka razy pchnął aluminiowy bok, a gdy się upewnił, że ogon mocno tkwi w rynnie, zaczął pełznąć w kierunku kabiny.

- Jesteś już prawie przy krawędzi - zawołała Remi. - Jeszcze kawałek.

Dotarłszy do krawędzi płaskowyżu, próbował zakołysać wrakiem. Rozległo się kilka skrzypnięć i trzasków, ale Z-9 ani drgnął. Sam pełzł naprzód centymetr za centymetrem, aż znalazł się na kadłubie.

Przenosił ciężar ciała z jednej strony na drugą, najpierw wolno, potem

energiczniej. Rozległ się zgrzyt rozdzieranego aluminium i kadłub przechylił się na bok.

- Chyba wyczułem granicę - powiedział Sam.

- Jesteś pewien? - odparła Remi. - To idź dalej.

- Idę.

Sam przesunął się w bok, oparł biodrem o płożę i złapawszy ją obiema rękami, wychylił się poza nią, jakby czegoś szukał.

- Co ty wyprawiasz?! - zawołała zaniepokojona Remi.

- Szukałem wału rotora. I znalazłem. Mamy szczęście, bo tkwi w rynnie i kotwicy nas.

- Właż tam i wracaj.

Sam posłał żonie szeroki uśmiech - uspokajający, miał nadzieję - poprawił linę tak, że biegła prosto do haka, i chwyciwszy się oburącz płóz, opuścił nogi wzdłuż kadłuba. Spływająca z góry lodowata woda natychmiast zmoczyła mu dolną połowę ciała. Drżąc z zimna, wierzgnął nogami, żeby ocenić swoją pozycję w stosunku do drzwi.

- Wchodzę! - zawołał do Remi.

Kilka razy wyrzucił nogi w tył i w przód, żeby się rozhuścić, a potem puścił płoży, przebił się przez wodospad i wpadł do kabiny. Uderzył w drzwi po drugiej stronie i wylądował na podłodze.

Wrak zaskrzypiał i przez kadłub przeszło drżenie. Na szczęście po chwili ustało.

Sam siedział po pas w lodowatej wodzie, a obok niego leżał martwy żołnierz. Zajrzał między fotelami do kokpitu. Obaj piloci nie żyli, a kabina została niemal doszczętnie zniszczona. Brakowało przedniej szyby, części dziobu i tablicy przyrządów, łącznie z radiem. Wszystko to spoczywało gdzieś na dnie jeziora.

Sam już miał wracać, gdy wrak zakołysał się i lekko osunął.

Nie spadł, ale teraz kabina była ustawiona pod kątem; Sam widział przez kokpit powierzchnię jeziora w dole. Czas się kończy...

Sam omiótł wzrokiemabinę. Dostrzegł częściowo pełny zielony brezentowy worek marynarski. Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem zawartości, tylko zaczął zbierać luźne przedmioty. Jeśli wyglądały na przydatne i mieściły się w worku, pakował je. Obszukał martwego żołnierza, przy którym z użytecznych rzeczy znalazł tylko zapalniczkę, i zajął się pilotami. Zdobył pistolet samopowtarzalny i nakolannik wypchany dokumentami. Kątem oka zauważył na wpół otwarty właz w tyle kabiny. Podpełzł tam, sięgnął do środka i dotknął palcami brezentu. Wyciągnął go: torba biodrowa. Schował ją do worka.

- Pora iść - mruknął pod nosem i zawołał przez otwarte drzwi: - Remi, słyszysz mnie?

Jej odpowiedź była przytłumiona, ale zrozumiała:

- Jestem tutaj!

- Czy hak nadal...

Śmigłowiec znów się przesunął; dziób opadł w dół. Teraz Sam na wpół stał na oparciu fotela pilota.

- Czy hak nadal trzyma? - zawołał.

- Tak! Pospiesz się, Sam, wychodź stamtąd!

- Już idę!

Zapiął suwak worka marynarskiego i założył sobie jego ucha na szyję. Zamknął oczy, policzył do trzech, odepchnął się od fotela pilota i dał nura przez otwarte drzwi.

Gdy tylko wydostał się spod kaskady wody, usłyszał i poczuł, jak Z-9 spada. Opanował chęć spojrzenia przez ramię i skupił się na zbliżającej się błyskawicznie skalnej ścianie. Odchylił głowę do tyłu i zasłonił twarz rękami.

Uderzenie było znacznie mniej bolesne, niż się spodziewał, bo worek marynarski zadziałał jak zderzak. Sam obrócił się i kilka razy odbił od ściany, a potem zaczął się łagodnie kołysać.

Na krawędzi nad nim ukazała się twarz Remi. Jej przerażoną minę zastąpił uśmiech ulgi.

- Wyczyn godny hollywoodzkiego kaskadera.

- Raczej wymuszony przez desperację i strach - odparł Sam.

Spojrzał w dół na jezioro. Kadłub Z-9 zniknął pod powierzchnią; tylnej części brakowało. Popatrzył w lewo i zobaczył poszarpane krawędzie ogona, który nadal tkwił w rynnach.

- Właź na górę, Sam - zawołała Remi - bo zamarzniesz na śmierć.

Skinął głową i westchnął.

- Chwilę odsapnę i zaraz do ciebie dołączę.

Rozdział 33

Północny Nepal

Wyczerpany i drżący od przyływu adrenaliny Sam wspiał się po linie do miejsca, gdzie Remi mogła go dosięgnąć i pomóc mu pokonać resztę drogi. Już na górze przetoczył się na plecy i popatrzył w niebo. Remi opasała go ramionami.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedziała, tłumiąc łzy. Westchnęła głęboko i spytała: - Co jest w tym worku?

- Mnóstwo rzeczy. Łapałem wszystko, co wyglądało na użyteczne.

Remi się uśmiechnęła.

- Róg obfitości - skomentowała, zdejmując ucha worka z szyi męża. Rozpięła suwak i zaczęła grzebać w środku. - Termos. - Wyjęła go i otworzyła. - Pusty.

Sam usiadł prosto i włożył kurtkę, czapkę i rękawice.

- Mam zadanie dla ciebie - rzekł. - Weź ten termos i zbierz każdą kroplę paliwa lotniczego, jaką uda ci się znaleźć.

- Dobry pomysł.

Sam skinął głową i mruknął:

- Na rozpalenie ogniska.

Remi ruszyła wolno wzdłuż płaskowyzu, przyklękając przy zagłębieniach w lodzie.

- Jest trochę - zawołała po chwili. Kiedy skończyła, spotkali się przy gondoli.

- Jak ci poszło? - spytał Sam, podskakując energicznie. Przemoczone spodnie zaczęły mu się obladzać i sztywnieć.

- Mam jakieś trzy czwarte termosu - odparła Remi. - Musimy cię ogrzać.

Sam przyklękł obok sterty rzeczy zabranych z bella i zaczął ją przeszukiwać.

- Chyba widziałem... Jest. - Uniósł do góry kawałek drutu z kółkiem do kluczy na każdym końcu. - Ratownicza piła łańcuchowa - wyjaśnił żonie.

Przeszedł wzdłuż gondoli, oglądając ją uważnie.

- Tkwi do połowy w szczelinie, ale chyba mam to, co jest nam potrzebne.

Przyklękł obok narożnika, przepchnął jeden koniec prowizorycznej piły przez wiklinę na drugą stronę, po czym chwycił oba kółka i zaczął piłować. Oddzielenie pierwszego kawałka zajęło mu pięć minut, ale z następnymi poszło znacznie szybciej. Odcinał fragmenty wikliny, dopóki nie urósł cały ich stos.

- Będą nam potrzebne płaskie kamienie - powiedział do Remi.

Znaleźli je i ułożyli z nich palenisko. Na wierzchu zrobili piramidę z kawałków wikliny. Kiedy Remi zmięła w kulę papiery z nakolannika pilota, Sam wyjął zapalniczkę z worka marynarskiego. Wkrótce zapłonęło małe ognisko.

Ramię przy ramieniu uklękli przed płomieniami. Ogarnęło ich ciepło. Niemal natychmiast poczuli się lepiej, wstąpiła w nich nadzieja.

- Jak niewiele potrzeba do szczęścia - zauważyła Remi.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

- Przedstaw mi swoją teorię na temat Chińczyków.

- Myślę, że Z-9 nie pojawił się przypadkowo. Śledził nas wczoraj, a dziś przyleciał tutaj zaledwie kilka minut po naszym lądowaniu.

- Wiemy, że King przemyca artefakty przez granicę, więc na pewno ma jakiś chiński kontakt. Kto miałby taką swobodę ruchu, takie pole manewru?

- Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. King prawdopodobnie domyślił się, jaki rejon będziemy przeszukiwać. Przy jego wpływach wystarczyło zawiadomić chiński kontakt i czekać, aż się pojawimy.

- Ciekawe, co by zrobili, gdyby Hosni nie otworzył ognia?

- Tylko spekuluję, ale prawdopodobnie chcieli wykorzystać fakt, że jesteśmy zaledwie trzy kilometry na południe od granicy. Zgarnęliby nas, przerzucili na swoją stronę i słuch by po nas zaginął.

Remi mocniej przywarła do ramienia Sama.

- Niewesoła perspektywa.

- Co gorsza, nadal realna. Musimy przyjąć, że tu wrócą. I raczej prędzej niż później.

- Widziałam pistolet w worku marynarskim - powiedziała Remi. - Chyba nie chcesz...

- Nie - wszedł jej w słowo. - Tym razem się udało, ale następnym nie mielibyśmy żadnych szans. Musimy zniknąć, zanim zjawią się posiłki.

- Jak? Sam powiedziałeś, że nie zdołamy stąd zejść.

- Źle się wyraziłem. Musimy stworzyć pozory, że nas tu nie ma.

- Domyślałem się, że masz jakiś pomysł.

- Owszem.

Kiedy Sam przedstawił Remi swój plan, skinęła głową z uśmiechem.

- Podoba mi się. Nasza wersja konia trojańskiego.

- Gondoli trojańskiej.

- Jeszcze lepiej. I jeśli szczęście nam dopisze, dzięki niej nie zamarzniemy dziś w nocy.

Przy użyciu liny i prowizorycznego haka wspinaczkowego zsunęli gondolę kawałek ze szczeliny. Próbowali zorientować się w plątaniu elementów, które Sam zauważył wcześniej, a które teraz zwisały w głąb rozpadliny, ale widoczność kończyła się po trzech metrach.

- To bambus? - zapytała Remi.

- Chyba tak - odparł Sam. - Tam jest drugi kawałek, ten zakrzywiony. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy odcięli to wszystko, ale w dole może być coś, co nam się przyda.

Sam ukląkł i wziął do ręki sznury.

- Ściągną zwierzęce - oznajmił. - W zdumiewająco dobrym stanie.

- Takie szczeliny to naturalne zamrażarki - wyjaśniła Remi. - A jeśli to wszystko przykrywał lodowiec, skutek jest jeszcze lepszy.

Sam zebrał więcej splątanych sznurów i szarpnął.

- Zaskakująco lekkie. Ale odcięcie ich zajęłoby mi godziny.

- Więc wyciągnijmy je.

Sam zmierzył próbnikiem lawinowym szerokość gondoli, a potem szczeliny.

- Szczelina jest o dziesięć centymetrów szersza - powiedział. - Przeczucie mówi mi, że gondola się zaklinuje, ale jeśli się mylę, stracimy całe drewno do ogniska.

- Przeczucie jeszcze nigdy cię nie zawiodło.

- A wtedy w Sudanie? I w Australii?

- Cicho. Pomóż mi.

Zajęli pozycje przy obu końcach gondoli, przykucnęli i chwycili za dolną krawędź. Na sygnał Sama dźwignęli ją do góry, usiłując wyprostować nogi. Nie udało się. Puścili gondolę i się cofnęli.

- Przysuńmy się bliżej środka - zaproponował Sam. Stanęli na długość ramienia od siebie w połowie gondoli i spróbowali ponownie. Tym razem unieśli ją na wysokość pół metra.

- Potrzymam ją - powiedział Sam przez zaciśnięte zęby. - Spróbuj popchnąć nogami.

Remi położyła się na plecach, wpełzła pod gondolę i zaparła stopami o krawędź.

- Gotowe!

- Dawaj!

Gondola przetoczyła się na bok.

- Jeszcze raz - polecił Sam.

Powtórzyli manewr i gondola stanęła pionowo. Remi zajrzała do środka, zrobiła gwałtowny wdech i cofnęła się.

- Co zobaczyłaś? - spytał Sam.

- Pasażerów na gapę. Podeszli do gondoli.

Na przeciwległym końcu wiklinowego dna, wśród plątaniny lin i bambusowych rur, leżały dwa częściowo zmumifikowane szkielety. Reszta gondoli była podzielona na osiem części wiklinowymi rozpórkami krzyżakowymi, wystarczająco szerokimi, by mogły służyć również za ławki.

- Jak sądzisz? - zapytała Remi. - Kapitan i drugi pilot?

- Możliwe, ale w tej gondoli zmieściłoby się co najmniej piętnastu ludzi i mogło ich tyłu być do obsługi tych wszystkich lin i balonów.

- Balonów? - zdziwiła się Remi.

- Dowiemy się więcej, kiedy obejrzą resztę olinowania, ale myślę, że to był sterowiec.

- A ci dwaj byli jedynymi ocalałymi.

- Tak. Pozostali mogą być tam... - Sam wskazał głową szczelinę lodowcową. - Zresztą nie wiadomo, pospekulujemy później. Teraz bierzmy się do roboty.

Przywiązali liny tak, żeby zwisały, nie zaczepiając o ścianę szczeliny, po czym zajęli stanowiska przy obu końcach gondoli i pchali ją razem po lodzie. Kiedy zbliżyli się do szczeliny, przyspieszyli i popchnęli gondolę po raz ostatni. Pokonała ostatnie metry siłą rozpędu, przeskoczyła przez krawędź i zniknęła z widoku. Fargo wie pobiegli naprzód i spojrzeli w dół.

- Zawsze ufaj swojemu instynktowi - powiedziała Remi z uśmiechem.

Gondola tkwiła między ścianami około pół metra poniżej krawędzi.

Sam zsunął się do gondoli i przeszedł wzdłuż niej. Okazała się solidna. Remi pomogła mu wrócić na górę.

- Każdy dom musi mieć dach - oznajmiła.

Obeszli razem płaskowyż i pobierali na tyle duże kawałki aluminiowego poszycia bella, żeby nadawały się do przykrycia szczeliny, po czym zaczęli je układać nad gondolą. Zostawili tylko wąską szparę.

- Masz talent - ocenił Sam.

- Wiem - odparła Remi bez fałszywej skromności. - A teraz ostatnia rzecz: kamuflaż.

Do przypominającego miskę fragmentu przedniej szyby bella nabrali około dwudziestu litrów wody ze strumienia, wylali ją na aluminiowy „dach” i dodali kilka warstw śniegu.

Cofnęli się i przyjrzeni swojemu dziełu.

- Kiedy woda i śnieg zamarzną - powiedział Sam - będzie to wyglądać jak część pokrywy lodowej.

- A właściwie po co woda? Sam śnieg by nie wystarczył?

- Zamarznięta woda będzie spoiwem wiążącym śnieg z aluminium. Jeśli złożymy nam wizytę następny Z-9, podmuch jego rotora nie odsłoni naszych gontów.

- Samie Fargo, jesteś genialny.

- To złudzenie, które lubię stwarzać - odparł i spojrzał na słońce, które właśnie chowało się za linią szczytów na zachodzie. - Czas się schować i zobaczyć, co przyniesie noc.

Fargowie wzięli worek z zaopatrzeniem i wycofali się do swojej kryjówki. W szybko zapadającym zmierzchu sprawdzili jego zawartość.

- Co to jest? - zapytała Remi, wyciągając brezentową torbę, którą Sam znalazł tuż przed skokiem z wraka.

- To jest... - Urwał, zastanowił się chwilę i dokończył z uśmiechem: - ...zapasowy spadochron. Ale dla nas około czterestu metrów kwadratowych koca.

Wyjęli czaszę z torby i wkrótce leżeli przytuleni w kokonie z białej tkaniny. Było im ciepło i na razie czuli się bezpieczni, więc gawędzili cicho, a gdy zapadła noc, wkrótce zasnęli.

Sama obudził odległy warkot. Otworzył oczy, ale zobaczył tylko nieprzeniknioną ciemność. Remi poruszyła się w jego ramionach i spytała szeptem:

- Słyszysz to?
- Tak.
- Jakie są szanse, że to ekipa ratownicza?
- Praktycznie żadne.
- Dzięki za szczerość.

Hałas stopniowo narastał, aż stał się ogłuszający. Chwilę później szczelinę lodowcową omiół snop światła; oślepiający blask przeniknął przez szpary w dachu.

Szperacz oświetlił płaskowyż jeszcze dwa razy, po czym odgłos silnika się zmienił.

- Podchodzą do zawisu - szepnął Sam.

Lewą ręką sięgnął po pistolet, który wcześniej wsunął pod nogę, i przełożył go do prawej dłoni.

Poczuli podmuch i gondolę wypełnił strumień lodowatego powietrza. Sądząc po cieniach widocznych w blasku szperacza, śmigłowiec przesunął się bokiem nad płaskowyżem i obracał to w jedną, to w drugą stronę. Szukał albo ich, albo żołnierzy ocalałych z poprzedniej maszyny, albo jednych i drugich.

Tkwiący w rynnie ogon Z-9 nie pozostawiał wątpliwości co do losu reszty śmigłowca. Gdyby ktoś z załogi przeżył upadek do jeziora, nie zdołałby się wydostać z lodowatej wody. Zamarzłby, zanim dopłynąłby do brzegu. Fargowie modlili się, żeby ekipa poszukiwawcza doszła do takiego wniosku.

Ich goście jeszcze trzy razy przelecieli nad płaskowyżem. Potem światło szperacza zgasło i wkrótce warkot helikoptera ucichł w oddali.

Rozdział 34

Północny Nepal

Gondola okazała się dobrym schronieniem. Przykryty śniegiem dach chronił Fargów przed porywistym wiatrem i przenikliwym zimnem. Okryci czaszą spadochronu, w parkach, czapkach i rękawicach, spali, dopóki nie obudziły ich przeświecające przez aluminiowe gonty promienie słońca.

Choć obawiali się następnej wizyty Chińczyków, wiedzieli, że aby przeżyć, muszą się wydostać z doliny.

Wyszli z gondoli i zabrali się do przygotowywania śniadania. Wśród szczątków bella znaleźli dziewięć torebek herbaty i częściowo rozerwane opakowanie liofilizowanego strogonowa. Z wraku Z-9 Sam wziął paczkę krakersów ryżowych i trzy puszki fasoli mung w sosie pomidorowym. Podzielili się jedną porcją fasoli i kubkiem herbaty, na którą wodę zagotowali w pustej puszcze.

Zgodnie uznali, że był to jeden z najlepszych posiłków, jakie kiedykolwiek jedli.

Sam wypił ostatni łyk herbaty i powiedział:

- W nocy myślałem...

- I mówiłeś przez sen - weszła mu w słowo Remi. - Chcesz coś zbudować, tak?

- Nasi zmumifikowani przyjaciele w gondoli dostali się tu balonem na ogrzane powietrze. Dlaczego nie mielibyśmy odlecieć w ten sam sposób? - Zdumiona Remi już otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, Sam wyjaśnił: - Nie chodzi mi o zrekonstruowanie ich balonu. Myślę raczej o... - poszukał właściwego słowa - balonie okolicznościowym. Remi pokiwała głową.

- Trochę ich lin, trochę naszych... - Oczy jej zabłyśły. - Sterowiec!

- Czytasz w moich myślach. Jeśli nam się uda odpowiednio go ukształtować i uszczelnić, chyba wiem, jak go napełnić. Wystarczy, jeżeli doleci do jednej z łąk, które widzieliśmy na południu. To jakieś siedem, najwyżej osiem kilometrów. Stamtąd damy radę dojść do jakiejś wioski.

- Ciekawe, ale bardzo ryzykowne.

- Ryzyko to nasza specjalność. Prawda jest taka, że w tej temperaturze nie przetrwamy dłużej niż pięć dni. Ekipa ratownicza może przybyć wcześniej, ale nigdy nie byłem zwolennikiem czekania.

- I trzeba pamiętać o Chińczykach.

- Właśnie. Alternatywa jest prosta: albo czekamy na pomoc, która może nie nadejść, albo próbujemy się stąd wydostać, licząc się z tym, że możemy zginąć.

- Próbujemy - orzekła Remi. - Budujmy sterowiec.

Najpierw zrobili inwentaryzację. Remi sprawdziła wszystkie przedmioty znalezione w obu wrakach, a Sam - stare olinowanie gondoli i strzępy balonów, które wydobył ze szczeliny.

- Były co najmniej trzy - powiedział. - Albo raczej cztery. Widzisz te zakrzywione kawałki wikliny i sposób, w jaki się łączą?

- Tak.

- To mogły być osłony balonów.

- Ten materiał to jedwab - zauważyła Remi. - Jest bardzo gruby.

- Wyobraź to sobie: gondola o długości dziesięciu metrów podwieszona pod czterema jedwabnymi balonami w klatkach.

Wiklinowo-bambusowe rozpórki, liny ze ścięgien... Zastanawiam się, jak oni utrzymywali to w górze i jak wpuszczali do balonów ogrzane powietrze.

Remi uśmiechnęła się do męża i pocałowała go w usta.

- To rzeczywiście fascynujące, ale bierzmy się do roboty, okej?

- Okej.

Zaczęli porządkować płataninę, odkładając liny na jedną stronę, a rozpórki na drugą. Kiedy skończyli, ostrożnie wyjęli mumie z gondoli i uwolnili je z resztek olinowania.

- Zastanawiam się, dlaczego umarli w tej gondoli i co się stało z resztą załogi - powiedziała Remi.

- Zapewne wykorzystywali odwróconą gondolę jako schronienie - odparł Sam. - Może szczelina utworzyła się nagle i tylko ci dwaj zdołali się utrzymać na powierzchni.

- Ale czemu tak zostali?

- Może byli za słabi, żeby gdziekolwiek iść. Zbudowali małą platformę z bambusa i olinowania.

Remi przyklęknęła i przyjrzała się mumiom.

- Słabi i ranni - orzekła. - jeden doznał złamania kości udowej, a drugi... Widzisz to wgłębienie w biodrze? Jest albo zwichnięte, albo pęknięte. Straszne. Leżeli tu pokiereszowani i czekali na śmierć. Straszne.

- Nasz los taki nie będzie - zapewnił Sam. - Może czeka nas katastrofa balonowa, ale nie powolna śmierć na odludziu.

- Bardzo pocieszające - mruknęła Remi, już miała wstać, gdy jej wzrok padł na jedną z bambusowych rur. - Sam, tu jest wyryty jakiś napis.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Sam schylił się i podniósł rurę. Miała średnicę kija bejsbolowego, półtora metra długości i rzeczywiście wyryto na niej napis. On pierwszy rozpoznał język.

- To po włosku.

- Masz rację. - Remi przesuwiała czubkami palców po ko lejnych słowach. - Ale to nie. - Wskazała miejsce przy końcu.

W kwadracie o boku nie dłuższym niż półtora centymetra widniały cztery azjatyckie symbole.

- Nie do wiary - szepnęła Remi. - Poznajesz je?
- Nie - odparł Sam. - A powinienem?
- Identyczne znaki są na wieku kufra Theuranga.

Rozdział 35

Północny Nepal

Sam pokręcił głową z niedowierzaniem, ale zanim zdążył się odezwać, Remi powiedziała:

- Wiem, że to wydaje się nieprawdopodobne, ale jestem pewna na sto procent. Pamiętam, jak piliśmy herbatę u Jacka i wpatrywaliśmy się w te znaki na ekranie jego laptopa.

- Wierzę ci. Tylko nie rozumiem... - Sam urwał i zmarszczył brwi. - Chyba że... Jak daleko byliśmy od ostatnich współrzędnych, kiedy tu wylądowaliśmy?

- Hosni mówił, że niecały kilometr.

- Więc niedaleko stąd biegła trasa, którą podążał Dhakał. Może zginął gdzieś w pobliżu albo wpadł w tarapaty i stracił kufer?

- A nasi przyjaciele baloniarze - podjęła Remi - przylecieli tu wieki później. Rozbili się i znaleźli kufer. Kiedy odbył się pierwszy załogowy lot balonem?

- Niech pomyślę... Pod koniec szesnastego albo na początku siedemnastego wieku. Ale nigdy nie słyszałem o sterowcu z tamtego okresu.

- Tak czy inaczej, rozbił się tutaj najwcześniej trzysta lat po tym, jak Dhakał opuścił Mustang.

- To jest możliwe - przyznał Sam - ale trudne do przyjęcia.

- Więc wyjaśnij te znaki.

- Nie potrafię.

- Witaj w klubie.

- Jak twój włoski?

- Trochę zardzewiał, ale mogę spróbować. Później, gdy się stąd wydostaniemy.

Przez cały ranek segregowali liny, rozpórki i kawałki jedwabiu, oddzielając postrzępione lub przegniłe fragmenty od nadających się do użytku. Zniszczone liny odkładali na bok od razu, a wiklinowo-bambusowe rozpórki po sprawdzeniu, czy jest na nich coś wyryte. Remi obejrzała każdy kawałek bardzo dokładnie, ale na żadnym niczego nie znalazła. Ze strzępków jedwabiu, mających po kilka centymetrów szerokości, splekli dodatkową linę. Do południa zgromadzili pokaźną ilość materiału. Po skromnym lunchu złożonym z puszki fasoli i kubka herbaty zabrali się do budowy sterowca.

Aby uzyskać maksymalną stabilność, postanowili przymocować rozpórki z klatek balonów do wnętrza kopuły. Pracowali szybko i sprawnie: Sam robił przebijakiem scyzoryka podwójne dziury w czaszy, a Remi wkładała do otworów trzydziestocentymetrowe kawałki rzemyków ze ścięgien. Kiedy skończyli, mieli trzysta dwadzieścia otworów i sto sześćdziesiąt rzemyków.

Późnym popołudniem Sam zaczął wiązać supły na rzemykach. Gdy uporał się z

prawie jedną czwartą, zaczęło się ściemniać i postanowili zakończyć dzień pracy.

Nazajutrz wstali skoro świt i od razu wzięli się do roboty.

Wczesnym popołudniem, pięć godzin przed zachodem słońca, związali otwór balonu paskami jedwabiu przymocowanymi do pierścienia z zakrzywionych kawałków wikliny.

Zjedli po kilka krakersów i usadowili się w gondoli, w której mieli spędzić kolejną noc.

- Kiedy będziemy gotowi? - zapytała Remi.

- Jeśli szczęście nam dopisze, skończymy kosz jutro przed południem - odparł Sam.

Nie powiedział, że dręczy go pewien problem techniczny. Rozbierali gondolę kawałek po kawałku, aby mieć drewno na ognisko, i zostały im zaledwie trzy metry. Taka ilość wikliny, według jego obliczeń, powinna wystarczyć do utrzymania ich w powietrzu, nie był jednak pewien, czy zdołają się wznieść na tyle wysoko, żeby przelecieć nad górskim grzbieciem.

O jeden czynnik Sam nie musiał się martwić: o wiatr. Jak dotąd, wiał niezbyt mocno, ale z północy.

- A co z lądowaniem? - spytała Remi.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Sam. - Nie wiadomo, na ile będziemy w stanie panować nad opadaniem. I praktycznie nie będziemy mieć żadnego sterowania.

- Domyślam się, że masz jakiś plan awaryjny.

- Owszem. Chcesz posłuchać?

- Nie - odparła Remi po chwili namysłu. - Zaskocz mnie.

Sam niewiele się pomylił co do czasu. W południe mieli gotowy kosz i konstrukcję nośną. Wprawdzie zgodnie uznali, że „kosz” to zbyt wiele powiedziane, ale byli dumni ze swojego dzieła: bambusowej platformy szerokości pół metra połączonej z konstrukcją nośną ostatnimi ścięgami.

Usiedli i zjedli lunch, podziwiając w milczeniu statek powietrzny, który stworzyli. Był prymitywny i brzydki, ale uwielbiali każdy jego centymetr.

- Trzeba go jakoś ochrzcić - powiedziała Remi.

Sam oczywiście zaproponował imię żony, ale odrzuciła tę propozycję. Spróbował jeszcze raz.

- Kiedy byłem mały, miałem latawiec o nazwie „Zwycięzca”.

- Podoba mi się.

Popołudnie upłynęło na przygotowywaniu opału. Sam stał w gondoli, ciął ją piłą drutową i podawał kawałki Remi. Zostawił tylko metrową część, w której mieli przenocować.

Potem Remi zaczęła rozcierać kamieniem wiklinę i pozostałe im ścięgna na miazgę. Pierwszą garść Sam wrzucił do półokrągłego fragmentu poszycia bella.

Dodał porosty zdrapane z każdego kamienia i odsłoniętego skrawka granitu, jaki udało im się znaleźć na płaskowyżu, a na koniec paliwo lotnicze i proch strzelniczy z naboji pistoletowych. Po trzydziestu minutach prymitywny brykiet zawinięty w jedwab był gotowy.

- Pełnij honory - powiedział Sam, podając żonie zapalniczkę.

- Jesteś pewien, że to nie wybuchnie?

- Nie.

Remi posłała mu miażdżące spojrzenie.

- Musiałoby być zapakowane w coś twardego - wyjaśnił. Wyciągnęła rękę na całą długość i przytknęła płomień do brykietu; zapłonął z cichym sykiem.

Remi uśmiechnęła się szeroko, podskoczyła do góry i objęła męża. Usiedli obok brykietu i patrzyli, jak się pali. Żar był zadziwiająco intensywny. Kiedy ogień w końcu zgasł, Sam spojrział na zegarek.

- Sześć minut. Nieźle. Teraz musimy zrobić tyle brykietów, ile nam się uda, ale większych. Mniej więcej takich jak filet mignon.

- Musiałeś użyć tego porównania?

- Przepraszam. Natychmiast po powrocie do Katmandu pójdziemy do najbliższej restauracji serwującej steki.

Podniesieni na duchu udanym testem paliwa robili szybkie postępy. Do wieczora mieli dziewiętnaście brykietów.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, Sam dokończył koksownik, przytwierdzając do jego podstawy trzy krótkie nogi, które następnie przymocował do aluminiowej miski podwójnej grubości prymitywnymi kołnierkami. Potem wyciął dziurę w boku stożka.

- Po co to? - zapytała Remi.

- Musi być wentylacja i otwór na opał. Kiedy zapalimy pierwszy brykiet, przepływ powietrza i kształt stożka wytworzą swego rodzaju wir. Ciepło dostanie się przez szczyt stożka do balonu.

- Pomysłowe.

- Koza.

- Słucham?

- Staromodny piecyk na sterydach. Są nieużywane od lat. Nareszcie moje zamiłowanie do staroci się opłaciło.

- Z nawiązką. Chodźmy do naszego bunkra i spróbujmy wypocząć przed dziewiczym - i ostatnim - lotem „Zwycięzcy”.

Spali niespokojnie, a kiedy tylko niebo zaczęło się rozjaśniać, wyszli z gondoli i zjedli ostatnią porcję prowiantu.

Sam pociął resztę gondoli, zostawiając tylko ostatni narożnik, który uwolnili hakiem wspinaczkowym i zawiązaną liną. Gdy skończył piłować, mieli stos opału wysokości dorosłego mężczyzny.

Zaciągnęli ostrożnie balon do wybranego wcześniej punktu startu. Na platformie ułożyli balast w postaci kamieni. Pośrodku umieścili koksownik i przywiązali go do platformy rzemykami ze ściągien.

- Zapalajmy - powiedziała Remi.

Użyli kulki ze zmiętego papieru i porostów jako podpałkę, a na wierzchu ustawili stos z kawałków wikliny. Kiedy mieli już solidną warstwę żaru, nadal wkładali wiklinę do koksownika i wkrótce płomień zaczął sięgać coraz wyżej.

Remi położyła dłoń na rurze spalinowej koksownika i cofnęła ją gwałtownie.

- Gorące!

- Doskonale. Teraz zaczekamy. To trochę potrwa. Minęła godzina, potem druga. W miarę jak sarta opału malała, balon napełniał się i rósł wokół nich niczym miniaturowy namiot cyrkowy. Tuż przed upływem trzeciej godziny uniósł się i oderwał od ziemi, a w ciągu następnych trzech kwadransów stanął pionowo. Jego powłoka naprężała się z każdą chwilą.

- To działa - wyszeptała Remi. - To naprawdę działa. Sam bez słowa skinął głową, wpatrzony w statek po wietrzny.

Wreszcie zarządził:

- Wszyscy na pokład.

Remi podbiegła do sterty ich zaopatrzenia, porwała kawałek bambusa z wyrytą inskrypcją, wsunęła go pod kurtkę i wróciła. Usuwała kolejne kamienie, robiąc sobie miejsce do siedzenia. Przeciwległa strona platformy wisiała teraz kilka centymetrów nad ziemią.

Włożywszy niezbędne rzeczy do torby z zapasowym spadochronem, a brykiety i ostatnie narzędzie wikliny do worka marynarskiego, Sam chwycił oba bagaże i ukląkł przy platformie.

- Gotowa? - zapytał.

Remi nie wahała się ani sekundy.

- Lećmy.

Rozdział 36

Północny Nepal

Płomienie strzelały w górę z wnętrza koksownika i znikwały w otworze balonu, który unosił się pół metra nad płaskowyżem.

- Na mój sygnał odepchnij się z całej siły - powiedział Sam do żony.

Wrzucił do paleniska dwa ostatnie kawałki wikliny i czekał, zerkając to na koksownik, to na balon, to na ziemię.

- Teraz!

Oboje ugięli nogi i odepchnęli się mocno. Wyskoczyli trzy metry w górę i zaczęli opadać.

- Przygotuj się do następnej próby! - zawołał Sam, a gdy uderzyli stopami w lód, krzyknął: - Odepchnij się!

Znów wystrzelili do góry i opadli na ziemię, ale znacznie wolniej.

- Robimy postępy - zauważył Sam.

- Musimy złapać rytm - powiedziała Remi. - Wyobraź sobie odbijającą się piłkę.

Zaczęli się odbijać od płaskowyżu, za każdym razem osiągając trochę większą wysokość. Na lewo od nich pojawiła się krawędź urwiska.

- Sam!... - ostrzegła Remi.

- Wiem. Nie patrz tam, tylko się odbijaj. Lot albo kąpiel!

Odepchnęli się jeszcze raz. Podmuch wiatru porwał balon i poniósł ich przez płaskowyż. Jedna stopa Remi zsunęła się z krawędzi klifu, ale zachowała spokój i odepchnęła się drugą.

I wtedy zapadła cisza, tylko wiatr gwizdał między linami. Byli w powietrzu i wznosili się, szybując na południowy wschód w kierunku zbocza.

Sam wyjął z worka marynarskiego dwa brykiety i włożył je do koksownika. Usłyszeli cichy szum, kiedy się zajęły, a chwilę później z rury spalinowej wystrzeliły płomienie. Zaczęli nabierać wysokości.

- Jeszcze jeden - powiedziała Remi.

Gdy Sam wrzucił do paleniska trzeci brykiet, balon wzniósł się o kolejne metry.

Sosny porastające zbocze były coraz bliżej. Gwałtowny poryw wiatru zakręcił balonem. Fargowie złapali się lin i zacisnęli nogi wokół platformy. Po trzech obrotach platforma uspokoiła się i ustabilizowała.

Sam spojrział ponad ramieniem Remi, by ocenić odległość od zbocza.

- Blisko? - zapytała.

- Około dwustu metrów. Mniej więcej półtorej minuty. - Spojrział jej w oczy. - Będzie na styk. Stawiamy wszystko na jedną kartę?

- Jasne.

Sam wrzucił do koksownika czwarty brykiet i oboje wyjrżeli poza platformę.

Wierzchołki drzew były już bardzo blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Remi poczuła, jak coś zahacza o jej stopę, i przechyliła się na bok. Sam wychylił się do przodu i złapał ją za ramię.

Dołożył jeszcze jeden brykiet.

I następny.

- Sto metrów! - zawołał. Kolejny brykiet.

- Pięćdziesiąt metrów! - Wyjął brykiet z worka marynarskiego, potrząsnął nim w dłoniach jak kością do gry i podsunął Remi. - Na szczęście.

Chuchnęła na brykiet.

Sam wrzucił go do koksownika.

- Podnieś nogi! - krzyknął.

Poculi i usłyszeli, jak spód platformy zawadza o wierzchołek sosny. Zostali szarpnięci w bok.

- Utknęliśmy! - zawołał Sam. - Kontra!

Przechylili się w przeciwną stronę i zawiśli poza krawędzią platformy, uczepleni lin. Sam wierzgnął nogami, żeby uwolnić ich z pułapki.

Trzymająca ich gałąź złamała się z głośnym trzaskiem i platforma wróciła do poziomu. Fargowie usiedli i popatrzyli w dół, a potem w górę.

- Przelecieliśmy! - zawołała uradowana Remi. - Udało się! Sam wypuścił wstrzymywany oddech.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Remi rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

- No dobra - przyznał. - Może przez sekundę czy dwie.

Za górskim grzbietem wiatr trochę osłabł i szybowali na południe z prędkością około piętnastu kilometrów na godzinę. Gdy pokonali kilkaset metrów, zaczęli tracić wysokość.

Sam sięgnął do worka po kolejny brykiet i wrzucił go do koksownika. Po chwili balon znów zaczął się wznosić.

- Ile brykietów zostało? - spytała Remi. Sam sprawdził.

- Dziesięć. Powinno wystarczyć.

- To dobry moment na przedstawienie mi planu awaryjnego.

- Wedle życzenia - odparł Sam. - Plan jest bardzo prosty: jeśli nam się nie uda miękko usiąść, będziemy musieli poszukać gąszczu sosen i spróbować w niego wlecieć.

- Krótko mówiąc, lądować awaryjnie bez lądu.

- Dokładnie. Będziemy się mocno trzymać i mieć nadzieję, że konary zadziałają jak liny hamujące.

- Jak liny na lotniskowcu?

- Otóż to.

Remi zastanowiła się chwilę i zdmuchnąwszy kosmyk kasztanowych włosów z czoła, powiedziała:

- Podoba mi się ten plan.

- Byłem pewien, że ci się spodoba - odrzekł Sam i wrzucił kolejny brykiet do koksownika.

Z późno popołudniowym słońcem za plecami wciąż lecieli na południe, wypatrując miejsca do lądowania. Pokonali już około sześciu kilometrów, ale na razie widzieli tylko doliny pełne skalnego rumoszu, lodowce i sosnowe zagajniki.

- Tracimy wysokość - oznajmiła Remi.

Sam dołożył do ognia. Nie pomogło, nadal opadali.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Chyba następuje rozproszenie ciepła. Słońce zaczyna zachodzić i temperatura się obniża. Balon ochładza się szybciej, niż możemy go podgrzać.

Wrzucił następny brykiet do paleniska. Spowolniło to opadanie, ale było jasne, że są w nieodwracalnym ślizgu ku ziemi. Zaczęli nabierać prędkości.

- Czas podjąć decyzję - powiedział Sam. - Nie dolecimy do łąki, ale możemy wykonać plan awaryjny.

Wskazał ponad ramieniem Remi na rosnącą poniżej kępę sosen, za którą znajdowała się usłana głazami dolina.

- Albo zużyć resztę brykietów - dodał - i mieć nadzieję, że znajdziemy lepsze miejsce.

- Już i tak za bardzo kusimy los. Jestem gotowa na spotkanie z *terra firma*. Jak chcesz to zrobić?

Sam popatrzył na zbliżającą się linię drzew, próbując ocenić prędkość, odległość i kąt podejścia. Oszacował, że mają trzy minuty. Lecieli z prędkością jakichś dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, ale zanim dotrą do drzew, ta prędkość wzrośnie co najmniej dwukrotnie. Uderzenie byłoby do przeżycia w samochodzie, ale na odkrytej platformie mogłoby mieć tragiczne skutki.

- Gdybyśmy mieli poduszkę powietrzną - mruknął Sam.

- Mamy tarczę - odparła Remi i poklepała bambusową platformę.

Sam natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi.

- Ryzykowne.

- Znacznie mniej niż twoja propozycja. Powiedz szczerze, jak oceniasz nasze szanse?

- Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- To może je zwiększyć o kilka punktów.

Sam spojrział na linię drzew i znów na żonę. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział tym samym i rzekł:

- Jesteś niesamowita, Remi Fargo.

- Wiem o tym.

- Tego już nie potrzebujemy - powiedział Sam, przeciął pasy mocujące koksownik i zepchnął go z platformy. Koza uderzyła o ziemię wśród snopów iskier i

stoczyła się w dolinę.

Sam złapał się lewą ręką jednej liny, a do drugiej przyłożył ostrze szwajcarskiego scyzoryka i zaczął ją przecinać. Gdy puściła, platforma trochę opadła.

Sam przesunął się do następnej liny.

- Kiedy spadniemy? - zapytał żonę.

- Nie wiem...

- Strzelaj!

- Za kilka sekund!

Sam ciął dalej, ale ostrze scyzoryka stępiało od wielokrotnego używania, więc szło mu to bardzo opornie. Zacisnął zęby i zwiększył wysiłek.

Druga lina wreszcie pękła. Przeniósł się do trzeciej.

- Czas się kończy! - zawołała Remi.

W tej samej chwili puściła trzecia lina i przeciwny koniec platformy trzymał się teraz tylko na jednej, trzepocząc jak latawiec na wietrze.

- Jeszcze jedna! - krzyknął Sam i zaczął ciąć. - No da lej... dalej...

Gdy ostatnia lina pękła, koniec platformy opadł i zawisł pionowo pod nimi. Sam już miał rzucić nóż, ale zmienił zdanie. Złożył ostrze o policzek i zacisnął prawą dłoń na linie.

Dołączywszy do Remi, która opuściła się w dół i była już za platformą, wyrzwał zza krawędzi i zobaczył pędzącą ku nim ścianę zieleni.

Sekundę później dotarli do drzew i pomknęli między smagającymi ich konarami. Schylili głowy i zamknęli oczy. Sam wypuścił linę z prawej ręki i starał się osłaniać twarz Remi własnym przedramieniem.

- Spadamy! - krzyknęła.

Runęli w dół. Na szczęście gałęzie częściowo zamortyzowały upadek.

Wreszcie się zatrzymali.

Sam otworzył usta, żeby się odezwać, ale tylko wychrypiał coś niewyraźnie. Spróbował jeszcze raz.

- Remi!

- Tutaj - usłyszał cichą odpowiedź. - Pod tobą.

Sam, leżący na wznak w poprzek dwóch konarów, ostrożnie przekręcił się na brzuch. Remi leżała trzy metry niżej w stercie sosnowych igieł. Twarz miała podrapaną, jakby ktoś przejechał po niej drucianą szczotką, a oczy pełne łez.

- Bardzo źle z tobą? - spytał.

Zmusiła się do uśmiechu i pokazała mu uniesiony kciuk.

- A ty, nieustraszony pilocie?

- Daj mi jeszcze chwilę poleżeć, to ci powiem.

Kilka minut później Sam zaczął schodzić na dół.

- Nie ruszaj się - powiedział do Remi. - Leż.

- Skoro nalegasz.

Sam czuł się jak zbity pies, ale wydawało się, że wszystkie kości ma całe. Gdy zsunął się z ostatniej gałęzi i wylądował obok żony, ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała:

- Z tobą nie sposób się nudzić.

- Wiem.

- Sam, twoja szyja.

Sięgnął do miejsca, które wskazała Remi, i wymacał kilkucentymetrowe rozcięcie poniżej ucha.

- Zagoi się - stwierdził. - Sprawdźmy, co z tobą.

- Nie trzeba - odparła. - Jestem tylko trochę poobijana, ale poza tym wszystko w porządku.

Sam uświadomił sobie, że uratowały ich ubrania. Grube podszewki i wysokie kołnierze parek chroniły tułowia i szyje, a wełniane czapki służyły za poduszki głowom.

- Chwała Bogu - powiedział. - Twój pomysł z tarczą się sprawdził.

Remi zbyła to machnięciem ręki.

- Gdzie „Zwycięzca”? - spytała.

- Zaplątany w drzewa.

- A czy moja twarz wygląda tak samo źle jak twoja?

- Ależ skąd - skłamał gładko. - Nigdy nie wyglądałaś ładniej.

- Marny z ciebie kłamca. Ale dziękuję. Słońce zachodzi, więc i tak nic nie będzie widać. Co teraz?

- Rozpalę ci ognisko i pójde poszukać przyjaźnie nastawionych wieśniaków, którzy zaoferują nam przytulne łóżka i gorące jedzenie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Sam wstał i się przeciągnął. Z trudem powstrzymał jęk, bo miał wrażenie, że boli go dosłownie wszystko.

- Zaraz wrócę - obiecał.

Torbę z zapasowym spadochronem znalazł już po kilku minutach, ale poszukiwania worka marynarskiego zajęły mu więcej czasu. Z siedmiu pozostałych brykietów znalazł trzy.

Gdy wrócił do Remi, siedziała oparta plecami o drzewo. Wygrzebał niewielki dołek w ziemi, umieścił w nim jeden brykiet i zapalił. Dwa pozostałe położył obok.

- Schodzę do doliny - powiedział. - Postaram się wrócić jak najszybciej.

- Będę czekać - odparła z uśmiechem. Pocałował ją i ruszył w drogę.

- Sam? - zawołała za nim. Odwrócił się i spytał:

- Tak?

- Uważaj na yeti.

Rozdział 37

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Mam dla państwa przekład – oznajmiła Selma, wchodząc do solarium.

Fargowie, wyciągnięci na leżakach, otworzyli oczy.

- To fantastycznie – powiedziała Remi.

- Czytałaś go? – zapytał Sam.

- Tak – odparła Selma.

- Mogłabyś wszystko streścić? Po środkach przeciwbólowych Remi jest lekko... oszołomiona.

Fargowie wrócili do domu poprzedniego wieczoru. Okazało się, że rozbili się niecałe półtora kilometra od wioski Samagaun, najdalej wysuniętej na północ osady w tym rejonie Nepalu.

Gdy Sam wędrował w zapadającym zmierzchu przez dolinę, zauważyła go para australijskich trekkerów. Zabrali go do Samagaun, gdzie szybko zorganizowano ekipę ratowniczą. Dojechali wiekową ciężarówką Datsun tak wysoko, jak się dało, a resztę drogi przeszli pieszo.

Remi siedziała tam, gdzie Sam ją zostawił – pod drzewem, w ciepłym blasku ognia. Dla bezpieczeństwa położyli ją na kawałku sklejki, który zabrali właśnie w tym celu, i wrócili do Samagaun.

W wiosce czekał na Fargów pokój z dwoma łózkami i kozą oraz kopiaiste porcje *aloo tareko* (smażonych ziemniaków)

i *kukhura ko ledo* (kurczaka w gęstym sosie). Gdy się najedli, zbadał ich miejscowy lekarz i stwierdził, że ich życiu nic nie zagraża.

Następnego ranka dowiedzieli się, że wiadomość o ich uratowaniu już została przekazana za pośrednictwem radioamatora. Wkrótce po tym, jak Sam podał starszyźnie wioski namiary na Jacka Karnę, SUV niewiele młodszy od ratowniczej ciężarówki zawiózł Fargów na południe. W Gorkhce już czekali Jack i Ajay, którzy zabrali ich do Katmandu.

Noc i następny dzień spędzili w szpitalu, gdzie poddano ich dokładnym badaniom. Okazało się, że Sam nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń, natomiast Remi ma złamane dwa żebra i skręconą nogę w kostce. Urazy były bolesne, ale nie wymagały hospitalizacji.

Prosto ze szpitala Fargowie pojechali na lotnisko i pięć dni po awaryjnym lądowaniu wśród drzew wrócili do Kalifornii.

Teraz Selma podała im skróconą wersję swojego raportu.

- Jack potwierdził pani przecucie, pani Fargo – zaczęła. - Symbole wyryte na bambusie są takie same jak te na wieku kufra. Co do napisu, też mieli państwo rację: jest po włosku. Autor, Francesco Lana de Terzi...

- Znam to nazwisko - przerwał jej Sam, który od chwili powrotu do domu zgłębiał historię sterowców.

- Oświeć nas - poprosiła Remi.

- De Terzi, nazywany ojcem aeronautyki, był jezuitą i wykładowcą fizyki i matematyki w Brescii w północnych Włoszech. W tysiąc sześćset siedemdziesiątym roku opublikował pracę pod tytułem *Prodomo*, która stanowi pierwszą analizę matematyczną parametrów statku powietrznego. De Terzi przygotował grunt dla wszystkich swoich następców, poczynawszy od braci Montgolfier.

- Tych od balonu - wtrąciła Remi.

- Tak - potwierdził Sam. - De Terzi utorował drogę również innym wynalazkom, takim jak maszyna do szycia, urządzenie do czytania dla niewidomych, pierwsza prymitywna forma alfabetu Braille'a...

- A statek powietrzny? - spytała Selma.

- Jego pierwszą koncepcją - odparł Sam - było coś, co nazwał „latającym statkiem próżniowym”. Przypominał wielobalonowy sterowiec, jaki znaleźliśmy, ale zamiast sfer z tkaniny miałyby miedziane. De Terzi uważał, że po opróżnieniu tych miedzianych sfer statek będzie lżejszy od otaczającego go powietrza, co sprawi, że się uniesie. Teoretycznie miał rację, ale jest zbyt wiele przeszkód, żeby to się powiodło.

- Więc statek próżniowy nigdy nie powstał - powiedziała Selma.

- W każdym razie nic o tym nie wiemy. Pod koniec dziewiętnastego wieku Arthur de Bausset próbował zebrać fundusze na aerostat próżniowy własnego pomysłu, ale nic z tego nie wyszło. A co do de Terziego, według źródeł historycznych pracował nad swoją teorią aż do śmierci w tysiąc sześćset osiemdziesiątym szóstym roku.

- Gdzie zmarł?

- W Brescii.

- Po pobycie w Himalajach - dodała Remi. - Mów dalej, Selmo.

- Z napisu na bambusie wynika, że de Terzi i jego chińska załoga - nie podaje, iluosobowa - wylądowali awaryjnie podczas lotu próbnego statkiem powietrznym, który skonstruował dla cesarza Kangxi. Władca nazwał statek „Wielkim Smokiem”. Tylko de Terzi i dwóch innych członków załogi przeżyło katastrofę. On jeden nie odniósł obrażeń.

- Dwie mumie, które znaleźliśmy, to pewnie ci dwaj - powiedziała Remi.

- Cesarz Kangxi - poinformowała Selma - panował na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku.

- Przedział czasowy pasuje - zauważył Sam.

- Posłuchajcie tego: de Terzi pisze, że kiedy szukał pożywienia, znalazł, cytując, „tajemniczy kufer o konstrukcji, jakiej jeszcze nie widziałem, pokryty symbolami podobnymi i niepodobnymi do używanych przez mojego dobroczyńcę”. Fargowie

wymienili uśmiechy.

- W ostatniej części tekstu - ciągnęła Selma - de Terzi napisał, że postanowił zostawić członków swojej załogi i ruszyć na północ w kierunku miejsca startu i bazy statku powietrznego, które określa jako gompa Shekar.

- Sprawdziłaś... - zaczął Sam.

- Tak. Z gompy Shekar zostały tylko ruiny, ale znajdowała się około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na północny wschód od miejsca, gdzie państwo znaleźli statek.

- Mów dalej.

- Gdyby de Terzi dotarł do gompy, sam miał opowiedzieć historię swojej podróży. Gdyby mu się nie udało, jego ciało nigdy nie miało zostać odnalezione. Ten bambus miał być jego testamentem.

- A tajemniczy kufer? - zapytał Sam.

- Najlepsze zostawiłam na koniec - odparła Selma. - De Terzi twierdzi, że zamierza zabrać kufer ze sobą jako, cytuję, „okup za uwolnienie mojego brata Giuseppe, którego cesarz Kangxi zatrzymał w charakterze zakładnika, aby być pewnym, że powrócę »Wielkim Smokiem«„.

- A więc de Terzi zabrał Theuranga do Tybetu - podsumował Sam.

- Mam tyle pytań - powiedziała Remi - że nie wiem, od czego zacząć. Przede wszystkim, co wiadomo o de Terzim?

- Bardzo mało. Przynajmniej ja niewiele znalazłam - odparła Selma. - Według wszystkich źródeł de Terzi spędził całe życie we Włoszech. Tam umarł i tam jest pochowany. Jak wspomniał Sam, przez ostatnie lata pracował nad swoim statkiem próżniowym.

- Oficjalna biografia i tekst z bambusa wykluczają się wzajemnie - zauważył Sam. - Albo de Terzi nigdy nie opuścił Brescii i bambus jest mistyfikacją, albo był w Chinach i pracował dla cesarza Kangxi.

- I może tam zmarł - dodała Remi.

Sam zobaczył, że Selma uśmiecha się szelmowsko.

- Okej, wyrzuć to z siebie.

- W sieci nie ma prawie nic o de Terzim, ale znalazłam pewną profesorkę Uniwersytetu w Brescii, która prowadzi wykłady o późnorennesansowych włoskich wynalazcach. Według ich katalogu on-line de Terzi figuruje na poczesnym miejscu w programie nauczania.

- Ciebie naprawdę bawi robienie takich rzeczy, prawda? - powiedziała Remi.

- Ani trochę - zaprzeczyła Selma z udawaną powagą. - Jedno słowo i jutro po południu będą państwo we Włoszech.

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Następnego dnia późnym popołudniem czasu włoskiego Sam i Remi

przedstawili się w iChacie profesor Carlocie Moretti. Trzydziestokilkuletnia brunetka w okularach w grubych oprawkach uśmiechnęła się do nich z ekranu komputera.

- Miło mi państwa poznać - powiedziała lekko akcentowaną angielszczyzną. - Jestem kimś w rodzaju waszej fanki, wiecie?

- Naszej? - zapytała Remi.

- *Si, si*. Czytałam o was w magazynie „Smithsonian”. Zaginiona piwnica Napoleona, jaskinia w górach, eee...

- Wielka Przełęcz Świętego Bernarda - podsunął Sam.

- Otóż to. Proszę, wybaczyć mi wścibstwo, ale muszę zapytać: nic wam nie jest? Co z waszymi twarzami?

- Drobną przygodą podczas wspinaczki - odparł Sam. - Ale wracamy do zdrowia.

- To dobrze. Byłam zaintrygowana i oczywiście bardzo zadowolona, kiedy zadzwoniliście. Powiedzcie mi, co chcecie wiedzieć o Francescu de Terzim, to postaram się wam pomóc.

- Jego nazwisko pojawiło się podczas realizacji pewnego projektu - odparła Remi. - Znaleźliśmy zaskakująco mało publikacji o nim. Dowiedzieliśmy się, że ty jesteś ekspertką.

Moretti machnęła ręką.

- Nie uważam się za ekspertkę. Po prostu uczę o de Terzim i interesuje mnie od dzieciństwa.

- Czy możesz potwierdzić, że miał brata?

- Tak, Giuseppe Lana de Terzi był młodszym bratem Francesca.

- A czy to prawda, że Francesco nigdy nie opuścił Brescii?

- Ależ nie. Często podróżował do Mediolanu, Genui i innych miast.

- A za granicę?

- Możliwe, chociaż nie potrafię powiedzieć dokąd. Według niektórych relacji, głównie z drugiej ręki, odbył daleką podróż w latach tysiąc sześćset siedemdziesiąt pięć - siedemdziesiąt dziewięć.

- Czy z tych relacji wynika, gdzie mógł być?

- Niebezpośrednio, ale przypuszcza się, że na Dalekim Wschodzie.

- Po co miałby się tam wybierać?

Moretti zastanawiała się chwilę, po czym odparła:

- Musicie zrozumieć, że to wszystko może być fantazją. Jest bardzo mało dokumentów na poparcie czegokolwiek z tych relacji.

- Rozumiemy - zapewnił Sam.

- De Terzi rzekomo nie mógł znaleźć funduszy na budowę swojego statku powietrznego.

- Aerostatu próżniowego?

- Tak - potwierdziła Moretti. - Nikt nie chciał dać mu pieniędzy, więc wybrał się na wschód w nadziei, że tam znajdzie wsparcie i będzie mógł dokończyć swoje dzieło.

- I znalazł?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Co się stało, kiedy wrócił do kraju?

- Podobno był bardzo odmieniony. Wrócił sam, bez brata, który towarzyszył mu w podróży. Podejrzewano, że Giuseppe przytrafiło się coś złego, ale Francesco nigdy o tym nie mówił. Wkrótce potem porzucił zakon jezuitów i przeniósł się z Brescii do Wiednia.

- Znów w poszukiwaniu inwestorów?

- Być może, ale w Wiedniu spotkało go kolejne nieszczęście.

- Jakie? - spytała Remi.

- Wkrótce po przybyciu do austriackiej stolicy ożenił się i szybko urodził mu się syn. Dwa lata później było oblężenie miasta przez Turków, a potem odsiecz wiedeńska. Pamiętacie to z historii?

- Mgliście.

- Oblężenie trwało dwa miesiące, Imperium Osmańskie walczyło ze Świętą Ligą: Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego, Królestwem Polskim i Wielkim Księstwem Litewskim oraz Republiką Wenecką. Na początku września tysiąc sześćset osiemdziesiątego trzeciego roku doszło do decydującej bitwy. Zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, łącznie z żoną i synkiem Francesca.

- To straszne - powiedziała Remi. - Takie smutne.

- *Si*. Podobno był całkowicie załamany. Najpierw stracił brata, potem nowo założoną rodzinę. Wkrótce de Terzi znów zniknął.

- Dokąd się udał tym razem? Moretti pokręciła głową.

- Niestety, nie wiadomo. To kolejna zagadka. Wrócił do Brescii w październiku tysiąc sześćset osiemdziesiątego piątego i zmarł kilka miesięcy później.

- Chciałabym zadać pytanie, które może wydać ci się dziwne - poprosiła Remi.

- Słucham.

- Czy jest absolutnie pewne, że de Terzi wrócił przed śmiercią do Brescii?

- To rzeczywiście dziwne pytanie. Odpowiem, że właściwie nie. Nie ma żadnego bezpośredniego dowodu na to, że został tu pochowany, ani nawet na to, że wrócił. Ta część jego życiorysu, podobnie jak reszta, jest oparta na informacjach z drugiej ręki. Tylko...

- Ekshumacja? - podsunęła Remi.

- Tak, tylko porównanie DNA szczątków z DNA potomków de Terziego byłoby potwierdzeniem. Dlaczego pytasz? Masz powody przypuszczać...

- Nie, żadnego. Po prostu spekuluję.

- A co do tych relacji z drugiej ręki, wierzysz w którąkolwiek z nich? - zapytał

Sam.

- Chciałabym wierzyć. To ekscytujące, prawda? Ale, jak mówiłam, w oficjalnych życiorysach de Terziego nie ma żadnej z tych relacji.

- Wspomniałaś, że jest bardzo mało dokumentów dotyczących Francesca. Czy to znaczy, że jakieś jednak istnieją? - spytała Remi.

- Zachowało się kilka listów, ale napisanych przez jego przyjaciół. Żaden nie wyszedł spod pióra samego Francesca. W waszym systemie prawnym nazywa się to pogłoską, si? Oprócz nich jest jeszcze tylko jedno źródło, które może mieć związek z tymi opowieściami. Trudno jednak nazwać je źródłem historycznym.

- Dlaczego?

- Bo to opowiadanie napisane przez siostrę de Terziego kilka lat po jego śmierci. Główny bohater, choć nazwany inaczej, to niewątpliwie Francesco. Większość ludzi uznała, że siostra próbowała zarobić na sławie brata, wykorzystując rozmaite pogłoski.

- Możesz nam streścić to opowiadanie?

- Oczywiście - odparła Moretti. - Bohater opuszcza swój dom we Włoszech. Wędruje po świecie, stawiając czoło wielu niebezpieczeństwom, a w końcu zostaje wzięty do niewoli przez despotycznego władcę dalekiego kraju. Ów despota zmusza go do zbudowania latającego statku bojowego. Statek rozbija się na odludziu i tylko bohater oraz jego dwóch towarzyszy wychodzą żywi z katastrofy. Ci ostatni wkrótce umierają na skutek odniesionych ran, a bohater znajduje tajemniczy skarb. Tubylcy mówią mu, że skarb jest przeklęty, ale on lekceważy ostrzeżenie i wyrusza w drogę powrotną do zamku tyrana. Po dotarciu tam dowiaduje się, że jego towarzysz, którego władca trzymał jako zakładnika, został stracony. Bohater wraca do Włoch ze skarbem tylko po to, by przeżyć następną tragedię: jego rodzinę zabija zaraza. Teraz wierzy, że klątwa jest prawdziwa, wyrusza więc ponownie, by umieścić skarb tam, gdzie go znalazł, i znika bez śladu na zawsze.

Fargowie z trudem zachowali kamienny wyraz twarzy.

- Masz może egzemplarz tego opowiadania? - zapytał Sam.

- Oczywiście, że mam. I to nie tylko w oryginale, ale również w przekładzie na angielski. Gdy tylko skończymy rozmowę, przyślę wam elektroniczną wersję.

Rozdział 38

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Opowiadanie siostry Francesca nosiło tytuł *Wielki Smok*. Fargowie serdecznie podziękowali profesor Moretti za pomoc i przekopiowali tekst na swoje iPady. Przeczytali opowiadanie i przesłali je pocztą elektroniczną Selmie, Pete'owi i Wendy. Kiedy Remi wysyłała kopię Jackowi, Selma skontaktowała się z nim przez iChata.

- Wyglądacie na podekscytowanych - zauważył Karna. - Co znaleźliście?

- Ty mu powiedz - zwrócił się Sam do żony.

Remi najpierw zrelacjonowała rozmowę z Moretti, a potem streściła wszystkim *Wielkiego Smoka*.

- Nie do wiary! - zawołała zdumiona Selma. - Czytali to państwo?

- Tak - potwierdził Sam. - Powinno być w twojej poczcie. W twojej też, Jack.

- Tak, widzę.

- Na ile opowiadanie jest zgodne z tekstem na bambusie? - spytała Wendy.

- Na tyle, że można je nazwać relacją opartą na faktach. Katastrofa, liczba ocalałych, odkrycie skarbu, droga do domu... wszystko tam jest.

- Czas też się zgadza - dodała Remi. - Między relacjami z drugiej ręki o kolejach losu de Terziego pozostaje luka wystarczająca na podróż do Chin i z powrotem.

Pete, który przeglądał opowiadanie na iPadzie Sama, zapytał:

- Co to za mapa na frontyście?

- Trasa, którą pokonał bohater, żeby zwrócić skarb - wyjaśniła Remi. - Jack, masz ją?

- Właśnie na nią patrzę. Wygląda na to, że de Terzi przybył z zachodu i najpierw zatrzymał się w punkcie oznaczonym jako zamek. Możemy przyjąć, że to gompa Shekar.

- Baza i miejsce startu statku powietrznego - przypomniał Sam.

- I prawdopodobne miejsce pochówku Giuseppe - dodała Remi.

- Z gompy de Terzi wyruszył na wschód do Wielkiego Miasta - ciągnął Jack. - Sądząc po położeniu Shekar, tym miastem mogła być Lhasa.

- Po co miałby się tam wybierać? - zastanawiała się Wendy. - Przecież chciał zwrócić skarb, a miejsce katastrofy jest sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe od gompy Shekar.

- To prawda - przyznał Sam - ale kiedy bohater opowiadania dociera do zamku, miejscowy mędrzec mówi mu, że musi dostarczyć skarb tam, gdzie powinien spocząć. Dowiaduje się, że ma poszukać następnego mędrca w Wielkim Mieście na zachodzie.

Karna podjął myśl Sama:

- Z Wielkiego Miasta de Terzi skierował się na wschód i dotarł do... nie wiem, tu

jest tylko krzyżyk.

- Do Shangri-La - podsunęła Remi.

Karna milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Przepraszam was na chwilę. Zaraz wrócę.

Karna wrócił pół godziny później.

- Na tej mapie - rzekł - są jakieś linie tworzące prymitywną siatkę i inne punkty orientacyjne, które będę musiał opatrzyć odnośnikami, ale biorąc za wzorzec odległość między gompą Shekar i Lhasą, ostatni etap podróży de Terziego kończył się w okolicy znanej dziś jako wąwóz Tsangpo.

- Twój typ numer jeden na lokalizację Shangri-La - powiedział Sam.

- Tak, rzeczywiście. Sam, Remi, może właśnie rozwiązaliście sześćsetletnią zagadkę.

- To się dopiero okaże - odparł spokojnie Sam. - Ile czasu zajmie ci naniesienie lokalizacji na mapę?

- Zaraz się do tego wezmę. Dajcie mi dzień.

Rozdział 39

Region Arunachal Pradesh, północne Indie

Jack! – zawołała Remi. – Nie wierzyłam, że naprawdę się zjawisz.

Karna zatrzymał SUV-a i wysiadł. Remi go uściskała, Sam podał mu rękę.

– Witam na pokładzie – rzekł.

Za Karną stał Ajay. Skinął im głową i się uśmiechnął.

– Wyglądacie znacznie lepiej niż ostatnio – zauważył Jack. – Jak twoja noga, Remi? A zebra?

– Na tyle dobrze, że mogę chodzić bez zaciskania zębów. Mam bandaże elastyczne, porządne buty trekkingowe i buteleczkę ibuprofenu.

– Doskonale.

– Ona dojdzie dalej i szybciej niż którykolwiek z nas. – Sam się roześmiał.

– Nie mieliście kłopotów z dotarciem tutaj? Żadnych ogonów? Żadnych podejrzanych ludzi?

– Nic z tych rzeczy – odparła Remi.

Od ostatniej rozmowy z Kingiem nie mieli żadnego kontaktu ani z nim, ani z jego dziećmi, ani z Zhilan Hsu. Byli z tego zadowoleni, ale jednocześnie czuli lekki niepokój.

– Jak pokonałeś strach przed lataniem? – zapytał Sam.

– Nie pokonałem – wyznał Karna. – Byłem przerażony od chwili startu z Katmandu do momentu, kiedy wylądowaliśmy w Bangladeszu. Ale chęć towarzyszenia wam okazała się silniejsza niż strach i *voila*, jestem tutaj.

„Tutaj” było metą osiemsetkilometrowej podróży lądem, którą Sam i Remi zakończyli zaledwie kilka godzin wcześniej. Z położonej na brzegach rzeki Xiang Jiang osady Yingkiong, ostatniej na ich trasie miejscowości w północnych Indiach, wyruszyli przez jedno z najtrudniejszych do przebycia lasów na świecie na północny wschód i pokonawszy sto sześćdziesiąt kilometrów, dotarli do miasta Nyingchi w Tybecie.

Od ich rozmowy przez iChata minęło dziesięć dni. Tyle czasu zajęło zorganizowanie ekspedycji. Karna dotrzymał słowa – pracował niemal bez przerwy, próbując rozszyfrować mapę z *Wielkiego Smoka*, i zadzwonił do Fargów nazajutrz po rozmowie.

Doszedł do wniosku, że de Terzi musiał się znać na nawigacji lądowej nie gorzej niż Strażnicy, gdyż kierunki i odległości na jego mapie okazały się niezwykle dokładne: różniły się od rzeczywistych o zaledwie półtora kilometra i jeden stopień na kompasie. Karna metodą triangulacji wyznaczył położenie Shangri-La z dokładnością do trzech kilometrów. Tak jak przypuszczał, współrzędne wskazywały serce wąwozu rzeki Tsangpo.

Fargowie zapoznali się z tym rejonem, studiując Google Earth, ale zobaczyli tylko wysokie szczyty, rwącą rzekę i gęste lasy. Nie dostrzegli niczego, co choćby przypominało kształtem grzyb.

- Może wstąpimy na drinka i pogadamy? - zaproponował Jack. - Powinniście wiedzieć, w co się pakujemy, zanim wyruszymy.

Zajazd mieścił się w piętrowym budynku z dachem z blachy falistej i oszalowanymi ścianami. Parter zajmowały recepcja i restauracja, a pokoje dla gości były na górze. Fargowie zameldowali się, kazali zanieść swoje bagaże do pokoju i poszli z Jackiem i Ajayem do restauracji.

Wyglądała jak saloon z hollywoodzkiego westernu - drewniana podłoga, długi bar w kształcie litery L i pionowe podpory odsłoniętych belek stropowych - i panował w niej zadziwiający tłok. Znaleźli wolny stół przy ścianie, pod migającym neonem reklamowym Schlitza, i zamówili cztery piwa. Były lodowato zimne.

- Większość tego, co zamierzam wam powiedzieć, wiem od Ajaya - zaczął Karna - który zna te rejony jak własną kieszeń. A tak przy okazji, Ajay, co z naszym transportem?

- Wszystko załatwione, panie Karna.

- Fantastycznie. Popraw mnie, jeśli się pomylę.

- Dobrze, panie Karna. Jack westchnął.

- Nie mogę go nakłonić do mówienia mi po imieniu. Próbuję od lat.

- My mamy to samo z Selmą - rzekł z uśmiechem Sam.

- Z Selmą? Nigdy bym nie przypuszczał. To taka niezwykła kobieta. Ale do rzeczy. Oto, co musicie wiedzieć o Arunachal Pradesh: zależnie od tego, kogo spytacie, jesteśmy teraz albo w Indiach, albo w Chinach.

- Co?! - wykrzyknął Sam. - Powtórz.

- Chiny uważają większość tego regionu za część południowego Tybetu. Oczywiście dla tutejszej ludności i władz Arunachal Pradesh to indyjski stan. Północna granica między Arunachal Pradesh i Chinami jest nazywana linią McMahona. Wyznaczono ją na mocy układu między Tybetem a Zjednoczonym Królestwem. Chińczycy nigdy się w to nie angażowali, a Indie nie powoływały się na warunki układu do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego. Krótko mówiąc, i Chiny, i Indie mają roszczenia, ale nic z tym nie robią.

- A co z obecnością militarną? - spytał Sam.

- Nic szczególnego. W regionie stacjonują oddziały indyjskie, ale Chińczycy trzymają się na północ od linii McMahona. Tak naprawdę stosunki są niemal przyjazne.

- To chyba dobrze dla nas - wtrąciła Remi.

- Owszem, ale jest jeszcze ANLF - Arunachalski Front Wyzwolenia Ludu Naga. To najmłodsza i zarazem najliczniejsza organizacja terrorystyczna na tym terenie. Ostatnio upodobałi sobie porwania. Chociaż według Ajaya nie powinniśmy mieć z

nimi problemów, bo wojsko dość skutecznie udaremnia większość ich akcji.

- Nasz cel leży czterdzieści kilometrów w głąb Chin – powiedział Sam – ale sądząc po krajobrazie, nie ma tam żadnych posterunków granicznych.

- Zgadza się. Tak jak w Mustangu, granica jest prawie otwarta. Co roku przekracza ją kilkuset trekkerów. Chińczycy patrzą na to przez palce, bo w tym rejonie nie ma żadnych obiektów o znaczeniu strategicznym.

- Jeszcze jedna dobra wiadomość – zauważyła Remi. – A jakie są złe?

- Poza tym, że to trudny teren?

- Tak.

- Minusem jest to, że wkroczymy na terytorium Chin. Jeśli będziemy mieć pecha i nas złapią, prawdopodobnie skończymy w więzieniu.

- Więc postarajmy się, żeby nas nie złapali – odparł Sam.

- Racja. A teraz przejdźmy do węży i jadowitych owadów...

Fargowie zjedli na kolację kurczaka tandoori i poszli na górę. Ich pokój okazał się ciasny i – mimo że na dworze było zaledwie piętnaście stopni – duszny. Skrzypiący wentylator pod sufitem obracał się tak wolno, że równie dobrze można by go wyłączyć. Dopiero po zachodzie słońca w pokoju dało się swobodnie oddychać.

Sam i Remi położyli się parę minut po ósmej. Zmęczeni długą podróżą, zasnęli w ciągu minuty.

Następnego ranka obudził ich Ajay, pukając cicho do drzwi i szepcząc ich nazwisko. Zaspany Sam wygramolił się z łóżka i poszedł otworzyć.

- Kawa, panie Fargo – powiedział Ajay.

- Nie herbata? Co za miła niespodzianka. I mów mi Sam.

- O nie, proszę pana.

- Która godzina?

- Piąta.

- Hm... – mruknął Sam i zerknął na śpiącą Remi. Jego żona nie była rannym ptaszkiem. – Czy mógłbyś nam przynieść jeszcze dwie filiżanki kawy?

- Oczywiście – odparł Ajay. – Przyniosę cały dzbanek.

Pół godziny później wszyscy czworo spotkali się w restauracji. Kiedy skończyli śniadanie, Karna powiedział:

- Zbierajmy się. Nasza śmiertelna pułapka powinna tu być lada chwila.

- Śmiertelna pułapka? – powtórzyła zdziwiona Remi.

- Możesz ją znać pod powszechnie używaną nazwą: helikopter.

Sam zachichotał.

- Po tym, przez co przeszliśmy, wolimy twoje określenie. Jesteś pewien, że sobie poradzisz?

Karna uniósł kulisty ściskacz do rąk firmy Nerf. Miał wielkość piłki softballowej i otwory na palce.

- Zabawka przeciwstresowa – wyjaśnił. – Wytrzymam. Lot będzie krótki.

Spakowali sprzęt i czekali na helikopter przy rozległej polanie na północnym krańcu Yingkiang.

- Jest - powiedział Ajay, wskazując na południe, gdzie oliwkowy śmigłowiec leciał nad powierzchnią rzeki.

- Wygląda na wiekowy - zauważył Karna.

Kiedy maszyna zawisała nad polaną, Sam dostrzegł spłowiałe logo Indyjskich Sił Powietrznych na bocznych drzwiach.

Wszyscy czworo odwrócili się od podmuchu rotora i zaczekali, aż kurz opadnie.

- Ajay, co to takiego? - zapytał Jack.

- Lekki śmigłowiec użytkowy Chetak. Wysoce niezawodny. W wojsku latałem takimi wiele razy.

- Który to rocznik?

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy.

- Jasna cholera.

- Gdybym powiedział to panu wcześniej, nie przyleciałby pan.

- Żebyś wiedział - mruknął Karna, ściskając zawzięcie kulkę antystresową. - No dobra, miejmy to już za sobą.

Załadowali bagaże na pokład i zajęli miejsca. Ajay sprawdził zapięcia ich pięciopunktowych pasów bezpieczeństwa, zasunął drzwi i skinął głową pilotowi.

Helikopter uniósł się nad linię drzew i odlecieli.

Aby ułatwić sobie nawigację i zarazem zwiększyć ich szanse na przeżycie, gdyby wysłużony chetak się rozbił, pilot trzymał się krętego biegu Xiang Jiang. Ajay wyjaśnił, że nad brzegami rzeki na północ od Yingkiang znajduje się kilka ludzkich siedzib, więc ktoś powinien zobaczyć, że helikopter spadł, i zgłosić katastrofę.

- No, po prostu fantastycznie! - krzyknął Karna przez hałas silnika.

- Ściskaj swoją kulkę - odparła Remi. - Ajay, znasz tego pilota?

- O tak, pani Fargo, bardzo dobrze. Służyliśmy razem w wojsku. Gupta prowadzi teraz firmę transportową, dostarcza zaopatrzenie do odległych zakątków Arunachal Pradesh.

Wkrótce znaleźli się wśród wysokich górskich grzbietów i głębokich dolin porośniętych tak gęstymi lasami, że Fargowie widzieli tylko jeden wielki dywan zieleni. W większości miejsc rzeka była szeroka i płynęła wolno, ale ilekroć śmigłowiec przelatywał przez jakiś wąwóz, widzieli spienione wiry.

- Bystrza kategorii szóstej - zawołał Sam, wyglądając przez okno.

- To jeszcze nic - odparł Karna. - Nasz cel, wąwóz Tsangpo, jest nazywany Everestem Rzek. Są tam odcinki niemieszczące się w żadnej kategorii.

- Czy ktoś kiedyś próbował je pokonać? - zapytała Remi.

- O tak, mnóstwo razy. Głównie kajakarze ekstremalni, prawda, Ajay?

Ajay przytaknął.

- Wielu straciło życie. Ciało nigdy nie odnaleziono.

- Nie spłynęły w dół rzeki? - zdziwił się Sam.

- Ciała zwykle więzną w pułapkach wzdłuż dna, gdzie są miażdżone. Niewiele można potem znaleźć.

Po czterdziestu minutach lotu Gupta odwrócił się w swoim fotelu i zawołał:

- Zbliżamy się do wioski Tuting. Przygotować się do lądowania.

Sam i Remi byli zaskoczeni, widząc na tym odludziu ziemny pas startowy częściowo zarośnięty przez las. Gupta posadził maszynę i wszyscy wysiedli. Na wschodzie, wyżej w dolinie, dostrzegli kilka dachów nad wierzchołkami drzew. Wioska Tuting, domyślili się.

- Dalej pójdziemy pieszo - oznajmił Karna. On i Fargowie zaczęli wyładowywać sprzęt.

- Przepraszam na moment - przerwał im Ajay, który stał trzy metry od nich z pilotem. - Gupta ma pewną propozycję. Zapytał mnie, jak daleko w głąb Chin się wybieramy, więc mu powiedziałem. Za odpowiednią opłatą może dostarczyć nas bardzo blisko celu.

- Nie boi się Chińczyków? - zapytał Sam.

- Nie. Mówi, że nie mają radarów w tym rejonie, a doliny są tam coraz głębsze i prawie niezamieszkanne. Uważa, że przeleci niewidoczny.

- No cóż, to znacznie lepsza perspektywa niż sześciodniowy marsz tam i z powrotem - zauważył Karna. - Jakiej zapłaty żąda?

Ajay porozmawiał chwilę z pilotem w hindi i odrzekł:

- Dwieście tysięcy rupii, czyli około czterech tysięcy dolarów amerykańskich.

- Nie mamy przy sobie tyle gotówki - odparł Sam.

- Gupta tak przypuszczał. Mówi, że chętnie weźmie kartę kredytową.

Przyjęli warunki Gupty i pilot przekazał przez radio w helikopterze informacje o Visie Sama do swojej bazy w Itanagarze.

- Czysty surrealizm - skomentował Sam. - Stoimy w jakiejś głuszy, gdzie diabeł mówi dobranoc, i płacimy indyjskiemu pilotowi kartą kredytową.

- W Nepalu nie sposób się nudzić. - Remi się roześmiała. - A moja kostka na pewno doceni tę zmianę planu.

- Gupta mówi, że wszystko załatwione - zawołał Ajay. - Możemy startować w każdej chwili.

Polecieli dalej na północ wzdłuż Xiang Jiang, a gdy zostawili za sobą ostatnią indyjską osadę przed granicą, pilot oznajmił:

- Przekraczamy linię McMahona.

- Stało się - powiedział Sam. - Wtargnęliśmy do Chin. Wkrótce krajobraz zaczął się zmieniać. Łagodne górskie grzbiety ustępowały miejsca poszarpanym skałom; zbocza dolin stawały się coraz bardziej strome, a lasy gęściejsze. Najbardziej zmieniła się sama Xiang Jiang. Spienione fale uderzały w głazy i skalne nawisy, a rozbryzgi wystrzeliwały wysoko w powietrze, tworząc wodną mgiełkę.

Gupta trzymał się możliwie jak najbliżej rzeki i poniżej górskich grzbietów, więc Fargowie czuli się jak podczas szalonego ślizgu na zjeżdżalni wodnej.

- Piętnaście minut - zawołał Gupta.

Sam i Remi wymienili uśmiechy. Po tylu dramatycznych przygodach od celu dzieliło ich tylko piętnaście minut lotu.

Karna energicznie ścisnął swoją kulkę, z czołem przyciśniętym do szyby wyglądał przez okno.

- Wszystko w porządku, Jack? - zapytał Sam.

- Jak najbardziej, stary. Już prawie jesteśmy!

- Zbliżamy się do kręgu wokół współrzędnych - oznajmił Gupta.

Ajay podał pilotowi punkt wyjściowy o średnicy trzech kilometrów. W rejonie, do którego wlatywali, dominowało skupisko podobnych do obelisków szczytów o płaskich wierzchołkach. Każdy miał inną wysokość, od kilkudziesięciu, przez kilkaset, do tysiąca metrów. W wąwozach poniżej płynęła Tsangpo - biała wstęga kipieli między stromymi klifami.

- Nie widzę żadnych kajakarzy - powiedział Sam. - W ogóle nikogo.

Karna podniósł wzrok znad mapy, którą studiował.

- Nic dziwnego - odparł. - Tylko najbardziej zdeterminowani, albo szaleni, zapuszczają się tutaj.

- Nie wiem, czy uznać to za obrazę czy za komplement - szepnęła Remi do męża.

- Jeśli wrócimy żywi i zwycięzcy, to będzie komplement. Karna zawołał do Ajaya:

- Zapytaj Gupta, czy może się postarać, żebyśmy lepiej widzieli te szczyty. Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, to jesteśmy dokładnie nad punktem wyjściowym.

Ajay przekazał pilotowi pytanie i po chwili Gupta zwolnił do trzydziestu węzłów, po czym zaczął okręzać kolejne „obeliski”, zmieniając wysokość, żeby jego pasażerowie mogli się im dokładniej przyjrzeć. Remi pstrykała zdjęcia przez swoje okno.

- Tam! - krzyknął Jack, wskazując kierunek.

Sto metrów od nich wznosił się jeden ze średnich „obelisków”, o wysokości około trzystu i średnicy około czterystu pięćdziesięciu metrów. Pionowe granitowe ściany były porośnięte pnączami, gęstymi krzewami i wielkimi kępami mchu.

- Widzicie ten kształt? - zapytał Karna, przesuwając palcem po szybie. - Zaczynajcie od dołu i idźcie w górę... Najpierw zaczyna grubieć, a potem, jakieś trzydzieści metrów poniżej płaskowyzu, nagle się rozszerza. Powiedzcie, że widzicie!

Złożenie obrazu w jedną całość zajęło Fargom kilka sekund, ale wreszcie rozpoznali kształt i oboje uśmiechnęli się szeroko.

- Ogromny grzyb - powiedziała Remi.

Rozdział 40

Wąwóz rzeki Tsangpo, Chiny

Po kilku próbach udaremnionych przez wiatr Gupta zdołał przesunąć chetaka nad „obelisk” i Karna wypatrzył małą polanę w lesie nieopodal krawędzi płaskowyżu. Pilot zwolnił do zawisu, po czym wylądował. Kiedy rotory przestały się obracać, wysiedli i wzięli swój sprzęt.

- Czy to ci coś przypomina? - zwrócił się Sam do żony.

- Oczywiście.

Płaskowyż był łudząco podobny do isticie rajszych dolin, które widzieli z helikoptera podczas poszukiwań w północnym Nepalu.

Pod ich stopami rozciągał się dywan mchu, a gdzieniegdzie wśród ciemnej zieleni widać było pojedyncze granitowe głazy z plamami porostów. Na wprost wznosiła się ściana gęstego lasu. Prowadzące w jego głąb ścieżki wyglądały jak tunele, których owalne wyloty zdawały się patrzeć na Sama i Remi niczym czarne oczy. Wokół słychać było bzyczenie owadów i głosy ptaków niewidocznych wśród leśnej gęstwiny. Na gałęzi pobliskiego drzewa wisiała do góry nogami małpa; przyglądała się im przez kilka sekund, zanim czmychnęła między konary.

Jack i Ajay podeszli do Fargów.

- Mamy do zbadania niewielki obszar - powiedział Kar na. - Jeśli się podzielimy, powinniśmy się szybko uwinać.

- Dobry pomysł - orzekł Sam.

- Jeszcze jedno. - Jack ukląkł przy swoim plecaku, wyjął z niego dwa krótkolufowe rewolwery kaliber 9 mm i podał Samowi i Remi. - Ja też mam taki. A Ajay...

Ajay wyciągnął z kabury u dołu pleców pistolet samopowtarzalny Beretta i szybko schował go z powrotem.

- Spodziewamy się kłopotów? - zapytała Remi.

- Jesteśmy w Chinach, moja droga, a tu wszystko może się zdarzyć: bandyci, przekraczający granicę terroryści, Armia Ludowo-Wyzwoleńcza...

- Jeśli zjawi się chińskie wojsko, te pukawki tylko ich wkurzą.

- Nie martwmy się na zapas. Miejmy nadzieję, że znajdziemy to, czego szukamy, i wrócimy na drugą stronę granicy przed zapadnięciem nocy.

- Remi i ja pójdziemy na wschód - zaproponował Sam. - Wy idźcie na zachód. Spotkamy się tu za dwie godziny. Są jakieś pytania?

Nie było.

Po sprawdzeniu, czy ich radiotelefony odbierają, podzielili się i ruszyli w przeciwnie strony. Sam i Remi, z lampami czołowymi na głowach i maczetami w rękach, wybrali jedną ze ścieżek prowadzących na wschód i zagłębili się w las.

Pokonali zaledwie trzy metry, gdy otoczył ich półmrok. Przez gęste sklepienie drzew przenikała najwyżej jedna czwarta dziennego światła. Sam wykarczował trochę pnączy rosnących w poprzek ścieżki i przystanęli, żeby się rozejrzeć. Poświecili lampami w górę, w dół i na boki.

- Roczny poziom opadów musi być tutaj bardzo wysoki - zauważył Sam.

- Dwieście osiemdziesiąt centymetrów. Prawie trzy metry - powiedziała Remi i wyjaśniła z uśmiechem: - Wiem, jak lubisz drobiazgi, więc sprawdziłam.

- Jestem z ciebie dumny.

Kilka metrów nad ich głowami i po obu stronach plątanina pnączy całkiem zasłaniała las.

- Coś tu jest nie tak - mruknęła Remi.

- Masz rację - zgodził się Sam i wbił czubek maczety w gąszcz. Zatrzymała się z metalicznym dźwiękiem. - To kamień.

Remi machnęła swoją maczetą w lewo i rozległ się taki sam dźwięk. To samo z prawej.

- Jesteśmy w tunelu zrobionym przez człowieka - po wiedziała.

Sam odczepił od pasa radiotelefon i nacisnął przycisk nadajnika.

- Jack, zgłoś się.

W słuchawce rozległy się trzaski, a potem głos Karny:

- Jestem, Sam. Co się dzieje?

- Idziecie szlakiem?

- Właśnie ruszyliśmy.

- Machnij maczetą w bok od ścieżki. Odgłos uderzenia metalu o kamień i głos Jacka:

- Kamienne ściany. Fascynujące.

- Pamiętasz swoje przeczucie, że Shangri-La to świątynia lub klasztor? Chyba ją znalazłeś.

- Myślę, że masz rację. Zdumiewające, co może zrobić przez tysiąc lat dżungla, prawda? Ale chyba nie zmienimy planu? Przeszukamy kompleks do końca i spotkamy się za dwie godziny.

- Okej. Zatem do zobaczenia.

Wiedząc już, że są wewnątrz budowli stworzonej przez człowieka, Fargowie zaczęli badać otoczenie w poszukiwaniu architektonicznych wskazówek. Pnącza i korzenie wrastały w każdy metr kwadratowy kompleksu. Idący na czele Sam wykonywał maczetą krótkie półkoliste ruchy, ale i tak co jakiś czas ostrze uderzało w kamienną ścianę.

Wkrótce dotarli do jakiejś wnęki i przystanęli.

- Wyłącz lampę - polecił Sam i zgasił swoją.

Remi to zrobiła. Kiedy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, zaczęli widzieć przez liście na ścianach i stropie smugi przyćmionego światła słonecznego.

- Okna i świetliki - stwierdził Sam. - To musiał być swe go czasu niesamowity widok.

Pokonali kilkanaście stopni i weszli na podest, gdzie schody zakręcały i prowadziły dalej w górę do zwieńczonego łukiem przejścia, za którym znajdowała się duża otwarta przestrzeń. Sklepienie Wielkiej Sali, jak nazwali pomieszczenie, podtrzymywało sześć drewnianych belek wyglądających na spróchniałe. Prawdopodobnie strop nie zawalił się tylko dlatego, że przegniłe dźwigary były utrzymywane przez gęste pnącza.

Fargowie rozdzielili się, żeby obejrzeć pomieszczenie w blasku swoich lamp czołowych. Sam zobaczył przy przeciwległej ścianie rząd kamiennych ławek wystających z muru, a przed nimi - sześć prostokątnych otworów w podłodze.

- Wyglądają jak wanny - stwierdziła Remi.

- A te ławki jak groby.

Remi przyklękła obok jednej z ławek i postukała maczetą w boczne ściany. Rozległ się znajomy dźwięk metalu uderzającego w kamień.

- Tu jest ich więcej - powiedział Sam i przeszedł na drugą stronę sali.

Znaleźli tam kolejne kamienne ławki, ustawione wokół okrągłego basenu o średnicy około dwóch metrów. Sam podniósł kawałek kamienia, który odpadł od jednej z ławek, i wrzucił do basenu. Usłyszeli przytłumiony głuchy odgłos.

- Jakież trzy metry głębokości - ocenił.

Ukucnął i poświecił lampą w głąb szybu, ale nie mógł nic zobaczyć przez płataninę pnączy i korzeni.

- Halo! - zawołał. Nie było echa.

- Za dużo roślinności - orzekła Remi.

Sam znalazł następny kamień i przygotował się do rzutu.

- Co ty robisz?

- Zaspokajam moją ciekawość - wyjaśnił. - Nie widzieliśmy tego szybu na parterze, co oznacza, że biegnie za ścianą. Zrobiono to w jakimś celu.

- Rzucaj.

Sam pochylił się nad szybem i cisnął kamień, który uderzył z głuchym odgłosem w dno, odbił się, uderzył jeszcze raz i w końcu zagrzechotał na jakiejś twardej powierzchni.

- Ten szyb musi dokądś prowadzić - stwierdziła Remi. - Chcesz...

Zatrzeszczał radiotelefon Sama. Przez zakłócenia przebijały się jakieś głosy. Strzępy wypowiedzanych w pośpiechu zdań nakładały się na siebie.

- To chyba Gupta i Ajay - powiedziała Remi. Sam nacisnął przycisk nadajnika.

- Ajay, słyszysz mnie? Ajay, zgłoś się!

Między trzaskami usłyszeli pojedyncze słowa Jacka:

- Sam... Gupta... zauważył... startuje.

- Odlatuje! - zawołała Remi.

Zbiegli po schodach, przecięli wewnątrz budowli i skierowali się do wylotu tunelu.

- Jak myślisz - wydyszała Remi, nie zwalniając kroku - co on zauważył?

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno - odkrzyknął Sam przez ramię. - Helikopter.

- Tego się obawiałam.

Na wprost pojawił się owal światła. Fargowie zahamowali z poślizgiem i ostatnie kilka kroków pokonali w półprzysiadzie. Stojąc w wylocie tunelu, wyjrzeni na polanę.

Rotory chetaka wirowały, a siedzący w fotelu pilota Gupta gorączkowo wciskał przyciski i sprawdzał wskaźniki. Potem chwycił walkie-talkie i jego głos ryknął z radiotelefonu Sama:

- Przepraszam. Postaram się wrócić. Spróbujcie się ukryć. Może odlecą.

Gupta odłożył radio i pociągnął drążek skoku ogólnego. Chetak wzniósł się pionowo, na wysokości dziesięciu metrów przechylił się na bok z opuszczonym dziobem i odleciał.

Sam dostrzegł kątem oka Karnę i Ajaya wychodzących z tunelu. Pomachał, by zwrócić na siebie ich uwagę, a gdy go dostrzegli pokazał im wymownym gestem, żeby się schowali. Cofnęli się błyskawicznie i po chwili zniknęli z widoku.

Kilka sekund później nad przeciwległym krańcem płaskowyzu pojawił się oliwkowy śmigłowiec. Fargowie natychmiast rozpoznali dziób i wyrzutnie raketowe harbina Z-9 Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

- Witaj, stary wrogu - mruknęła Remi. Ona i Sam cofnęli się o kilka kroków.

Z-9 zawisł nad polaną, obrócił się, odsłaniając następny znajomy widok - otwarte drzwi oraz żołnierza pochylonego nad pokładowym karabinem maszynowym - i w końcu wylądował.

- Chodźmy stąd - powiedziała Remi. - Musimy się ukryć.

- Zaczekaj chwilę - odparł Sam, nie spuszczać wzroku z helikoptera.

W drzwiach ukazała się jakaś postać. Oboje rozpoznali smukłą sylwetkę Zhilan Hsu.

- O nie - jęknęła Remi.

Zhilan, trzymająca w prawej ręce kompaktowy pistolet maszynowy, zgrabnie zeskoczyła na ziemię. Chwilę później dołączyli do niej Russell i Marjorie, uzbrojeni tak samo jak matka.

- No proszę, Cudowne Bliźnięta King - mruknął Sam.

Zhilan podeszła do bocznych drzwi Z-9. Kiedy się otworzyły, Fargowie zobaczyli czterdziestokilkuletniego mężczyznę o orientalnych rysach. Sam wyjął lornetkę z plecaka i przyjrzał mu się.

- Chyba poznaliśmy chiński kontakt Kinga - powiedział do żony. - To na pewno wojskowy. Wysoki oficer, pułkownik albo generał.

- Widzisz więcej żołnierzy w środku?
- Nie, tylko strzelca pokładowego. To towarzystwo nikogo więcej nie potrzebuje.
- Jak oni nas znaleźli, na Boga?
- Nie mam pojęcia. Za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

Chiński oficer i Zhilan uścisnęli sobie dłonie, a potem wojskowy zamknął drzwi. Warkot silników Z-9 przybrał na sile i śmigłowiec oderwał się od ziemi. Obrócił się ogonem do płaskowyżu i odleciał.

- Nasze szanse właśnie wzrosły - stwierdził Sam.
- Co robi Zhilan?

Sam skierował lornetkę na Zhilan Hsu w samą porę, by zobaczyć, jak wyciąga komórkę z kieszeni kurtki. Wystukała szereg cyfr na klawiaturze, a potem ona i bliźnięta odwrócili się i popatrzyli na śmigłowiec malejący w oddali.

W grzybie oranżu i czerwieni Z-9 eksplodował. Płonące szczątki opadły ku ziemi i zniknęły z widoku.

Fargowie zaniemówili na kilka sekund.

W końcu Remi wykrztusiła:

- Straszna kobieta...
- King zwiąja interes - stwierdził Sam. - Prawdopodobnie już się wycofał z czarnorynkowego handlu skamieniałościami. Zlikwidował stanowisko archeologiczne, system transportu, a teraz swój rządowy kontakt.
- Zostaliśmy jeszcze my - zauważyła Remi. - Możemy ich stąd zastrzelić?
- Nie ma szans. Nasze spluwy są guzik warte na odległość większą niż pięć metrów.

Zhilan Hsu zamieniła komórkę na radiotelefon. Przez walkie-talkie Sama usłyszeli jej pytanie:

- Masz go?

A potem odpowiedź udzieloną znajomym głosem:

- Mam.
- Przyrowadź go.

Fargowie spojrzeli w prawo na wylot tunelu. Jack Karna szedł pierwszy, a Ajay za nim. Lufę beretty trzymanej w prawej ręce przyłożył do podstawy czaszki Jacka, lewą ręką trzymał go za kołnierz.

Zatrzymali się w połowie drogi między ścianą lasu a środkiem polany, jakieś dwanaście metrów od Sama i Remi.

- Dlaczego, Ajay? - zapytał Jack.
- Przykro mi, panie Karna. Naprawdę.
- Ale dlaczego? Jesteśmy przyjaciółmi. Znamy się od...
- Przyszli do mnie w Katmandu. To więcej pieniędzy, niżbym zarobił w ciągu dziesięciu żyć. Będę mógł posłać dzieci na uniwersytet, kupić nowy dom. Jeszcze raz bardzo pana przepraszam. Ona dała mi słowo, że nikomu z was nic się nie stanie.

- Kłamała - odparł Karna i zwrócił się do Zhilan: - Twoje potomstwo poznałem kilka miesięcy temu w Lo Manthang. Ale my chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Nazywam się...

- Smoczyca, wiem. Spóźniłaś się, Smoczyco. Theuranga tu nie ma.

- Łziesz - warknęła Zhilan. - Ajay, co ty na to?

- Dopiero zaczęliśmy szukać. Pan Karna i Fargowie wydawali się pewni, że tutaj jest Shangri-La.

- Skoro mowa o Fargach... - Zhilan powiodła wzrokiem wokół polany. - Wyłażcie! Wasz helikopter odleciał! Jeśli wyjdziecie i pomożecie mi znaleźć Złocistego Człowieka, wezwę nasz transport i odstawię was bezpiecznie do Yingking. Obiecuję.

- Zapominasz, Smoczyco, że Sam i Remi cię znają - powiedział Jack. - Twoja obietnica jest bezwartościowa.

- Masz rację - przyznała Zhilan. - Fargowie! Wyjdźcie, bo inaczej zabiję waszego przyjaciela!

- Sam, musimy mu pomóc - szepnęła Remi do męża.

- Ona właśnie tego chce - odparł.

- Nie możemy jej pozwolić...

- Wiem.

- Oni cię nie słyszą - powiedział Karna. - Ten las za mną to naprawdę kompleks świątynny, tak wielki, że przeszukanie go zajmie całe miesiące. Fargowie pewnie nawet nie wiedzą, że tu jesteś.

- Usłyszeli mnie przez radiotelefon.

- Wątpię. Są w środku, a tam nie ma odbioru.

Zhilan zastanawiała się chwilę, po czym zwróciła się do Ajaya.

- Czy to prawda? - spytała.

- Jeśli chodzi o radia, w zasadzie tak. A świątynia rzeczywiście jest ogromna. Mogą nie wiedzieć o pani przylocie.

- Więc będziemy musieli ich znaleźć - oznajmiła Zhilan.

- Poza tym - dodał Karna - jeśli uważali, to wiedzą, czego chcę. Szukałem Theuranga przez całe życie. Wolałbym zginąć i kazać im go zniszczyć, niż oddać go tobie.

Zhilan powiedziała coś do syna, który stał za nią, i Russell jednym płynnym ruchem uniósł swój pistolet maszynowy do ramienia.

Pod wpływem impulsu, którego natychmiast pożałował, Sam krzyknął:

- Jack, padnij!

Russell nacisnął spust i z szyi Karny wytrysnęła krew. Jack osunął się bezwładnie na ziemię. Russell znów strzelił i seria trzech pocisków trafiła Ajaya w pierś. Zatoczył się do tyłu i padł martwy.

- Są tam! - krzyknęła Zhilan. - W tamtym tunelu! Za nimi!

Russell i Marjorie popędzili we wskazanym kierunku, a Zhilan podeszła do ciała Karny. Sam chwycił Remi za ramiona.

- Uciekaj!

- A ty?

- Będę biegł za tobą.

Lekko utykając, Remi ruszyła w głąb tunelu. Sam wypalił z rewolweru w stronę Kingów. Nie miał złudzeń, że któreś trafi, chciał ich tylko spowolnić. Osiągnął swój cel. Russell i Marjorie rozdzielili się i każde dało nura za pobliski głąz.

Sam odwrócił się i pobiegł za Remi. Pokonał zaledwie kilkanaście metrów, gdy usłyszał za sobą kroki.

- Szybkie kanale - mruknął.

Remi dotarła do końca tunelu i skręciła w lewo.

Chwilę później pociski z trzystrzałowej serii zrykoszetowały od ściany na prawo od Sama. Uskoczył w lewo, odbił się od ściany i wykonał półobrót. Zobaczył w tunelu dwa ruchome snopy światła lamp czołowych. Strzelił w nie, odwrócił się i popędził dalej. Po pięciu sekundach wpadł do wnętrza świątyni. Remi kuciała przy ścianie.

- Chodź... - wydyszał. Huknął strzał, potem drugi.

Sam chwycił żonę za rękę i wbiegli na schody. Kolejne pociski siekały stopnie za nimi. Gdy dotarli na podest i skręcili na następne schody, Remi poślizgnęła się, upadła i jęknęła z bólu.

- Żebra? - zapytał Sam.

- Tak... Pomóż mi wstać.

Podniósł ją, pokonali resztę stopni i stanęli przed łukowym wejściem do Wielkiej Sali.

- Wiedzą, że jesteśmy uzbrojeni, więc dobrze się zastanowią, zanim zaczną wchodzić na górę - powiedział Sam. - Usiądź tu i odsapnij. Sprawdzę następne schody.

Ledwo postawił stopę na pierwszym stopniu, Remi krzyknęła:

- Sam!

Obejrzał się i zobaczył, jak Remi wbiega pod lukiem do Wielkiej Sali. Na podeście poniżej pojawiły się dwie postacie i ruszyły pędem w górę schodów.

- Błędne założenie - mruknął Sam.

Strzelił dwa razy, ale oba pociski chybiły i odbiły się wśród iskier od ściany za Russellem i Marjorie. Kingowie schylili się i wycofali poza pole widzenia.

Z Wielkiej Sali dobiegł głos Remi:

- Uciekaj, Sam! Poradzę sobie.

- Nie!

- Już!

Sam ocenił odległość od łukowego wejścia i uznał, że nie zdąży tam dobiec. Russell i Marjorie skosiliby go w połowie drogi.

- Cholera - wychrypiał.

Kingowie ukazali się na schodach. Lufy ich pistoletów maszynowych błysnęły ogniem.

Sam odwrócił się i popędził w górę po stopniach.

Ledwie Remi przykucnęła w jednej z wanien, huknęły strzały.

Gdy ucichły, zapadła cisza, którą po chwili przerwał szept Russella:

- Ona tu jest. Bierz ją, ja wezmę jego.

- Żywą czy martwą? - zapytała cicho Marjorie.

- Martwą. Matka twierdzi, że to właściwe miejsce. Jak załatwimy Fargo, będziemy mieć mnóstwo czasu na szukanie Theuranga.

Remi zareagowała błyskawicznie. Wskoczyła z wanny, podkradła się do szybu, wzięła głęboki oddech i skoczyła.

Sam znalazł się w labiryncie izb i korytarzy. Pnącza były tu gęściejsze i wyglądały jak gigantyczne pajęczyny. Przez splątaną roślinność przenikały smugi słonecznego światła, zalewając pogrążony w półmroku labirynt zielonkawą poświatą.

Sam zostawił maczetę przy wejściu do tunelu, więc musiał przeciskać się pomiędzy pnączami. Gdzieś z tyłu rozległ się odgłos kroków. Sam zamarł i zaczął nasłuchiwać.

Trzy następne kroki, teraz bliżej, potem cisza i głos Russella:

- Fargo! Mój ojciec chce tylko Theuranga. Postanowił go nie niszczyć. Słyszysz mnie, Fargo?

Sam nie odpowiedział. Przesunął się kawałek w lewo pod korzeń grubości uda i ponownie znieruchomiał.

- Mój ojciec chce tego samego co wy - zawołał Russell. - Zamierza oddać Żłocistego Człowieka do jakiegoś muzeum, gdzie jest jego miejsce. Ty i twoja żona bylibyście współodkrywcami. Wyobraź sobie ten prestiż!

Idiota, pomyślał Sam. Nie robimy tego dla prestiżu. Na prawo od niego, w głębi korytarza, jakieś pnącze trzasnęło i padło ledwo słyszalne przekleństwo:

- Cholera!

Sam przykucnął, przełożył rewolwer do lewej ręki i wyjrzał zza rogu. Zobaczył, że Russell biegnie w jego stronę. Gdy znalazł się w odległości pięciu metrów, Sam strzelił. Niestety chybił. Russell potknął się, ale zdołał odzyskać równowagę i dał nura w prawo przez wejście.

Sam przeszedł pod korzeniem do następnego pomieszczenia i wysunął bębenek rewolweru.

Został mu jeden nabój.

Remi wylądowała na dnie szybu. Przetoczyła się przez ramię, żeby

zamortyzować uderzenie, ale wpadła na jakąś przeszkodę. Poczowała piekący ból w piersiach. Stłumiła jęk i powiodła wzrokiem dookoła. Otaczała ją nieprzenikniona ciemność. Musiała być poniżej poziomu gruntu.

Z góry dobiegł głos Marjorie:

- Wychodź, Remi! Wiem, że jesteś poturbowana. Wyjdź, to ci pomogę.

Nic z tego, siostrze, pomyślała Remi.

Ośloniwszy dłońmi lampę czołową, włączyła ją i rozejrzała się. Za nią była ściana, a na wprost szeroki, opadający w dół tunel, po którego obu stronach ciągnęły się łukowe wejścia.

Remi zgasiła lampę i na czworakach ruszyła naprzód. Kiedy uznała, że wystarczająco oddaliła się od Marjorie, ponownie zapaliła lampę czołową i dźwignęła się na nogi.

Ledwo skręciła w pierwsze łukowe wejście, w tunelu rozległ się głuchy odgłos, a potem stęknięcie. Wyrzała zza rogu i zobaczyła kierujący się na nią snop światła. Uniosła rewolwer, wycelowała i oddała trzy szybkie strzały. Marjorie odpowiedziała ogniem.

Remi cofnęła się, odwróciła i uciekła pod następnym łukiem.

Jeden nabój, pomyślał Sam. Russell ma więcej i prawdopodobnie zapasowy magazynek. Sam musiał go zwabić na odległość trzech metrów lub nawet mniejszą, żeby nie chybić.

Wycofał się w głąb pomieszczenia, skręcił w lewo w łukowe wejście, doszedł do następnego łuku i zaryzykował zerknięcie na korytarz.

Przez wejście po drugiej stronie usłyszał trzask. Russell.

Z rewolwerem na wysokości pasa Sam cofnął się od drzwi. Kiedy się zrównał z następnym łukiem, odwrócił się, żeby pod nim przejść.

Russell stał w korytarzu. Sam uniosł broń i wycelował. King zrobił krok do tyłu i zniknął. Sam dał dwa susy i znalazł się w korytarzu.

Twarzą w twarz z Russellem.

Wiedział, że King jest młodszy i silniejszy od niego, w dodatku szybki jak błyskawica. Zanim zdążył nacisnąć spust, Russell zamachnął się kolbą swojego pistoletu maszynowego. Sam odskoczył, ale nie uniknął ciosu. Pociemniało mu w oczach. Odruchowo rzucił się naprzód, opasał Russella ramionami i przycisnął mu ręce do boków. Zatoczyli się do tyłu. Gdy Sam odzyskał równowagę, wbił Russellowi kolano w krocze. King jęknął. Sam kopnął go jeszcze raz i znowu. Nogi ugięły się pod Russellem, ale zdołał się utrzymać w pionie.

W zwarcu wpadli do sąsiedniego pomieszczenia, odbili się od ściany i znaleźli w następnej izbie. Russell odchylił głowę do tyłu i zadarł podbródek. Walnie mnie bykiem, pomyślał Sam, i spróbował zrobić unik, ale było już za późno. Dostał w łuk brwiowy. Znowu pociemniało mu w oczach. Wypuścił powietrze z płuc, wziął głęboki oddech i zacisnął zęby. Pomogło. Ostrość widzenia trochę się poprawiła. Też

odchylił głowę, ale różnica wzrostu uniemożliwiła uderzenie bykiem w twarz. Wybrał zamiast tego obojczyk. Russell krzyknął z bólu. Sam walnął go czołem jeszcze dwukrotnie. Pistolet maszynowy Kinga upadł na ziemię.

Znów się obrócili, Russell próbował uwolnić się z chwytu Sama albo uderzyć nim w ścianę.

Nagle Sam poczuł, że Russell traci równowagę; cofał się szybciej, niż mógł przebierać nogami. Sam wykorzystał to błyskawicznie. Zaparł się nogami i natarł na niego ciałem. Posuwając się naprzód po pnączach i korzeniach, odpychał Russella i nabierał szybkości. Dostali się pod łuk i wrócili na korytarz. Sam wciąż napierał.

Dostrzegł ścianę zieleni. Usłyszał, jak pnącza pękają wokół niego. Nad ramieniem Russella zobaczył światło dzienne. Puścił Kinga i walnął go bykiem w mostek. Russell zniknął w gęstwinie zieleni. Sam poleciał do przodu i przez otwór w przestrzeń.

Jego pole widzenia wypełniło niebo, granitowe ściany, rwąca rzeka daleko w dole...

Niespodziewanie uderzył w coś twardego. Kolidacja pozbawiła go oddechu. Gdy po chwili nieco ochłonął, wciągnął kilka haustów powietrza. Uświadomił sobie, że patrzy na czarny stalowy cylinder.

Broń, pomyślał. Nadal ścisnął w dłoni rewolwer.

Leżał na brzuchu w rozwidleniu omszałego drzewa. Rozejrzał się i zrozumiał, co się stało. Wypadli przez okno świątyni. Drzewo, wrosnięte częściowo w jej ścianę, było zakorzenione na samej krawędzi płaskowyżu. Przepaść kończyła się na dnie wąwozu Tsangpo trzysta metrów niżej.

Sam usłyszał pod sobą jęk. Spojrzał w dół. Russell leżał na plecach przy drzewie i patrzył mu w oczy.

Z grymasem bólu na twarzy King usiadł. Przesunął prawą ręką wzdłuż nogawki spodni i szarpnięciem pociągnął ją w górę łydki. Na kostce miał kaburę. Chwycił rękojeść rewolweru.

- Nie rób tego, Russell - powiedział Sam.

- Idź do diabła.

Sam wyprostował rękę z bronią i wycelował w pierś Kinga.

- Nie rób tego - powtórzył.

Russell odpiął kaburę i wyciągnął rewolwer.

- Ostatnia szansa - ostrzegł Sam. Russell zaczął podnosić rękę.

Sam strzelił. Russell zatchnął się, upadł do tyłu i utkwiał niewidzące oczy w niebie.

Remi przemknęła pod łukiem. Pociski trafiły w kamień wokół niej. Obróciła się w biegu, oddała na ślepo dwa strzały za siebie i popędziła dalej.

Wypadła z powrotem na korytarz. Skręciła w prawo i kontynuowała ucieczkę, na wpół biegnąc, na wpół kulejąc. W blasku lampy czołowej zobaczyła ciemny

okrągły otwór w podłodze. Następny szyb. Próbowwała go ominąć, ale potknęła się i wpadła do środka.

Na szczęście ten szyb był znacznie płytszy od poprzedniego. Remi wylądowała twardo na pośladkach. Tym razem nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu. Przetoczyła się w poszukiwaniu swojej broni. Rewolwer gdzieś przepadł. Musiała coś znaleźć... cokolwiek. Marjorie była coraz bliżej.

Snop światła lampy czołowej Remi spoczął na jakimś drewnianym przedmiocie. Zanim do jej świadomości dotarło, co to jest, zmysły rozpoznały przedmiot: ciemne drewno, gruba warstwa czarnego lakieru, brak widocznych spojeń...

Sięgnęła po skrzynię, zaczepiła palcami o jej krawędź i dotoczyła ją do siebie. W blasku swojej lampy czołowej zobaczyła cztery znajome symbole w kwadracie.

- Mam cię! - rozległo się nad jej głową.

Marjorie wskoczyła do szybu i wylądowała jak kotka u stóp Remi. Chwyciła automat, który przewiesiła przez ramię na czas skoku, i wycelowała.

- Nie dziś! - krzyknęła Remi.

Złapała oburącz kufer, uniosła go nad głowę i walnęła nim Marjorie w czoło.

W snopie światła lampy czołowej zobaczyła, że po czole jej przeciwniczki spływa krew. Marjorie przewróciła oczami, upadła do tyłu i znieruchomiała.

Remi cofnęła się, przywarła plecami do kamiennej ściany szybu i zamknęła oczy.

Jakiś czas później usłyszała głos.

- Remi? Remi?! Sam.

- Jestem tutaj! - krzyknęła. - Na dole!

Pół minuty później twarz Sama ukazała się w otworze szybu.

- Nic ci się nie stało?

- Może warto sprawdzić, ale chyba nie.

- Czy tam jest to, co myślę?

Remi poklepała leżący obok niej kufer z Theurangiem.

- Po prostu natknęłam się na niego. Czysty przypadek.

- Marjorie żyje?

- Chyba tak, ale przyłożyłam jej solidnie. Może już nigdy nie być taka jak przedtem.

- I bardzo dobrze. Jesteś gotowa do wyjścia?

Sam, uzbrojony w pistolet maszynowy Russella, wrócił do głównego tunelu. Nie wiedząc, gdzie jest Zhilan, chwycił swój plecak i znalazł drogę do drugiego szybu i Remi.

Pół godziny później oboje byli z powrotem w Wielkiej Sali. Razem wyciągnęli nieprzytomną Marjorie z szybu. Sam zarzucił ją sobie na ramię, a Remi wzięła jej automat.

- Wypatruj Smoczycy - polecił Sam żonie. - Jeśli ją zobaczysz, najpierw strzelaj, a potem zadawaj pytania.

Kiedy zbliżyli się do wylotu tunelu, Remi przystanęła.

- Słyszysz to?

- Tak... Ktoś gwizdże. - Sam słuchał chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko. -

To Rządź, Brytanio!

Fargowie wyszli z tunelu.

Pięć metrów od nich, oparty plecami o ścianę, siedział Jack Karna. Zauważył ich i przestał gwizdać. Pomachał do nich wesoło.

- Jak zdrowie, Fargowie? Zaraz, to się rymuje. Ale jestem zdolny.

Oszołomieni, skierowali się w jego stronę. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli biały opatrunek wystający spod chusty zawiązanej wokół szyi Karny. Trzymał berettę Ajaya na podolku.

Kawałek dalej Zhilan Hsu leżała na wznak ze zwiniętą parką Nepalczyka pod głową. W połowie obu ud miała zakrwawione bandaże. Była przytomna. Zmiażdżyła ich wzrokiem, ale się nie odezwała.

- Chyba należy nam się jakieś wyjaśnienie - powiedziała Remi.

- Jasne - zgodził się Jack. - Otóż okazało się, że Russell King nie jest snajperem. Prawdopodobnie próbował przestrzelić mnie na wylot i jednocześnie zabić Ajaya. Jego cholerny pocisk przeszedł przez mięsień... Jak on się nazywa, ten między barkiem i szyją?

- Czworoboczny? - podsunął Sam.

- Tak, zgadza się. Pięć centymetrów w prawo i byłoby po mnie.

- Boli cię? - zapytała Remi.

- Oczywiście, potwornie. Co tam trzymasz, piękna pani Fargo?

- Drobiazg, który znaleźliśmy.

Remi postawiła kufer obok Karny. Uśmiechnął się i poklepał wieko.

- A co z nią? - spytał Sam.

- Ze Smoczycą? To bardzo proste. Myślała, że nie żyje, i straciła czujność. Kiedy podeszła, złapałem pistolet Ajaya - ten tutaj - i strzeliłem jej w prawą nogę. Potem w lewą, dla pewności. To ją trochę przygasiło, nie sądzicie?

- Na to wygląda.

Sam odwrócił się do Zhilan, przykucnął i położył Marjorie obok niej. Zhilan wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy córki. Fargowie patrzyli osłupiali, jak jej oczy napęlniają się łzami.

- Ona żyje - powiedział Sam.

- A Russell?

- Nie.

- Zabiłeś go? Zabiłeś mojego syna?

- Tylko dlatego, że nie zostawił mi wyboru.

- Więc ja zabiję cię, Samie Fargo.

- Możesz spróbować. Ale najpierw pomyśl o tym: mogliśmy zostawić Marjorie w

szybie na pewną śmierć. Nie zrobiliśmy tego. Jack mógł cię zabić. Nie zrobił tego. Jesteś tu przez twojego męża. Przysłał tutaj ciebie i wasze dzieci, żebyście wykonali dla niego brudną robotę, i teraz jedno z nich nie żyje. Wynosimy się stąd i zabieramy cię ze sobą. Jak tylko dotrzemy do jakiegoś telefonu, zadzwonimy do FBI i powiemy im wszystko, co wiemy. Musisz zdecydować, czy chcesz być świadkiem w sprawie męża, czy go bronić. Tak czy inaczej, ty trafisz do więzienia, ale jeśli mądrze to rozegrasz, Marjorie będzie miała szansę.

- Ile ona ma lat? - zapytała Remi.

- Dwadzieścia dwa.

- Długie życie przed nią. Od ciebie zależy, czy spędzi je wolna, niezdominowana przez ojca, czy w więzieniu.

Nienawistne spojrzenie Zhilan nagle zniknęło. Na jej twarzy odmalowała się ulga, jakby właśnie zrzuciła z siebie wielki ciężar.

- Co muszę zrobić?

- Powiedzieć FBI wszystko, co wiesz o niezgodnej z prawem działalności Charlesa Kinga, o każdym przestępstwie, jakie kiedykolwiek popełnił lub kazał tobie popełnić w jego interesie.

- Taka sprytna kobieta jak ty na pewno dobrze się zabezpieczyła - dodała Remi.

- Założę się, że masz gdzieś schowane szczegółowe dossier Kinga.

- Więc jak będzie? - spytał Sam. Zhilan się zawahała, potem skinęła głową.

- Rozsądna decyzja. Jack, chyba posialiśmy gdzieś nasze radiotelefony.

- Ja swój mam.

- Spróbuj wywołać Gupta. Czas się stąd wynieść.

Epilog

Katmandu, Nepal, kilka tygodni później

Ewakuacja Sama i Remi ze świątyni Shangri-La przebiegła bez żadnych problemów. Gupta, który krążył nad okolicą w oczekiwaniu na wezwanie, wrócił i zabrał ich. Cztery godziny później wylądowali na lotnisku w Itanagarze.

Poza martwą załogą Z-9 byli jedynymi świadkami tego, co się wydarzyło na szczycie góry, toteż nikt w chińskim rządzie nie został poinformowany o incydencie. Według oficjalnej wersji Gupta i jego pasażerowie polecili po prostu na wycieczkę krajoznawczą.

Po krótkim badaniu w szpitalu w Itanagarze Sam i Remi mogli wyjść, a Marjorie zatrzymano na noc na obserwację. Tak jak jej ojciec, miała twardą głowę i doznała tylko lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Karna nie chciał skorzystać z pomocy lekarskiej przed powrotem do Nepalu, ale Gupta oczyścił i opatrzył mu ranę wlotową i wylotową po pocisku.

Po długich rozmowach z Rube'em Haywoodem Sam załatwił dla Zhilan Hsu i Marjorie dyskretny transport do Waszyngtonu, gdzie czekali na nie agenci specjalni FBI. Zhilan powiedziała im wszystko, co jej było wiadomo o przestępczej działalności męża. FBI i Departament Sprawiedliwości powołały zespół śledczy do zbadania tej sprawy. Przewidywano, że Charles King spędzi resztę życia za kratkami.

Rząd Nepalu, któremu Fargowie przekazali kufer, zbadanie zawartości powierzył Ramosowi Shadarowi i jego współpracownikom. Znalezienie Złocistego Człowieka i świątyni Shangri-La postanowiono zachować w tajemnicy, dopóki naukowcy nie będą gotowi do ujawnienia odkrycia światu.

Teraz ten czas nadszedł.

- Zdrowie ! - powiedziała Remi, podnosząc kieliszek z szampanem.

Pozostali - Sam, Jack Karna, Adala Kaalrami, Sushant Dharel i Ramos Shadar - sięgnęli po swoje kieliszki i spełnili toast.

- Pora na prezentację - oznajmił z uśmiechem Shadar. - Na pewno wszyscy z niecierpliwością czekaliście na ten moment.

- Chodźmy do Theuranga - rzekła rozemocjonowana Remi.

Wspięli się po stopniach na podest w wyłożonej marmurem sali wystawowej Uniwersytetu Katmandu. Oficjalna prezentacja i konferencja prasowa miały się odbyć następnego wieczoru, ale Fargowie i pozostali uczestnicy poszukiwań dostąpili zaszczytu uczestniczenia w prywatnym pokazie.

- Kto chciałby mieć przywilej podniesienia wieka? - zapytał Shadar. Wiedział, co jest w środku, i bawiła go myśl o spodziewanej reakcji innych.

- To nie podlega dyskusji - odparł Sam. - Jack zasługuje na to, żeby być

pierwszy.

Shadar wskazał kufer.

- Panie Karna, zechce pan?

Jack, wyraźnie wzruszony, skinął głową i podszedł do niskiej, przykrytej aksamitem skrzyni. Wolno, niemal z czcią, wziął do ręki linkę i pociągnął.

Wszyscy z wyjątkiem Shadara otworzyli szeroko oczy. Kufer z Theurangiem był otwarty, wieko leżało obok niego.

W środku, skulony w pozycji embrionalnej, spoczywał prawie kompletny skamieniały szkielet całkowicie pokryty złotem.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. W końcu Jack Karna wymamrotał:

- Dlaczego on jest taki mały?

- Wygląda jak najwyżej trzyletni chłopiec - stwierdziła Remi.

- Nie ma więcej niż metr wzrostu - ocenił Sam. Shadar uśmiechnął się szeroko.

- Dokładnie dziewięćdziesiąt sześć i pół centymetra. Wagę szacujemy na dwadzieścia trzy kilogramy. Mózg jest wielkości piłki bejsbolowej.

- To musi być imitacja - odezwała się po raz pierwszy Adala Kaalrami.

Shadar pokręcił głową.

- Możecie w to nie wierzyć, ale patrzycie na trzydziestoletnią ludzką istotę. Udało nam się ustalić przybliżony wiek na podstawie zużycia zębów i struktury kostnej.

- Karzeł? - podsunął Sam.

- Nie - zaprzeczył Shadar. - Przedstawiciel oddzielnego rodzaju ludzkiego, żyjącego w okresie od osiemdziesięciu pięciu do piętnastu tysięcy lat temu. Kiedy moi przodkowie znaleźli ten szkielet w górskiej jaskini, pozłócili kości i uznali je za święte.

- I czcili go przez ponad tysiąc lat - dodał Sam. W oczach Shadara pojawił się chytry wyraz.

- Nie jego - rzekł - tylko ją.

Minęła dłuższa chwila, zanim to do nich dotarło.

- No oczywiście! - wypaliła Remi. - Nie dawca, tylko dawczyni życia. Matka Ludzkości. Theurang to była kobieta. Nic dziwnego, że ją czcili.

Sam pokręcił głową, ale z błyskiem w oku.

- Dlaczego jest tak - zapytał - że kobiety zawsze muszą mieć ostatnie słowo?